

# KRONIKA MIASTA ŁODZI

---

nr 1/2000





I-98273/2000





PRAC. REGION.

# **Kronika Miasta Łodzi**

**nr 1 rok 2000**

**Łódź 2000**

## Rada Programowa

Przewodniczący: Grzegorz Matuszak

Członkowie: Mirosław Borusiewicz, Ryszard Czubaczyński,  
Henryk Kluba, Stanisław Liszewski, Paweł Samuś

## Zespół Redakcyjny

Dagmara Barua, Edward Müller (sekretarz), Bogusław  
Sikorski (redaktor naczelny), Jerzy Wilmański

ISSN 1231-5354  
Zarząd Miasta Łodzi  
2000



## 10 lat Samorządu Łodzi

z Przewodniczącym Rady Miejskiej

**Grzegorzem Matuszakiem** rozmawia Bogusław Sikorski.

*Wiosną 1990 roku opublikowano ustawę o samorządzie terytorialnym. Był Pan radnym podczas pierwszej i drugiej kadencji. Obecnie jest Pan przewodniczącym Rady Miejskiej. Jakie wspomnienia najbardziej pozostały w Pana pamięci z okresu I kadencji?*



**Grzegorz Matuszak** – Miałem wtedy wątpliwości, czy samorzady będą faktycznie samorządne. Doświadczenia z okresu PRL-u nie były przystające do zapisów nowej ustawy. Przez wiele lat żyliśmy w innych warunkach społecznych, politycznych, w innym systemie władzy. Ustawa miała szereg mankamentów. Brak było zapisów m.in. o zasadach samodzielności finansowej samorządu. Kwestie te miały rozwiązać nie istniejące jeszcze wtedy ustawy kompetencyjne.

*W I kadencji Łódzkie Porozumienie Obywatelskie skupiające różne ugrupowania i partie uzyskało 50 mandatów. SdRP uzyskało tylko 6 mandatów. Jest Pan socjologiem... Jakie fakty odnotowałyby socjolog z pierwszych posiedzeń Rady Miejskiej?*

**G. M.** – Przede wszystkim kłopoty z wypracowaniem metody funkcjonowania samorządu. Pierwsze sesje Rady Miejskiej trwały po kilkanaście godzin. Sesje przedłużało wnoszenie nowych zagadnień bądź też ich poszerzanie oraz prowadzenie nad nimi dyskusji. Podczas jednej z takich sesji, trwającej 14 godzin, wystąpiłem z zapytaniem o przestrzeganie zasad higieny pracy umy-



słowej. Przypominam sobie, że jeden z wiceprzewodniczących odpowiedział mi pytaniem: „jakich ekspertów sobie życzę i z jakich dyscyplin nauki, którzy określiliby te zasady”? Odpowiedziałem, że wystarczy pójść do pierwszej z brzegu biblioteki i przeczytać na ten temat odpowiednią książkę choćby o BHP. Ostatecznie zwyciężył jednak rozsądek i przyjęto, że obrady powinny się kończyć nie później niż o godzinie 18.00.

Często podczas obrad pojawiały się też sprawy dziwne i wątpliwe. Jedną z takich propozycji było powołanie Komisji Nadzwyczajnej w Radzie, która zbierałaby od mieszkańców miasta informacje o nadużyciach, rozkradaniu mienia państwowego czy zagarnięciu majątku. Miała to być taka samorządowa „czerezwyczajka”, która powiadamiałaby prokuraturę o wytropionych przestępstwach i domagałaby się ukarania winnych. Zgłosiłem wątpliwości co do tej propozycji. Wskazałem na istniejące już wyspecjalizowane organy kontroli – prokuraturę, NIK, policję i inne, których obowiązkiem jest wykrywanie przestępstw.

Uważałem, że amatorska działalność komisji jest zbędna, a radni mogą się narazić na różne pomówienia i wprowadzanie w błąd przez swych ewentualnych informatorów. Negatywnie do pomysłu odniósł się też prokurator wojewódzki. Socjolog odnotowałby ostry podział polityczny na „my” i „oni”, tzn. na władzę i opozycję. Był to spór polityczny podkreślany przez wielu radnych.

I jeszcze jedno spostrzeżenie. Rada często pracowała na zasadzie straży pożarnej. Sesje niekiedy były zdominowane tysiącami drobiazgów, które powinny być rozstrzygane przez urzędników miejskich, biorących za to pieniądze, a nie przez radnych. Wiele zastrzeżeń wzbudziło też rozporządzenie Rady Ministrów z 1993 roku dotyczące przejęcia przez samorzady publicznych zakładów opieki zdrowotnej, szkół ponadpodstawowych różnego typu, budowy i modernizacji dróg krajowych itp., za które dotychczas odpowiadał wojewoda i utrzymywał je ze środków finansowych budżetu centralnego. Osobiście nie byłem przeciwny przekazaniu tych spraw samorządowi, ale w tamtym czasie brak było rozporządzeń wyjaśniających, rozstrzygnięć choćby jak i kto ma załatwić spłaty zadłużeń oświaty, kultury, zakładów opieki zdrowotnej. Samorzady nie miały na to pieniędzy. Rząd nie zapewniał odpowiednich środków finansowych. Obecnie patrząc na te sprawy z perspektywy III kadencji Rady Miejskiej wyrażam przekonanie, że wtedy wszyscy uczyliśmy się samorządności i odpowiedzialności za sprawę miasta i jego mieszkańców.



*Po wyborach parlamentarnych w 1994 roku, kiedy zdecydowane zwycięstwo odniosła lewica, zmienił się skład Sejmu i Senatu, powstał koalicyjny Rząd SLD i PSL. Czy odnotował Pan zmiany w pracy Rady Miejskiej?*

**G.M.** – Posłużę się pewną metaforą. Jak świadczą historycy po zwycięskich kampaniach można zaobserwować ciekawe zjawiska. Jedni z pokonanych chcą dalej walczyć, inni tracą ducha, wątpią w sens obrony i zastanawiają się, jakby cichaczem umknąć unosząc głowę a i nagromadzonego dobytku nie porzucając. Bywa, że niekiedy doznają nagłych nawróceń i deklarują swe usługi tym, którzy zwyciężyli. Właśnie takie symptomy można było dostrzec w pracy magistratu, które zdają się potwierdzać tę konstatację historyków. Niech Czytelnicy wybaczą mi, że posługuję się przykładami militarno-historycznymi, ale dobrze oddają one pewne mechanizmy życia zbiorowego. Jestem socjologiem i usiłuję odnajdować pewne prawidłowości nimi rządzące.

*Radni lubią wypowiadać się ad vocem. Są to niekiedy barwne pytania i odpowiedzi. Nie zawsze można o nich przeczytać w gazetach. Czy może Pan przedstawić kilka ciekawych przykładów takich szczególnych wypowiedzi?*

**G.M.** – Jak zapewne wiedzą Czytelnicy, dyskusje w Radzie Miejskiej są czasami zażarte, problemowe a bywają i nijakie. Zdarza się wypowiadanie ad vocem, polegające na natychmiastowym odniesieniu się do głosu przedmówcy, zwłaszcza jeśli zostało się przez niego wywołanym po nazwisku. W tych wystąpieniach bywa dużo barwnych polemik, pouczeń, wycieczek osobistych itp. Są radni wyróżniający się błyskotliwymi replikami. Często bywają też zabawne sytuacje. Podczas jednej z sesji toczyła się dyskusja na temat wyprowadzania psów na spacer do parków. Większość była zgodna, że psy muszą być w kagańcu i na smyczy. Jeden z radnych publicznie rozważał problem: „co mam zrobić z moim psem, on nie może załatwić swoich potrzeb kiedy jest na smyczy”? Podczas innej sesji inny radny krytycznie wypowiadał się o pewnej firmie zajmującej się usługami pogrzebowymi. Kolejny radny poprosił o ad vocem i powiedział, że był tam dobrze obsłużony. Krytykujący natychmiast odpowiedział „ale pan jeszcze żyje”. Oratorskim popisom towarzyszą różne reakcje radnych, czasem śmiech, czasem brawa. Takie sytuacje należą do epizodów obrad Rady Miejskiej, ale zapisują również



barwną historię w każdej kadencji. Protokoły Rady Miejskiej podobnie jak dziennikarskie sprawozdania do gazet nie oddają bogactwa i niuansów szermierki słownej oraz bardziej lub mniej zasadnych argumentów, pouczeń, krytyk, pochwał itp., których radni nie szczędzą w swoich wystąpieniach. Emocjonującego patosu głosu nie zapisze przecież protokółantka czy nawet najlepsze dziennikarskie pióro. Jeśli szanowni Czytelnicy dysponują czasem, to zachęcam do bezpośredniego przysłuchiwania się obradom Rady Miejskiej, które są otwarte dla publiczności.

*10 lat pełnienia funkcji radnego to bogactwo spostrzeżeń i doświadczeń w działalności samorządowej. W połowie II kadencji Rady został Pan jej przewodniczącym. Jak wykorzystuje Pan zdobyte doświadczenie w kierowaniu Radą?*

**G.M.** – Jako radny przez 6 lat byłem jednym z aktywniejszych polemistów krytykującym swoich oponentów. Kiedy w październiku 1996 roku powierzono mi funkcję przewodniczącego Rady, musiałem dostosować się do wymogów nowej roli: być bezstronnym i obiektywnym organizatorem pracy samorządu, powstrzymującym się od wyrażania własnych poglądów. W kilkunastu sprawach rozmaitych konfliktów w mieście podejmowałem się roli mediatora. Nauczyłem się, że nie wystarczą tylko dobre chęci, ale trzeba liczyć się z rozmaitymi uwarunkowaniami obiektywnymi. Władza powinna umieć porozumiewać się z opozycją w ważnych sprawach dla Łodzi i słuchać uważnie krytycznych opinii na swój temat. Nikt nie zaczyna niczego od początku, zawsze jesteśmy kontynuatorami naszych poprzedników, nawet jeśli chcemy odmiennie niż oni kierować sprawami miasta. Sądzę, że moja wiedza socjologiczna przydaje się w pełnieniu funkcji przewodniczącego Rady Miejskiej, a doświadczenia samorządowe wzbogacają mnie jako socjologa, nauczyciela akademickiego.

*Rada Miejska, w której większość ma SLD, przyjęła podstawowe kierunki działania w III kadencji. Jakie są podstawowe cele strategiczne rozwoju Łodzi?*

**G.M.** – Podstawowym dokumentem wyznaczającym kierunki pracy samorządowych władz Łodzi jest przyjęta uchwałą Rady Miejskiej Strategia Rozwoju Miasta.

Przypomnę jej podstawowe cele: wzmocnienie i rozwój funkcji metropolitarnych Łodzi, zróżnicowanie struktury gospodarczej,



poprawa wewnętrznej i zewnętrznej dostępności miasta, wzmocnienie jego ekologicznego systemu i ochrona oraz budowanie zgody i porozumienia między ugrupowaniami politycznymi. Intencją przyjętej strategii jest preferowanie wielostronnego rozwoju, nawiązującego z jednej strony do dziedzictwa Łodzi przemysłowej, z drugiej zaś nakierowanego na sukces w dziedzinach współcześnie uznanych za konkurencyjne i warte modernizacji. Najkrócej o naszym mieście można powiedzieć, że rynek jest chłonny, warunki produkcji dogodne a perspektywy zachęcające. Położenie geograficzne Łodzi jest ważnym atutem, bowiem w pobliżu miasta skrzyżują się ważne szlaki komunikacyjne przebiegające z Europy zachodniej na wschód oraz ze Skandynawii na południe Europy. Rozwój metropolitalny miasta to m.in. baza hotelowa. Warunkuje ona organizację imprez targowych, zjazdów, sympozjów itp. Obecnie w Łodzi wznoszone są dwa hotele: jeden przy zbiegu ulicy Piotrkowskiej i Radwańskiej, kolejny przy ulicy Piłsudskiego (z parkingiem podziemnym). Istnieje potrzeba szybkiego połączenia kolejowego Łodzi z Warszawą. Podjęte zostały rozmowy z PKP. Obecnie trwają przygotowania dla utworzenia spółki Łódzkie Towarzystwo Kolejowe, której zadaniem będzie przygotowanie planów modernizacyjnych i zbudowanie trasy kolejowej, która pozwoliłaby w ciągu około 50 minut dojechać z Łodzi do Warszawy. Ważną sprawą jest otwarcie lotniska Lublinek dla stałych połączeń krajowych i zagranicznych. W tej kadencji stawiamy sobie za cel zrealizowania tej inwestycji.

*Jakie działania są podejmowane aby zmniejszać i likwidować skutki bezrobocia w mieście?*

**G.M.** – Przemysł lekki jaki pamiętamy z lat 60. i 70., to przeszłość Łodzi. Dlatego chcemy, aby nowe miejsca pracy powstawały w usługach i branży elektromaszynowej, spożywczej, elektronicznej. W Łodzi znalazły już swoje siedziby takie firmy, jak m.in.: BOSCH-SIEMENS, COCA-COLA, MERLONI, GILLETTE. Kilkaset osób znalazło pracę w supermarketach. Stworzone też zostały warunki do kupna przez francuską firmę APSYS terenów po byłym POLTEX-ie, na których jest planowane zbudowanie centrum usługowo-rozrywkowego. Francuska firma zapewnia, że zatrudni tam około 4 tysięcy osób. W 1998 roku kapitał zagraniczny ulokował w Łodzi około 50 milionów dolarów a w roku 1999 blisko 85 milionów dolarów. Jest to przykład, że Łódź staje



się miastem, w którym warto inwestować i coraz częściej interesują się nami inwestorzy zagraniczni.

*A inne sprawy, na przykład ochrona środowiska i zdrowie mieszkańców?*

**G.M.** – Powstały i zostały wdrożone już w życie trzy programy profilaktyki i promocji zdrowia, m.in. program profilaktyki wczesnego wykrywania chorób układu krążenia. Badania obejmują dzieci w wieku od lat 4, a kończą na ludziach w wieku emerytalnym. Kolejny program – wczesne wykrywanie raka stercza – realizowany jest w Poradniach Opieki Zdrowotnej i obejmuje mężczyzn od 50 do 64 lat. W ramach programu DALIA od października ub. roku prowadzone są badania mammograficzne kobiet w wieku 50–64 lata. Pod koniec br. wprowadzimy programy: profilaktyki i wczesnego wykrywania raka płuc i profilaktyki wczesnego wykrywania raka jelita grubego.

W zakresie ochrony środowiska dokończymy budowę Grupowej Oczyszczalni Ścieków. Docelowo będzie ona mogła przerobić 450 metrów sześciennych ścieków na dobę. To zapewni w przyszłości czyste wody rzeki Ner. Chcemy tę największą inwestycję ekologiczną w Polsce zakończyć za naszej kadencji. Jeśli otrzymamy wsparcie finansowe z funduszu pomocowego ISPA, to zrealizujemy budowę. Na odrębną uwagę zasługują sprawy kultury i ochrony zabytków. Sporządzono po raz pierwszy w toku tej kadencji „Raport o stanie łódzkiej kultury i ochronie zabytków”.

Do ważniejszych inwestycji należy zaliczyć: budowę małej sceny Teatru Nowego, remont elewacji Muzeum Historii Miasta Łodzi, Muzeum Włókiennictwa oraz kilku zabytkowych kamienic przy ulicy Piotrkowskiej. Myślę, że nie musimy się wstydzić tego co zrobiono i co robi się w Łodzi, choć zapewne nie wszystkie potrzeby miasta i jego mieszkańców da się zaspokoić w krótkim czasie. Nie brak nam, samorządowcom, dobrej woli i chęci, gorzej jest z możliwościami finansowymi.

Jest to kłopot, z którym samorzady borykają się od 10 lat, ale jestem przekonany, że system samorządności lokalnej jest ważnym rezultatem transformacji ustrojowej w Polsce.

*Dziękuję za rozmowę.*



Ewelina Nurczyńska-Fidelska

## Łódź filmowa. Szkic do portretu

Dzieje filmowej Łodzi zwykliśmy łączyć z czasem lat powojennych, dla których symbolicznym zdarzeniem stało się otwarcie 5 grudnia 1945 roku pierwszej hali atelier, utworzonej na terenie krytego stadionu sportowego przy ulicy Łąkowej 29. Data ta stanowi historyczny początek produkcyjnej działalności Wytwórni Filmów Fabularnych. Wówczas wszystko się zaczęło, a po latach Feridun Erol, absolwent łódzkiej szkoły filmowej, wylansował określenie „Hollyłódź”, które żartobliwie nazywa dziesięciolecia aktywności miasta w narodowej produkcji filmowej.

Historyk filmu winien jednak pojęcie „Łódź filmowa” wpisać w kontekst szerszy, jakim jest kategoria „kultura filmowa”. Wówczas obszar refleksji dotyczącej znaczeniowego zakresu słów „Łódź filmowa” poszerza się ogromnie, a przedmiotem uwagi musi się stać zarówno przeszłość i współczesność, jak i wszystkie przejawy obecności i funkcjonowania instytucji i inicjatyw społecznych, które współtworzą uczestnictwo miasta i ludzi w kształtowaniu zjawiska zwanego kulturą filmową.

Historia filmu ma wobec Łodzi jako ważnego ośrodka kultury filmowej w Polsce znaczny dług do spłażenia – dotyczy to jednak tylko powojennych dziejów miasta. Książka Hanny Krajewskiej *Życie filmowe Łodzi w latach 1896–1939*<sup>1</sup> przynosi rzetelne, oparte na setkach rozproszonych źródeł, opracowanie tego tematu. Uświadamia ono, jak od początków istnienia nowej sztuki film wpisywał się w społeczny i kulturalny obraz miasta.

Nie było ono jeszcze ośrodkiem filmowej produkcji, choć działania takie były już podejmowane (np. działalność w latach

---

<sup>1</sup> Hanna Krajewska, *Życie filmowe Łodzi w latach 1896–1939*, Warszawa-Łódź 1992.



trzydziestych Edwarda Kowalskiego, dokumentalisty życia miasta i założyciela propagującego wyższą kulturę filmową Amatorskiego Klubu Filmowego). Jak podaje Hanna Krajewska, podejmowano także próby wydawania czasopism filmowych („Informator Filmowo-Teatralny” i „Kurier Filmowy”, 1927-1939, który początkowo ukazywał się w formie rubryki filmowej w „Kurierze Łódzkim”).

Głównym przejawem obecności i funkcji filmu w życiu mieszkańców Łodzi było jednak wówczas przede wszystkim istnienie kin. Ich charakter, topografia i repertuar stanowią pasjonujące źródło wiedzy o przedwojennej Łodzi filmowej<sup>2</sup>.

Jako znanych z imienia organizatorów życia filmowego Łodzi historia odnotowuje braci Antoniego i Władysława Krzemińskich, założycieli pierwszego na ziemiach polskich stałego kina – powstało ono w grudniu 1897 r., prawdopodobnie przy ulicy Piotrkowskiej 120. Ich znane już z nazwy kino „Bioscop” powstało w 1900 r. na Nowym Rynku 2 (dziś Plac Wolności). Kinowej działalności braci Krzemińskich towarzyszyła reklama w postaci afiszów, programów i ulotek, które rozdawano przede wszystkim wychodzącym z fabryk robotnikom.

Jan Jakub Kolski, autor filmu *Historia kina w Popielawach* w roku jego premiery przypomniał łodzianom swój ciekawy filmowy rodowód. Jego pradziadowie Maria i Hani Hendliszowie byli właścicielami założonego w 1907 r. przy ulicy Piotrkowskiej 15 kina „Théâtre Optique Parisien”.

W pierwszym dziesiątku lat XX wieku powstaje kilka kin, zakładanych w przystosowanych do ich użytku budynkach, położonych przede wszystkim przy ul. Piotrkowskiej i jej przecznicach. Pierwsze kino nieco od ul. Piotrkowskiej oddalone powstaje w 1907 roku w dawnej sali tanecznej przy ul. Mikołajewskiej 40 (dziś Sienkiewicza). Uzyskuje ono barwną nazwę „Belle Vue” – to dzisiejsze „Tatry”, które zasługują na tytuł najstarszego, ciągle jeszcze funkcjonującego kina w Łodzi.

Następne lata przynoszą już nowe zjawisko – powstają budynki, których przeznaczeniem jest być kinem; dba się o ich wystrój, wygodę i bezpieczeństwo widzów, co w epoce łatwopalnej taśmy filmowej nie było sprawą bez znaczenia. W roku 1914 działało już w Łodzi 18 kin, spośród których tylko 4 znajdowały

---

<sup>2</sup> Poza opracowaniem H. Krajewskiej wykorzystuję tu informacje zawarte w pracy magisterskiej Piotra Nurczyńskiego (*Funkcje kulturalno-wypoczynkowe łódzkich kin*) napisanej na kierunku geografia w Uniwersytecie Łódzkim.



się przy ul. Piotrkowskiej i jej skrzyżowaniach. Te znane, przeznaczone dla zamożniejszej publiczności, to przede wszystkim „Luna” (po II wojnie nieistniejąca dziś już „Wisła”), „Cassino” (dziś „Polonia”) i „Odeon” (po II wojnie „Gdynia”). Warto zwrócić uwagę na to ostatnie już od kilku lat niefunkcjonujące kino. Nowoczesność zbudowanego w 1908 r. kina określała nie tylko duża widownia (350 miejsc) i właściwa poczekalnia, ale nade wszystko fasada frontalnie skierowana na ulicę Przejazd (dziś Tuwima) i ozdobiona na szczycie kamienną figurką sowy – symbolu mądrości, co miało zapewne w oczach bardziej elitarnej publiczności nobilitować nową, już nie tylko „jarmarczną” rozrywkę.

Po odzyskaniu w roku 1918 niepodległości wzrasta w Łodzi liczba kin. Oprócz usytuowanych w centrum miasta (m. in. obecny „Bałtyk”, który wielokrotnie zmieniał nie tylko właścicieli, ale i nazwę: „Reduta”, „Splendid”, „Roxy”, „Europa”) powstają kina peryferyjne, zakładane głównie na Bałutach, Widzewie i na ulicy Rzgowskiej. Były one przeznaczone głównie dla robotniczej i żydowskiej publiczności. W ich repertuarze było wiele realizowanych w Polsce filmów o tematyce żydowskiej z napisami w języku jidysz, a w okresie dźwiękowym – z napisami w języku polskim. Rok 1939 zamyka się już liczbą 34 kin, a Łódź w statystykach krajowych plasuje się stale na najwyższych poziomach frekwencji, co jest świadectwem tego, że kino było dla ówczesnej proletariackiej publiczności najbardziej dostępną formą rozrywki.

Ta krótka podróż sentymentalna w lata przedwojenne kina każe zwrócić uwagę na pewne barwne kulturowo zjawisko. Centralnie położone kina przyjmowały nieco pretensjonalne „światowe” nazwy („Odeon”, „Splendid”, „Rialto”, „Corso” etc.). Kina peryferyjne to „Mimoza” (ul. Kilińskiego 178), „Bajka” (ul. Franciszkańska 31), „Uciecha” (Limanowskiego 36), „Świt” (ul. Pomorska 89). Swoje dawne nazwy do dziś zachowały kina „Zachęta” i „Przedwiośnie”. Te „proletariackie” kina były bardzo skromne, lecz, podobnie jak w eleganckich kinach centralnych, łączono w nich pokazy filmowe z występami typu variété, adresowanymi do gustów robotniczej publiczności. Najgłośniejszym, niemal legendarnym już połączeniem tego typu programów z projekcją filmową był taneczny występ przyszłej gwiazdy światowego kina, czyli Poli Negri, w 1916 r. w kinie „Cassino” (dziś „Polonia”). Kulturowo-językową ciekawostką pozostaje nazwa zamkniętego w latach 90. kina studyjnego „Stylowy”, wielce zasłużonego dla kultury filmowej powojennej Łodzi. Zwróćmy uwagę – nie „Stylowe”, jak wymagałaby tego prawidłowa forma gramatyczna. Owa przez



dziesiątki lat zachowana nazwa „Stylowy” to spadek po dawnym, jakże już zamierzchłym, określeniu kino-teatr; jaki? – „Stylowy”.

W omawianych latach kina należały oczywiście do osób prywatnych lub spółek akcyjnych, czasem także do stowarzyszeń (np. kino „Resursa” – „Stylowy”, którego właścicielem było Stowarzyszenie Rzemieślników). Właścicielem kina był także magistrat, który w latach 1922–1933, prowadząc „Miejskie Kino Oświatowe” – MKO (przy ul. Wodnej 44), dbał o jego ambitny i edukacyjny repertuar, adresowany głównie do młodzieży i środowisk robotniczych. Tenże sam magistrat miał oczywiście znaczne dochody płynące z podatków płaconych przez właścicieli kin. Ci ostatni preferowali, tak zresztą jak właściciele kin w całej Polsce, przede wszystkim repertuar komercyjny, w tym także cieszące się dużą popularnością filmy polskie.

W okresie okupacji kina w Łodzi znalazły się w rękach niemieckich, a w mieście działało od 11 do 14 kin. Spośród nich te najbardziej reprezentacyjne, położone w centrum, były *nur für Deutsche*. Z kin pozostałych mogła korzystać także ludność polska; moralnie obowiązujący w Generalnej Guberni bojkot kin przez Polaków we wcielonej do Rzeszy Łodzi nie był zbyt powszechnie przestrzegany. Ówczesny repertuar to oczywiście przede wszystkim filmy niemieckie i austriackie.

Wraz z wyzwoleniem Łodzi w roku 1945 uruchomiono 17 kin. Rozpoczęło wówczas działalność przedwojenne Zrzeszenie Właścicieli Teatrów Świetlnych (sic!), które zwróciło się do nowych władz państwowych z żądaniem przekazania kin ich byłym właścicielom. Żądanie to okazało się nierealne – 13 listopada 1945 r. Krajowa Rada Narodowa wydała dekret o nacjonalizacji wszystkich instytucji i dziedzin działalności kinematograficznej.

W relacji o powojennej Łodzi filmowej pozostajemy przy dziejach jej kin. Powołany do istnienia Centralny Zarząd Kin miał swe łódzkie – miejskie i wojewódzkie agendy. Dystrybucją filmów zajmowała się Centrala Wynajmu Filmów, zmieniająca w następnych latach swą nazwę na Przedsiębiorstwo Dystrybucji Filmów, a potem Centralę Dystrybucji Filmów. W latach 1957–1974 istniała także Centrala Filmów Oświatowych „Filmos”. Te centralne instytucje dystrybucji filmów miały swe filie w miastach wojewódzkich, a więc i w Łodzi. Od roku 1970 działało np. Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów (OPRF). W roku 1989, traktowanym jako początek przełomu w sposobach funk-



cjonowania polskiej kinematografii, powstała Instytucja Filmowa Dystrybucji Filmów.

Rozpoczyna się wówczas czas głębokich przeobrażeń, o których, ogólnie mówiąc, decydować zaczynają zasady tzw. wolnego rynku. Burzą one system państwowego jedynowładztwa, lecz na obszarze kinematografii nie prowadzą do jednoznacznie pozytywnych rozstrzygnięć. To jednak temat na osobne „opowiadanie”, choć jego poszczególne wątki znajdują także swe dramatyczne odbicie w obrazie „Łodzi filmowej”, do której to sprawy przyjdzie jeszcze powrócić.

Pozostając przy problemie kin łódzkich, skonstatować należy, że wolnorynkowe przeobrażenia generalnie zmieniły nie tylko ich miejsce w miejskim krajobrazie (w 1962 r. było jeszcze w Łodzi 35 kin), ale także charakter i sposób ich funkcjonowania. Pewne zmiany dostrzec już można było w latach 80., kiedy to pojawiło się pierwsze uszczuplenie liczby kin. W pierwszej kolejności likwidowano jeszcze przedwojenne, najczęściej peryferyjne kina (np. „Rekord”, „Pionier”); decydował o tym zarówno ich stan techniczny, jak i wyraźny, za sprawą telewizji, a później także systemu wideo, odływ publiczności.

Decydujące zmiany nastąpiły jednak na początku lat 90., kiedy to nowe przepisy zezwoliły na zmiany form własności kin. Powołana Państwowa Instytucja Filmowa, w Łodzi o nazwie „Helios”, przyjęła między innymi formę dzierżawy kin. I tak w styczniu 1993 r. powstało w Łodzi Centrum Filmowe „Helios 2000” Spółka z o.o., przekształcone w 1998 roku w Centrum Filmowe „Helios” S.A., które przejęło w dzierżawę takie kina (podaję obecne nazwy) jak: „Bałtyk”, „Capitol”, „Adria”, „Cytryna” i wreszcie – po wielkim wcześniejszym remoncie, który uczynił je multikinem – „Polonia”. Formalnym właścicielem tych kin pozostaje dziś Samorządowa Instytucja Filmowa „Helios”, pod której bezpośrednią opieką pozostały jedynie kina „Przedwiośnie”, „Tatry” i „Zachęta”. Widzowie łódzkich kin znają konsekwencje tych decyzji i przeobrażeń. Kina Centrum Filmowego „Helios” S.A. poddane zostały unowocześnieniu, pozostałe, dziś samorządowe, przypominają te z czasów PRL.

Jednocześnie, wraz z ogólnopolskimi zmianami form dystrybucji, która znalazła się w rękach wielkich firm światowego przemysłu filmowego typu Warner Bros., ale i w rękach małych prywatnych, czasem rodzimych dystrybutorów, ekrany kin zostały zalane przede wszystkim finansowo dochodową, komercyjną, głównie amerykańską, produkcją filmową. Sukcesy frekwen-



cyjne polskich filmów ostatniego czasu (*Ogniem i mieczem, Pan Tadeusz, Kiler*) stanowią pierwszy od lat sygnał nieco innych zapotrzebowań repertuarowych widzów, trochę znudzonych gatunkową monotonią obowiązujących w kinach propozycji.

Wspomniane Centrum Filmowe „Helios” S.A. stało się potentatem kin łódzkich (również w Piotrkowie, Kaliszu, Włocławku i Radomiu) także ze względu na to, że w nowym systemie rozpowszechniania filmów przejęło dodatkową rolę redystrybutora filmów działających w Polsce wielkich firm. Od jego repertuarowej polityki zależy więc wiele, także w zakresie dostępu widzów do tzw. filmu artystycznego, który, jak dotąd, rzadko trafia na ekrany kin.

Próba określenia pewnych zasad rządzących nową sytuacją kin i systemów dystrybucji było pięciokrotnie w latach 90. organizowane w Łodzi Forum „Wokół kina”.

Żonglując z powodów finansowych między komercją i wartościami artystycznymi, ważną kulturotwórczą rolę pełnią kina niezależne, które, tak jak kino ŁDK, działające w zasłużonym dla kultury filmowej Łódzkim Domu Kultury, czy kino „Tatry”, próbują kontynuować dawną formułę kin studyjnych.

Ważne i interesujące inicjatywy na rzecz kultury filmowej podejmowała także działająca w latach 1994–1999 spółka cywilna „Pro Cinema”, która powołała do istnienia działające przez kilka lat kino „Charlie” i „Sami swoi” i która była także redystrybutorem mniejszych firm. Poza preferencją ambitniejszego artystycznie bieżącego repertuaru i okazjonalnymi imprezami, takimi jak zorganizowanie w Teatrze Wielkim uroczystego pokazu na 100-lecie kina czy prapremiera głośnego dziś w świecie filmu Dariusza Jabłkowskiego *Fotoamator*, najważniejszym kulturotwórczym przedsięwzięciem „Pro Cinema” pozostaje organizacja Forum Kina Europejskiego, którego ósma już edycja odbyła się w 1999 r. Po rozwiązaniu spółki inicjatywy te przejęła Agencja „Pro Cinema” kierowana nadal przez Sławomira Fijałkowskiego. Jej działalność przyjdzie ocenić za jakiś czas.

Aktualna liczba zaledwie 12 kin to w tak dużym mieście jak Łódź na pewno znak czasu. Nacjonalizując w roku 1945 kinematografię, państwo przejęło przedwojenną substancję materialną kin, a ich położenie było repliką stanu sprzed 1939 roku. W okresie PRL zbudowano w Łodzi tylko dwa kina – „Iwanowo” („Adria”) i od początku będące lokalizacyjną pomyłką kino „Stoki”. Dla potrzeb kinowych dostosowywano sale w domach kultury, także zakładowych, w osiedlach studenckich itp. I te stare



„prawdziwe” kina, i te tworzone prowizorycznie nie były doinwestowywane i musiały podupadać. O ich powolnej śmierci decydowały także przeobrażenia cywilizacyjno-kulturowe – telewizja i wideo odciągnęły z kin publiczność. Ostatnie lata świadczą jednak o stopniowym jej powrocie do „prawdziwych” kin. Jest to jednak publiczność, która czeka na inne kina – duże, komfortowe ze specyficzną dla czasów współczesnych infrastrukturą (kawiarenki, puby, stoiska kaset wideo i książek) i te małe, kameralne – dla smakoszy kina artystycznego; czeka na multikina, które mogą te potrzeby zaspokajać – dowodem jest popularność niewielkiej przecież „Polonii”.

Poświęcenie tak dużej uwagi dziejom łódzkich kin było decyzją świadomą – ich obecność w życiu miasta, ich powszechne, a nie elitarne, oddziaływanie ma generalny wpływ na to, co nazywamy kulturą filmową danej społeczności. By uzupełnić ten obraz, trzeba powiedzieć także o tych formach kształtowania kultury filmowej, które realizowały, czy jeszcze szczątkowo realizują, tzw. cele wyższe, których założeniem jest świadome, programowe kulturotwórcze działanie.

Taką niekomercyjną funkcję spełniały zakładane w latach 60. kina studyjne. Z ich działalnością na obszarze całego kraju, w tym oczywiście także w naszym mieście, związani byli dwaj łodzianie – Profesor Bolesław Lewicki, wieloletni przewodniczący Krajowej Rady Kin Studyjnych, i Tadeusz Paliński, jej sekretarz. W Łodzi kinami studyjnymi, a więc tymi z ambitniejszym repertuarem i skupiającymi szczególnie wymagającą publiczność, były kolejno „Adria” (nieistniejące już kino przy ul. Piotrkowskiej), „Gdynia” i „Stylowy”, a potem w latach 90. próbujące, o czym była już mowa, wskrzesić ich tradycję kina „Tatry” i ŁDK.

Szczególną publiczność, którą dziś określałoby się jako „fanów” sztuki kina, skupiały Dyskusyjne Kluby Filmowe, działające przy małych kinach i środowiskowych domach kultury. Prezentowały one repertuar niezależny od centralnego dystrybutora, ale przede wszystkim korzystały z archiwum Filмотeki Narodowej i ze zbiorów własnych (nadal istniejąca Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych jest dziś na przykład jedynym właścicielem i dystrybutorem pełnego zbioru filmów Andrzeja Tarkowskiego).

Pierwszy, studencki DKF powstał w Łodzi w 1957 r., a jego założycielem był Janusz Bujacz, który w latach 90. pełnił funkcję sekretarza generalnego Federacji. Wcześniej podobną rolę pełnił także łodzianin Zygmunt Machwitz, a obecnie również łodzianka



Aleksandra Myszak. Dyskusyjne Kluby Filmowe skupiały zarówno widzów dorosłych, jak i młodzież. W połowie lat 60. działało w Łodzi 7 DKF-ów, w połowie lat 80. – 21. Bohaterskie czasy DKF i kin studyjnych to już zapewne przeszłość, ale pewną – zarówno wierną tradycji, jak i nową – publiczność ciągle jeszcze posiadają. Dziś w Łodzi działają niestety tylko 3 DKF-y – jeden przy Miejskiej Bibliotece Publicznej im. J. Piłsudskiego, kierowany przez niestrudzonego Stefana Tilka, drugi, z dużymi tradycjami, to DKF skupiający nauczycieli i młodzież przy Pałacu Młodzieży i trzeci – klub „Nabuchodonozor” na Wydziale Historyczno-Filozoficznym UŁ.

W latach 70. wielkim świętem kina artystycznego były w Łodzi coroczne Festiwale Festiwalu Filmowych, prezentujące filmy, które często z różnych, także cenzuralnych, powodów nie trafiały później do ogólnego rozpowszechniania. Rolę FFF można porównać z obecnym, organizowanym przez „Pro Cinema” Forum Kina Europejskiego, które także swoimi wysokoartystycznymi propozycjami wypełnia repertuarową lukę.

Łódź była i jest miejscem różnego rodzaju festiwali i przeglądów filmowych. Niezwykle prestiżową, ściągającą środowiska naukowe i filmowe z kraju i zza granicy imprezą były organizowane w latach 70. i 80. Festiwale Filmów Dydaktycznych, którym towarzyszyły naukowe sympozja. Przeżyły one sześć swych edycji (ostatnie w 1985 r.), a ich animatorem była Wytwórnia Filmów Oświatowych i Łódzki Oddział Polskiego Stowarzyszenia Filmu Naukowego pod kolejnym przewodnictwem Profesorów – Ryszarda Fidelskiego (WAM) i Władysława Gundlacha (PŁ). Duchem sprawczym wszystkich kolejnych Festiwali był niespożyty w swych pasjach Tadeusz Paliński, redaktor w WFO. Główne nagrody Festiwalu to Złote, Brązowe i Srebrne „Światowidy”, przyznawane w różnych kategoriach twórczości naukowo-oświatowej oraz w wersji profesjonalnej i amatorskiej (autorami wielu filmów byli bowiem pracownicy naukowcy). U źródeł idei organizacji Festiwalu Filmów Dydaktycznych stały wcześniej organizowane przeglądy – Przegląd Filmów Medycznych i Przegląd Filmów Stomatologicznych.

Pewną specjalistyczną odmianą Festiwalu Filmów Dydaktycznych stał się Przegląd Filmów Przyrodniczych. Po raz pierwszy o nagrodę im. Włodzimierza Puchalskiego rywalizowano w 1980 r. Kilka edycji tego Przeglądu w latach 80. nie zamknęło jego historii. Po kilku latach przerwy, już pod patronatem



Wytwórci Filmów Oświatowych i Programów Edukacyjnych oraz Stowarzyszenia „Film – Przyroda – Kultura”, w 1998 r. odbył się VIII Przegląd Filmów Przyrodniczych, a jego międzynarodową już wersję planuje się na rok 2000.

Najdłużej i najregularniej funkcjonującym tematycznym przeglądem filmowym jest w Łodzi Przegląd Filmów Etnograficznych, którego nazwa od 1988 r. brzmi: „Przegląd Filmów Etnograficznych. Ekologia i Film”. Powstał on w roku 1975 z inicjatywy pracowników i studentów ówczesnej Katedry Etnografii, dziś Katedry Etnologii Uniwersytetu Łódzkiego, a współorganizatorami byli w kolejnych latach: Muzeum Archeologiczno-Etnograficzne, Wytwórcia Filmów Oświatowych i Łódzki Dom Kultury. Głównym animatorem tego przeglądu jest Profesor Ewa Nowina-Sroczyńska. Od roku 1985 przegląd ten ma charakter międzynarodowy, a od 1985 – jego edycje mają postać tematyczną, np. *Symbol, symbolika, kino, Mniejszości kulturowe*, planowany na rok 2000 XI Przegląd – *Człowiek i sacrum*. Przeglądowi towarzyszą seminaria naukowe i warsztatowe, a główne jego cele to konfrontacja filmów o tematyce etnologicznej realizowanych przez profesjonalistów i filmowych amatorów, czyli naukowców, oraz ukazanie możliwości interpretacji dzieła filmowego z perspektywy antropologicznej.

Spośród przeglądów filmowych, które nie wytrzymały próby czasu, odnotować wypada Przegląd Filmów Baletowych (1983 i 1985 r.), który towarzyszył Łódzkim Spotkaniom Baletowym, Przegląd i Konkurs Filmów Jazzowych (1983 i 1984) oraz pierwszy w Polsce Przegląd Filmów Reklamowych zorganizowany w 1980 r.

Niewątpliwie z intencji ideologiczno-propagandowych w 1970 roku zrodził się pomysł urządzenia odbywającego się pod patronatem Komitetu Łódzkiego PZPR, Festiwalu Filmów Społeczno-Politycznych. W jego repertuarze, z natury rzeczy, dominowały filmy dokumentalne, a kolejne edycje wskazywały, że w środowisku twórców tego gatunku, w jego wersji filmowej i telewizyjnej, istniało zapotrzebowanie na jeszcze jedną, poza Krakowem, możliwość prezentacji. Ostatni – X Festiwal odbył się w 1988 roku.

Festiwal ten stał u źródeł powołania Festiwalu Mediów „Człowiek w zagrożeniu”, którego pierwsza edycja miała miejsce w roku 1990; kolejna, już jubileuszowa, bo dziesiąta, odbędzie się jesienią 2000 roku. Formuła filmowego i telewizyjnego festiwalu poszerzona została o konkurs radiowy – co odpowiada jego nazwie. Inicjatorem Festiwalu Mediów był Marek Miller, a jego



kolejni dyrektorzy to Władysław Wasilewski i Mieczysław Kuźmicki. W konkursie nagrodą główną jest „Biała Kobra”, o który to laur walczą głównie dokumentaliści. Wśród nagrodzonych można odnotować m.in. takie znakomite filmy, jak: *Nienormalni* Jacka Bławuta, *Stan nieważkości* Macieja Drygasa i *Witajcie w życiu* Henryka Dederki.

W latach 90. na mapie filmowej Łodzi pojawiła się nowa impreza. Jest nią odbywający się pod patronatem PWSFTviT, a personalnie Profesora Jerzego Woźniaka, przegląd realizowanych w systemie wideo etiud studentów szkół filmowych z całego świata. Impreza o nazwie „Mediaschool” w 2000 roku będzie miała już swą siódmą edycję, a jej widownię wypełniają nie tylko studenci szkół filmowych.

Osobistą pasją Jerzego Woźniaka, członka Komisji Kultury Polskiego Związku Żeglarskiego, pozostaje jeszcze organizacja Przeglądu Filmów Żeglarskich „Yachtfilm”, nie mającego oczywiście z Mediaschool, poza osobą organizatora, żadnych związków. Szóstą i siódmą edycję tego przeglądu (1997 i 1998 r.) przejęto po Katowicach.

W latach 90. zrodziła się idea powołania w Łodzi jedyne w swoim rodzaju Festiwalu Muzyki Filmowej. Niestety, odbyły się, jak dotąd, tylko dwie jego edycje – w roku 1997 bohaterem Festiwalu był Wojciech Kilar, a w 1998 – Krzysztof Komeda. Przyszłość tego ambitnego Festiwalu pozostaje na razie wielką niewiadomą.

Wszystkie nieistniejące już festiwale i przeglądy oraz te, które kontynuują bądź tworzą ich tradycję, świadczą o ogromnej aktywności środowisk naukowych i filmowych naszego miasta, środowisk, dla których kino jest formą manifestacji ich pasji i sposobów istnienia.

Łódź filmowa to także polskie centrum edukacyjne, w którym kształcą się kadry przyszłych realizatorów filmowych i telewizyjnych, kadry tych, którzy filmoznawstwo i wiedzę o mediach uczynili przedmiotem swych naukowych i pedagogicznych powołań, oraz tych, którzy stają się profesjonalnymi działaczami na różnych obszarach upowszechniania kultury filmowej.

Choć ośrodki akademickie w tym wątku naszych rozważań staną w centrum uwagi, nie można pominąć istnienia tych działań, które skierowane są na szkołę – nauczycieli i młodzież. Inicjatorem tego nurtu kształtowania kultury filmowej był Profesor Bolesław Lewicki, autor pierwszej napisanej w Polsce na ten te-



mat książki *Młdzież przed ekranem* (1935 r.). Swoją pasję i przekonanie o potrzebie filmowego (dziś powiemy medialnego) kształcenia nauczycieli i młodzieży przekazał swym uczniom, między innymi pisząc te słowa. Z jego inicjatywy powstały w Łodzi na przełomie lat 60. i 70. pierwsze w kraju kina szkolne, prezentujące repertuar adresowany do dziecięco-młodzieżowego odbiorcy, z jego też inicjatywy rozpoczęły się szkolenia nauczycieli. Dzięki aktywności łódzkiego środowiska w 1985 roku MEN podjął decyzję o powołaniu w Łodzi pod kierownictwem Ewy Kanownik Centralnego Gabinetu Edukacji Filmowej Dzieci i Młodzieży – lata jego największej aktywności mamy już jednak, niestety, za sobą.

Mizéria oświaty sprawiła, iż środki finansowe, płynące zresztą głównie z budżetu miasta, zostały w ostatnich latach ogromnie okrojone, co pociągnęło za sobą ograniczenie form działalności Gabinetu. Poza statutowymi, kierowanymi do młodzieży akcjami (kino szkolne, konkursy itp.) firmową wizytówką Gabinetu pozostają nadal coroczne, ogólnopolskie seminaria filmoznawcze dla nauczycieli organizowane wspólnie z Zakładem Mediów i Kultury Audiowizualnej UŁ. Odbyło się ich już dziewięć i cieszą się w środowisku pedagogów w całym kraju ogromnym uznaniem, o czym świadczy stale wzrastająca liczba uczestników. Materialnym plonem tych seminariów są wydawane co roku monograficzne publikacje, będące zbiorem wykładów wygłoszanych przez najwybitniejszych w kraju filmoznawców oraz materiałów stricte dydaktycznych. Na rzecz szkoły działa też od wielu już lat łódzka agenda Małej Akademii Filmowej, kontynuująca dawną tradycję kin szkolnych.

W roku akademickim 1959/1960 powstał w Uniwersytecie Łódzkim, obchodzący czterdziestolecie swojego istnienia, Zakład Wiedzy o Filmie (dziś Zakład Mediów i Kultury Audiowizualnej). Ten pierwszy w Polsce uniwersytecki ośrodek filmoznawczy stworzył Profesor Bolesław W. Lewicki przy poparciu Profesor Stefanii Skwarczyńskiej – kierownika Katedry Teorii Literatury, a później Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu. Wspomniany Instytut pozostawał przez wiele lat w strukturze polonistyki; usamodzielniał się w 1975 roku, powołując kierunek studiów kulturoznawczych ze specjalizacją filmoznawczą i teatrologiczną.

Do roku akademickiego 1999/2000 kulturoznawstwo ze specjalnością filmoznawczą ukończyło na studiach stacjonarnych i zaocznych 779 studentów. Liczbę tę należy powiększyć o tych,



którzy specjalizację tę zdobywali jeszcze na studiach polonistycznych, a potem także podyplomowych i doktoranckich. W latach swego istnienia Zakład wypromował 3 doktorów habilitowanych i 20 doktorów, w ramach studiów doktoranckich rozprawy przygotowuje kolejnych 6 osób.

Udział absolwentów filmoznawstwa w życiu naukowym, w oświacie, w różnego typu instytucjach filmowych i telewizyjnych, w dziennikarstwie i w samej twórczości filmowej (13 absolwentów łódzkiego kulturoznawstwa ukończyło potem studia w szkołach filmowych – m.in. Dorota Kędzierzawska, Paweł Edelman, Władysław Pasikowski) ukształtował profesjonalny sposób uprawiania różnych form wiedzy i umiejętności filmoznawczych.

Dzieje Zakładu Mediów i Kultury Audiowizualnej to nie tylko jego działania dydaktyczne i uczestnictwo w różnych dziedzinach upowszechniania kultury filmowej. To także jego duży dorobek naukowy, obejmujący historię i teorię filmu, a w ostatnim dziesięcioleciu także inne media audiowizualne.

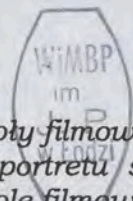
Naukowo-badawczą specjalnością Zakładu jest także tzw. filmoznawstwo stosowane, ukierunkowane na problemy edukacji filmowej i medialnej dzieci i młodzieży. Dwukrotnie na zlecenie MEN prowadzono w latach 70. i 80. w łódzkich szkołach badania dotyczące recepcji filmu i poszukiwań najwłaściwszych form dydaktyki filmu.

Dorobek naukowy pracowników Zakładu to kilkanaście książek autorskich (m.in. Bolesława W. Lewickiego, Ryszarda Kluszczyńskiego, Andrzeja Zalewskiego i Eweliny Nurczyńskiej-Fidelskiej), tyleż samo książek zbiorowych oraz kilkaset rozpraw i artykułów naukowych. Udział pracowników Zakładu w krajowych i zagranicznych konferencjach jest oczywiście normą aktywności naukowej.

Sam Zakład zorganizował 6 konferencji ogólnopolskich i 2 międzynarodowe (*Kino ma 100 lat* i *Gander – teatr i film*), a obecnie przygotowuje międzynarodową konferencję poświęconą twórczości Andrzeja Wajdy, która odbędzie się w 2001 roku. Dziś zaszczyt kierowania zespołem pracowników Zakładu przypada piszącej te słowa.

Ośrodkiem akademickim o światowej renomie pozostaje oczywiście Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna. Dzieje tej powołanej w 1948 r. uczelni doczekały się wielu monograficznych publikacji. Przypomnijmy je w tym miejscu. W roku 50-lecia Szkoły ukazał się album *50 lat łódzkiej*





10671-A

szkoły filmowej<sup>3</sup>, inne opracowania to *Celuloidowy indeks*<sup>4</sup>, *Szkic do portretu szkoły filmowej*<sup>5</sup> i *Filmówka. Powieść o łódzkiej szkole filmowej*<sup>6</sup>.

Ta wielość opracowań pozwala w tym szkicu poprzestać na kilku tylko refleksjach. Analiza dziejów PWSFTviT odzwierciedla historię polskiej kinematografii i twórczości filmowej; jak napisał Andrzej Wajda: „Polskie kino narodziło się wraz z nią. Wraz z PWSF w Łodzi”<sup>7</sup>.

W jubileuszowym roku istnienia szkoły utworzonej przez zespół kierowany przez Profesora Jerzego Toeplitza jej rektorem był, po raz kolejny zresztą, Professor Henryk Kluba. W zmiennej w ciągu tych lat strukturze Szkoły obecne są dziś następujące wydziały: Wydział Reżyserii, Wydział Operatorski i Realizacji Telewizyjnej, a w jego ramach Pracownia Filmu Animowanego, Wydział Produkcji Filmowej i Telewizyjnej, Wydział Aktorski; w ramach studiów zaocznych istnieje Studium Scenariuszowe, Wyższe Studium Realizacji Telewizyjnej, Wyższe Studium Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej oraz Wyższe Studium Fotografii. Ta struktura określa obecne kierunki i formy kształcenia, a będąc świadectwem rozwoju samej uczelni, odzwierciedla jednocześnie rozwój współczesnych mediów i cywilizacyjno-kulturowe ich funkcjonowanie.

Widząc wspomnianą strukturę i funkcje Szkoły, pamiętać także należy o tych jej działaniach, które przekraczają wewnętrzne tylko potrzeby uczelni. Mowa tu przede wszystkim o Studium Filmowym „Indeks”, o szkolnym Archiwum Filmowym, o Bibliotece i Ośrodku Informacji Filmowej (dzięki ich działalności można już na przykład odczytać na kartach internetu dzieje polskiego kina) oraz o Dziale Wydawniczym. Praca tych jednostek otwiera Szkołę także na odbiorcę zewnętrznego, co poszerza jej działania na szeroko rozumianym obszarze kultury filmowej.

Ważne kulturotwórcze miejsce na mapie filmowej Łodzi zajmuje Muzeum Kinematografii. Za początek jego dziejów uznać należy stworzenie w 1975 r. Muzeum Historii Miasta Łodzi, w

<sup>3</sup> 50 lat łódzkiej szkoły filmowej (1949-1998). Księga jubileuszowa, pod red. J. Lemann, Łódź 1998.

<sup>4</sup> *Celuloidowy indeks*, oprac. L. Sosnowski, Kraków 1985.

<sup>5</sup> E. Nagórska, *Szkic do portretu szkoły filmowej*, Łódź 1998.

<sup>6</sup> K. Krupska, M. Miller, Z. Turowska, W. Wiśniewski, *Filmówka. Powieść o łódzkiej szkole filmowej*, II wyd. Warszawa 1998.

<sup>7</sup> A. Wajda, *Wstęp* (w:) *50 lat łódzkiej szkoły filmowej...*, s. 11.



którym powstał Dział Kultury Filmowej. W roku 1983 powołano oddział tego Muzeum, czyli Muzeum Kinematografii, które 1 stycznia 1986 roku uzyskało pełną samodzielność z siedzibą w dawnym pałacu Scheiblera przy Wodnym Rynku. Jego twórcami byli, stojący na czele większego zespołu pracowników, Antoni Szram i Mieczysław Kuźmicki. Ten ostatni tak określił funkcje tej bezprecedensowej w skali kraju placówki: „Muzeum Kinematografii winno w sposób harmonijny połączyć wszystkie najważniejsze cechy instytucji stricte muzealnej o funkcjach przede wszystkim dokumentacyjnych z szeregiem funkcji wynikających z kontekstu współczesnych zjawisk konstytuujących kulturę filmową na co dzień. A więc między innymi funkcje dydaktyczne, inspiratorskie, propagatorskie czy wręcz funkcje mecenatu artystycznego”<sup>8</sup>.

Tę zamierzoną działalność Muzeum Kinematografii w dalszym ciągu ogranicza nieskończony remont pałacu, który jest jego siedzibą, i brak środków finansowych zarówno na tę pracę, jak i wiele ściśle merytorycznych działań. Mimo trudnych warunków funkcjonowania Muzeum próbuje realizować część swych statutowych zadań. Należy do nich przede wszystkim archiwizacja sprzętu kinematograficznego, kolekcjonowanie takich zbiorów, jak: scenariusze i scenopisy, projekty scenograficzne, fotosy, plakaty, rekwizyty filmowe, taśmy filmowe, dokumenty związane z biografią artystyczną twórców (dziś np. Aleksandra Forda i Jana Rybkowskiego) itp. Działaniem docelowym jest utworzenie stałej ekspozycji *Dzieje kinematografii polskiej*.

W obecnych warunkach formą najbardziej rozwiniętych działań jest wystawiennictwo. Pierwszą publiczną prezentacją Muzeum Kinematografii we własnej siedzibie była w 1986 r. wystawa *Reymont – Ziemia obiecana – Wajda*. Potem przyszły następne, poświęcone między innymi takim reżyserom, jak: Wojciech J. Has, Roman Polański, Janusz Nasfeter, Sergiej Paradżanow, aktorom – Aleksander Fogel i Leon Niemczyk, scenografom – Anatol Radzinowicz i Janusz Król, producentom – Artur Brauner, filmom – *Popiół i diament* i *Pan Tadeusz*. Zorganizowano też cykl wystaw dla dzieci – np. *Scenografia filmu animowanego*. Prestiżową była prezentowana także poza Łodzią wystawa *100-lecie kina na ziemiach polskich*.

---

<sup>8</sup> M. Kuźmicki, *Muzeum Kinematografii – nowe zjawisko w obszarze kultury filmowej Łodzi i kraju*, (w: ) *Kronika miasta Łodzi* 1993, s. 2.



Od roku 1987 Muzeum Kinematografii przyznaje wybitnym przedstawicielom kina honorową nagrodę „Artur”. Wydaje katalogi swych wystaw i sporadycznie publikacje książkowe. Było też inicjatorem powstania dwóch, zrealizowanych techniką wideo, filmów biograficznych w reżyserii Grzegorza Królikiewicza: *Człowiek środka* (o prof. Jerzym Toeplitzu) i *Wiesz jak jest* (o prof. Bolesławie Lewickim). Środowisko filmowe w całym kraju czeka na czas, w którym Muzeum Kinematografii zdoła podjąć wszystkie formy swych merytorycznych i statutowych działań.

W pejzażu filmowej Łodzi funkcjonowały przez dziesięciolecia jeszcze inne, dziś już nieistniejące, instytucje kinematograficzne. Należą do nich, mające swój początek w roku 1944 w działaniach „Czołówki Filmowej” Wojska Polskiego, późniejsze Łódzkie Zakłady Kinotechniczne „Prexer”, wytwarzające różnego typu projektorry filmowe i będące miejscem, w którym szkoliły się kadry kinematograficznych pracowników technicznych.

Niezwykle ważną dla rozpowszechniania filmów instytucją były od 1951 do 1994 r. Łódzkie Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych – krajowy potentat produkcji tych kopii i tłoczenia na nich napisów.

W roku 1949 przy Wytwórni Filmów Fabularnych powstało studio dubbingowe noszące nazwę Oddział Opracowań Dialogowych, przekształcone w 1955 r. i przeniesione do Warszawy jako Studio Opracowań Filmów. W Łodzi do 1994 r. działał jego Oddział, z którym swoją działalność związało wielu reżyserów, aktorów i techniczno-produkcyjnych realizatorów. Do największych artystycznych osiągnięć łódzkiego Oddziału należą między innymi znakomite dubbingi filmów dla dzieci (m.in. Walta Disneya), filmów artystycznych (np. *Zbrodnia i kara* z wielką kreacją Gustawa Holoubka), wielu seriali telewizyjnych oraz spektakli telewizyjnych z angielskiej serii *Dzieła wszystkie Williama Szekspira*.

Mapę filmowej Łodzi w dużym stopniu, często w powszechnym odczuciu – w największym stopniu, wypełniają wytwórnie filmowe – one to bowiem skupiały najliczniejsze środowiska twórcze i techniczne wszystkich dziedzin twórczości kinematograficznej.

Choć za początek działalności Wytwórni Filmów Fabularnych można uznać grudzień 1945 r., formalnie wyodrębnionym przedsięwzięciem stała się ona 1 stycznia 1950 r. Produkcyjne dzieje WFF w Łodzi zasługują, podobnie jak dzieje innych łódzkich



wytwórni filmowych, na samodzielne opracowania monograficzne (cząstkowe prace tego typu już powstały)<sup>9</sup>.

Filmy fabularne realizowano także w wytwórniach we Wrocławiu i w Warszawie, lecz w głównej mierze w WFF w Łodzi; dotyczy to filmów kinowych, a od 1956 r. także telewizyjnych. W czterdziestolecie swej działalności, a więc w rok 1985, WFF wkroczyła z dorobkiem 424 filmów fabularnych dla kin i 742 odciwkami fabularnych filmów dla TVP<sup>10</sup>.

Przełom lat 80. i 90. przynosi nie tylko załamanie produkcji filmowej w Polsce; w dobie wolnego rynku poszukuje się najtańszych możliwości produkcyjnych, które kinematografii i telewizji proponują przede wszystkim wytwórnie warszawskie. Dla WFF w Łodzi – przynajmniej – produkcyjnego molocha, i dla ludzi z nią związanych nadchodzą czasy dramatyczne.

Remedium miało się stać powołanie w roku 1994 Łódzkiego Centrum Filmowego, jednoczącego i porządkującego działania produkcyjne w Łodzi. ŁCF wchłonęło Wytwórnię Filmów Fabularnych, Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych, Studio Opracowań Filmów i dużą część majątku Wytwórni Filmów Oświatowych. Studium Małych Form Filmowych „Semafor”, wskutek protestu załogi, do Łódzkiego Centrum Filmowego nie przystąpiło. Powołanie ŁCF było jednak początkiem agonii – wszelkie próby efektywnej restrukturyzacji okazały się daremne. W roku 1998 zapadła w Komitecie Kinematografii decyzja o likwidacji ŁCF, a jej proces trwa nadal. Budynek, magazyny, studio dźwiękowe i hale zdjęciowe wystawiono na przetarg. W dawnych pomieszczeniach WFF rozpoczęły działalność inne, najczęściej medialne instytucje, między innymi wytwórnia filmów reklamowych „Opus Film” i telewizja kablowa „Toya”. W roku 2000 podpisano umowę z Filmoteką Narodową o przejęciu do znakomicie urządzonych magazynów dawnej WFF, jej zbiorów kopii filmowych. Razem z zasobami taśm filmowych będących własnością WFF stworzy to największe w kraju archiwum.

---

<sup>9</sup> Np. A. Bańkowski, S. Grabowski, *Semafor. 1947-1997*, Łódź 1999; E. Nurczyńska-Fidelska, *Film oświatowy w czterdziestolecu (z dorobku Wytwórni Filmów Oświatowych)*, (w:) *Szkice o filmie polskim*, pod red. B. Stolarskiej, Łódź 1985; E. Nurczyńska-Fidelska, *Film oświatowy*, (w:) *Encyklopedia kultury polskiej*, pod red. E. Zajicka, Warszawa 1994.

<sup>10</sup> Podaję za: *Łódź w czterdziestolecu kinematografii polskiej* (broszura), pod red. B. Jędrzejczak, Wyd. Muzeum Kinematografii, Łódź 1986.



Niewiadomą pozostaje przyszłość olbrzymich zasobów archiwalnych zgromadzonych przez dziesiątki lat działalności Wytwórni Filmów Fabularnych – dotyczy to między innymi kostiumów, elementów scenograficznych i rekwizytów. Janusz Rau, likwidator WFF, zapewnia, że trwają poszukiwania koncepcji zagospodarowania tych zbiorów, którymi, podobnie jak studiem dźwiękowym, winien zająć się samodzielny podmiot organizacyjno-gospodarczy. Nikt nie ośmielił się tych zbiorów zniszczyć – stanowią przecież część kultury narodowej. Poddajmy problem pewnej refleksji – gdyby Muzeum Kinematografii było już instytucją ustabilizowaną i dodajmy – bogatą, byłoby ze względów statutowych najlepszym patronem tych zbiorów. Niestety, w chwili obecnej są to tylko marzenia.

Kłeska Wytwórni Filmów Fabularnych to nie odosobniony przykład upadku wielkich tradycji filmowej Łodzi. W końcu 1999 roku Komitet Kinematografii podjął kolejną decyzję – likwidacji Studia Małych Form Filmowych „Semafor”.

Choć nazwa Studio Małych Form Filmowych pojawia się dopiero na początku 1961 r., jego geneza sięga roku 1947, kiedy to w prywatnym mieszkaniu przy ulicy Kilińskiego Zenon Wasilewski zrealizował pierwszy powojenny film lalkowy *Za króla Krakusa*. W 1950 r. w strukturze łódzkiej WFF pojawił się Oddział Filmów Kukielkowych, który w roku 1956 przekształca się w samodzielne Studio Filmów Lalkowych w Tuszynie k. Łodzi. Szybko poszerza ono swą działalność i obok filmów lalkowych zaczynają powstawać filmy rysunkowe, wycinankowe, a nawet aktorskie. Ta poszerzona oferta programowa zmusza do przyjęcia nowej nazwy – Studio Małych Form Filmowych – która wyraża wielorodzajowość przedsięwzięć twórczych w nim podejmowanych.

Pięćdziesięcioletnie dzieje Semafora przedstawia wydany wcześniej album. Przynosi on wspomnieniowy rys historii Studia, prezentuje główne tendencje twórcze i sylwetki artystów związanych z Semaforem. By nie pominąć jego wybitnych twórców, przypomnijmy tylko dwa, po trosze symboliczne, nazwiska: wspomnianego już Zenona Wasilewskiego i Zbigniewa Rybczyńskiego, zdobywcy Oscara za zrealizowany w Semaforze film *Tango*.

Cechą produkcji Semafora była koegzystencja filmu autorskiego, często eksperymentalnego, z realizacją filmów dla dzieci (wśród nich takie seriale, jak: *Zaczarowany ołówek*, *Miś Uszatek* czy *Przygody Misia Colargola*). O „złoty latach” Semafora świadczą setki nagród zdobytych w różnych kategoriach i na



wielu prestiżowych festiwalach w kraju i za granicą. Wspomniany wcześniej album Semafora nie przynosi niestety tzw. „twardych” liczb produkcyjnych. Dane z roku 1985 mówią o realizacji 1200 filmów, za które ich twórcy otrzymali około 220 nagród.

Likwidacja Semafora, uznanego przez Komitet Kinematografii za nie poddający się regułom wolnorynkowej gry twór minionego czasu, budząc sprzeciw środowiska, wyzwoliła jednak pewne jego, dopiero krystalizujące się, inicjatywy. Część byłych pracowników stara się o powołanie „Se-ma-fora” Spółki z o.o.; zamierzają kontynuować rozpoczętą wcześniej w wytwórni produkcję (np. seriali *Mordziaki* i *Za siedmioma duchami* – o polskich zamkach), myślą o realizacji gier komputerowych dla dzieci, tworzą nowe plany realizacyjne. Sprawą otwartą, tak jak w przypadku WFF, pozostaje sprawa własności i zarządzania dużym, nie tylko w postaci kopii filmowych, archiwum dawnego Semafora.

W latach 90., niezależnie od produkcji Semafora, zaczęły w Łodzi funkcjonować inne studia animacji – pracujące w formule spółek bądź wytwórni prywatnych.

Wytwórnia filmów animowanych STO Films z siedzibą w Warszawie miała swój oddział w Łodzi. Jego dyrektor Maciej Okuński był głównym inicjatorem powołania w 1998 r. Stowarzyszenia Producentów i Twórców Polskiego Filmu Animowanego. Oddział ten został jednak w 1999 r. zamknięty. Część jego pracowników założyła własną wytwórnię o nazwie „Studio Fabryka”, w której trwa już produkcja serialu dla młodzieży *EXIT*, w wersji telewizyjnej i multimedialnej na CD-ROM. Skupiając profesjonalną kadrę animatorów i realizatorów filmowych, założyciele Studia wierzą, że wypracują jego indywidualny, rozpoznawalny styl, oparty na tradycji polskiej animacji, lecz otwarty na nowe techniki jej generowania.

Od roku 1989 działa w Łodzi Studio Filmowe „Animapol”, początkowo spółka polsko-francuska, a od 1991 – studio prywatne, którym kieruje Jadwiga Wendorff. „Animapol” realizuje przede wszystkim filmy dla dzieci (np. serial o tematyce ekologicznej *Notatnik przyrodniczy*) oraz programy przyrodnicze (np. geograficzny serial *Południk 19*). Studio realizuje zamówienia dla TVP, co jest znamienym znakiem czasu – Telewizja Polska decyduje dziś o losach polskiej produkcji filmowej – dotyczy to zarówno wszystkich wytwórni, jak i różnych gatunków filmów krótkometrażowych, dotyczy to także losów produkcyjnych większości filmów fabularnych.



Pozostając przy tej krótkiej prezentacji nowych na mapie Łodzi studiów filmowych, uwagę należy poświęcić szczególnie prężnej placówce, jaką jest „Contra Studio”. Powstało ono w kwietniu 1993 r. jako spółka z o.o. Jego założycielem, prezesem i głównym udziałowcem jest Jacek Gwizdała, wcześniej kierownik produkcji wielu filmów fabularnych.

Rysem szczególnym, działającego głównie w koprodukcji z TVP, „Contra Studio” jest wieloprofilowość jego produkcji. Powstają w nim filmy animowane i programy edukacyjne, filmy dokumentalne i filmy fabularne. Do najgłośniejszych realizacji studia należy dokumentalny film *Witajcie w życiu* w reżyserii Henryka Dederki. Obdarowany Grand Prix „Biała Kobra” na VIII Festiwalu Mediów „Człowiek w zagrożeniu”, na skutek wniosku firmy Amway, która była jego „bohaterem”, film decyzją sądu trafił, na razie, „na półkę”. Ta decyzja sądu wywołała burzliwą dyskusję w polskich mediach, dyskusję, której głównym wątkiem była obrona wolności słowa i obrazu w czasach, w których ingerencje cenzury są już niemożliwe.

Spór o *Witajcie w życiu* trwa nadal, a już opinię publiczną, władze MON, a nawet duszpasterstwo wojskowe poruszył emitowany przez TVP dokumentalny serial pt.: *Kawaleria powietrzna*, wyreżyserowany przez Jacka Bławuta i Wojciecha Maciejewskiego. Odslania on kulisy szkolenia żołnierzy w elitarniej jednostce koło Tomaszowa Mazowieckiego. Emisja pierwszych odcinków tego serialu zmusiła prokuraturę wojskową do zbadania sytuacji w ukazanej przez film jednostce. Piszę o tych zrealizowanych w „Contra Studio” filmach tak dużo, gdyż takie reakcje opinii publicznej to marzenia każdego dokumentalisty i dobra wizytówka firmy, w której powstały. Obserwacja odważnych działań i ich twórczych realizacji każe myśleć, iż, być może, otwarta formuła „Contra Studio” jest właściwą propozycją produkcyjną w nowej rzeczywistości polskiej kinematografii.

W tę nową rzeczywistość wpisują się też produkcje filmów reklamowych. W latach 90. najprężniejszą wytwórnią tego rodzaju filmów jest w Łodzi „Opus Film” Piotra Dziecioła.

Spośród tych wytwórni filmowych, które w minionych dziesięcioleciach tworzyły w Łodzi produkcyjne zagłębienie polskiej kinematografii, ostała się w 2000 r. tylko jedna – dawna Wytwórnia Filmów Oświatowych. W roku 1994 przyjęła ona nazwę Wytwórnia Filmów Oświatowych i Programów Edukacyjnych, a na jej czele stanął Andrzej Traczykowski. Spadkobierczyni WFO jest już



jednak wytwórnią znacznie mniejszą, ograniczoną w swych działaniach zarówno budżetem i majątkiem produkcyjnym, jak i potencjałem ludzkim. Zalecone przez Komitet Kinematografii w 1994 r. przemiany restrukturyzacyjne sprawiły, że 60% terenu przy ulicy Kilińskiego 210 wraz z majątkiem produkcyjnym (m.in. aparaturą dźwiękową) znalazło się we władaniu – dziś już zlikwidowanego Łódzkiego Centrum Filmowego. Zwolniono także 80% załogi dawnej WFO, która formalnie nie znalazła się jednak w strukturze ŁCF.

Ten okrojony w mocach realizacyjnych dawny potentat produkcji filmów oświatowych w Polsce stara się chronić swą obecną pozycję na krajowym rynku. Bez mała strategicznym posunięciem była decyzja, za którą stała wspaniała tradycja WFO, że firmową wizytówką WFO i PE będzie film przyrodniczy. Pozostałe kierunki działań produkcyjnych to wykonywane, także na zlecenie TVP, filmy dokumentalne i programy edukacyjne dla dorosłych i dzieci. Corocznie WFO i PE realizuje kilkanaście pozycji, co, jak dotąd, gwarantuje jej rentowność. Te dane mogą cieszyć, choć dla wszystkich znających dawny dorobek Wytwórni Filmów Oświatowych sprawą bezsporną pozostaje świadomość produkcyjnego regresu dawnej „Oświatówki”.

Działająca od 1946 r. w strukturze Instytutu Filmowego, oficjalnie Wytwórnia Filmów Oświatowych została utworzona 29 grudnia 1949 r. Głównym nurtem jej aktywności pozostawał zawsze film oświatowy, w różnych jego odmianach: popularnonaukowy, naukowy, szkolny i instruktażowy. Największe twórcze osiągnięcia WFO związane były z filmami o tematyce przyrodniczej, biologiczno-medycznej, etnograficznej i z filmem o sztuce. Takie nazwiska, jak: Włodzimierz Puchalski, Karol Marczak, Bolesław Bączyński, Jerzy Bezkowski, Barbara i Janusz Czeczowie, Józef Arkusz, Jerzy Popiel-Popiołek, Aleksandra Jaskólska, Jarosław Brzozowski, Zbigniew Bochenek, Kazimierz Mucha, Andrzej Papuziński, Jadwiga i Witold Żukowscy tworzą historię polskiego filmu oświatowego, a to przecież tylko część spośród tych realizatorów, którzy swe życie związali z WFO. Wszyscy oni przysporzyli sławy polskiej kinematografii, ale także i nauce, i sztuce, zdobywając setki, dosłownie setki nagród na międzynarodowych festiwalach, nie mówiąc już o krajowych konkursach filmów.

Produkcja WFO to jednak nie tylko film oświatowy. Na początku lat 70., głównie za czasów dyrekcji Macieja Łukowskiego, wytwórnia szeroko otworzyła swe drzwi dla najczęściej wówczas dopiero debiutujących dokumentalistów i autorów filmów ekspe-



rymentalnych, często również późniejszych fabularzystów. W WFO realizowali swe filmy m.in. Andrzej Barański, Bogdan Dziworski, Grzegorz Królikiewicz, Piotr Szulkin, Andrzej Titkow, Józef Robakowski, Ryszard Waśko. Tradycją WFO była także realizacja krótkich form fabularnych filmów dla dzieci.

Ta bogata oferta programowa Wytwórni Filmów Oświatowych, na wiele lat przed jej dramatycznym przeobrażeniem, uczyniła z niej jeden z najbardziej prężnych i otwartych na różne formy filmowej twórczości ośrodków w kraju i w Europie. Z dorobku WFO pozostało około 5000 tytułów, z czego znaczna część należy do klasyki filmu popularno-naukowego, eksperymentalnego i dokumentalnego. Filmowe archiwum dawnej WFO pozostaje pod staranną opieką jej spadkobierczyni, czyli Wytwórni Filmów Oświatowych i Programów Edukacyjnych.

Przedstawiona w tym szkicu, z konieczności głównie informacyjnie, panorama różnych form istnienia i manifestacji kultury filmowej w Łodzi uzmysławia jej bogactwo i różnorodność. Tworzą ją, lub tworzyły, wytwórnie filmowe i festiwale, ośrodki akademickie i szkolne, kina i inne formy upowszechniania filmu, a nade wszystko – ludzie w instytucjach tych pracujący, tworzący, uczący się i uczący innych. Ta różnorodność form istnienia Łodzi filmowej skłaniała do podejmowania prób integracji środowiska.

Pierwszą podjęto, zakładając w 1983 r. Towarzystwo Kultury Filmowej, którego pierwszym przewodniczącym był Bolesław Bączyński. TKF było miejscem dyskusyjnych spotkań przedstawicieli różnych filmowych środowisk, współorganizatorem różnego typu działań edukacyjnych i popularyzatorskich, a więc np. pokazów filmowych i tematycznych seminariów, oraz wydawcą kilku publikacji (np. *Bibliografia Bolesława W. Lewickiego, Polski film przyrodniczy 1945–1982* i *Polski film etnograficzny 1945–80*, pod red. M. Łukowskiego, tom prac studentów filmoznawstwa). Gwałtowne w latach 90. przemiany w życiu polskiej kinematografii i pewne związane z tym zagubienie się wielu filmowych środowisk doprowadziły do uwiądnięcia działań Towarzystwa, które praktycznie dziś już nie funkcjonuje.

Druga, w powszechnym odczuciu udana, próba integracji całego łódzkiego środowiska filmowego przypadła na lata 1995–1996, kiedy to obchodzono 100-lecie kina. Przy Prezydencie m. Łodzi powołano wówczas Komitet Obchodów 100-lecia Kina, którego przewodniczącą miała zaszczyt być pisząca te słowa. Komi-



tet, dysponując także pewnymi środkami finansowymi, integrował, ale także projektował jubileuszowe działania. Ich formy, tak jak i środowisko filmowe, były różnorodne – uroczysta projekcja w Teatrze Wielkim, przeglądy filmowe, zorganizowany w WFF pokaz mody filmowej, wystawy, publikacje, konkursy dla dzieci i młodzieży i wreszcie duża międzynarodowa konferencja *Kino ma 100 lat*.

Działania Komitetu, w których uczestniczyli przedstawiciele wszystkich dziedzin obecności filmu w naszym mieście, uzmysłowiły, jak bardzo ów proces integracji był środowisku potrzebny, również dlatego, że zaczął się czas wielkich przemian, że w środowiskach filmowych do głosu doszła nowa generacja twórców i działaczy z obszaru kultury filmowej. To wielogeneracyjne spotkanie miało więc swą dodatkową wartość.

Lata następne, przebiegające pod znakiem rozpadu wielkich łódzkich wytwórni i innych instytucji filmowych oraz likwidacji Łódzkiego Centrum Filmowego, zamknęły pewien bardzo ważny rozdział dziejów filmowej Łodzi. Życie nie lubi jednak pustki, wierzyć zatem należy, iż nowa kinematograficzna rzeczywistość wyzwoli nowe formy jej istnienia i funkcjonowania; pewne takie przedsięwzięcia zostały już w tym szkicu przedstawione. Obstają też przy przekonaniu, iż istnieje, zwłaszcza w tzw. ciężkich czasach, potrzeba konsolidacji środowisk, które łączy pewna wspólna sprawa. Inicjatywy społeczne nie są dziś najsilniejszą idea, ale może nadal warto je podejmować. Sądzę, że winna ożywić swe działania Społeczna Rada Filmowa utworzona przy Prezydencie m. Łodzi w miejsce Komitetu Obchodów 100-lecia Kina, który z oczywistych powodów zakończył swe prace.



Jerzy Wilmański

## Stefanii Skwarczyńskiej portret wielokrotny

### 1.

W ponad półwiekowej historii Uniwersytetu Łódzkiego chluba znaczą się takie nazwiska, jak Tadeusz Kotarbiński, Józef Chłasiński, Stefan Zajączkowski czy Jan Szczepański. Dla mnie szczególnym blaskiem jaśnieje postać prof. Stefanii Skwarczyńskiej.



Po raz pierwszy usłyszałem nazwisko Stefanii Skwarczyńskiej jako kilkunastoletni chłopak, jeszcze na początku lat pięćdziesiątych, kiedy interesowały mnie głównie przygodowe powieści Karola Maya. Pamiętam jednak do dziś to pierwsze zetknięcie się z nazwiskiem pani profesor, bowiem pamiętam zafascynowanie osobowością uczonej i pedagoga mojej starszej siostry, która właśnie wtedy rozpoczęła studia na łódzkiej polonistyce.

Potem sam – już w roku 1955 – uległem tej fascynacji, gdy słuchałem porywających wykładów z literaturoznawstwa. Mam w indeksie „piątkę” z podpisem Stefanii Skwarczyńskiej, choć – wstyd się przyznać – nic nie pamiętam z tego egzaminu. Może dlatego, że to nie był egzamin w potocznym rozumieniu tego słowa – to nie było „przepytywanie z materiału”, ale bardzo kamealna serdeczna rozmowa. I właśnie tę ciepłą, życzliwą atmosferę



rozmowy pamiętam doskonale.

Nie miałem jednak zadatków na teoretyka literatury – nie mnie dziś oceniać nowatorstwo i wielkość dorobku pani profesor. Zrobili to inni – jej przyjaciele i wychowankowie. Niech więc oni przemówią – tworząc ten portret wielokrotny Stefanii Skwarczyńskiej.

## 2.

Oto wspomnienie Wandy Lipiec:

– „Jej Katedra Teorii Literatury to nie tylko teren wysoko postawionych badań naukowych, lecz jednocześnie szkoła dobrych obyczajów, wzorowy przykład koleżeńskiego, społecznego i towarzyskiego współżycia. Rozgościł się tu bowiem duch jej osobowości, urok dawnych, znakomitych i wykwintnych tradycji towarzyskich, połączonych z głębią prawdziwego i szczerego demokratyzmu, płynącego zarówno z przesłanek światopoglądowych i doktryn społecznych, jak i z pobudek racjonalistycznych i uczuciowych”.

Trudno jest mówić o Stefanii Skwarczyńskiej bez egzaltacji – trudno zachować proporcje między pierwszą a drugą fazą jej łódzkich dziejów. Trudno jest mówić o niej bez osobistego zaangażowania. Warto może cofnąć się w kraj lat młodości i sięgnąć do jej łódzkiej biografii, do początków jej „łódzkich narodzin”, gdy w roku 1932 przybyła tu wraz z mężem, dyplomowanym majorem WP, skierowanym przez władze wojskowe do łódzkiego DOK. Jakie piękne i pomyślne dla Łodzi zdarzenie i jak szczęśliwy przypadek! Odtąd jest już jej stałą mieszkanką.

Mając za sobą szereg rozpraw naukowych, publikowanych przeważnie w „Pamiętniku Literackim”, oraz praktykę pedagogiczną w Gimnazjum w Stanisławowie, objęła Stefania Skwarczyńska w roku 1932/33 posadę nauczycielki literatury polskiej w Gimnazjum im. Elizy Orzeszkowej. Była to placówka o interesującym składzie narodowościowym i społecznym uczennic. Na czele jej zarządu stał pułkownik dr Stanisław Więckowski – wybitny działacz oświatowy i społeczny, lekarz z zawodu, historyk i nauczyciel z powołania, współtwórca i organizator Stronnictwa Demokratycznego. Grono nauczycielskie, bardzo wyrobione pod względem pedagogicznym, osiągnęło w tej szkole wysoki poziom nauczania, ale Stefania Skwarczyńska górowała ponad wszystkimi wiedzą, rozległością horyzontów, wybitnym umysłem i charakterem oraz... niezwykłą urodą i osobistym urokiem.



Ponieważ uprzednio uczyła już w Stanisławowie w gimnazjum podobnego typu, zasymilowała się szybko w nowym środowisku, w którym od razu zdobyła sobie autorytet i ogólną sympatię, a w rezultacie głęboki podziw i przywiązanie uczennic i kolegów.

Rozległość jej wiedzy, talent pedagogiczny i osobiste kwalifikacje wysunęły ją od razu na czoło Łódzkiego Koła Polonistów, przekształconego później w Oddział Stowarzyszenia Polonistów Rzeczypospolitej Polskiej. Pod jej kierownictwem Koło rozszerzyło niepomiaralnie swój zasięg działania oraz nawiązało kontakty z ośrodkami uniwersyteckimi, nie lekceważąc bynajmniej zagadnień metodycznych i nie uszczuplając ich znaczenia. Przeciwnie, podniósł się poziom lekcji przykładowych i dyskusji pedagogicznych. Stefania Skwarczyńska była wtedy jakby żywą katedrą nauki o literaturze i metodyki nauczania. Sama wykladała i organizowała prelekcje wybitnych członków Koła oraz zapraszanych profesorów uniwersyteckich.

Współpracowała z Polskim Radiem i zorganizowała „Kolumnę Literacką” „Kurier Łódzkiego”, zainicjowała wraz ze swymi najbliższymi kolegami odczyty maturalne. Jednakże punktem kulminacyjnym jej działalności naukowej, społecznej i pedagogicznej było wydanie „Prac Polonistycznych”, jedyne pismo literacko-naukowe w Łodzi, które nie tylko nie zbankrutowało w latach międzywojennych, ale przetrwało i ukazuje się, w zmienionym oczywiście charakterze, do dnia dzisiejszego.

Główny ciężar i odpowiedzialność za poziom pisma, układ i strukturę dźwigała sama. Zadziwiająca była wydajność sił i energii prof. Skwarczyńskiej – zwłaszcza że był to okres jej habilitacji w Uniwersytecie Lwowskim. Przygotowywała się do niej w trakcie swej ogromnej pracy społecznej, w toku mozolnych prac szkolnych, konferencji, poprawiania zeszytów i tym podobnych zajęć, dalekich przecież od zatrudnień dzisiejszych habilitantów. Ale w umyśle Stefani Skwarczyńskiej obie te dyscypliny – nauka i szkoła – łączyły się wówczas nierozdzielnie i dlatego była – niezależnie od swego osobistego uroku, tak świetną nauczycielką, dlatego tak wysoki był poziom jej lekcji i uczennic.

Jej metody nauczania odbiegały od narzuconego przez Ministerstwo Oświaty programu i wszelkich schematów. Przekraczały znacznie jego zakres pod względem treści i form nauczania. Mimo to mieściły się jakoś w programie zajęć szkolnych, a co ważniejsze – w umysłach uczennic. Lekcje i zajęcia prowadzone były częściowo metodą proseminaryjną. Były syntezą racjonalistycz-



nych, konkretnych analiz tekstu i emocjonalnych przeżyć. Prof. Skwarczyńska pobudzała w ten sposób zainteresowania i zamiłowania oraz inicjatywę i ambicję uczennic, kierując je na tory samodzielnych poszukiwań. Zajęcia, poprzedzane niezwykle interesującym wykładem, pogadanką lub piękną recytacją poezji, nie miały w sobie nic ze szkolnego schematu, odbiegały od zwykłej normy...

### 3.

A przecież jednocześnie była żoną, matką i panią domu. Wanda Lipiec wspomina, że dom państwa Skwarczyńskich roztaczał swoistą atmosferę, urzekał poziomem niezwyklej kultury i skromnością gospodarzy, smakiem i gustem niezafałszowanych, rodzinnych antyków i niezafałszowanej serdeczności i gościnności. Było w tej atmosferze coś z tradycji ziemiańskiego dworku i postępowości najlepszej polskiej inteligencji – a równocześnie coś z atmosfery pracowni naukowej. Odbывały się tu niezapomniane spotkania koleżeńskie, konferencje polonistyczne, literackie sympozja, przyjęcia będące świadectwem gospodarskich i kulinarnych talentów pani domu, gdyż i w tej dziedzinie Stefania Skwarczyńska reprezentuje nader wysoką i nieprzeciętną klasę.

W jasnym, słonecznym mieszkaniu pp. Skwarczyńskich, przy cichej, wówczas zadrzewionej ulicy św. Jerzego, znaleźć można było nie tylko wytchnienie od trosk i pospolitości łódzkiej egzystencji, ale doraźną pomoc i opiekę. Potrafiła zająć się osieroconym przez matkę niemowlęciem, synkiem kolegi i wychowywać je u siebie wraz ze swymi dwiema córeczkami.

Lecz nawet mimo to los nie oszczędził jej tragedii. W sierpniu 1948 roku na porannych apelach obozów harcerskich wciągnano na maszty spowite kirem flagi. Dzień wcześniej na jednym z jezior Pomorza zginęła tragicznie grupa łódzkich harcerzek. Nie przypuszczałem wówczas, że po latach przyjdzie mi słuchać wykładów Stefanii Skwarczyńskiej, która tamtego lata straciła właśnie swoją ukochaną córkę.

### 4.

Cofnijmy się jednak do lat trzydziestych. Wówczas to ukazują się dwie ważne prace prof. Skwarczyńskiej: *O istności i o istocie rodzajów literackich* oraz *Przedmiot, metoda i zadania teorii literatury*. Teoria literatury była wówczas dyscypliną młodą – Stefania



Skwarczyńska pierwsza zakreślała granice obszaru tej dziedziny badań naukowych.

Obie prace opublikowało lwowskie „Ossolineum”, ale rodowodu jej teorii naukowych należy szukać w Łodzi, gdzie była nauczycielką, gdzie trudiła się w różnorodnych instytucjach i przygotowywała pracę habilitacyjną pt. *Teoria listu* – nawiasem mówiąc pierwszą w Polsce pracę habilitacyjną z zakresu teorii literatury. Jej zainteresowania teoretyczne obudziły się na łódzkim gruncie, na glebie, na której z trudem wyrastała nauka i sztuka i gdzie każda działalność, nawet publicystyczno-literacka, skazana była na zagładę. Stefania Skwarczyńska przełamywała te opory.

## 5.

Rok 1938 przyniósł Stefanii Skwarczyńskiej nominację na profesora Wolnej Wszechnicy Polskiej – a wrzesień 1939 zniweczył jej dom, przyjaciół i rodzinne pamiątki. Przedostaje się do Lwowa, gdzie do wiosny 1940 roku jest docentem na Uniwersytecie im. Iwana Franki. Ale potem następują masowe wywózki na Daleki Wschód i prof. Skwarczyńska trafia do Kazachstanu. Nie przebywa tam długo: od kwietnia do listopada 1940 roku. Ale tam właśnie spotykają się dwie niezwykle kobiety: Stefania Skwarczyńska i Ola Watowa. W głośnym potem tomie wspomnień *Wszystko co najważniejsze...* Ola Watowa pisze:

– „...wywieziono do naszej Iwanowki hrabiego Bielskiego z żoną w transporcie, w którym też znajdowała się Stefania Skwarczyńska, polonistka, po wojnie profesor w Łodzi, z dziećmi i swoją starą teściową.

Kiedy niebo stawało się granatowe, zaczynało iskrzyć się od gwiazd, które swoim migotaniem zdawały się, one tylko, mieć tę jedyną, śpiewną ciszę stepu, stawałyśmy często ze Stefanią Skwarczyńską wsparte o ściany uspiętego baraku. Stefania, bardzo wierząca, uczyła mnie modlitwy. Stałam więc i myślałam o Aleksandrze, łącząc się w modlitwie o niego ze Stefanią. Małe okienka były wygaszone i zaraz, prawie pierwszej nocy tego „czuwania” ze Stefanią poczułam, że ludzie ci, tak mi obcy, teraz pogrążeni w głębokim śnie, we śnie poruszający się na swoich narach, oddychający, zapewne o czymś śniący, stali mi się nagle bliscy, ludzcy, tacy jak my tutaj wszyscy z dalekiej Polski.

Stefania Skwarczyńska odegrała dużą rolę w moim tam życiu. Była to kobieta bardzo wierząca. Była też bardzo piękna.



Pamiętam ją w stepie, jak biegła jasnowłosa w niebieskiej pelerynie. Miałam skojarzenia z obrazami Matki Boskiej. Ta peleryna jakby bezpośrednio poświadczala mi tę wiarę. Ale jej wiara dawała się nam jednak nieraz we znaki przy pracy, bo Skwarczyńska uważała, że pracować należy uczciwie, to znaczy dać maksimum z siebie. Pamiętam, jak użyto nas zamiast wołów do ugniatania gliny. Robiła to mając poranione nogi, prawie z entuzjazmem.

Stefania uczyła mnie modlitwy, szczególnie jednej pięknej litanii do Matki Boskiej. Zdaje się, że w dużej mierze była autorką tej litanii. Stałyśmy w ciszy stepu, pod ogromną gwiazdzistą kopułą nieba i modliłyśmy się. Stąd moje »nawrócenie«. Zresztą w gruncie rzeczy wierzącą nie byłam – poza tym jednym okresem. Czule wspominam Stefanię Skwarczyńską z bardzo wielu powodów...”

Watowa wspomina nocne wyprawy wspólnie ze Stefanią Skwarczyńską do spichrza, skąd obie wykradały ziarno dla swoich głodujących dzieci. Pisze: „Skwarczyńska głęboko wierząca, ucząca mnie modlitwy, namawiająca do uczciwej, jak najbardziej wydajnej pracy, żeby nie oszukiwać. I ta sama Skwarczyńska z czystym sumieniem kradnąca ze mną »państwowe« ziarno. A więc, mimo że była taka pobożna, tej kradzieży nie uważała za grzech, i to właśnie te wyprawy czyniły mi ją jeszcze bardziej drogą i bliską... Zresztą już po kilku miesiącach pobytu w Iwanowce została zwolniona na interwencję profesora Juliusza Kleinera i Wandy Wasilewskiej, wracała do Lwowa...”

Wkrótce jednak następuje agresja Niemiec na Związek Radziecki. W czasie okupacji niemieckiej Stefania Skwarczyńska pracuje w Instytucie Biologii J. Weigla jako karmicielka wszy przeznaczonych do sporządzania szczepionek antytyfusowych. „Karmicielka wszy” – brzmi to niewinnie, a pewno i niejasno dla współczesnego czytelnika. Oznaczało to wówczas karmienie wszy własną krwią. Do ciała polskich kobiet przyczepione były specjalne pojemniki z insektami – ale ta nieludzka praca wiązała się z tzw. mocną przepustką. Niemcy panicznie bali się tyfusu, a że szczepionka była im potrzebna, ci którzy pracowali u Weigla, cieszyli się względny bezpieczeństwem.

Fakt ten sprawiał, że Stefania Skwarczyńska, działając w Armii Krajowej, współredaguje konspiracyjne czasopismo „Służba Państwu” i bierze udział w akcji przechowywania Żydów. Ratuje życie swojego mistrza, profesora i przyjaciela – prof. Juliusza Kleinera, umieszczając go w charakterze nauczyciela domowego



na wsi w rodzinie męża. Uratowała zresztą wiele osób i wielu pomogła przetrwać najtrudniejsze chwile.

Po wyzwoleniu Lwowa zostaje ponownie docentem na Uniwersytecie im. Iwana Franki, jednocześnie jakiś czas pracując jako kelnerka w polskiej kawiarni. Do Łodzi wraca w pierwszych dniach maja 1945 roku i obejmuje katedrę teorii literatury. Wykłada równocześnie w Wyższej Szkole Teatralnej i Wyższej Szkole Pedagogicznej.

## 6.

Wspomina Wanda Lipiec:

– „Jej powrót nastąpił w pierwszy dzień niezaciemniania ulic. Zrobiło się widno i rozbłyły światła! Choć był to tylko zwykły przypadek, dla bliskich jej osób ten zbieg okoliczności miał znaczenie symboliczne. Poweselała ulica, nastąpił łódzki renesans. Dla Stefanii Skwarczyńskiej była to nowa faza działalności, niezwykle owocnej pracy naukowej, dydaktycznej i społecznej”.

## 7.

Czternastego października 1981 roku w auli Uniwersytetu Łódzkiego odbyła się uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa prof. Stefanii Skwarczyńskiej. Promotorem był wychowanek uczoney, jej wieloletni asystent prof. Stanisław Kaszyński.

A oto kolejny portret Stefanii Skwarczyńskiej nakreślony właśnie przez Stanisława Kaszyńskiego:

„Sięgnę najpierw pamięcią do jesieni 1948 roku, do czasu, kiedy to z dumą obnosiłem białą akademicką czapkę i ciągle, ukradkiem, spozierałem w nieobeschły jeszcze indeks. Chodziło się *illo tempore* na mnóstwo zajęć uniwersyteckich, co najmniej 25 – 30 godzin tygodniowo wykładów, trzeba jednak powiedzieć, że na wykłady Pani Profesor zbiegaliśmy się wyjątkowo ochoczo, sala na III p. budynku przy ul. Lindleya 3 była zawsze wypełniona po brzegi. Nie sędzę, by nas wtedy szczególnie żywo interesowała teoria literatury, chodziło się wówczas bardziej »na profesora«, tak jak to chodzi się obecnie coraz bardziej »na aktora« do teatru. Ja miałem swój bardzo osobisty powód uczęszczać na Jej wykłady z przykładną wprost pilnością. Otóż rok wcześniej, przygotowując się do egzaminu maturalnego, przyjechałem z Rudy Pabianickiej na odczyt Stefanii Skwarczyńskiej o twórczości Mickiewicza. Pamiętam, przestępowałem próg sali (Narutowicza 68)



diabło speszony, onieśmielony, z tęgą tremą. Wyszedłem zaś – olśniony i rozpromieniony wymową, erudycją, jakimś niepokojącym żarliwym patosem, wszystko to oszołomiło mnie zupełnie, do reszty podbił mnie, zawojował urok osobisty, niespotykany wdzięk Znakomitej Prelegentki. Wiedziałem już, że będę studiował polonistykę, czekałem potem z niecierpliwością na rozpoczęcie roku. Gdy teraz próbuję określić moje pierwsze wrażenia, doznane tyle lat temu, w ciągu tych zdalnych spotkań profesora ze studentem, to było w tym coś z Wielkiego Onieśmielenia, połączonego z podziwem, z Szacunkiem, ze Czcią. I dzisiaj, po kilkunastu latach, po przejściu wielu stopni od studenta do Jej asystenta i ucznia, odczuwam te same uczucia, odnajduję w sobie identyczne składniki. Wiem doskonale, że my wszyscy z Katedry, młodzi i starsi, przeżywamy na co dzień w stosunku do »Naszej« Pani Profesor tożsame emocje. I wiem nadto, iż ci najmłodszy, ci, co przybywają na polonistykę, zwierniają się z podobnych doznań.

Nie miejsce w tym zwierzeniu na kreślenie sylwetki uczonego, nauczyciela, wychowawcy, społecznika, zabraknie tutaj z oczywistych względów oceny Jej wielkich zasług i osiągnięć uzyskanych na terenie licznych dyscyplin naukowych, nie będzie i analizy szkoły naukowej Stefanii Skwarczyńskiej. Pragnę jednak uchylić to, co zdaje się być zapleczem i fundamentem Jej dokonań i jednocześnie wzorcem, porywającym przykładem, wzbudzającym najwyższe uznanie, a ciągle unaoczniającym nam, uczniom, nasze braki, naszą niedoskonałość.

Nie przystoi zdradzać rodzinnych tajemnic, niechże mi wszak będzie darowane, że odkryję chociaż niektóre z nich. Zespół naukowy bywa z reguły zgromadzeniem ludzi zebranych na zasadzie wspólnych zainteresowań naukowych. Poza organizacyjnymi wiazaniami, istnieją niewątpliwie dodatkowe czynniki sprzęgające ów kolektyw; najważniejszym z nich, jak się zdaje, jest autorytet naukowy i moralny kierownika. Tenże winien być prawdziwym uczoneym i prawdziwym człowiekiem. Gdy spełnione są te dwa warunki, powstaje dopiero atmosfera niezakłóconej twórczej pracy, która jest zarazem atmosferą solidarności, zaufania i społecznej prawości. Nie waham się wstawić – i serdeczności. I jeżeli wolno określić mianem »naukowej rodziny« na takich trybach funkcjonujący zespół, chcemy się tak nazywać, ba, tak się ze swoistą chępliwością nazywamy. I już zapewne nie trzeba orzekać, kto kieruje tak pojmowanym życiem, kto wypełnia je treścią, kształtuje normy postępowania, kto ustala najwyższe wskaźniki wydajności naukowej, kto troszczy się o wszystko,



inspiruje, uczy, wychowuje... Orzeczenia można by mnożyć, przypuszczam, że i tak nie wyczerpałyby skali wszechstronnej działalności Pani Profesor. Rozwińmy przeto przynajmniej kilka. Więc: narzucony sobie, na przekór rozmaitym przeszkodom i słabościom fizycznym, żelazny, imponujący wszystkim rygor pracy, który, wynikając z poczucia obowiązku i odpowiedzialności społecznej, nie pozwala odejść od biurka, nie pozwala zawiesić wypożyczynku, wszechstronna aktywność badacza, widoczna w uprawianiu równolegle kilku dyscyplin i umożliwiająca dociekanie najnowszych rezultatów innych jeszcze gałęzi wiedzy i nauki, żarliwe poszukiwanie prawdy naukowej i prawdy w ogóle, z czego wynika kult dla faktu i argumentu, a stąd się wywodzi przykładna tolerancyjność dla cudzych, czasem obcych przekonań i poglądów.

Wreszcie niezwykła troska o rozwój naukowy młodych, troska, która zdobyła już sobie sławę w całym kraju. Ale troska ta obejmuje znacznie szerszą domenę, dotyczy już spraw całkiem osobistych: na Jej ręce napływają listy studentów i absolwentów proszących o pomoc, o radę, o dobre słowo otuchy. A zaufanie to jest świadectwem najlepszym zaspokojonych oczekiwań ludzi, którzy szukają u Pani Profesor nie tylko rozwiązań problemów naukowych, lecz i wiary w kwestiach wybiegających poza program dydaktyczny i naukowy pracownika uczelni.

Przypuszczalnie bywa tak dlatego, iż Stefania Skwarczyńska, reprezentując typ uczonego o szerokich horyzontach, nie zacieśniającego swej działalności do granic gabinetu, łączy w sobie dwie tyleż rzadkie co bezcenne osobowości: uczonego i społecznika, wrażliwego na przeobrażenia nauki współczesnej i w równej mierze uwrażliwionego na konieczność przenoszenia jej wyników w szerokie kręgi społeczeństwa”.

## 8.

Uczony, którego terenem jest dzieło literackie, tkwi siłą rzeczy w literackim środowisku – reaguje na pulsujący jeszcze nowością nurt literackich dokonań. Stefania Skwarczyńska, związana tak trwale z Łodzią, nie mogła zatem pozostać obojętna na zjawiska literackie wyrastające na łódzkiej glebie.

Przed laty we wstępie do wyboru wierszy Mariana Piechała *Miasto nadziei* dowodziła – jakże słusznie – że żaden z łódzkich poetów nie zdjął w swojej poezji ciężącego na Łodzi orzeczenia, iż jest to miasto „brzydkie”. Pisała: „Wnikano sercem współczującym w dolę skrzywdzonego robotnika, gloryfikowano heroiczne



karty jej historii, dumano nad kontrastami tego miasta złota i nędzy – ale urody Łodzi nie odkrył nikt przed Marianem Piechalem. Przeciwnie: Charakterystyczna brzydota to była jedyna kategoria, w jakiej odczytywano jej kształt urbanistyczny, jej architektoniczne elementy i formy pulsującego w niej życia. Współczucie lub oburzenie stanowiło źródło inspiracji, nigdy – zachwyty. Dopiero poezja Mariana Piechala urzeczona jest swoim pięknem Łodzi, najpierw pięknem ukrytym, które trzeba wydobyć na jaw, potem pięknem jawnym, radosnym, promiennym, pięknem rzucającym urok.

Spośród wierszy tak ukoronowanego poety wydobądźmy więc i ten mało znany – wiersz, będący artystycznym dopełnieniem wielokrotnego portretu uczonej. Oto poetycka apostrofa Mariana Piechala do Stefanii Skwarczyńskiej:

A Pani cóż ja powiem? Słowo nasze  
ma sens tylko na wysokości serca  
z ograniczoną ilością uderzeń.  
Dar rąk? Ręce nasze, ręce pokątnych  
makbetów, nazbyt wiele popełniły  
zbrodni, by mogły świadczyć Prawdę. Wróćmy  
do inskrypcji bardziej szczerych stóp. Widzę  
je w tatuażu ludzkich niepokojów  
rzeźbiących ziemski glob, na jego strzępach  
ślady umęczonych stóp Pawła z Tarsu,  
na białych kartach Syberii, tej biblii  
śniegów, święte pismo kroków nieszczęsnych  
pokoleń, w nim skrypt śladów mego ojca  
skrzyżowany, być może, z Twoim, Pani.  
Tam błyszczą gwiazdy łzami mojej matki  
Zmieszane, być może, z Twoimi, Pani.  
Trzeba tylko wybrać ten punkt widzenia,  
co ziarnko piasku zrównywa z planeta,  
wtedy widoczne są te łyzy na niebie  
i te na ziemi skrypty. Ty w nich czytasz  
tę Prawdę, która wiedzie nieomylnie  
do człowieka jak do czystego źródła.

## 9.

W roku 1937 ukazał się pierwszy numer „Prac Polonistycznych”, periodyku naukowego o nieocenionej wartości, którego



wydanie polska nauka zawdzięcza Stefanii Skwarczyńskiej. Pomagała jej oczywiście grono przyjaciół, ale główny ciężar prac dźwigała ona sama: odpowiadała za poziom pisma, jego układ i strukturę.

Dwadzieścia lat później – w 1957 roku z inicjatywy Stefanii Skwarczyńskiej powstaje pismo o zasięgu światowym, pismo podnoszące rangę polskiej nauki o literaturze – „Zagadnienia Rodzajów Literackich”. Dzięki temu Łódź stała się najważniejszym ośrodkiem tej szybko rozwijającej się dyscypliny.

Oczywiście zwykły miłośnik literatury rzadko zajmuje się analizą i klasyfikacją naukową swoich lektur. Nie zawsze też może ocenić ogrom i nowatorstwo dzieła Stefanii Skwarczyńskiej w tej mierze. Zawierzmy jednak wychowankowi prof. Skwarczyńskiej Henrykowi Pustkowskiemu, który mówi:

– Bardzo trudno jest scharakteryzować dorobek naukowy Stefanii Skwarczyńskiej. Mimo jej wierności pewnym tematom teoretyczno-literackim trudno jest przedstawić ich rozwój bez naruszenia jedności zachodzącej między problemami a zjawiskami stricte teoretycznymi czy metodologicznymi.

Najważniejszymi obszarami działalności naukowej autorki *Wstępu do nauki o literaturze* są: literatura stosowana, genologia ogólna, dramat, ogólna teoria dzieła literackiego, literatura katolicka i metodologia badań literackich.

Wiele pomysłów metodologicznych prof. Skwarczyńskiej odznacza się nie tylko niezwykłą śmiałością prowadzącą do rewizji ustalonych prawd naukowych, ale stanowi rozwiązania prekursorskie, ukazuje nowe tereny badań, wyprzedza o wiele lat późniejsze i dość powszechne zainteresowania takimi choćby problemami, jak: określenie granic między parą literatury a literaturą „czystą”, uchwycenie relacji zachodzących między światopoglądem pisarza a „poetyką” dzieła literackiego; możliwość uporządkowania chaosu terminologicznego cechującego genologię – i tak dalej... Postawa badawcza uczonej odznacza się też nieczęsto spotykaną cechą mediacyjności, polegającą na umiejętnym wyszukiwaniu elementów wspólnych w systemach badawczych na pozór „nie do pogodzenia” – a także szacunkiem wobec poglądów innych, otwartością na nowe propozycje metodologiczne oraz umiejętnym wzbogacaniu nimi własnego warsztatu badawczego.

Henryk Pustkowski otwiera jedną z prac Stefanii Skwarczyńskiej i czyta słowa, które od dawna zna na pamięć:

„Nauka wymaga heroizmu i bardzo często pewnej ascezy, ale kto wszedł z nią raz w rzetelny, głęboki kontakt, skazany jest na wierną jej służbę lub dręczącą tęsknotę”.



– Jest też warta podkreślenia – dopowiada Henryk Pustkowski – osobowość uczzonego pełna życzliwości wobec sądów innych, często sprzecznych z naszymi. Nie powoduje się jednak uczuciem sympatii wobec osób nam bliskich, jeśli sympatia owa prowadziłaby do aprobaty twierdzeń wyraźnie błędnych. Ta piękna cecha obiektywizmu nazwana została przez uczoną mianem sprawiedliwości. Proszę posłuchać:

„Sprawiedliwość czuwa nad przebiegiem pracy myślowej, jako tak cenna *roztropność*, która nie jest niczym innym, jak tylko cnotą sprawiedliwości naszego umysłu. *Sprawiedliwość i roztropność* – znamiona *dojrzałości duchowej* – muszą czuwać nad naszymi sądami naukowymi”.

Mówi dalej Henryk Pustkowski:

– Zawarte w tych stwierdzeniach zadania moralne twórczości naukowej towarzyszyły Stefani Skwarczyńskiej przez całe życie. Twórczość naukowa autorki *Wstępu do nauki o literaturze* jest dziełem otwartym. Budzi ona u odbiorcy postawę refleksyjną, zachęca do twórczego dialogu. Wielka uczona zgodnie z wyrażonym w *Etosie badacza* przekonaniem, że nauki nie można „zdradzić”, tzn. choćby odpocząć od jej trudów – dopisuje nowe strony tego wielkiego dzieła.

Dzieła, które jest chlubą polskiej humanistyki.

Źródła: *Stefania Skwarczyńska – uczonej, nauczyciel, wychowawca*. Materiały sympozjum poświęconego twórczości naukowej Stefani Skwarczyńskiej, Łódź – 1992; Wspomnienia i refleksje publikowane na łamach tygodnika „Odgłosy”; Ola Watowa – *Wszystko co najważniejsze...*, Czytelnik – 1990.



Anna Iżykowska-Mironowicz

## Maestro Henryk Debich



Laureat licznych nagród polskich i w całym świecie. Dyrygował ponad 50 orkiestrami w kraju (wszystkie!) i za granicą. Towarzyszył wraz z nimi paru tysiącom solistów z całego globu. Nagrał ponad 50 płyt długogrających, głównie – z utworami we własnych aranżacjach. Jest zdobywcą Złotej Płyty Polskich Nagrań. Posiada Diamentową Batutę – nagrodę Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia – wręczoną mu podczas koncertu jubileuszowego w Teatrze Wielkim w roku 1996.

– Znamy się od zawsze, odkąd pamiętam – kazałeś mi zwracać się do siebie po imieniu, toteż zamiast koturnowego

interview proponuję Ci, Henryku, przyjacielską pogawędkę, tym bardziej że podobno nie znosisz wywiadów?

– Jest ich po prostu za wiele, zwłaszcza ostatnio, a ja ciągle jestem tym samym skromnym chłopakiem z Pabianic. Oprócz dziennikarzy składają mi też wizyty studenci. Wyobraź sobie, że piszą prace magisterskie o mnie i o mojej orkiestrze... Przyjeżdżają z uczelni Gdańska, Warszawy, a całkiem niedawno „spowiadałem” się studentowi z Uniwersytetu Łódzkiego. To wszystko



jest bardzo miłe i nawet dumny jestem, ale... już trochę męczy człowieka w moim wieku.

- Nie kokietuj. Od lat w ogóle się nie zmieniasz - w każdym razie nie na gorsze - i wszyscy dookoła zastanawiają się, jak Ty to robisz!? Pewnie zatrudniasz sztab masażystów, a może raczej masażystek, o ile Cię znam...

- Znasz mnie, dbam o siebie, konserwuję ciało wszystkim co możliwe, nawet mam w domu takie różne „ustrojstwa” do nabierania krzepy. Obok samochodu stoi w garażu rower-składak, w hallu mam taki „deptak” do pedałowania w miejscu, a w łazience - specjalny drążek do rozciągania kręgosłupa. Korzystam z nich regularnie każdego dnia. Ja już pomijam, że dłużej będę zdrowy, ale - w moim przekonaniu - zobowiązuje mnie do tego mój zawód. Jak już ktoś wdziewa frak, czy krynolinę z tafty, jak wchodzi na scenę czy estradę, to musi - powtarzam - musi dbać o swój wygląd. Ludzie kupują bilety przede wszystkim dla pięknej muzyki, ale nie mogą być skazywani na oglądanie jakiegoś zaniedbanego, tłustego flejtucha. Czasy stukilowych primadonn, konających w *Traviacie* na suchoty, dawno już minęły i dobrze jest przypominać o tym np. naszym gwiazdom operowym, które często trudno odróżnić w sklepie od sprzedawczyń. Wiem, że czasy są niewesołe, że gaże artystów to już nawet nie średnia krajowa, ale prawie minimum socjalne... Zupełnie nie mam pojęcia, co to się z tą kulturą i sztuką u nas wyprawia... Naprawdę nie zazdroszczę młodym adeptom zawodu muzyka, ale muszą wiedzieć, że jak go już wybiorą, zdecydują się na scenę czy estradę, to estetyka ich wyglądu jest równie ważna jak muzyka, którą kreują.

- Czy „skromnemu chłopcu z Pabianic” ktoś to wszystko w porę uświadomił?

- A tak! Wyobraź sobie, że m. in. twój własny tata, prof. Iżykowski. Prowadził w łódzkiej uczelni wykłady z historii dyrygentury. Jako jedyny w Polsce. Myślę, że byłem pupilem mojego kochanego profesora, bo często zapraszał mnie do swojego wspianego domu przy Piotrkowskiej, w którym aż dwa pokoje były wypełnione bibliotekami z gromadzonymi jeszcze od czasów przedwojennych partyturami, z dokładnie skatalogowanymi setkami płyt... Oko mi się zawsze iskrzyło na widok tych rarytasów, całkiem dla mnie nieznanymi, nieosiągalnymi, bo to był przecież rok 1949 i początki lat pięćdziesiątych. Miałaś wtedy parę latek - szkoda, że nie więcej - siadałaś mi na kolanach, nie pamiętasz tego, ale to prawda...

- Możemy to powtórzyć...



– Bardzo chętnie! Ale – jeszcze dwa słowa o profesorze. On był wtedy dyrektorem Filharmonii Łódzkiej i kiedyś, podczas którejś kolejnej wizyty w państwa domu, powiedział mi, że zaangażował do Łodzi Witolda Krzemińskiego, bo on tak świetnie się prezentuje na dyrygenckim podium. Zapadło mi na zawsze zdanie profesora: „Jak nawet utwór położy, to przynajmniej jest na co popatrzeć”.

– Wracajmy do Ciebie. Jak zaczął się ten Twój flirt z muzyką, zakończony szczęśliwym małżeństwem, które trwa nadal i oby trwało jeszcze wiele lat?

– Przed wybuchem wojny założyłem w Pabianicach taki mały, siedmioosobowy zespół, a grałem w nim i na saksofonie, i na akordeonie, i na fortepianie. To było takie miłe amatorskie granie, dzięki któremu paru kilkunastoletków mogło sobie nawet zarobić trochę grosza. Początek wojny uaktywnił mnie w całkiem innym kierunku. Zaciągnąłem się do Szarych Szeregów, potem walczyłem w Armii Krajowej i... tragedia, aresztowanie, najpierw więzienie w Radogoszczu, a potem wywózka do Dachau w Bawarii, gdzie oznakowano mnie numerem 11 934.

– Jak Ci się udało przeżyć to piekło?

– Młodość. Po prostu młodość. Nadzieja, ogromna wola przetrwania i może... pewien brak wyobraźni młodego chłopaka, nieumiejętność oceny powagi sytuacji, zagrożenia życia... Miałem w obozie pod opieką mojego o rok młodszego brata Wacława, już niestety zmarłego niedawno po długiej chorobie. Może i to, że byłem starszy, nie pozwalało mi się „rozklejać”... Walczyłem o przetrwanie nas obu, a razem z nami – Włodek Skoczylas, Tadzio Fijewski i pianista Tadeusz Dobrzyński, z którym po wojnie pracowaliśmy w łódzkiej rozgłośni... Trzymaliśmy się razem, o ile to było możliwe, i znajdowaliśmy oparcie w starszych więźniach, a kilku z nich było naszymi profesorami i pedagogami jeszcze sprzed wojny. Jakimś cudem całej naszej piątce udało się przeżyć ten koszmar.

– A co po wojnie?

– Zacząłem uczyć w Pabianickiej Szkole Muzycznej i sam się doksztalałem, żeby osiągnąć wymarzony cel – zdanie egzaminu na studia dyrygenckie. No i... udało mi się. Pamiętam, że tuż przed wakacjami 1949 r. odwiedziła Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną znana kompozytorka Franciszka Leszczyńska. Ta co napisała znaną piosenkę *Mój pierwszy bal*. Była wówczas redaktorem muzycznym w naszej rozgłośni radiowej. Wywiesiła na uczelnianej tablicy komunikat, że poszukuje młodego, zdolnego



studenta – następcy na swoje stanowisko w Radio, bo ona odchodzi do Warszawy. Krótko mówiąc ogłosiła konkurs, umówiła kandydatów w rozgłośni, przyniosła jakieś nutki, kazała grać a vista, a oprócz mnie wystartowało też wielu bardzo dobrych pianistów. Ja szybko zauważyłem, że to były nuty z podpisanymi pod spodem funkcjami, bezbłędnie się w tym połapałem, bo przecież przed wojną, w pabianickim zespole, to właśnie z takich funkcji muzykowaliśmy, a nie z nut. No i jak usiadłem do fortepianu, to jako jedyny nie miałem z tym problemu. Leszczyńska podbiegła, ucałowała mnie i... 15 sierpnia dostałem upragniony angaż.

A w tym czasie to ja już miałem w Pabianicach swoją własną 18-osobową orkiestrę z ojcem niedawno zmarłego Karola Nicze na czele. Jak się o tym Franciszka dowiedziała, to z całym zespołem zaprosiła mnie do studia radiowego i „na żywo” na antenie zagraliśmy o czwartej rano. To była świetna historia, bo Leszczyńska usiadła do fortepianu, na początku sobie preludowała, a ze mną umówiła się wcześniej, że kiedy mrugnie do mnie od klawiatury, to oznacza, że za chwilę zmoduluje do następnego utworu. Ale ci, którzy ją pamiętają (a zmarła już 12 lat temu), to wiedzą, że miała taki tik nerwowy...

– I mrugała non stop?

– Ano właśnie! I ja musiałem to jej granie „brać na ucho”, wyczuwać jej zamiary, no i... znowu udało mi się zwycięsko przebrnąć przez kolejny egzamin i to na „żywej” antenie. Od następnego dnia byłem już redaktorem muzyki rozrywkowej, dyrygentem, reżyserem dźwięku i... głównym kasjerem, bo nagrywałem różne inne zespoły, m. in. znaną Orkiestrę Braci Łopatowskich, i ktoś im przecież musiał płacić.

W tym samym 1949 r. powstał pomysł założenia orkiestry radiowej. Jej załączkiem był ten mój 18-osobowy zespół z Pabianic plus studenci naszej uczelni łódzkiej i paru muzyków filharmonicznych. Nie miałem jeszcze wtedy uprawnień dyrygenckich, bo byłem dopiero na I roku, ale kończył w tym czasie studia Olek Tabaksblat, znany ci później jako Aleksander Tarski. Właśnie jego wzięliśmy na pierwszego dyrygenta orkiestry i... 18-osobowego chóru. I tutaj – ciekawostka – śpiewały w nim takie późniejsze gwiazdy, jak Teresa Żylis-Gara, Krysia Nyc-Wronko, Danuta Debichowa, Jadzia Dzikówna, Eugeniusz Szyrkarski, Zdzisław Klimek i wielu innych. Ale jak już wszyscy pokończyli studia, to poszli „na swoje”, reszta chórzystów zasiliła nowo powstającą Operę Łódzka, a ja, dzięki zwolnionym etatom, powiększyłem orkiestrę do pokaźnych rozmiarów.



– Pamiętam te lata chwały Twojego zespołu, i to nie tylko z audycji radiowych, ale ze wspólnej naszej pracy przy wielu nagraniach muzyki filmowej pod Twoją batutą. W ostatnią Wigilię telewizyjna „dwójka” przypomniała jeden z tych obrazów – świetną komedię Kuźmińskiego *Między ustami a brzegiem pucharu*. Wszystko nam tak pięknie kwitło i nagle, nieomal z dnia na dzień Orkiestra Debicha – bo tak ją nazywano – przestała istnieć.

– Tu się tak jakoś sprzęgły ze sobą dwie sprawy. Po pierwsze – moja pora odejścia na emeryturę. Pani dyrektor ZUS powiadomiła mnie o grożącej zmianie warunków emerytalnych w przypadku odwleknięcia decyzji, że za chwilę może mi grozić utrata sporych sum, może niezaliczenie tylu lat pracy, odszkodowań za pobyt w obozach hitlerowskich... A z drugiej strony coraz głośniej powtarzano plotki, że lada moment będą rozwiązywane wszystkie polskie orkiestry radiowe. I – to tak się stało. Reforma. Skoro likwidowano zakłady przemysłowe, PGR-y, to czemu nie orkiestry... Jak już padły pierwsze zespoły, to natychmiast, prawie codziennie znajdowałem na moim biurku podania muzyków o zwolnienie. Koncertmistrz Andrzej Nicze wyemigrował do Meksyku, Toczko – do Szwajcarii, pierwszy oboista – do Irlandii... W krótkim czasie najlepsi rozjechali się po świecie, ci starsi szybko przeszli na emerytury, a reszta zajęła się pracą pedagogiczną w Akademii i obu szkołach średnich. W tej sytuacji nie było sensu ciągnąć tego dalej, i to po 42 latach pracy z orkiestrą radiową. Czy ty wiesz, że ja sprawdzałem, i to bardzo pilnie, czy któryś z dyrygentów – nie polskich, ale na całym świecie – pracował z jednym zespołem symfonicznym dłużej ode mnie. Żaden! Karol Stryja z Filharmonią Śląską – ok. 37 lat, Rachoń ze stołeczną „radiówką” 30 lat... Mój staż dyrygenta w Radio Łódź – to rekord, który należy umieścić w Księdze Guinnessa. I zobaczysz! Ja to zgłoszę!

– Myślę, że to nawet Twój obowiązek! Ku chwale Łodzi!

Poza dyrygowaniem sądzę, że zrobiłem sporo. Zostały po nas setki kilometrów taśm nagranych z udziałem całej czołówki artystów polskich i wielu zagranicznych.

– W tamtych czasach, Henryku, ze swoją orkiestrą byłeś jedyną ostoją dla rokujących nadzieje talentów. Z każdego spektaklu premierowego naszych obu teatrów muzycznych, z koncertów filharmonicznych, recitali w Akademii, wyławiałaś swoim świetnym uchem wyróżniających się śpiewaków, instrumentalistów i natychmiast zapraszałaś ich na nagranie do Radia. Większość dzisiejszych uznanych gwiazd posiada – wyobraź sobie – tylko



nagrania z Orkiestrą Debicha! Wszyscy ci, co się zbyt późno urodzili, a są młodzi i zdolni – nie mają ani jednej rejestracji z orkiestrą prócz paru byle jakich nagrań z premier operowych albo recitali z fortepianem. Może nawet Ty sam nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak ogromną krzywdą dla całej rzeszy młodych stała się likwidacja ich jedynej bazy pozwalającej zweryfikować własne umiejętności, dającej możliwość wzięcia do ręki profesjonalnego, studyjnego nagrania i wysłania go np. na światowy konkurs czy do rąk impresaria, czy menedżera...

– Po upływie tych paru lat, od pechowego 1991 roku, ja też uświadamiam sobie rozmiary tej wyrwy, jaka powstała w kulturze Łodzi. Co spotkam kogoś z dawnych moich solistów, to każdy ubolewa, że teraz nikt się nimi nie interesuje. Od rozwiązania zespołu minęło już trochę czasu, było paru różnych prezesów łódzkiej rozgłośni, z każdym z nich rozmawiałem o jakimś zagospodarowaniu tych kilometrów bezcennych archiwaliów i... nic! Przecie tam marnują się pierwsze nagrania Żylis-Gary, Teresy Kubiak, Ochmana, Ładysza, Hiolskiego, Tesarowicza, May-Czyżowskiej, Romanowskiej, Malczewskiego, Krzywickiego, Majaka... Również tych młodszych gwiazd, jak Stachura, Owsieńska, Bogusław Morka. A piosenkarze? Irena Jarocka, Kunicka, Demarczyk, Sońnicka, Giżowska, Frąckowiak, Połomski, Koczeń... Wszyscy, cała polska czołówka! Taśmy marnieją latami; nie zarabia się na nich, a tymczasem Warszawa dawno już wszystko uporządkowała, wydaje kompakt za kompaktem... Tak sobie myślę, oczywiście żartuję, że właściwie to jestem współwłaścicielem Radia Łódź, tyle tylko, że jeszcze nie mam podpisanej umowy. Tam w fonotece i bibliotece nutowej leży mój ogromny majątek. Co najmniej połowa materiałów – to moje opracowania, instrumentacje, a również i kompozycje. Ponad dwa tysiące partytur!

– No, to chyba kolejny rekord światowy! Ale może pozwolisz, że odrobinę Cię uspokoję. Parę dni temu rozmawiałam z obecnym prezesem RŁ – Andrzejem Berutem, który powołał sztab prawników w celu uregulowania strony formalnoprawnej całego przedsięwzięcia, z zachowaniem wszelkich norm obowiązujących w nowych przepisach autorskich i wykonawczych, większość nagrań już wprowadzono do komputera i lada dzień ruszy z miejsca produkcja i kaset, i płyt kompaktowych. Wróćmy do tematu. Dyrgowanie i aranżacje – to główny nurt Twoich zainteresowań. A co z komponowaniem?

– Przez ostatnich 15 lat prawie nic nie napisałem, poza jedną muzyką do filmu, ale w tej chwili kończę osiemnastą już partyturę



z własnym opracowaniem dla – zdziwisz się – żony zmarłego już ponad 20 lat temu Roberta Stolza, austriackiego kompozytora wielu operetek, a także popularnego przeboju Kiepur *Brunetki, blondynki*. Pani Einzi Stolz usłyszała kiedyś w radiu pieśń swojego męża *Wiosna* w moim opracowaniu a w wykonaniu Izabeli Nawe i łódzkiej „radiówki”. Przysłała mi list i sto dolarów w kopercie (żeby uwiarygodnić propozycję) z prośbą o nowe zinstrumentowanie 20 pieśni Stolza. To było trzy lata temu, sześć utworów już nagrałem w Łodzi, a wszystkie pozostałe będą zrealizowane w Wiedniu, oczywiście pod moją batutą.

– Cieszy, że masz tak ambitne plany, że nie spocząłeś na laurach. A skoro jesteśmy już przy zagranicy, to czy nadal utrzymujesz kontakty ze światowej klasy barytonem Alfredem Orda, z którym dokonałeś tak wielu nagrań?

– Oczywiście! Nawet był tutaj, niedługo przed likwidacją orkiestry, żeby mieć jeszcze kilka nagrań z nami. Grubo po siedemdziesiątce, a głos jak dzwon! On już podczas wojny zamieszkał w Londynie, ale zawsze podkreśla, że jest rdzennym łodzianinem. Chyba nasze miasto trochę o nim zapomniało. Nie znalazł się na opublikowanej we wrześniu liście „Stu łodzian stulecia”...

– No, ale Twojego nazwiska nie pominięto i słusznie! Jakie to uczucie znaleźć się obok Reymonta, Tuwima, Rubinsteina, Tansmana...?

– Wspaniale! Czuję, że wszedłem do historii! Żartuję, ale każdego chyba cieszy, że jego pracę gdzieś tam zauważono, że nie zmarował życia...

– I to jak ciekawego życia! Obok Stefana Rachonia „obsługiwałeś” wszystkie polskie festiwale piosenki, w Opolu, Sopocie, Kołobrzegu, a raz nawet w Zielonej Górze. Potem – wielokrotnie zapraszano Cię do grona jurorów nie tylko w Sopocie, ale na konkursach światowej rangi, od Aten, Irlandii, Istambułu aż po Kubę!

– Prawie cały świat objechałem. Mam tę satysfakcję, że również jako juror przyczyniłem się swoim trafnym werdyktem do triumfów wielu polskich piosenkarzy, m.in. Krysi Giżowskiej w Sopocie, Hani Banaszak – Złoty Orfeusz w Bułgarii, czy Ani Jantar i Stana Borysa w Irlandii. A wszędzie tam byłem i jurorem, i dyrygentem.

– Brawo! Proponuję, abyśmy raz jeszcze sięgnęli pamięcią wstecz. Po dyplomie w klasie B. Wodiczki i T. Kiesewettera w 1953 r. w pięć lat później wyjechałeś na podyplomowe studia do ówczesnego RFN. W tamtych czasach – to był prawdziwy ewenement! Tylko ogromne talenty wysyłało za „żelazną kurtynę”...



– Miałem wyjątkowe szczęście. O stypendium dla mnie wnioskowałem łódzki Wydział Kultury oraz prezes Radiokomitetu. Dostałem też dodatkowe poparcie z naszej „firmy” radiowej. Bywałem na wszystkich próbach Herberta von Karajana w Berlińskiej Filharmonii, do której właśnie go przyjęto po konkursie na szefa tej orkiestry. Wielu startowało, oglądałem wszystkie etapy tych zmagania i wygrał najlepszy – Karajan. Na swój koncert inauguracyjny wybrał *Niemieckie requiem* Brahmsa. Byłem na sali, a oprócz mnie prof. Sikorski, rektor łódzkiej uczelni muzycznej, sopranistka Halina Mickiewiczówna oraz Andrzej Hiolski. Wszyscy oni przybyli na tę uroczystość z Berlina wschodniego, bo wtedy to było proste. Muru jeszcze nie było. A solowe partie w *Requiem* śpiewali Elizabeth Grummer i Fisher Diskau! Takie tuzy światowe. Oczywiście do dziś przechowuję ich autografy. A czy wiesz, jak zdobyłem bilet na koncert? Dostałem go od nadburmistrza Berlina Willy Brandta – późniejszego kanclerza Niemiec! W ramach stypendium sporo podróżowałem, do Monachium, Hamburga, zwiedzałem wspaniałe studia nagrań, przyglądałem się pracy największych dyrygentów Europy. Ale – niestety – musiałem skrócić swój pobyt w Niemczech bo... Zosia była już w ósmym miesiącu ciąży i musiałem przecież znaleźć się u jej boku...

– Mowa o wybitnej sopranistce, a Twojej drugiej małżonce Zofii Rudnickiej. Zapowiadała się na gwiazdę światowej wokalistyki, a tak wcześniej zabrała nam ją koszmarna choroba, gorsza od raka, bo nieuleczalna nawet we wczesnym stadium – stwardnienie rozsiane. Zanim jednak nastąpiła ta tragedia, Zosia obdarzyła Cię synem Mariuszem, utalentowanym po rodzicach muzykiem, kompozytorem, pianistą i dyrygentem. Jego dyplom kapelmistrzowski w stołecznej uczelni uhonorowano specjalnym wyróżnieniem w postaci koncertu z orkiestrą Filharmonii Narodowej. Co się z nim teraz dzieje?

– Przez rok po otrzymaniu dyplomu z odznaczeniem dyrygował prawie wszystkimi orkiestrami symfonicznymi w kraju, często nawet razem ze mną, np. w Bydgoszczy był taki koncert „Debich na dwie batuty” – Mariusz w pierwszej części, ja – w drugiej. Miał różne propozycje pracy, ale w Rzeszowie, Zielonej Górze, Jeleniej Górze, nie w Warszawie i nie w Łodzi. Więc wyjechał do Kanady, tylko na rekonesans. Zahaczył się u przyjaciół, a zatrudnił go proboszcz z parafii. Szybko powstał międzynarodowy chór, Mariusz grał na organach i taki był początek. Przy mojej pomocy skontaktował się ze Stasiem Skrowaczewskim, moim przyjacielem, który na Zachodzie ma od lat bardzo wysoką pozycję



i on powiedział Mariuszowi: „Dziecko, kiedy ja po raz pierwszy przyjechałem do Ameryki, to rozesłałem dwa tysiące ofert. Pisz i proponuj się wszędzie”. Już po paru miesiącach syn wygrał konkurs na stanowisko dyrektora orkiestry symfonicznej w London i do dziś jej szefuje. London – duże miasto Kanady – to jest taka kopia brytyjskiego Londynu, jest tam i Big Ben i Parlament i Tamiza... Piękne miasto! Mariusz w tamtejszej uczelni ma też własną klasę fortepianu, bo ciągle jest koncertującym pianistą. Trzy lata temu ściągnięto go na zastępstwo chorego akompaniatora do recitalu Romana Totenberga w Toronto. Totenberg to świetny skrzypek, łodzianin, przyjaciel twojego ojca i wielu czołowych artystów XX wieku, jak Rubinstein czy Szymanowski. Grali prawie bez próby, ale Mariusz musiał się chyba nieźle spisać, bo Totenberg zaprosił go do domu i powiedział, jesteś dobry, będę z tobą koncertował. Syn zapytał nieśmiało, czy profesor nie wystąpiłby z jego własną orkiestrą w London. Zgodził się z entuzjazmem i zagrał tam Koncert Wieniawskiego. To była wielka feta w London, musieli ten występ powtórzyć dwukrotnie i do tej pory są serdecznymi przyjaciółmi mimo ogromnej różnicy wieku.

– Czy Mariusz się ożenił?

– Tak, ma piękną żonę i jeszcze piękniejszą 10-letnią córeczkę Lidzię. Żona ma dyplom uniwersytecki, jest po handlu zagranicznym, a aktualnie uczy małe dzieci języka włoskiego.

– Czy nie zamierzasz, Henryku, spędzić swojej przyszłej jesieni życia tam przy nich, w Kanadzie?

– Absolutnie nie! Ja ich często odwiedzam, parokrotnie byłem już w ich wspaniałym domu z pięknym ogrodem i pewnie jeszcze nie raz się do nich wybiorę. Dwa lata temu odwiedziłem też w Chicago Marylkę, córkę brata, z którym byłem w Dachau. A było to niejako przy okazji koncertu z orkiestrą amerykańską, jaki mi w Chicago zorganizowano. Zabrałem ze sobą Andrzeja Hiolskiego i Bernarda Ładysza, a razem z nami wystąpił mieszkający tam tenor Józef Chomik oraz Maria Knapik – sopranistka Opery w Ottawie. To był naprawdę udany koncert, transmitowany przez TV i zarejestrowany na video.

– W *Who is who* z 1993 r. nie wyczytałam ani słowa o Twoim hobby – kolekcjonowaniu starych, cennych zegarów...

– Bo już ich nie gromadzę. Parę lat temu sprzedałem to wszystko i zamieniłem na cegłę, wapno i cement. Nigdy nie miałem własnego domu. Ten przy Małachowskiego był wynajmowany, głównie z uwagi na paroletnią chorobę Zosi, bo musiał być parterowy, z wygodnymi poręczami do poruszania się na wózku.



Teraz wreszcie mam coś swojego i mieszkam... jeszcze bliżej Radia.

– A bywasz w nim często, choćby na wszystkich koncertach „na żywo” studentów Łódzkiej Akademii Muzycznej w każdy trzeci czwartek miesiąca. Właściwie to nie ma w Łodzi ważnej imprezy muzycznej bez Twojej obecności. Jak Ty to robisz, że nadal jesteś tak czynny, że chce Ci się w tym wszystkim uczestniczyć, że nadal chłoniesz to, jak za swoich młodzieńczych lat...

– Może dobre geny... Nas było siedmioro rodzeństwa, miałem czterech braci i dwie siostry... Ojciec musiał się sporo napocić, żeby taka gromadka „wyszła na ludzi”... Każdy z nas, ty chyba też, ma własną receptę na długowieczność w zdrowiu i dobrej kondycji. Kiedyś chciałem stosować rady świętego lekarza – opiekuna Zosi ze szpitala Barlickiego – prof. Hermana: wczesne ranne wstawanie, zimna kąpiel, dobre wino i oglądanie pięknych kobiet. Dwie pierwsze rzeczy – u mnie odpadają, ale z dwu pozostałych – korzystam bardzo chętnie.



Dyryguje Henryk Debich (foto archiw.)



## Reżyseria to sztuka przypadku...

### Wywiad z Henrykiem Kluba

**Irena Stanisławska** – *Na egzaminach wstępnych na Wydział Reżyserii pada pytanie: Dlaczego chce pan (pani) zostać reżyserem? Co odpowiadają kandydaci?*

**Henryk Kluba** – Odpowiedzi są właściwie odpowiedziami naiwnymi. To nic, że przeczytają o kłopotach, o stresach, o załamaniach. To ich wcale nie powstrzymuje przed decyzją zdawania do szkoły. Myślę, że traktują to jako konieczne koszty własne. Cały ten narkotyk, „czad”, jaki jest wokół osoby reżysera, jest tak ogromny, że tę prozę, codzienność, jaka towarzyszy jego pracy, pomijają. Te barwy są dla nich tak uwodzicielskie, że rozstrzygają o tym, że udzielają odpowiedzi, „że to zawsze było ich marzeniem, że dużo chodzili do kina, że zawód ten jest jedynym zawodem, który ich interesuje”. W niektórych przypadkach jest to postawa autentyczna i szczerą – potwierdza się tym, że taki człowiek zdaje na reżyserię kilka razy.

– *A na zajęciach co pan im mówi?*

– Już na początku tych studiów mówi się im, że wszystko, co potem się stanie, biorą na siebie. Szkoła nikomu nie umożliwi debiutu. Jest to zawód, który wykonuje się na własną odpowiedzialność. W żadnym wypadku nie ukrywam tego, co ich czeka. Wręcz odwrotnie – mówię, że ten zawód strasznie anektuje człowieka – anektuje sen, każdą intymną chwilę. Ale byłbym złym pedagogiem, gdybym ich tylko straszył. Wyraźnie mówię: jeżeli chcesz pozostać wierny sobie, jeżeli chcesz robić kino ambitne – twoja droga do publiczności będzie trudna. Możesz nawet nie zostać przez nią przyjęty. Ale większy akcent kładzie się jednak na to, aby ich czegoś nauczyć. Wydaje mi się, że umiejętność, wysoki stopień działania profesjonalnego przy realizacji filmu – to



tarcza obronna, która mniej demoluje człowieka niż wtedy, gdy musi zgadywać, wtedy, gdy działa w ciemno. Oczywiście proces twórczy nie jest działaniem świadomym. To działania podświadome i intuicyjne. Ale muszą być one czymś karmione. Szczerze mówiąc, ten zawód tworzy w swoim ciągu szereg fałszywych, nieautentycznych sytuacji. Są momenty, kiedy nie wiem, jak coś ma być zrobione, ale czuję na sobie wzrok 20 osób – operatora, aktorów, asystentów – którzy oczekują ode mnie decyzji. Bywają sytuacje, że człowiek chce być autentyczny wobec siebie i wobec współpracowników i pewne decyzje odwleka – scena ma być kręcona dzisiaj, a ja mówię: jutro, pojutrze. Bo ciągle czekam na ten moment pewnego nawiedzenia. To często lęk przed podjęciem tematu. Pamiętam, kiedy studiowałem na I roku, przyszła do mnie koleżanka z wydziału operatorskiego i poprosiła, abym pomógł jej wyreżyserować scenę z ćwiczenia operatorskiego. Poszedłem na plan i pustka w głowie. Już na pierwszym roku doświadcza się sytuacji, które później są na porządku dziennym (one są w miniaturze, one nie mają takich ostrych przebiegów), a powiększa się to wszystko w momencie, kiedy robi się duży film. Ale wszystko jest takie samo – te same lęki, te same fałszerstwa, które się robi.

Reżyseria to w dużej mierze sztuka przypadków. Chociaż są tacy reżyserzy jak Hitchcock, Has czy Wilder, którzy uważają, że film powstaje przy biurku. Scenopis jest przez nich tak dopracowany, że właściwie nakręcić go może asystent. U tych reżyserów przypadek nie odgrywa tak dużej roli, chociaż uważam, że nawet jeśli coś wymyśla przy biurku, to dobre przypadki mogą film tylko wzbogacić. Ale są tacy reżyserzy jak Jan Rybkowski, który był typem natychmiastowego improwizatora. Jego wyobraźnia była uśpiona, kiedy nie było tej zmysłowej aury. Ale kiedy była dekoracja, światła, aktorzy, dopiero wtedy zaczynał on ten film koncipować i była to równocześnie jego realizacja.

*– Ta improwizacja to chyba duże ryzyko. Nie wiem, czy w tej chwili pozwolono by na tego typu realizację.*

– Gdybym miał znowu mówić o studentach, to można mierzyć stopień porównując, to co student napisał w scenopisie, z tym, co pokazuje na ekranie. Otóż zawsze jest to co innego. To dowód na to, że nie ma on jeszcze wytrenowanej świadomości, czy ręki, i nie jest w stanie wymyślić tego, co chciałby zrealizować. To tylko pewien komunikat, aby zaspokoić opiekuna,



produkcję. Ale jest jeszcze trzeci typ reżysera – recenzent. I takim jest Wajda, który wchodzi na plan i mówi do aktorów i asystentów: – Zróbcie tutaj coś, zaaranżujcie sytuację. – I znika. Później przychodzi, ogląda i recenzuje bezbłędnie – wie, co jest dobre, wie, co jest złe. I drogą korekt dochodzi do konkretnych rezultatów.

W związku z tym, gdy kształci się reżysera, już na I roku trzeba wziąć pod uwagę jego predyspozycje. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę, z jaką zapoczątkowaną wyobraźnią przychodzi on do szkoły. Przecież to nie jest tabula rasa. Często ma za sobą ukończone studia. Ma to swoje dobre i złe strony. Wbrew pozorom ciężko edukuje się reżyserów po szkołach plastycznych. Ten typ wyobraźni im przeszkadza (bo nie jest to wyobraźnia filmowa). Jest hamulcem, tworzy jakieś kompleksy wobec literatury. A ci, którzy przychodzą po filologiach, myślą już inaczej. Wprawdzie na początku tworzą obrazki pełne symboli, metafor, ale szybko tę dziecięcą chorobę przechodzą i potem pną się w górę.

To wszystko zmusza nas do indywidualizowania toku nauczania. Trudno formować reżyserów według jakiegoś wzoru. Nie jest to zawód taki sam dla każdego. Ma bardzo silne uwarunkowania psychologiczne i bardzo silne uwarunkowania osobowe. Między filmami Barańskiego a nim samym można postawić znak równości. Kiedy ktoś ma jakiś temperament, tak jak Pasikowski czy Polański – widać to na ekranie.

– *U Pasikowskiego nie zauważyłam temperamentu.*

– On jest introwertykiem. Myślę, że u niego kotłuje się wszystko wewnątrz. Ale jest człowiekiem bardzo świadomym tego, co robi. Już pierwszy masterszot to była policja, UB. To energia wewnętrzna – nie tak jak u Polańskiego, którego temperament ujawniał się bardzo zewnętrznie.

Więc ten zawód ma wiele twarzy, wiele odmian – prawdopodobnie tyle, ilu ludzi go uprawia. A to, że niektórzy narzekają? Nie wszyscy wykształceni w szkole filmowej docierają do tego miejsca, które im sprawia zawodową satysfakcję. Życie dokonuje selekcji, chociaż czasami dziwacznej. Te narzekania, o których się pisze, nic nie znaczą. A układy, koterie? Gdzie jak gdzie, ale w tym środowisku jest to egzotyka naturalna, nie do uniknięcia. Jest ona przypisana temu zawodowi i temu środowisku.

– *Jerzy Afanasjew w książce Filmówka mówi: „Kiedy zaczęliśmy studia, nie powiedziano nam, że te wszystkie perypetie,*



*które przechodzimy w szkole z naszymi scenariuszami, są niczym w porównaniu z wejściem w dorosłe życie filmowe. To był wielki błąd, bo wiele osób, gdyby wiedziało, co ich czeka, zrezygnowałoby ze stawiania całego swojego życia na film. Nie powiedziano nam, że całe lata będziemy bez pracy, będziemy się szarpać ze scenariuszami i utrzymywać na minimalnym poziomie egzystencji. Nam wszystkim obiecywano wspaniałe możliwości. A to była nieprawda. Kiedy starałem się o samodzielną realizację, nikt nie był w stanie mi pomóc, nawet moi profesorowie”.*

– Nie do końca wierzę w to, co mówi. Zawsze interesowały nas losy kolegów, którzy wcześniej skończyli szkołę. Odbywaliśmy praktyki. Były sytuacje, które znakomicie informowały nas o tym, co nas czeka. A poza tym, podejmuje się ryzyko i on doskonale o tym wiedział. To nie jest też prawda, że nie ma się środków do życia. Żaden z naszych studentów nie zhańbi się, aby być II reżyserem. Każdy chce być artystą. Woli biedę Modiglianiego niż funkcjonować na zasadzie asystentury. Żadna uczelnia artystyczna nikomu nie obieca kariery i sukcesu. Dotyczy to w takim samym stopniu reżyserów, aktorów, plastyków czy muzyków. Podejmujemy zawodowe ryzyko – albo nam się uda, albo pozostaniemy rzemieślnikami.

– *Egzamin na reżyserię trwa trzy tygodnie. Ostatnią rozmowę kandydata z komisją można by określić krótko – dwudziestu na jednego. I tutaj kandydat musi wykazać się wiedzą, odpornością psychiczną, inteligencją. Nie zaszkodzi, jeśli będzie błyskotliwy i będzie posiadał poczucie humoru.*

– Ale potem w zawodzie też tak jest. Nie wiem, co aktorowi powiedzieć, a powiedzieć coś muszę, muszę pracować szybko, muszę mieć fizyczną wytrzymałość i psychiczną, bo aktor czasami tak kaprysi, że można cholery dostać. Aktor na próbie szybko chce poznać sytuację – gdzie ma usiąść, kiedy wstać. Pamiętam, kiedy wspomniany Afanasjew długo tłumaczył Heniowi Bąkowi, jak ma grać, ten spytał: – No dobrze, ale kiedy mam wstać? – To jest dla niego ważne. I kiedy już opanuje sytuację, pojawia się kryzys: czy to aby dobrze, że tutaj siada, czy aby dobrze, że tak mówi? Wtedy trzeba być taktykiem. Wszystkie te sytuacje w pewien sposób są powtórzeniem tej z trzeciego etapu, czyli można by uznać ją za niezły chrzest.

– *A jak jest z dziećmi reżyserów, które studiują w szkole?*



- Jedni mają kompleks ojca – pewien garb, który szalenie trudno zrzucić (i wielu sobie z tym nie poradziło), a inni to takie „perełki” jak Petelski. Ale powiedzmy też sobie szczerze, że wielu nie prezentuje takich zdolności jak ojciec. Osobiście, tam gdzie mam wpływ – jako dziekan Wydziału Reżyserii – staram się tym dzieciom pomagać, bo jest im trudniej niż innym. Oni potrzebują pomocy psychologicznej, ogromnej wyrozumiałości i ciepła. Niejednokrotnie taki młody człowiek może przedłużyć albo poprawić karierę ojca lub matki.

- *Jolanta Dylewska powiedziała mi kiedyś, że reżyser jest najbardziej samotnym człowiekiem na świecie.*

- Zgadza się. Ci młodzi może jeszcze nie odczuwają takiej samotności, bo jest w nich jeszcze tyle nadziei, tyle planów w głowie, że jeszcze nie czas na pesymizm. Pesymizm pojawia się chyba wtedy, gdy człowiek buduje sobie większy dystans czasowy. Niezależnie od tego, czy jest osobą bardziej refleksyjną, czy cholerykiem, sangwinikiem czy jakby go tam nazwać. Ale jakieś uczucie samotności jest. Ale to są jakby koszty własne tego zawodu. Bo co to jest samotność? Człowiek musi tworzyć pewną „kulę”, w której przebywa i w której koncytuje, buduje pewne obrazy, zachowania. Trzeba wybudować sobie parawan przed otaczającą rzeczywistością, i może nią być rodzina, żona, miejsce (w sensie społecznym).

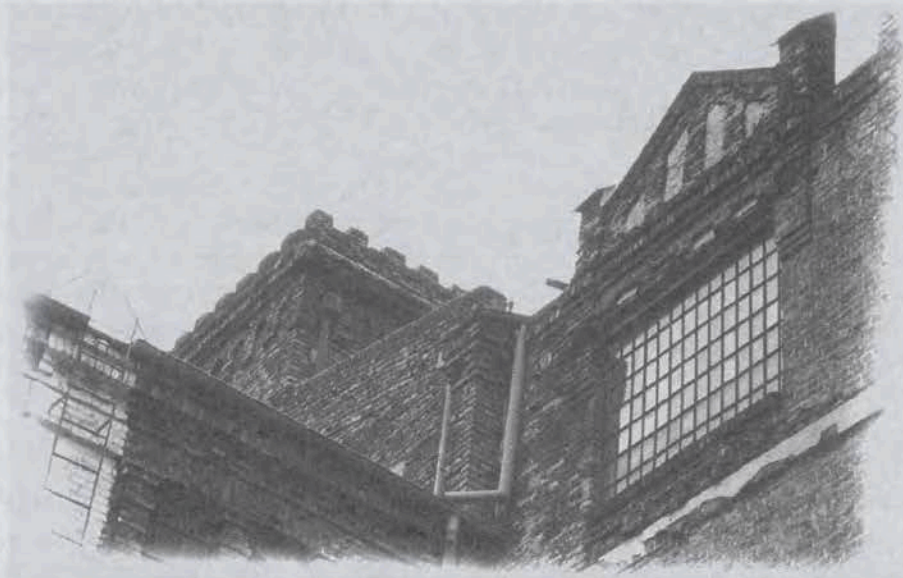
To rzeczywiście w tej fazie tworzenia trochę człowieka „odcina”. Chcę mieć spokój, muszę być skoncentrowany – a koncentrować możemy się tylko w samotności. I to może przejść w pewien rodzaj nałogu, że także wtedy, gdy nie kręci się filmu, ten strumień obrazów, słów, postaci, ciągle przez naszą głowę przechodzi. To może tworzyć wrażenie wyizolowania. Ale równocześnie trzeba być mocno zaangażowanym w życie (jeżeli traktuje się swój zawód poważnie, a nie liczy się na to, że coś spadnie z nieba). Trzeba przez cały czas obserwować ludzi i sytuacje i trzeba to notować, aby nie zapomnieć. Poza tym czasami „kradnie się” pewne rzeczy. Kiedy robię film, przeglądam dziesiątki albumów fotograficznych, malarskich. Nie wstydzę się tego powiedzieć, że gdy robiłem swój drugi film, ukradłem pomysł Breuglowi. Więc samotność to „przeżywanie” tego, co się zebrało – we własną wizję, we własny obraz.

- *A porażki też przeżywa się w samotności?*



– W tym zawodzie satysfakcje przychodzą nie w porę. Czasem, o dziwo, przychodzą za wcześnie, a czasem za późno. Poza tym, kiedy następuje spełnienie, w tym spełnieniu jest zawsze ziarnko goryczy.

Kiedy robiłem swoje filmy, wiedziałem, że sprawią trudność mecenasowi. Cieszyłem się, że zostały skończone. Zawsze były pokazane za późno, ale jednak pokazane. A ja uprawiałem swój zawód nie dla pieniędzy, tylko dla satysfakcji. Realizowałem pewną postawę przekory. Wtedy się wie, że człowiek ma trudną drogę do widza, a może go nawet nie zdobędzie. Ale film musi powstać. Nie po to, aby kogoś zabawić, ale po to, by zademonstrować pewien rodzaj świadomości w tej wspólnocie, w jakiej jesteśmy, pewnej odwagi, pewnej przekory, aby budować jakiś rodzaj sporu. I stąd nie przyjmuje się porażek i sukcesów w sposób standardowy i najprostszy, tylko uznaje się to jako coś wkalulowane w przedsięwzięcie. Nie jest dobrze ani źle. Tak musi być.



Fragment architektury Łodzi przemysłowej

foto: Maciej Rawluk



Maria Kępińska

## Rzeźba jest kształtowaniem przestrzeni

Była wybitną rzeźbiarką z kręgu polskiej i europejskiej awangardy artystycznej. Jej sztuka miała charakter prekursorski, niepowtarzalny, nowatorski. Wyprzedzała swoją epokę. Życie nie szczędziło jej bólu, a dzieje jej twórczości, jak los, były tragiczne. Wyjątkowe dokonania artystyczne jakby pozostawały w cieniu malarstwa i koncepcji estetycznych męża, Władysława Strzemińskiego. Niekiedy była nie w pełni doceniana. Przez córkę Nikę Strzemińską w książkach poświęconych rodzicom, a szczególnie matce, została ukazana w świetle dramatycznej prawdy, która odsłania jej szlachetność, życiową dzielność, hart ducha, niezwykłą osobowość, moc twórczą.

Niewiele jej prac przetrwało. Spuścizna po niej obejmuje zaledwie: 14 „Kompozycji przestrzennych” – odkrywczych rzeźb abstrakcyjnych, 7 aktów (w tym 4 z 1948 r.), 6 prac zrekonstruowano na zlecenie muzeum Sztuki w Łodzi, 3 prace malarskie z lat przedwojennych, 8 rysunków z lat 1947-1949, kilka opracowań typograficznych, reprodukcje 3 zaginionych rzeźb, jednego obrazu, 2 projektów architektonicznych.

Katarzyna Kobro pochodziła z mieszanej rodziny niemieckorosyjskiej, urodziła się 26 stycznia 1898 roku w Moskwie. Dzieciństwo spędziła w Rydze, już w czasie wojny kończyła gimnazjum, maturę zdała 29 maja 1916 r.

Sztuka fascynowała ją od lat młodzieńczych: „Modelowała w chlebie oraz w glinie, rysowała, szkicowała i marzyło się jej, że w przyszłości zostanie rzeźbiarką”.

W czasie I wojny światowej w szpitalu w Moskwie, odwiedzając rannych żołnierzy i pomagając im zmieniać opatrunki, poznała Polaka, Władysława Strzemińskiego, który na skutek wy-



padku we frontowym okopie został ciężko okaleczony. Spędzała z nim dużo czasu. Z entuzjazmem opowiadała mu o swoich fascynacjach rzeźbą. Była piękną, bardzo jeszcze młodą kobietą, miała, jak opisuje ją córka, oryginalną urodę, niezwykle gęste, wijące się, brązowe włosy, szaroniebieskie oczy, zmysłowe usta i dobrą figurę. Rozbudziła w nim pragnienie bycia artystą, pod jej wpływem Strzemiński postanowił poświęcić życie sztuce.

W 1916 r. po maturze K. Kobro rozpoczęła studia na stomatologii, rok później zaprzestała ich, a jesienią 1917 r. podjęła studia artystyczne, rzeźbiarskie w Moskiewskiej Szkole Malarstwa, Rzeźby i Budownictwa. Po rewolucji 1918 roku kontynuowała je w II Państwowych Wolnych Pracowniach Artystycznych. Studiował tam również Władysław Strzemiński. Łączyły ich wówczas kontakty koleżeńskie. Lata tuż porewolucyjne były dla nowoczesnej sztuki burzliwe i twórcze, toczyły się dyskusje, dążono do odkrywania tego, czego dotąd nie było, wprowadzano nowe wartości, nowe formy.

Znaczący wpływ na dalszy rozwój artystki i jej twórcze poszukiwania mieli Kazimierz Malewicz, Władimir Tatlin, Aleksander Rodczenko, Olga Rozanowa, z którymi Kobro zetknęła się w Związku Zawodowym Artystów Malarzy Miasta Moskwy.

Przez trzy lata studiów rzeźbiarskich ukształtowała się jej wizja nowej sztuki. Początkowo pozostawała pod znakiem suprematyzmu K. Malewicza.

Trudności bytowe i głód w Moskwie spowodowały, że artystka przerwała studia i latem 1920 roku wyjechała do Smoleńska. W szkole Ceramiki wykładała rzeźbę, wykonywała plakaty, zatrudniano ją jako dekoratorkę sceniczną w Domu Oświaty.

Podejmuje lub kontynuuje ścisłą współpracę z W. Strzemińskim.

Musiła go bardzo kochać, świetnie się z nim rozumieć, cenić go, ulec jego oddziaływaniu, ale również głęboko wierzyć w życie, mieć wielką odwagę. Mogła wówczas nie przypuszczać, jaki los ją czeka, jaki ciężar bierze na swoje barki, wychodząc za kalekę bez ręki i nogi, poruszającego się o kulach. Miała zaledwie 23 lata, kiedy na przełomie 1921 i 1922 roku wzięli ślub cywilny.

Mieli wspólne mieszkanie i wspólną pracownię: „Całe wnętrze zastawione było jakimiś skrzynkami, kawałkami blachy, trocinami, przedmiotami ze szkła. To była paleta konstruktywizmu”.

W Smoleńsku powstawały nowatorskie dzieła, artyści prowadzili też filię UNOVIS (Krzewicieli Nowej Sztuki), często gościli Kazimierza Malewicza, utrzymywali kontakty z Elizerem Lisic-



kim, Markiem Chagalem. Katarzyna Kobro tworzyła swoje pierwsze konstruktywistyczne rzeźby abstrakcyjne. Pisał o nich (już w Polsce w 1922 r.) W. Strzemiński: „(...) najzdolniejsza z młodych rzeźbiarka Kobro, zjawiskiem o znaczeniu europejskim są jej rzeźby suprematyczne. Jej prace są prawdziwym krokiem naprzód, zdobywaniem wartości niezdobytých (...)”.

W ZSRR przystąpiono do systematycznego niszczenia sztuki abstrakcyjnej, wprowadzono ścisłą kontrolę twórczości artystycznej, podporządkowaną propagandzie komunistycznej. UNOVIS zlikwidowano. Strzemiński namawiał żonę do opuszczenia Rosji. Pragnęli przenieść się do Paryża.

Nielegalnie, przez „zieloną granicę” na przełomie 1921/22 roku przedostają się do niepodległej Polski, aresztowani jako „sowieccy szpiedzy” spędzają kilka tygodni w areszcie. Gdy sprawa się wyjaśniła, pojechali do Wilna, gdzie krótko w 1922 r. wraz z mężem Katarzyna Kobro przebywa u matki Strzemińskiego, a następnie wyjeżdża do Rygi. Dlaczego? Katalog „Katarzyna Kobro 1898-1951. W setną rocznicę urodzin” zawiera wyjaśnienie, że przyczyną wyjazdu była konieczność uregulowania przynależności państwowej, uzyskanie obywatelstwa łotewskiego, a następnie polskiego. Nika Strzemińska stwierdza, że dochodziło do konfliktów w rodzinie, w której „nie znalazła przyjaznego klimatu”. Artystka była osobą wybitną, wrażliwą, ekscentryczną, mówiła bardzo słabo po polsku, nie miała możliwości pracy twórczej. Rozstanie z mężem trwało niemal dwa lata. Nie zachowała się ich korespondencja. Co najmniej raz odwiedziła Polskę i spotkała się z mężem, utrzymywała kontakty z polskimi artystami, była w marcu 1924 roku współzałożycielką grupy BLOK.

29 lipca 1924 r. Kobro i Strzemiński wzięli ślub w kościele rzymskokatolickim w Rydze i wyjechali do Polski. Na ten czas przypada krótka współpraca Katarzyny Kobro z ugrupowaniem BLOK.

Tworzyła rzeźby abstrakcyjne i konstrukcje wiszące. Dzieła z lat 1921-24 należałoby umieścić „wśród konstruktywistów, spadkobierców suprematyzmu malewiczowskiego”.

Już te pierwsze rzeźby zapowiadały oryginalne, naprawdę niepowtarzalne cechy talentu oraz przyszłe nowatorskie dokonania. W latach 1925-1936 Katarzyna Kobro wykonywała, mające doniosłe znaczenie, monochromatyczne oraz barwne kompozycje przestrzenne.

W Polsce Strzemińscy mieszkali na prowincji w Szczekocinach, Brzezinach, Żakowicach, Koluszkach, a od 1931 roku w



Łodzi. Do 1926 r. współpracowali z grupą PRAESENS. Katarzyna Kobro w 1928 r. w Warszawie na wystawie „Salon Modernistów” zaprezentowała rzeźby przestrzenne i rzeźby w gipsie – prawdopodobnie „Akty”. Doświadczenia i dokonania artystyczne poprzedzają wydaną później, w 1931 r. książkę K. Kobro i W. Strzemińskiego *Kompozycja przestrzeni. Obliczenia rytmu czasoprzestrzennego*.

Teoria rzeźby jako kompozycji przestrzeni krystalizuje się pod koniec lat 20., bowiem w ankiecie „Europy” z 1929 roku Kobro pisze: „rzeźba nie jest ani literatura, ani symbolika, ani indywidualną psychologiczną emocją. Rzeźba jest wyłącznie kształtowaniem formy w przestrzeni”.

(...) „Rzeźba stanowi część przestrzeni, w jakiej się znajduje”. „Rzeźba wchodzi w przestrzeń, a przestrzeń w nią”.

W ten sposób Katarzyna Kobro otworzyła rzeźbę na zewnętrzną przestrzeń, odeszła od koncepcji rzeźby jako zamkniętej bryły: „Bryła jest kłamstwem wobec istoty rzeźby. Zamyka ona rzeźbę i oddziela ją od przestrzeni”.

Było to osiągnięcie, które wyprzedzało poszukiwania jej współczesnych. Dopiero w latach czterdziestych Henry Moore i w architekturze Le Corbusier doszli do bardzo zbliżonych wniosków.

Kompozycje rzeźbiarskie K. Kobro miały niewielkie, kilkudziesięciocentymetrowe rozmiary, oparte były na matematycznych wyliczeniach, złotym podziale i ciągu Fibonacciego. Z tego wynikała harmonia proporcji i rytmów, kształtów i przestrzeni. Rzeźby te są tak wytwornie eleganckie, że swoim pięknem dorównują ideałom klasycznym, choć są nieprzedstawiające, abstrakcyjnie, skrajnie nowoczesne, to w swoim dynamizmie zachowują wprost idealną równowagę elementów konstruujących dzieło i przestrzeń.

Codzienne życie artystki było bardzo trudne. Do 1928/29 r. ze względu na słabą znajomość języka nie pracowała zawodowo. Rodzina borykała się z kłopotami finansowymi, ale „była gospodynią umiejącą wyczarować w kuchni »coś z niczego«. Na zabranej z Rygi maszynie do szycia z korbką firmy Singer szyla nowe i stare ubrania”. Ponadto wciąż troszczyła się o męża, który wymagał pomocy „przy licznych czynnościach łatwych dla kogoś zdrowego, a prawie niewykonalnych dla człowieka bez ręki i nogi. (...) Musiała smarować mu chleb, kroić na talerzu każdy kęs jedzenia, wbijać gwoździe w ściany, wieszac na wystawach i w domu obrazy (...), myć pędzle, ostrzyć ołówki”.



W 1929 r. K. Kobro, W. Strzemiński, H. Stażewski założyli grupę „a. r.” – „awangarda rzeczywista”, której celem było propagowanie nowoczesnej sztuki, malarstwa, rzeźby, architektury, poezji. Rozwijali kontakty z awangardowymi ugrupowaniami w Paryżu, zbierali prace ofiarowane przez zagranicznych artystów i tak powstawały zbiory późniejszej międzynarodowej kolekcji sztuki nowoczesnej, którą w 1931 roku ofiarowywali Muzeum w Łodzi. Był to „depozyt stały czyli wiekuisty” grupy „a. r.”. Mimo trudności finansowych Kobro i Strzemiński nie sprzedawali swoich prac, „pojmovali sztukę nie w kategoriach finansowych, lecz ideowych”.

W roku 1928/29 rzeźbiarka rozpoczęła pracę, uczyła w szkole w Koluszkach, a od 1930 r. w Łodzi, brała udział w wystawach, pracach Zrzeszenia Łódzkich Artystów Plastyków. W latach 30. sytuacja materialna rodziny poprawiła się, umożliwiła wypoczynek nad morzem w Chałupach.

Powstawały nowe kompozycje przestrzenne i gipsowe akty. Artystka była już znaną rzeźbiarką, wypowiadała się na tematy związane z nowoczesną rzeźbą: „Lubię zabawiać się korygując to, co nie było zakończone w jakimkolwiek kierunku sztuki dawnej”.

„Istotnym podłożem rzeźby jest przestrzeń i operowanie tą przestrzenią, organizacja rytmu proporcji i harmonia formy związanej z przestrzenią”.

„Rzeźba stanowi część przestrzeni”.

„Jednością kompozycji jest rytm”.

„Źródłem harmonii rytmu jest miara, wynikająca z liczby”.

Była też marzycielką, posiadała wiarę w zmianę koncepcji świata, czemu dała wyraz w swojej wypowiedzi: „realizacja dążeń artystycznych, a więc i rozwój sztuki – nie może być zrealizowany bez zwycięstwa postępowych form organizacji społecznej, otwierających epokę wielkiej budowy życia”.

Na uwagę i podziw zasługują również kubofuturystyczne akty, ukazują, jak świetnie panowała Kobro nad bryłą. Akty charakteryzuje zadziwiająca harmonia rytmów, prawie klasyczna prostota relacji kształtów kobiecego ciała, piękno syntetycznie ujętej formy. Operując bryłą, różnicuje ją, poddaje oddziaływaniu wewnętrznych zależności kompozycyjnych i zewnętrznej przestrzeni. „Rzeźba rzeźbi przestrzeń”. Układy elementów kompozycji bryły wychodzą od proporcji ciała kobiety, ale prowadzą do artystycznego ich uogólnienia oraz tworzą niezwykle nastroj liryzmu, ciepła i miłości życia, ale jednocześnie dramatyzmu i wzruszającej bezbronności. I samotności.



W listopadzie 1936 roku Katarzyna Kobro urodziła córkę – Nikę. „On nigdy nie chciał dziecka. Jego matka mówiła, żebym nigdy nie miała dziecka, żebym się tylko troszczyła o Władka. I ten Wladek był dla mnie dzieckiem. Myślałam, że potrafię zagłuszyć instynkt macierzyński. Nadeszła jednak chwila, kiedy zrozumiałam, że i ja muszę spełnić naturalne prawo kobiety”. (Po wielu długich latach, tragediach rodzinnych córka właśnie upamiętniła życie rodziców, stworzyła dojmujące ich wizerunki, przez prawdę o nich uczyniła ich bardziej bliskimi ludziom zainteresowanym ich sztuką.) „W latach 1937-1947 nastąpiła przerwa w twórczości matki. Powodem była ciężka choroba przedwcześnie urodzonej córki (...), później wybuch II wojny światowej, dotkliwa nędza, w jakiej nasza rodzina wegetowała, a następnie brzemenny w skutki konflikt między rodzicami i nadejście okresu stalinowskiego”.

W konflikt ten być może uwikłali się już we wrześniu 1939 r. Kiedy wybuchła wojna, opuścili Łódź: „Mój mąż przekonywał mnie, że trzeba się ratować od bomb. Rzuciliśmy się na Kresy. On niczego nie niósł, ja wszystko i dziecko. Po ośmiu dniach bombardowań dojechaliśmy do Wilejki. Po tygodniu czy dwóch, nie pamiętam, przyszli Rosjanie”. Dalej Kobro pisze: „(...) było 45 stopni mrozu, a moje dziecko było zawsze w ciepłe, nakarmione (...). Mnie ludzie dawali drzewo, a ja je na sankach woziłam z odległości trzech, a nawet pięciu kilometrów. Chodziłam do bogatych, sparaliżowanych staruszek masować im nogi za talerz makaronu dla dziecka. (...) Strzeмиński radził mi zapisać się jako Polka. Zapisałam się jako Rosjanka. Kiedy po Bożym Narodzeniu były wysiedlenia, a za ścianami przeprowadzano rewizję, on błyskawicznie spalił moją metrykę urodzenia w Moskwie i akt ślubu ze Smoleńska. (...) Dziewczynka była malutka. Jedno jedyne prześcieradło przekroiłam na pół i zrobiłam jej dwa. Strzeмиński spał na łóżku z siatką, siennikiem i baranica, a przykrywał się kocem, a ja zaś na żelaznych prętach, bo siennik był zupełnie pusty. Nakrywałam się płaszczem”.

Strzeмиński pracował, ale rodzina przeżyła ciężką zimę 1939/40 dzięki trosce, wysiłkowi, poświęceniu tej dzielnej kobiety, która miała „czerwone, do krwi popękane od mrozu ręce. Ręce, którymi jeszcze niedawno tworzyła kompozycje przestrzenne i akty,” „sine plamy na nogach, powstałe wskutek odmrożenia”.

Po 9. miesiącach pobytu w Wilejce postanowili powrócić do Łodzi. Wracali bydłocymi wagonami, dla córki „matka wymościła posłanie na pokrywie walizki, wsuniętej w róg wagonu”.



W okupowanej Łodzi artystkę nakłaniano do podpisania volklisty, przypomniano niemieckie pochodzenie, von przed nazwiskiem dziadka, grożono. By chronić dziecko, Kobro i Strzemiński podpisali tzw. listę rosyjską. Korzystali z jednego przywileju – większych przydziałów żywności. Odrzucili propozycję powrotu do mieszkania zajmowanego przed wojną. Hitlerowcy rzeźby Kobro wyrzucili „gdzieś na wysypisko śmieci”, sztukę nowoczesną tępil jako „Entartete und judische Kunst”, potępiali jako zdegradowaną, „wypociny chorego mózgu”, dążyli do jej całkowitego zniszczenia. Rzeźbiarka uratowała obrazy męża, swoich rzeźb szukała wśród nieczystości. Wydobyła je spośród śmieci, oczyściła i szczęśliwie dowiozła do domu. Ukryła dzieła męża i własne w piwnicy pod podłogą kuchni.

W czasie okupacji artystka, żeby utrzymać rodzinę, szła za bawki: „miśki, kotki, pieski, lalki i zające. (...) Jako zapłatę dawano jej pieniądze, żywność albo używane rzeczy. (...) Mając nieco więcej jedzenia (...) matka dzieliła się z biedniejszymi”. Nosiła też żywność dla przechowywanej u znajomej lekarki Żydówki. Była więc nie tylko szlachetna, ale i odważna. Wspólnie z mężem wykonywali torby, które sprzedawali, aby zarobić na życie. W styczniu 1945 roku Katarzyna Kobro w desperacji porąbała na opał swoje drewniane rzeźby z lat 1925-28 z takim trudem uratowane przed zniszczeniem przez hitlerowców”. Może w ten sposób protestowała przeciw zapomnieniu o niej jako artystce i podświadomie manifestowała, że nie zginął w niej stłamszony latami okupacji talent (...)?”

„Codzienne zdobywanie środków do życia dla siebie i dziecka doprowadziło do sytuacji krańcowej. W chwili zakończenia wojny Strzemińscy są ciężko chorzy. Wyczerpanie biologiczne i nerwowe sprzyjało powstawaniu konfliktów, doprowadziło do rozłamu w długoletnim małżeństwie”. Nika Strzemińska nie zataja prawdy, choć jest ona bardzo bolesna: „nie było dnia bez awantur i różnego rodzaju scysji. (...) Myślę, że znaczący wpływ na tak złe stosunki miało podpisanie przez ojca, polskiego patriotę, rosyjskiej listy. Czuł się pewnie zdrajcą. (...) Za własne przykre doznania winił przede wszystkim matkę”.

Po wyzwoleniu artyści ofiarowali cały swój ocalony dorobek twórczy Muzeum Sztuki w Łodzi.

Podczas urządzania pracowni Strzemińskiego Kobro uległa wypadkowi i musiała w szpitalu przejść operację nogi.

Od jesieni 1945 roku Władysław Strzemiński pracuje w nowo otwartej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi.



Katarzyna Kobro twierdziła, że z winy męża nie dano jej katedry rzeźby w tejże uczelni. „Krótko po wyzwoleniu z Ministerstwa Kultury i Sztuki zwrócono się do Związku Plastyków w Łodzi o opinię na temat powierzenia jej katedry rzeźby. (...) Ojciec sprzeciwił się stanowczo. (...) Twierdził, że jego żona wynaradawia dziecko, wpajając w nie miłość do Niemców i Rosjan oraz niechęć do wszystkiego, co polskie”. W styczniu 1947 r. Strzeмиński złożył wniosek w sądzie przeciwko K. Kobro o pozbawienie jej praw opiekuńczych nad córką. Artystka przeżyła to jak wstrząs: „Oskarżył mnie człowiek, z którym żyłam ponad 20 lat. (...) Teraz stoję przed ruiną całego swojego życia”. Pod koniec roku akademickiego 1946/1947 Strzeмиński opuścił żonę, wyprowadził się, pozostawił ją bez środków do życia. Wraz z córką żyły w nędzy. Kobro nie poddała się, szyla i sprzedawała zabawki.

Kiedy w styczniu 1948 roku uprawomocnił się wyrok przyznający jej prawa opiekuńcze do córki, powróciła do pracy twórczej. Wykonała cztery wspaniałe akty. „W stylu późnego kubizmu. (...) Kontrasty form półkolistych i ściętych, zaznaczający się światłocieniami spowodowany grą wypukłości i wklęsłości. (...) Akt dziewczęcy jest inny (...) zapowiada może powrót do myślenia w kategoriach i przestrzeni, może nową czasoprzestrzenność, lecz odnoszącą się do ciała”.

Późną jesienią 1948 roku Katarzynę Kobro dosięgnął następny cios. Prokuratura rozpoczęła dochodzenie w sprawie listy rosyjskiej, podpisanej w czasie okupacji. 9 maja 1949 roku skazano rzeźbiarkę na 6 miesięcy więzienia. „Nie była w stanie prześpać ani jednej nocy”. W lutym 1950 roku po wniesionej apelacji Kobro uniewinniono.

W czerwcu 1949 r. ukończyła kurs zorganizowany przez Kuratorium w Łodzi i uzyskała prawo do nauczania języka rosyjskiego, jesienią zatrudniono ją w I szkole TPD jako kontraktową nauczycielkę rosyjskiego i rysunków.

W 1950 roku Strzeмиńskiego wyrzucono z pracy, z dnia na dzień pozbawiano środków do życia.

1 października 1950 r. z Muzeum Sztuki w Łodzi usunięto z ekspozycji dzieła tych nowatorskich twórców, salę neoplastyczną zamalowano, rzeźby Katarzyny Kobro „powędrowały do magazynu”.

Artystka była już ciężko chora na raka. Dotkliwie cierpiąc zmarła 21 lutego 1951 roku w samotności i opuszczeniu.

Pochowano ją na prawosławnym cmentarzu Doły na koszt państwa.

Jej twórczość skazano na zapomnienie.



Po zmianie politycznej w październiku 1956 r. rozpoczął się tryumfalny powrót jej sztuki wystawianej nie tylko w kraju, ale i za granicą. Wciąż podkreśla się, że swoimi odkryciami artystycznymi, „wynałazkiem formy” tak nowatorskiej torowała drogę rozwojowi rzeźby współczesnej.

Katarzyna Kobro „istnieje w świadomości zarówno krytyków i historyków sztuki, jak i zwykłych ludzi poruszonych jej powikłanym, trudnym, tragicznym losem”.

#### Bibliografia

K. Kobro, *Rzeźba i bryła*, Warszawa 1929, [w:] N. Strzemińska *Katarzyna Kobro*, Warszawa 1999.

*Katarzyna Kobro 1898-1951. W setną rocznicę urodzin*, Muzeum Sztuki w Łodzi, 1998-1999.

W. Strzemiński „Zwrotnica” nr 4, 1923, [w:] N. Strzemińska, *Miłość, sztuka i nienawiść*, Warszawa 1991.

J. Zagrodzki, *Katarzyna Kobro. Kompozycja przestrzeni*, Warszawa 1984.

J. Ładnowska, *Katarzyna Kobro. Zarys twórczości*, [w:] *Katarzyna Kobro 1898-1951. W setną rocznicę urodzin*, s. 71.





Stara architektura Łodzi

foto: Tadeusz Karpiński



Wojciech Żródlak

## TEODOR WILENSKI – łódzki malarz

„W Radogoszczu był też malarz, Żyd, Teodor Wileński, który malował portrety i karykatury załogi więzienia. Pelzhausen [komendant więzienia radogoskiego – W. Ż.] nawet zdaje się, tak przynajmniej wydawało się, bardzo go lubił. Pił z nim wódkę, dawał papierosy. Pewnego dnia jeden z Niemców dał Wileńskiemu kawał mięsa, co zauważył Pelzhausen. Rozpoczął „maneż” z Wileńskim, który trwał 3 dni, żądając od Wileńskiego, by powiedział, kto dał mu to mięso. Człowiek ten był w okropnym stanie: posiniaczony i pokrwawiony. Lekarz więzienny dr Winter skierował go w czasie nieobecności Pelzhausena do szpitala w Radogoszczu. Gdy Pelzhausen stwierdził brak Wileńskiego, kazał go sprowadzić z powrotem do więzienia i dalej go bił. Na drugi dzień lekarz wysłał go do szpitala w łódzkim getcie. Potem dowiedziałem się, że Wileński zmarł w tym szpitalu na skutek ran”<sup>1</sup>.



Więzienie na Radogoszczu (foto archiw.)

<sup>1</sup> Zeznanie Bolesława Kowalczyka, kupca, więźnia Radogoszcza w okresie od czerwca 1941 do 22 kwietnia 1942 r. [w:] Maria Nowacka, *Radogoszcz*, Łódź 1948, s. 86.



Zrzadzeniem losu najlepiej znane są ostatnie miesiące życia Teodora Wilenskiego<sup>2</sup>. Ta działalność i drastyczność okoliczności, w jakich poniósł śmierć, sprawiły, że jego nazwisko stale przewija się we wspomnieniach i zeznaniach więźniów „Rozszerzonego więzienia policyjnego w Radogoszczu” (Erweitertes Polizeigefängnis, Radegast) na przełomie lat 1941 i 1942 r. Można by rzec, że jego osoba nierozzerwalnie związała się z tym tragicznym miejscem, stąd nasze zainteresowanie nim oraz to, że wymieniany jest jako przedstawiciel łódzkiego środowiska plastycznego. Z wcześniejszego okresu życia T. Wilenskiego zachowały się jedynie okrucy informacji, które tu pieczołowicie pozbieraliśmy.

Teodor Wilenski urodził się około (ale bardziej prawdopodobne jest, że dokładnie w) 1886 r. w Szczurzynie (d. woj. ciechanowskie). Był synem Szlomy i Bally G. Lampert. W dniu 25 października 1915 r. zawarł w Łodzi związek małżeński z Rosą Strumpf, lat 25<sup>3</sup>. W następnym roku urodziło się ich prawdopodobnie jedyne dziecko – syn Mosze<sup>4</sup>. W jego akcie urodzenia zapisano, że ojcem był Teodor Wilencki, artysta-malarz. O zajęciu matki nie wspomniano. Prawdopodobnie można je określić jako „gospodyni domowa, przy mężu”.

Nie zdołano ustalić, jakie wykształcenie ogólne i plastyczne posiadał T. Wilenski, ale na pewno nie ma jego nazwiska w spisach absolwentów krakowskiej i warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Prawdopodobnie był samoukiem, który pogłębił swoje umiejętności na jakimś kursie rysunków czy malarstwa.

Poszukiwania jakichkolwiek większych prac T. Wilenskiego zakończyły się niepowodzeniem. Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że nie należał do znanych przedstawicieli łódzkiego środowiska plastycznego przed I wojną światową, ani nie obracał się w jego kręgu<sup>5</sup>. Podobnie było w okresie międzywojen-

---

<sup>2</sup> W cytowanym powyżej zeznaniu użyto formy nazwiska „Wileński”, ale problem poprawnej pisowni jego imienia i nazwiska jest nadal kwestią dyskusyjną. Tu przyjęliśmy formę „Teodor WILENSKI”, tak bowiem są sygnowane jego rysunki wykonane w ostatnich kilku miesiącach życia. W dokumentach i publikacjach pojawiają się inne formy: Wilencki Tewel, Wilencki Teodor, Wileński Tewel, Wileński Teodor. Mamy tu do czynienia z często spotykanym problemem spolszczania imion i nazwisk żydowskich, w którym gubili się również ich posiadacze.

<sup>3</sup> USC-Łódź, „Księga wyznań niechrześcijańskich”, rocznik 1915: akt ślubu.

<sup>4</sup> USC-Łódź, akt urodzenia Mosze Wilenckiego, nr 1644/16.

<sup>5</sup> Porównaj: Jacek Strzałkowski, *Artyści, obrazy i zbieracze w Łodzi do 1918 roku*, Łódź 1991.



nym, chociaż tu pojawia się pewien ślad: cytowany wyżej były więzień Radogoszcza – Bolesław Kowalczyk – podczas procesu komendanta więzienia radogoskiego stwierdził, że Wilenski był przed wojną karykaturzystą łódzkiego „Głosu Porannego”<sup>6</sup>. Jednak przejrane roczniki z lat trzydziestych tej gazety, wraz z wydawanym przez jakiś czas dodatkiem ilustrowanym, nie potwierdziły tej informacji.

W „Księdze adresowej m. Łodzi, 1937-1939” znajdujemy informację, że Wilenski mieszkał przy ul. Legionów 8a. Nie ma już dziś tego domu; został rozebrany podczas poszerzania ul. Zachodniej w połowie 1965 r. Dziś, mniej więcej w tym miejscu, stoi pawilon dużej kwiaciarni.

Kolejny trop poszukiwań informacji o Teodorze Wilenskim powiódł nas w kierunku łódzkiej oświaty wraz z domniemaniem, że praca oświatowa mogła być jego dodatkowym źródłem dochodów, o ile rzeczywiście twórczość plastyczna miała być jego głównym źródłem aktywności zawodowej.

Niestety brak tu jakiegokolwiek śladu, że pracował w którejś z publicznych szkół w Łodzi, jakkolwiek nie wykluczamy, że mógł pracować w jakiejś prywatnej szkole żydowskiej. Tak samo nie odnaleziono żadnej z jego większych prac malarzkich, nie natrafiono również na ślad uczestnictwa w jakichkolwiek zbiorowych wernisażach, a tym bardziej w wystawach indywidualnych. Nie są również znane innego rodzaju jego prace plastyczne, na przykład polichromie.

W tej sytuacji niestety jesteśmy zdani na ocenę Jego talentu wyłącznie na podstawie prac, które się zachowały. Prawie wszystkie znajdują się w zbiorach Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Większość to portrety współwięźniów, rysowane ołówkiem, niektóre lekko podkolorowane kredką, na przypadkowych kartkach formatu A-6. Do dnia dzisiejszego ujawniono osiem rysunków współwięźniów T. Wilenskiego<sup>7</sup>.

---

<sup>6</sup> Według relacji „Głosu Robotniczego” z 11 IX 1947, nr 250, s. 1.

<sup>7</sup> Portrety: Tadeusza Kotlarka (sygn. M-3197), Mariana Wasiuka (??), sygn. M-3182, Antoniego Wawrzyniaka (sygn. D-296), Stefana Stęporka (sygn. M-1073), Tadeusza Klimczaka (sygn. M-1679), Leona Tomczka (sygn. I-10585; tzw. Czarna księga Radogoszcza, k. 111), Mirosława Włodarczyka (sygn. M-3183) oraz Michała Barana (w oprac.). Portret Edwarda Niesobskiego (w posiadaniu rodziny) został opublikowany w: Edward Niesobski, Jadwiga Pfeiferówna, *Dziennik harcerza i „Szarotki”*, Gdańsk 1986, wkładka ilustracyjna. Trwają działania w kierunku pozyskania tego rysunku do zbiorów MTN-Łódź.





Jeden z ośmiu znanych portretów współwięźniów wykonanych przez Teodora Wilenskiego w więzieniu radogoskim

Największą jego pracą znaną obecnie jest portret żony i córek współwięźnia – Leona Seniwa, narysowany na kartonie o wymiarach 42 x 59 cm<sup>8</sup>. Praca musiała powstać na podstawie fotografii rodzinnej będącej w posiadaniu tego więźnia.

Ciekawą pracą jest studium portretowe głów kilku współwięźniów, wykonane ołówkiem na kartce formatu A-5<sup>9</sup>. Być może jest to pierwsza praca T. Wilenskiego, w której próbował zamysłu wykonywania portretów współwięźniów w więzieniu radogoskim

Wszystkie wymienione tu prace są sygnowane wyraźnym podpisem autora oraz rokiem wykonania. Większość pochodzi z roku 1942, jedynie portret rodziny L. Seniwa został wykonany w 1941 i tym samym określa przybliżony czas w jakim T. Wilenski dostał się na Radogoszcz.

Na podstawie wspomnień jednego z portretowanych – Stefana Stęporka z Łodzi – wiemy, w jakich okolicznościach zostały wykonane główne prace Teodora Wilenskiego, portreciki współwięźniów. W połowie 1942 r. nastąpiła ostateczna adaptacja ze-

<sup>8</sup> W zbiorach MTN-Łódź, sygn. M-3329.

<sup>9</sup> W zbiorach prywatnych, z nadzieją pozyskania do zbiorów MTN-Łódź.



społu dawnych zabudowań fabryki Samuela Abbego do nowego (od początku 1940 r.) celu, jakim było więzienie. Najbardziej istotna, z punktu widzenia więźniów, była zabudowa (do 1/2 wysokości) dużych fabrycznych okien na poszczególnych salach w budynku głównym. W tym celu praktycznie wszystkich ówczesnych więźniów zgrupowano w parterowej hali stojącej obok budynku głównego, którą więźniowie nazywali budynkiem „pod szklanym dachem”, bowiem posiadał on charakterystyczny szedowy dach. Przebywali oni tu przez okres około dwóch-trzech miesięcy w fatalnych warunkach sanitarnych i bytowych. Wszyscy przebywali na jednej ogólnej sali, na przestrzeni której stały jedynie nieliczne metalowe słupy podtrzymujące dach.

Na środku sali, na położonych bezpośrednio na betonowej podłodze siennikach, zgrupowano większość ówczesnego stanu więźniów, co najmniej 500 osób, na powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych. Pod ścianami leżeli chorzy więźniowie, niektórzy poważnie.

Więźniowie otrzymywali raczej żywnościowe nie pozwalające na zaspokojenie głodu, który potęgowało prawdopodobnie ograniczenie w tym czasie ilości otrzymywanych paczek. Konieczność zachowania kontroli nad tak dużą grupą więźniów była przyczyną, że jedynie raz na kilkanaście dni więźniowie byli wypuszczani na spacer. Ponieważ był to okres letni, na sali było niemożliwie duszno. W tych warunkach Teodor Wilenski wykonywał, za kawałek chleba, portrety współwięźniom.

Po jednym ze spacerów wspomniany już Stefan Stęporok, wówczas 39-letni mężczyzna, napisał na swoim portreciku: „Nie śmierć straszna, lecz powolne konanie”. Portrecik ten miał być ostatnią pamiątką po nim dla matki. Taż inskrypcja, nie wiadomo czemu, dała asumpt do pomyłkowego uznania, że jest to autoportret T. Wilenskiego.

Sprawa wyjaśniła się dopiero podczas otwarcia wystawy czasowej z okazji pięćdziesiątej rocznicy stycziowej masakry w więzieniu radogoskim, w salach obecnego muzeum radogoskiego, na której pojawił się Stefan Stęporok<sup>10</sup>.

Na podstawie ustalonych po latach losów niektórych więźniów, którym T. Wilenski wykonał portrety, można przyjąć, że był on więziony na Radogoszczu od lipca 1941 r. do czasu zamordowania go przez komendanta więzienia – Waltera Pelzhausena – w IV kwartale 1942 r.

---

<sup>10</sup> MTN-Łódź, sygn. A-8110 (relacja S. Stęporoka).



Zachowane prace wskazują na to, że T. Wilenski był raczej sprawnym rzemieślnikiem niż twórczym artystą-malarzem. Ze względu na miejsce zamieszkania można domniemywać, że przede wszystkim obracał się i pracował w środowisku nieboga-tych łódzkich Żydów, wykonując dla nich prace o bliżej nieokreślonej tematyce. Można przypuszczać, że były to jakieś portrety i „landszafty”. Nie podzielił losu współwyznawców, bowiem nie znaleziono jego nazwiska w spisie mieszkańców łódzkiego getta<sup>11</sup>, ale nie zdołano również ustalić, w jakich okolicznościach został osadzony w więzieniu radogoskim.

Jeżeli rzeczywiście zmarł w szpitalu gettowskim przy ul. Łą-giewnickiej w tym czasie<sup>12</sup>, to na pewno został pochowany w jed-nym z masowych grobów na cmentarzu żydowskim w Łodzi.

Być może ta publikacja pozwoli na uzupełnienie tej tragicznej biografii oraz przyczyni się do ujawnienia nieznanych prac tego Autora<sup>13</sup>.

---

<sup>11</sup> *Lodz - names list of the ghetto inhabitants, 1940-1944*, Jerusalem 1996. Egzemplarz m.in. w bibliotece Archiwum Państwowego w Łodzi.

<sup>12</sup> Nie odnaleziono jego nazwiska w „Księdze zmarłych łódzkiego getta” [w]: Archiwum Państwowe w Łodzi).

<sup>13</sup> Prosimy o ewentualny kontakt z oddziałem „Radogoszcz” Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi, ul. Zgierska 147, tel. 657-93-34 lub 655-36-66.



## DO PROF. DR. JANUSZA DUNINA

### List otwarty

*Szanowny Panie Profesorze!*

Jest Pan, nie tylko w Łodzi, uznanym autorytetem i znawcą wszystkiego, co z książką związane, bibliologiem, kolekcjonerem, pedagogiem i publicystą. Niejednokrotnie podziwiałem Pańską, rzadką już dziś, erudycję i świetne pióro. Toteż z radością przyjąłem onegdaj Pańską zapowiedź spisania swoich wspomnień o niektórych Łodzianach z kulturą tego miasta związanych. Pomyślałem – któż inny zrobi to lepiej? I oto mamy pierwszą tego jaskółkę – wspomnienie o Romanie Kaczmarku, zamieszczone nie w jakimś kolorowym tygodniku, lecz w... „Kronice Miasta Łodzi”, w czasopiśmie, którego tytuł, jakby się mogło wydawać, zobowiązuje.

Wspomnienie, pomimo całego uroku Pańskiego gawędziarstwa, zaskoczyło mnie, a niektóre w nim stwierdzenia zdumiały. Losy mego bibliotekarskiego żywota sprawiły, że przez 10 prawie lat pracowałem pod kierunkiem R. Kaczmarka w Miejskiej Książnicy, aż do Jego przejścia na emeryturę. Przez kilka lat byłem Jego, chyba dość bliskim, współpracownikiem. Czy znałem Go dobrze? Na tyle, na ile pozwalała służbowa zależność i dystans wieku. Na pewno nigdy nie odważyłbym się mówić o Jego życiu prywatnym czy rodzinnym. Nie dlatego, że Dyrektor nigdy spraw rodzinnych nie czynił przedmiotem publicznych dysput, ale dlatego, iż uważam, że nawet osoba tzw. publiczna ma prawo do ochrony swojej prywatności. Niemniej jednak prawie codzienny kontakt przez te lata, w najróżniejszych, bardziej lub mniej oficjalnych, okolicznościach pozostawił w mojej pamięci obraz Dyrektora, Działacza, Bibliofila, Bibliotekarza, a przede wszystkim Człowieka – nieco inny. I choć nie wyznaję zasady, że o nieobec-



nych należy mówić tylko dobrze, to jednak sędzę, iż do oceny człowieka przydaje się nieco większy dystans czasowy i chyba nieco większy obiektywizm i umiar w ferowaniu ocen.

Trudno zgodzić się z metodą, którą przyjął Pan przy opisywaniu łódzkiego świątka i ludzi. Metoda skądinąd urocza i wymarzona na długie wieczory przy kawie czy herbacie. Dla rozbicia jakichś ponoć mitów ucieka się pan do plotki, nobiletując ją do metody poznawczej, za pomocą której ściiera Pan jakoby politurę pokrywającą sprawy i ludzi. To, że metoda ta może nie tylko niszczyć pamięć o nieobecnych, budować zniekształcony jego obraz, ale i ranić bliskich mu ludzi jeszcze żyjących, ponieważ nie się zbyt dużo podtekstów, by nie powiedzieć oskarżeń – staje się już mniej ważne. Ta metoda dziś, niestety, zyskała prawo obywatelstwa i rozpleniła się nad miarę, a stosują ją opisywacze nie tylko rzeczy i ludzi minionych, ale i współczesnych. Pańskie „odbrązawiające” wspomnienia też noszą aż nazbyt wiele jej śladów. Uciekając od poetyki nekrologów, wpadł Pan, jak się wydaje, w pułapkę własnej, uroczej skądinąd poetyki gawędy, której szkieletem i budulcem jest anegdota i plotka – poetyki, jako się rzekło, dziś dość powszechnej, by nie powiedzieć modnej.

Pomijając drobne złośliwości warto zwrócić uwagę na kilka spraw o nieco większym ciężarze gatunkowym. Jak z tekstu wynika, najbardziej niepokoją Pana: niczym nieokiełznana chęć zbieractwa R. Kaczmarka, niespełnione acz olbrzymie Jego ambicje naukowe oraz chęć czy umiejętność koegzystencji z tzw. władzą, niezależnie, jakiej była ona proveniencji.

Faktem jest, że R. Kaczmarek należał do grona kolekcjonerów niecodziennych. Ale ten typ zbieracza nie jest czymś wyjątkowym zapewne wśród grona znanych Panu kolekcjonerów. Dlatego dziwi nieco wielce krytyczny, by nie powiedzieć przesmiewczy, stosunek do zbieractwa i „bezlitosnego łapania” wszystkiego, co się da, u Pana – znanego zbieracza i kolekcjonera oraz świetnego znawcy psychologii tego typu ludzi. Konia z rzędem temu, kto wskaże kolekcjonera, który jest wolny od tych słabości.

Natomiast dwie pozostałe cechy przypisywane R. Kaczmarkowi, którym Pan poświęca wiele miejsca, zastanawiają łatwością, i jednoznacznością prawie, osądu w sprawach wielkiej wagi dla każdego. Podkreślanie swoistej ochrony, z jaką spotykał się On ze strony władz okupacyjnych jako nie „niebezpieczny”, a zdolny pracownik Archiwum i „gorliwy wykonawca zaleceń władz okupacyjnych”, brzmi źle, by nie powiedzieć oskarżycielsko. Po-



wielanie takich zasłyszanych informacji, nawet przy herbatce „u cioci na imieninach”, jest dość ryzykowne. Jesteśmy obecnie nader często świadkami takich właśnie „dowodów” i ludzkich tragedii z tym związanych. Uliczne anegdotki to żadne źródło wiedzy.

Kontynuacją tej umiejętności spokojnego współżycia z władzą ma być wg Pana działalność polityczna R. Kaczmarka po wojnie. Znow konstrukcja tyle logiczna, co karkołomna. Skoro tak dobrze układało się Jego współżycie z ówczesną władzą, skoro tak mocno „trwał w tym, co się nazywało PRL-owską nomenklaturą”, to dość dziwne wydają się niezaspokojone jakoby a wielkie ambicje naukowe „Profesora”, który „pragnął się plasować w świecie nauki”. Przecież przy jego znacznym i znaczącym, co sam Pan przyznaje, dorobku publikacyjnym i naukowym oraz świetnych układach z władzą nic nie stało na przeszkodzie w zdobyciu „na skrót” doktoratu, nie mówiąc o tytule tzw. marcowego docenta. Mógł to zrobić wszędzie, niekoniecznie na łódzkim Uniwersytecie. Tak jak to robiło wielu „uczonych” w tamtych czasach, których nazwiska dla nikogo dzisiaj nie są tajemnicą. Wszak nomenklatura potrafiła dbać o swoich równie dobrze, jak robią to dziś niedysiejsi towarzysze broni. A jednak On nie wykorzystał tego i, wg mojej pamięci, wcale nad tym nie ubolewał aż tak bardzo, choć planów naukowych miał, rzeczywiście, wiele. A ze swojego miejsca „u władzy” czy „przy władzy” potrafił wyciągnąć wiele korzyści, ale... dla Biblioteki. To były naprawdę dobre lata dla tej instytucji. Nie przypominam sobie, żeby sam opływał w wielkie dobra. Skromny w sposobie bycia, bez samochodu, bez willi. Jedynie, co pozostawił po sobie, to książki. Ale gdzie te legendarne zbiory, które „nigdy w całości nie wypłynęły”, jak sam Pan przyznaje? Do równie legendarnego Jego magazynku w Bibliotece nie trzeba było się włamywać. Wszystko, co w nim było – zostało w zbiorach. Większość zbiorów domowych, zgodnie z wolą Rodziny, też trafiła do Biblioteki.

Dlatego nie można patrzeć na objęcie stanowiska Dyrektora Biblioteki jak na zwyczajną pokoleniową zmianę warty, tego nie rozumiem. Przecież J. Augustyniak, niezwykle zasłużony dla miasta i dla Biblioteki człowiek, o którym nb. do dziś też nie mówimy inaczej niż Profesor, odchodził na zasłużoną emeryturę później niż ktokolwiek inny. Na dodatek przypisywanie R. Kaczmarkowi (choć tu kontekst nie jest jasny) – człowiekowi znakomitej erudycji i kultury, fatalnie brzmiących słów o „dybaniu na stanowisko” jest po prostu niesmaczne.



Los chciał, że wspólnie z Dyrektorem R. Kaczmarkiem na początku lat siedemdziesiątych podjęliśmy pracę nad łódzką bibliografią regionalną w Bibliotece Miejskiej. Oczywiście dla nas była sprawa, że przede wszystkim należy ustalić zasady współpracy na tym polu z Biblioteką Uniwersytecką. Na długo pozostaną mi w pamięci rozmowy na ten temat prowadzone w BUŁ. I dlatego nie można zgodzić się ze stwierdzeniem: „nie potrafił też doprowadzić do rzeczywistej, a nie fasadowej współpracy bibliotek Łodzi, znaczna część prac bibliograficznych była dublowana w placówkach Miasta i Uniwersytetu”. Nie zapominajmy, że taka decyzja zależała od wielu czynników, a przede wszystkim także i od Dyrektorów innych pałaczków. Z dyr. R. Kaczmarkiem zrobiliśmy wtedy wszystko, co można było zrobić, a plonem tego jest kilka roczników bibliografii regionalnej przygotowanej w Bibliotece Miejskiej. Dyrektor R. Kaczmarek odszedł przed 15 laty, a bibliografii regionalnej Jego następcom nie udało się pchnąć o wiele dalej. Bibliografia regionalna to rzeczywiście mało chlubna karta łódzkiego środowiska bibliotekarskiego, ale, jako żywo, trudno wskazywać R. Kaczmarka jako winnego. Gdyby przyjąć Pańską konwencję, można byłoby tu wymienić wiele nazwisk.

Zastanawia też Pańskie stwierdzenie „...gorzej oceniali ten czas ludzie pragnący w Bibliotece Miasta pracować nad dziejami regionu. Tu również czytelnikiem posiadającym nie tylko pierwszeństwo, ale często i wyłączność pozostawał sam dyrektor Kaczmarek”. Nie tylko ja, ale i inni pracownicy Biblioteki, którzy Go znali i pamiętają, zastanawiamy się, którym to badaczom takie kłody pod nogi rzucał. Bez przesady! Cóż on zresztą, tak naprawdę, mógł uczynić będąc tylko Dyrektorem Biblioteki, której zbiory regionalne były bogate, ale przecież nie jedyne. To prawda, że „Lodzer Anzeiger” był przez Niego specjalnie chroniony, choć nie do tego stopnia, jak Pan to opisuje – ale prawdą jest też, że dzięki Niemu ten unikatowy rocznik do Biblioteki Miejskiej trafił. Taką drogę przeszło wiele cennych zbiorów, nie tylko regionalnych, które dziś stanowią o wartości Miejskiej Książnicy. Do rzadkości we współczesnym bibliotekarstwie należy fakt, że prawie każdy nowo kupiony wolumin ma „parafę” dyrektora biblioteki. Można różnie interpretować taki zabieg, ale oznacza on przede wszystkim wielką troskę o dobór księgozbioru i jego znajomość. Przy wszystkich swoich polityczno-społecznych obowiązkach znajdował na to czas. To cecha rasowego miłośnika i znawcy książki.



Panie Profesorze! Pańskie wspomnienia o R. Kaczmarku są niezwykle przewrotnie skomponowane. Przy wyliczaniu różnych Jego zasług dla miasta i jego kultury ma Pan zawsze jakieś „ale”. Dla równowagi? By się ustrzec zarzutu braku obiektywizmu? Czy tylko dla utrzymania się w swojej poetyce, a może dla zyskania sobie sympatii czytelnika? Którego? Ostatecznie można się z takimi zabiegami zgodzić. Rzecz tylko w tym, co za tym „ale” znajdujemy – istotne fakty czy tylko anegdotkę lub zwykłą, uliczną plotkę. Zawsze sądziłem, że opowieść o drugim człowieku, której nadajemy jakąś trwałą formę, to zadanie tyle trudne, co i odpowiadzialne. Szczególnie, kiedy on tak niedawno jeszcze był wśród nas i pamięć o nim jest jeszcze żywa. Niestety, zarówno ta dobra, jak i ta zła. Dlatego chyba w publikowaniu wspomnień powinniśmy zachować szczególną ostrożność i odłożyć je w czasie lub śpieszyć się podwójnie, by Wywołany do Tablicy mógł podjąć polemikę sam.

Z poważaniem

*Andrzej Gawroński*





Ulica Piotrkowska

foto: Krzysztof Duklas



Wielisława Warzywoda-Kruszyńska

## W Łodzi dawniej i dziś

Bieda, nazywana najgorszym złem, ma swoje korzenie w teraźniejszości i w przeszłości. Oddziałuje destrukcyjnie na jednostki, rodziny i społeczność.

Polska należała przed II wojną światową do najbiedniejszych krajów Europy. Szczególnie na wsi bieda była bardzo dotkliwa. Socjalizm, wprowadzony po wojnie, zdawał się oferować skuteczne środki służące wyeliminowaniu biedy. Uznając masowe bezrobocie za jej główną przyczynę, ustrój ten ustanowił pełne zatrudnienie jako swoją konstytucyjną zasadę. Równocześnie na państwowe zakłady pracy nałożono funkcje socjalne. Przedsiębiorstwa zostały zobowiązane do zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych, edukacyjnych i rekreacyjnych swoich pracowników, szczególnie robotników, a także do udzielania im krótkoterminowych pożyczek, jeśli zachodziła taka potrzeba. W trakcie industrialnej modernizacji Polski w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych tysiące ludzi przeprowadziły się ze wsi do miasta w poszukiwaniu pracy.

Zdaniem węgierskiej badaczki Julii Szalai właśnie ci wiejscy wychodźcy zostali zatrzaśnięci w pułapce socjalistycznego paternalizmu. Nie dysponowali żadnym kapitałem ekonomicznym, nie mieli odpowiednich znajomości ani wykształcenia. Choć poprawili swoje warunki życiowe w porównaniu z doświadczanymi na wsi, nigdy nie osiągnęli poziomu życia, który wykraczałby poza wiązanie końca z końcem. Ich bieda została ukryta pod parasolem socjalizmu i ujawniła się po jego upadku w generacji ich dzieci, którym nie mogli przekazać niczego, co uchroniłoby je przed koniecznością poszukiwania wsparcia w pomocy społecznej, gdy nastąpił powrót do kapitalizmu.

Przypuszczenie to stanowiło główną hipotezę badań przeprowadzonych w Polsce, Słowacji i na Węgrzech. Przyjęto, że dla



rozpoznania i ujawnienia „diabelskiego kręgu biedy” najlepiej posłużą rekonstrukcje historii rodzinnych. W Polsce oprócz Śląska i popegeerowskich wsi do badań została wytypowana Łódź. Stało się tak z tego względu, że przed wojną przysłowiowa była łódzka bieda, a w okresie transformacji Łódź jest jedynym wielkim miastem, w którym stopa biedy przewyższa średnią dla całego kraju, a stopa bezrobocia jest niewspółmiernie wysoka w porównaniu z innymi dużymi miastami. Zdawała się więc Łódź stanowić odpowiednie miejsce do poszukiwań międzypokoleniowej transmisji biedy.

O skali biedy w Łodzi przed wojną świadczą liczby wspomnianych przez pomoc społeczną w formie obiadów, zapomóg czy paczek żywnościowych. Niestety, informacje na ten temat są niekompletne i trudno porównywalne. Jak wynika z zapisów w *Dziennikach Zarządu Miejskiego w Łodzi*, w trzecim kwartale 1923 r. wydano 110 007 bezpłatnych obiadów, a w ciągu ostatnich trzech miesięcy roku 1924 – 374 648 obiadów tylko dla dzieci. W dwóch pierwszych miesiącach 1925 r. wydano dzieciom 154 157 obiadów.

Od 1 marca 1925 r. Rada Miejska, żeby ograniczyć wydatki, uchwaliła, że zamiast gotowanych obiadów dzieci będą otrzymywać suchą bułkę i 1/4 litra mleka oraz 8 gramów cukru. W drugim kwartale 1925 r. wydano dla dzieci 143 127 takich porcji, w styczniu 1927 r. – 123 802 porcje żywnościowe. W tym samym miesiącu w kuchni dla bezrobotnej inteligencji wydano 30 028 obiady, a w trzech kuchniach dla robotników – 61 646. W marcu 1928 r. wydano 143 662 obiady dla bezrobotnych, a dla dzieci – 185 174 porcje żywnościowe. W styczniu 1929 r. wydano 24 135 obiadów i 170 107 porcji żywnościowych dla dzieci. W latach trzydziestych zaprzestano publikowania informacji na temat liczby wydawanych obiadów i porcji żywnościowych dla dzieci. Wiemy natomiast, ile dzieci dokarmiano dziennie w poszczególnych latach: w roku 1930 – 9900, w 1931 – 8560, w 1932 – 9285, w 1933 – 9275, w 1934 – 13 615, w 1935 – 10 525, w 1936 – 9684, w 1937 – 12 270. Dla roku 1938 brak jest danych.

Stałym elementem życia w mieście było bezrobocie, stanowiące nieustanny przedmiot trosk władz lokalnych. Ponieważ Łódź nie była w stanie samodzielnie udźwignąć obciążenia bezrobotnymi, Rada Miejska i Magistrat wielokrotnie zwracały się o pomoc do władz centralnych.

Niestety, z małym skutkiem. Z tego względu zapomogi z opieki społecznej otrzymywali tylko nieliczni.



Pozostałym, w miarę możliwości, miasto oferowało pomoc opałowo-żywnościową. W lutym 1926 r. w Łodzi było 64 tysiące bezrobotnych, a liczba osób na ich utrzymaniu wynosiła ok. 200 tysięcy. Oznacza to, że prawie co trzeci łodzianin żył wówczas w rodzinie doświadczającej bezrobocia. Doraźne zapomogi otrzymało w tym roku 15 tysięcy bezrobotnych. W marcu 1927 r. wypłacono zapomogi gotówkowe 1711 osobom, w marcu 1928 – 734, a w styczniu 1929 – 1540 osobom.

Do bezrobotnych nie pobierających zasiłku skierowana była akcja pomocy żywnościowo-opałowej, finansowana wspólnie przez budżet centralny i budżet miasta. W ramach tej akcji osobom samotnym przysługiwało: 3 kg mąki pszennej, 2 kg mąki żytniej, 3 kg kaszy jęczmiennej i 2 kg fasoli kolorowej; bezrobotnym mającym małą rodzinę przysługiwało: 9 kg mąki pszennej, 7 kg mąki żytniej, 15 kg kaszy jęczmiennej, 14 kg fasoli kolorowej oraz talon na 400 kg węgla, a bezrobotnym mającym dużą rodzinę – odpowiednio: 16, 12, 24, 20 kilogramów i talon na 600 kg węgla.

Liczba osób korzystających z pomocy pieniężno-żywnościowej w latach trzydziestych przedstawiała się następująco: w roku 1933 – 1119 osób, w 1934 – 1488, w 1935 – 1568, w 1936 – 1846, w 1937 – 2509. Była to kropla w morzu potrzeb.

Powojenna industrializacja i wprowadzenie zasady pełnego zatrudnienia zdawały się na zawsze wyeliminować bezrobotnych i biednych z pejzażu miasta. Jednakże po okresie szybkiego rozwoju ludnościowego i ekonomicznego w latach powojennych, poczynając od roku 1975, w Łodzi wystąpiły niekorzystne tendencje demograficzne i ekonomiczne.

Gdy porównać Łódź z innymi największymi miastami Polski, to okazuje się, że w Łodzi jest:

- najniższe zatrudnienie,
- najwyższa feminizacja pracujących,
- najwyższe obciążenie osób w wieku produkcyjnym osobami w wieku nieprodukcyjnym,
- najniższy przyrost naturalny,
- najwyższa umieralność,
- najgorsza sytuacja mieszkaniowa mierzona średnią powierzchnią w mieszkaniach.

Dystans między „fabryczną” Łodzią a innymi dużymi miastami w Polsce, który utrzymywał się w okresie państwowego socjalizmu, w latach dziewięćdziesiątych stał się bardzo wyraźny. Obrazują to dane w tabeli 1.



Tabela 1  
Sytuacja społeczno-demograficzna w Łodzi i innych miastach Polski w 1997 roku

Wskaźnik	W Łodzi	W mieście będącym w najlepszej sytuacji 1997 r.	Nazwa miasta w najlepszej sytuacji w 1997 r.
Pracujący na 1000 ludności	308,5	530	Katowice
Udział kobiet wśród pracujących (%)	52,3	43,4	Katowice
Liczba bezrobotnych	37,800	3,700	Poznań
Stopa bezrobocia (%)	13,1	1,5	Poznań
Ludność w wieku nieprodukcyjnym na 100 osób w wieku produkcyjnym	61	56,5	Szczecin
Przyrost naturalny na 1000 ludności	- 6,7	- 0,2	Gdańsk
Zgony na 1000 ludności	13,9	9,0	Lublin
Przeciętna powierzchnia użytkowa mieszkania (w m kw.)	47,4	58,4	Poznań

Źródło: Statystyka Łodzi (1998), Łódź: Urząd Statystyczny w Łodzi, cz. III.

Jednakże Łódź odróżnia od innych miast przede wszystkim bardzo wysoka stopa bezrobocia i duża bezwzględna liczba zarejestrowanych bezrobotnych, co ilustrują dane zawarte w tabeli 2.

Choć w okresie 1995-1997 stopa bezrobocia i liczba bezrobotnych zmalały we wszystkich miastach, w Łodzi nadal udział bezrobotnych wśród ekonomicznie aktywnych jest najwyższy a także nadal jest wyższy niż średnio w kraju.

Jeśli za sto procent przyjąć liczbę łódzkich bezrobotnych, to w Warszawie jest ich o połowę mniej a w Poznaniu aż 11 razy mniej. To porównanie pozwala uświadomić sobie skalę problemów społecznych, które występują w Łodzi.



Tabela 2

Bezrobotni w poszczególnych miastach jako procent absolutnej liczby bezrobotnych w Łodzi w latach 1995, 1996, 1997

Miasto	1995	1996	1997
Łódź N = 100%	68 500	56 600	37 800
Warszawa	53%	50%	50%
Kraków	33	30	31
Wrocław	29	30	31
Poznań	16	15	9
Gdańsk	23	19	15
Szczecin	18	19	17
Bydgoszcz	27	26	26
Lublin	27	27	29
Katowice	10	11	12

Źródło: obliczenia własne na podstawie: Statystyka Łodzi (1998), Łódź: USŁ, część III.

Za przedstawionymi tu wskaźnikami i liczbami kryją się dramatyczne losy wielu łódzkich rodzin, które zatoczyły diabelskie koło biedy i mają coraz mniejsze szanse, żeby wydostać się z niego w następnym pokoleniu. Poszukiwaliśmy tych rodzin przede wszystkim w enklawach biedy, czyli sąsiadujących ze sobą kwartałach ulic, gdzie co najmniej 30 procent mieszkańców otrzymuje zasiłek z pomocy społecznej. Na terenie Łodzi znajduje się 17 takich enklaw, z których większość zlokalizowana jest wokół strefy śródmiejskiej. Mieszka w nich prawie 44 tysiące łodzian, czyli mniej więcej tyle, ile w takim mieście jak na przykład Zduńska Wola.

Do zilustrowania związku między zjawiskami makroskali (deindustrializacja, dekonjunktura) a losami zwykłych ludzi wybraliśmy rodzinę D., typową łódzką rodzinę robotniczą, której potomkowie przybyli do Łodzi w latach trzydziestych. Klientem pomocy społecznej jest obecnie czterdziestodwuletni wnuk tych wiejskich wychodźców – Jerzy, który – po nieprzerwanym przepracowaniu 26 lat w państwowych zakładach włókienniczych (Marchlewskiego i Harnama) jako robotnik wykwalifikowany – utracił pracę w okresie transformacji. W roku 1992 został zwolniony z pracy i od tego czasu nie może znaleźć zatrudnienia. Dwukrotnie podejmował pracę w firmach prywatnych. Najpierw w małym przedsiębiorstwie produkującym sznurek, następnie w zakładzie elektrycznym. Obydwa te miejsca pracy tracił wskutek bankructwa pracodawców. Próbował także uzyskać nowe kwali-



fikacje, uczęszczając na dwa kursy zorganizowane przez Urząd Pracy. Niestety, pracy dla niego nie ma. Teraz zrezygnował z dalszych poszukiwań zatrudnienia. Źródłem jego utrzymania jest zasiłek z pomocy społecznej przyznawany długotrwale bezrobotnym, którym nie przysługuje już zasiłek dla bezrobotnych. Jest on jedną z tych osób, które skazane są na pomoc społeczną do końca życia. Jego staż pracy jest niewystarczający do uzyskania prawa do emerytury, kiedy osiągnie wiek emerytalny. Mężczyzna, żeby otrzymać emeryturę po ukończeniu sześćdziesiątego piątego roku życia, musi przepracować bowiem 35 lat. Jerzy nie ma szans na uzyskanie zatrudnienia legalnego, od którego pracodawca płaci składkę na ubezpieczenie. Przymuszczałnie, podobnie jak jego dziadek, będzie chwytał się różnych doraźnych robót, żeby zapracować na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb rodziny.

W lepszej sytuacji znajduje się jego żona – Teresa. Obecnie ma stałą pracę i w przyszłości otrzyma emeryturę. Historia jej zatrudnienia dobrze ilustruje nie tylko indywidualny przypadek, lecz także losy jednego z największych zakładów przemysłowych Łodzi. Teresa pochodzi z odległej o 40 kilometrów od Łodzi wsi. Po ukończeniu szkoły zawodowej została zatrudniona w Zakładach im. Marchlewskiego jako prządka. Po urodzeniu dziecka poszła na urlop wychowawczy, który bardzo się przedłużył, ponieważ urodziła w jego trakcie dalsze dwie córki. Zgodnie z obowiązującym w okresie socjalizmu prawem, pracownica, która zdecydowała się na przerwę w pracy w celu opieki nad dzieckiem, miała zagwarantowane miejsce pracy po zakończeniu tego urlopu. Kiedy urlop wychowawczy Teresy dobiegł końca, w Polsce dokonano się właśnie transformacja ustrojowa i Zakłady Marchlewskiego zostały zlikwidowane. Z części ich majątku została utworzona inna firma, która musiała przejąć zobowiązania poprzedniczki wobec pracowników będących na urlopiach wychowawczych. W ten sposób żona Jerzego została prządką w nowej firmie. Wkrótce zakład ten zbankrutował i Teresa stała się bezrobotną. Otrzymywała przez rok zasiłek dla bezrobotnych. Po tym czasie została zatrudniona w swoim zawodzie w kolejnej firmie, którą utworzono na gruzach dawnych Zakładów Marchlewskiego. Kiedy firma ta upadła, Teresa zdecydowała się poszukać zatrudnienia poza przemysłem. W 1992 r. dostała pracę woźnej w szkole podstawowej. Obecnie wykonuje więc pracę nie wymagającą kwalifikacji, nisko płatną, mającą niski prestiż społeczny, ale gwarantującą nie tylko obecnie, lecz także w przyszłości zabezpieczenie socjalne.



Teresa, podobnie jak kiedyś babka jej męża, zarabia na życie, żeby rodzina miała co jeść, gdy mąż nie może znaleźć pracy. Nie tylko to upodabnia ich sytuację do losów dziadków Jerzego, którzy wraz z czworgiem dzieci przyjechali do Łodzi w roku 1934. Urodzili się na wsi i tam pracowali jako robotnicy rolni w majątku ziemskim. W zamian za mieszkanie i płody rolne obydwójce byli zobowiązani do pracy „od wschodu do zachodu słońca”. Kiedy kolejno rodziły się dzieci i babka Jerzego musiała się nimi zająć, dziadkowie najęli „sługę”, która pracowała zamiast babki na polu dziedzica. To oczywiście uszczuplało bardzo nędzne dochody rodziny. Babka podjęła więc decyzję przyjazdu do Łodzi, gdzie wynajęła jednoizbowe mieszkanie. Pokój ten znajdował się na poddaszu drewnianej kamieniczki w najbiedniejszej części miasta, zamieszkałej w większości przez ludność żydowską. Nie było wody w mieszkaniu, ubicacja znajdowała się w podwórzu i była użytkowana przez wszystkich mieszkańców domu. Warunki mieszkaniowe były okropne nie tylko z tego powodu, że na powierzchni 15 metrów kwadratowych żyło sześć osób, lecz także dlatego, że mieszkanie to było zarobaczone (*Jak było lato, to nas robactwo chciało zjeść. Takie karaluchy, te czarne, pluskwy były... rodzice poodsuwali łóżka tak na środek więcej, żeby nas nie gryzły* – wspomina matka Jerzego – Zofia). Zimą także łóżka znajdowały się na środku mieszkania, bo taki był *łód na ścianie... To marzło wszystko, woda zamarzała w mieszkaniu* – kontynuuje opowiadanie o swoim dzieciństwie Zofia. Po przyjeździe do Łodzi dziadek Jerzego aż do wojny pracował tylko sezonowo. Jakies dwa kilometry od ich domu, na Rynku Bałuckim, był tak zwany bigel, czyli miejsce, w którym zbierali się bezrobotni w oczekiwaniu, że ktoś najmie ich do jakiejś roboty (*do wyładowania węgla czy tam gdzieś do Żydów coś tam zrobić*). Jak było ciężko, babka Jerzego zostawiała piątkę dzieci w domu (bo urodziła tu kolejne dziecko) i szła ... *szukać chleba. A to poszła do Żydów prac, a to sprzątać... no i przychodziła wieczorem, no i my czekaliśmy po prostu na jedzenie... Ta Żydówka jak wiedziała, że ma matka dzieci małe, to dała więcej tego jedzenia. A jak nie, to zapłaciła pieniędzy, to dopiero żeśmy jadły na drugi dzień*.

Mieszkanie Jerzego jest także, według współczesnych norm, substandardowe. Zamieszkuje on – wraz z żoną, trzema córkami, wnukiem i ojcem tego wnuka – w pokoju z kuchnią o łącznej powierzchni około 30 metrów kwadratowych. Woda znajduje się na korytarzu, ubicacja na podwórzu. Nie ma gazu ani centralnego ogrzewania. Dom ten został wybudowany w 1937 r. z przerna-



czeniem na wynajem. W tym samym domu, zlokalizowanym w pobliżu bazaru, zamieszkuje także matka Jerzego. Jest to jedno z najgorszych miejsc, jakie można sobie wyobrazić do mieszkania. Najstarsza córka Jerzego Dorota opisuje lokalizację domu tak: *... okolica nie jest zbyt przyjemna, bo, wiadomo, z jednej strony rynek, z drugiej strony rynek. Ten bałagan. Nieraz to przecież nawet rzeczy są pozostawiane... na niedzielę. Nieraz w ogóle to nie jest sprzątane, a jeżeli sprzątają, to tak jak im się przypomni. Niezbyt przyjemne zapachy są, ani wyjść gdzieś w okolicy, samochody dymią tak że powietrze też nie jest za zdrowe.*

Jednakże zarówno dla Doroty, jak i dla Jerzego jest to rodzinna okolica. Obydwoje się tutaj urodzili. Jerzy w 1956 roku, Dorota w 1979. Do tego domu sprowadził po wojnie swoją rodzinę dziadek, chcąc poprawić jej warunki mieszkaniowe. Mimo protestów dzieci, które mówiły *tata, gdzie ty idziesz, ani wody, ani niczego*, dziadek Jerzego wybrał to mieszkanie, ponieważ, jak przypuszcza Zofia, ojciec bał się, że nie będzie w stanie zapłacić komornego. *Tak się bał, bo to całe życie w biedzie, całe życie w biedzie...* Wodę doprowadzono do tej ulicy dopiero w 1946 r.

Jerzy powiela losy dziadka także w tym względzie, że obydwaj bez wsparcia pomocy społecznej nie byliby w stanie utrzymać swoich rodzin. Zimą, kiedy dziadek Jerzego nie mógł znaleźć nawet pracy dorywczej, rodzina otrzymywała talony na jedzenie, dzięki czemu *...broń Boże, tam żeśmy nie głodowali, bo nam to dali ... to wszystko do użytku, do domu. I kawa, i cukier, i mydło, i proszek i, jak była siostra mała, to były talony do „Kropli mleka”<sup>1</sup>. Chodziło się po mleko i z bańką się chodziło po jedzenie, bo gotowane jedzenie też było. No i tak jakoś zawsze te cztery miesiące czy pięć najgorszych miesięcy państwo pomogło.* Także co miesiąc dziadek dostawał pieniądze na komorne z pomocy społecznej.

Choć i jeden mężczyzna, i drugi otrzymywali wsparcie z pomocy społecznej, sytuacja rodziny Jerzego jest zdecydowanie lepsza niż rodziny jego dziadka przed wojną. Posiada bowiem stałe, choć niskie dochody, na które składa się pensja Teresy i zarobki konkubenta Doroty, pracującego jako portier. Czasem pomaga mu finansowo matka-emerytka. Krewni żony ze wsi przysyłają coś do jedzenia od czasu do czasu. Pomoc społeczna umożliwiała rodzinie dziadka biologiczne przetrwanie, natomiast rodzinie Jerzego w pewnym sensie łagodzi niedostatki.

---

<sup>1</sup> Działalność charytatywna mająca na celu dożywianie niemowląt.



Łańcuch biedy łączący dziadka z wnukiem został, jak się zdaje, nadwerężony w rodzinie pochodzenia Jerzego. Jego matka – Zofia (urodzona w 1930 r.), będąca jednym z sześciorga dzieci, ukończyła pięć klas szkoły podstawowej. Kiedy wojna wybuchła, była w drugiej klasie, po wojnie zakończyła edukację na klasie piątej i poszła do pracy mając siedemnaście lat, ponieważ *trzeba było pomagać ojcu pracować, żeby resztę rodziny utrzymać. No, kto był starszy, to poszedł do pracy i pracował.* Jako dziecko pracowała przymusowo w czasie okupacji. Niemcy przygotowywali ją do wyjazdu na roboty do Niemiec, przyuczając przez sześć tygodni do pracy w zakładzie włókienniczym. Gdy zachorowała na szkarlatynę, nie wysłano jej do Niemiec, ale po chorobie, od 1942 r. do wyzwolenia, zmuszono do pracy w charakterze snowaczki. Zarobki jej i brata a także ojca, którego Niemcy zatrudnili w Wodzowskiej Manufakturze, stanowiły podstawę utrzymania rodziny w czasie okupacji.

Pracę rozpoczęła w roku 1947 na przędzalni. Jako prądka przepracowała trzydzieści cztery lata, z tego dwadzieścia siedem lat w Zakładach Marchlewskiego. W wieku 50 lat otrzymała rentę inwalidzką, a pięć lat później – emeryturę. W roku 1998 jej emerytura wynosiła 540 złotych. Mężem Zofii został jej kolega z sąsiedztwa, który pracował aż do śmierci w roku 1980 jako pakowacz maszyn włókienniczych przeznaczonych na eksport. Po ślubie, który odbył się w roku 1953, Zofia zamieszkała w kamienicy położonej vis-à-vis domu, do którego przeprowadziła się jej rodzina po wojnie. Mieszkanie to otrzymali nowożeńcy po teściach Zofii, którzy wybudowali dom w innej części miasta. Posag Zofii stanowiły meble do pokoju zakupione przez jej rodziców na raty. *Były to dwa łóżka, szafki nocne, toaletka, stół okrągły, szafa i sześć krzeseł, takich wyściełanych, ... to był luksus... Taką dostałam wyprawę... i to było wszystko.*

Sprawienie córce posagu stało się sprawą honoru jej rodziny, ponieważ teściowa chciała dać nowożeńcom tylko kuchnię, a pokój sprzedać argumentując, *że ja jestem z wielodzietnej rodziny, że ja jestem biedna, że ja nie będę miała co wstawić do mieszkania.* W tym mieszkaniu, w którym wychowała dwóch synów, nie przerywając pracy, mieszka do dziś. Piętro wyżej zamieszkuje Jerzy. Zofia uważa, *że ...teraz jest gorzej... przedtem było inne życie, choć może były trudności w czym innym, ale tam jakoś się to ciągnęło, to życie.* Pracowali obydwój z mężem, *a jeżeli trzeba było coś kupić, tak grubszego, to brało się pożyczki. Czy się wyjeżdżało na wczasy, to na wczasy trzeba było wziąć jakąś pożyczkę, żeby te dwa tygodnie*



*z tymi dziećmi jakoś tam przetrwać... A jak na przykład posłałam syna do technikum, no to musiałam sprzedać część ze złota, żeby go umundurować, żeby poszedł do tej szkoły jak człowiek, prawda. Żeby to było widać. Zdaniem Zofii też nie było łatwo, ale jakoś było to życie takie inne. Przede wszystkim dlatego, że jeśli brakowało pieniędzy, można było dorobić, pójść na „nadróbkę”, czyli popracować w godzinach nadliczbowych, które były opłacane podwójnie<sup>2</sup>. A dzisiaj nie ma gdzie co dorobić, żeby to jakoś zarobić... Bo żeby chłopak czterdzieści dwa lata [ma na myśli Jerzego], żeby nie miał pracy, troje dzieci na utrzymaniu, to jest naprawdę. Zofia ma wyraźne poczucie poprawy swojej sytuacji materialnej w porównaniu z rodzicami. Stać ją było na więcej i miała większe możliwości poznania świata, wyjazdów. Przed wojną w domu jej rodziców – opowiada – węgiel to się kupowało na wiaderka, na kilogramy. Nie to, że się tony tam sprowadzało węgla.... Jak ja sprowadzam dwie tony węgla na zimę, to mam ciepło. A tam to jak poszła mama z torebką, to przyniosła 5 kilo, 10 kilo tego węgla, natychmiast trzeba było rozpaść tym, ledwo się na tym jedzenie ugotowało. Jej rodzice nigdzie nie wyjeżdżali, nigdzie a nigdzie. Tylko siedzieli cały czas, jak była niedziela, to siedzieli, czasami wychodzili na podwórko. W rodzinie, którą sama założyła, natomiast, jak przyszedł urlop, to żeśmy wyjeżdżali. Jak były dzieci, to wyjeżdżaliśmy, co roku wyjeżdżaliśmy... na Mazury, nad morze. Teraz będąc sama też wyjeżdżałam do sanatorium. Były to wczasy finansowane z funduszu socjalnego Zakładów Marchlewskiego, które także organizowały kolonie dla dzieci pracowników. Jerzy wspomina, że jeden miesiąc byliśmy na koloniach, a drugi miesiąc staraliśmy się wyjeżdżać z rodzicami na wczasy. Jerzego z żoną nie stać teraz na wyjazd na wakacje. Ostatni raz był jeszcze z zakładu Harnama w Ustce osiem lat temu. W tym roku nie wyjadą także jego córki. Teraz spędzać będą wakacje w domu. W najlepszym razie pojedą do dziadków na wieś, gdzie jest las i mały staw. Z tej właśnie wsi pochodzi konkubent Doroty, najstarszej córki Jerzego. Ma 23 lata i ukończoną tylko szkołę podstawową. Ostatnio pracuje jako portier, a wcześniej – jako malarz, konwojent, pomocnik na budowie. Jego*

<sup>2</sup> Wskutek nierytmicznych dostaw surowca w zakładach często zdarzały się przestoje. Kiedy nadszedł transport bawełny, robotnicy dobrowolnie pracowali dłużej niż osiem godzin dziennie, otrzymując dodatkowe wynagrodzenie. Dzięki „nadróbkom” zakład mógł wykonać zaplanowaną produkcję. Taka nieefektywna z makroekonomicznego punktu widzenia organizacja pracy, ponieważ robotnicy byli niejako wynagradzani potrójnie za tę samą produkcję (za postój i za godziny nadliczbowe), była oceniana pozytywnie przez samych robotników, ponieważ umożliwiała zarobienie dodatkowych pieniędzy.



konwojent, pomocnik na budowie. Jego rodzice byli pracownikami PGR-u. Oczekiwanie, że będzie on w stanie zapewnić swojej rodzinie dobrobyt, nie wydaje się uzasadnione. Ani on, ani Dorota nie mają wykształcenia i kwalifikacji poszukiwanych na rynku pracy i zapewniających sukces ekonomiczny. Dorota jest absolwentką zasadniczej szkoły handlowej, ale nie ma żadnego doświadczenia w zawodzie, ponieważ jako uczennica zaszła w ciążę i urodziła dziecko. Dziecko będzie z pewnością stanowiło utrudnienie w otrzymaniu przez nią pracy, zmniejsza bowiem w istotnym stopniu wymaganą od pracowników dyspozycyjność. Dorota jest zmęczona szkołą i nie myśli o podniesieniu swojej edukacji. Szczerze wyznaje, że jest bardzo szczęśliwa, że już jest po egzaminach.

Druga córka Jerzego jest uczennicą zasadniczej szkoły odzieżowej, a trzecia – kończy szkołę podstawową. Również one nie znajdują w rodzinie stymulacji, żeby dalej się uczyć. Ojciec uważa bowiem, że *teraz to się kończy szkoły wyższe i wykształcenie się ma i nic nie wiadomo, czy do roboty się pójdzie, czy nie... tak że nawet z wielkim, dużym wykształceniem, nie wiadomo, czy się pracę dostanie*. Wykształcenie nie jest w sposób oczywisty traktowane przez Jerzego jako opłacalna inwestycja, mimo że jego brat – jak się zdaje – dzięki wykształceniu osiągnął sukces. Skończył najpierw technikum chemiczne, potem już jako dorosły człowiek ukończył studia i założył prywatną firmę – laboratorium chemiczne. Wyprowadził się ze slumsu, w którym się urodził, do bloków. Jerzy uważa, że brat inaczej niż on podchodził do nauki. On sam nie miał „drygu” do nauki i szkoła go nie za bardzo interesowała. Jak stwierdza, *za dziewczuchami się człowiek oglądał i poza tym za niczym więcej. Już w wieku szkolnym się człowiek za dziewczuchami oglądał, dlatego nie było czasu na naukę*. Kontakty między braćmi są, jak się zdaje, sporadyczne.

Matka – Zofia tak to tłumaczy: [Ten starszy syn] *jak nie miał jeszcze tej pracy swojej, no to był bardziej taki czasowy. A teraz to on musi pilnować, żeby on miał z tego chleb i wszystko. No to tak czasem, czasem wpadnie na parę minut, czy na godzinę, czy na półtorej, czy na pół, zależy w jakim tam jest czasie. I tak... ale to już jest inna rodzina. Jak ma się jakieś wykształcenie, prawda, to człowiek się obraca już w towarzystwie innym. I taki zwykły robotnik też się obraca w innym towarzystwie. „Towarzystwo” dla córek Jerzego stanowią rodzice, babcia, dziadkowie na wsi. Ich aspiracje najtrafniej wyraża Zofia, mówiąc: *byleby nie umrzeć z głodu teraz*. Jerzy uważa natomiast, że *takie są czasy, no i co zrobić. Czekamy, jak się polepszy, ale nadziei to nie ma*.*



że pozbycie się strachu o to, że nie starczy pieniędzy na komorne i pójdzie się na bruk. Dawało poczucie awansu społecznego. Praca była ciężka, trzymianowa, ale pozwalała na wiązanie końca z końcem. Pomoc rodzinna umożliwiała łączenie pracy z macierzyństwem. Zofii pomagała opiekować się dziećmi jej matka, pracując na innej zmianie niż córka w tej samej fabryce – Zakładach Marchlewskiego. Powrót kapitalizmu spowodował zdegradowanie syna Zofii Jerzego do pozycji bezrobotnego. Konieczne stało się wsparcie z pomocy społecznej dla utrzymania jego rodziny. Historia rodziny zatoczyła koło. Ale bieda Jerzego to nie taka sama bieda jak ta, której doświadczał jego dziadek przed wojną. Istnieją jednak obawy, że „powtórka z rodzinnej historii” w historii jego córek może być bardziej dotkliwa, ponieważ rodzice będą w znacznie mniejszym stopniu służyć im wsparciem, gdy znajdą się one w potrzebie, niż miało to miejsce w ich rodzinie pochodzenia. Jeśli nie znajdą sobie partnerów ze wsi, pozbawią się możliwości otrzymania jajek, mięsa, ziemniaków czyli niezbędnej do przetrzymania biedy żywności.



foto: Andrzej Słowikowski



Lucjusz Włodkowski

## „Łódź 2000” – przegrana futurologii

### **Jak przeszłość spleta się z teraźniejszością i jak warunkuje przyszłość, którą tak trudno przewidzieć.**

W 1977 roku „Książka i Wiedza” wydała moją książkę *Łódź 2000*. Do magicznego roku 2000 były 23 lata, prawie ćwierć wieku i wydawało się, że to jeszcze szmat czasu. Rok 2000 jawił się jako nadchodzący przełom między wiekiem XX – wiekiem elektryczności i atomu, a XXI – wiekiem niebywałego rozwoju techniki, podboju Kosmosu, lotów międzyplanetarnych. Warto było zatem zajrzeć w przyszłość, tym bardziej że pomocna była nauka, praca wielu specjalistów z różnych dziedzin, projektantów i opracowywane przez nich prognozy.

Był to też czas rozwoju futurologii, a nie przepowiedni wątpliwej jakości, jakie pojawiały się pod koniec obecnego wieku, wieszcząc niechybny koniec świata. Futurologią zajmowali się ludzie nauki, publicyści, traktujący prognozowanie przyszłości niebywale poważnie. Ukazała się na przykład książka Mircei Mality – rumuńskiego matematyka i publicysty byłego ministra oświaty: *Kronika roku 2000*. Roztaczał on w niej przewidywania, wśród których zainteresował mnie obraz mieszkania XXI wieku, jako że sposób rozwiązywania problemu mieszkaniowego dla przyszłości Łodzi miał kapitalne znaczenie. Mircea Malita uważał, że po 2000 roku będziemy mieszkali w pomieszczeniach o ruchomych, asymetrycznych ścianach, w których będą biblioteki chowane pod podłogę, a olbrzymie ekrany będą przekazywały programy telewizyjne odbierane bezpośrednio z satelitów. Mieszkania te miały być wyposażone w elektroniczne urządzenia, umożliwiające zmianę wystroju wnętrza, nastroju, a nawet tworzenie enklaw, aby móc odizolować się od innych ludzi. Taka wizja nadchodzącej szczęśliwości zupełnie nie pasowała nie tylko do obrazu ówczesnej



mieszkaniowej rzeczywistości Polski, w tym szczególnie Łodzi, ale i do możliwości zmiany tej rzeczywistości w nadchodzących 23 latach.

### **Co to jest „łódzki minimalizm”?**

W Łodzi w rejonie Starego Miasta pierwsze nowe domy – zwane blokami – wybudowano dość późno. Był to raczej gest propagandowy niż próba rozwiązania palącej kwestii mieszkaniowej. Do 1970 roku budowano coraz więcej, ale wciąż mało. W latach 1950-1956 stawiano domy o łącznej liczbie 4000 izb rocznie. Dopiero w 1970 roku osiągnięto liczbę 20 000 izb. Ludzie gnieździли się w ciasnych mieszkaniach, oczekiwali latami na przydział nowego. Młode małżeństwa mieszkaly kątem u teściów lub wynajmowały jakiś pokój za ciężkie pieniądze, aby móc trochę pożyć z sobą w tak pożądanej samotności we dwoje. I gdzież w takiej sytuacji można marzyć o mieszkaniach z asymetrycznymi ścianami, bibliotekami chowanymi pod podłogę i elektronicznymi urządzeniami. Taka futurologiczna wizja przyszłości, przy w miarę realistycznym prognozowaniu, nie mogła być brana pod uwagę. Trzeba ją było zdecydowanie odrzucić i tak uczyniłem, choć przyznaję, że z żalem. Zresztą rzeczywistość okazała się bardziej brutalna i już w latach osiemdziesiątych plan rozwoju budownictwa mieszkaniowego diabli wzięli. Ale tego w roku 1975 nikt nie mógł przewidzieć nawet w najśmielszych marzeniach. W tym właśnie roku budownictwo mieszkaniowe w Łodzi osiągnęło poziom 37 000 izb postawionych w ciągu roku. To był szczyt. W latach 1988-1992 budowano w Łodzi na poziomie około 14 000 izb. Łącznie w tych latach postawiono 67 052 izby.

Teraz buduje się mniej, ale lepiej, zaniechano prefabrykacji, zadbano o architekturę. Odnawia się elewacje starych kamienic i pałaców, modernizuje się ich wnętrza. Ale i też mamy wiele kolorystycznej samowoli. Użytkownicy lub właściciele sklepów na frontach kamienic malują wokół swoich witryn co chcą i jak chcą, a miejski konserwator zabytków wraz z architektem miasta mogą jedynie narzekać na niedoskonałe prawo budowlane. Ulice miasta szpeci pstrokacizna. Stare osiedla, pogardliwie nazywane „blokowiskami”, grzeszą monotonią i brzydotą. Mieszkania w wielu z tych bloków są ciasne i niewygodne. Często też wadliwie zaprojektowane. Według danych z 1975 roku było w Łodzi 15 000 mieszkań ze ślepyimi kuchniami, 450 z podłogami z ksyololitu i 353 budynki z wadami technologicznymi. Planowano stopniowe usuwanie mankamentów. Boję się, że z tych planów nic nie wyszło, tak jak z wielu innych.



W lutym 1970 roku zastrajkowali łódzcy włókniarze. Członkowie delegacji partyjno-rządowej z Janem Szydłakiem i Piotrem Jaroszewiczem, chodząc niemal całą noc po fabrykach i spotykając się z włóknarkami i włóknierzami pracującymi na nocną zmianę, mogli przekonać się, w jakim stanie jest łódzki przemysł lekki i w jakich warunkach żyją i pracują ludzie. W tym samym czasie filmowcy zajrzeli kamerą do podwórek śródmieścia. Pokazali obraz nędzy tej części miasta. Ich film wywołał wstrząsające wrażenie. Nie było rady – musiał powstać program modernizacji i przebudowy miasta. Ale programy – to jedno, a twarda rzeczywistość, to zupełnie coś innego. Ona przede wszystkim decyduje o tym, jak te programy będą realizowane.

W USA Andrzej Wajda wyjaśniał, że kręcąc film *Ziemia obiecana* nie musiał budować fabrycznych wnętrz z XIX wieku, bo one istniały i ludzie w takich warunkach, na starych maszynach, ciągle jeszcze pracowali. Widziałem te maszyny, jak i wiele nowoczesnych. Widziałem przedzalanie gęsto pokryte bawełnianym kurzem, który ludzie wdychali wraz z powietrzem. W Łodzi Andrzej Wajda na spotkaniu z widzami *Ziemi obiecanej* pytał, który z tak bardzo łódzkich fragmentów nie był nakręcony w Łodzi? Okazało się, że aby sfilmować panoramę miasta ze sterczącymi w niebo kominami, filmowcy musieli pojechać na... Śląsk. W Łodzi bowiem, budując w dzielnicach przemysłowych nowe fabryki, a stare podłączając do sieci ciepłowniczej, burzono przede wszystkim kominy, aby zerwać ze stereotypem „miasta stu kominów”.

Różne były i są opinie o Łodzi: „złe miasto”, „prowincjonalne”, „robotnicze”, „biedne”, „czerwone”. Były tu bunty, strajki, lokauty, walki socjalistów z narodowcami. Ale tu powstało pierwsze muzeum sztuki nowoczesnej, znane dziś na całym świecie. Z Łodzi wywodzi się wielu artystów, pisarzy, polityków, ludzi nauki, filmowców, dziennikarzy, handlowców i przemysłowców. Nie zmienia to faktu, że nad teraźniejszością i przyszłością miasta nieustannie ciąży jego przeszłość. Taki splot przeszłości, teraźniejszości i przyszłości rodzi w sposobie myślenia rodowitych łódzian skłonność do minimalizmu, cechę wyrosłą z nieustannej walki o pracę i utrzymanie rodziny. Wyraża się ona zgodą na pomniejszenie potrzeb, rezygnacją z wygórowanych zamierzeń. Łódzki pedagog, publicysta i działacz społeczny wspominając przeszłość swojej rodziny i tysięcy podobnych rodzin, które przybyły do miasta z okolicznych wsi w poszukiwaniu „ziemi obiecanej”, pisał na łamach, wychodzącego niegdyś w Łodzi, tygodnika „Odgłosy”: „W jednym pomieszczeniu, zaraz przy drzwiach,



musiała być beczka z czerwoną kapustą, a pod łóżkiem, za szalowaniem z desek – kartofle. To gwarantowało, że zimą rodzina robotnicza nie zazna głodu”.

„Łódzki minimalizm” położył się cieniem na planach rozwoju miasta i regionu. Między ulicami Henryka Sienkiewicza i pułkownika Jana Kilińskiego, po stronie północnej ulicy Józefa Piłsudskiego (po drugiej stronie ulicy Kilińskiego stoi dziś market „Billa”) miał powstać wielki dom towarowy, czynny całą dobą, z podziemnymi garażami. Ale ówczesne partyjne władze miasta uznały, że „tu nie Europa”, że po zakupy do Łodzi będą przyjeżdżać ludzie z innych rejonów Polski, po co to miastu, po co wydawać pieniądze na zaspokajanie potrzeb innych? Łódzkiemu robotnikowi wystarczy czarne, kaszanka i salceson, bo on to lubi i przywykł do takiego jedzenia – sam słyszałem taką opinię wyrażoną przez jednego z łódzkich polityków w połowie lat siedemdziesiątych.

Planowano też nad skrzyżowaniem ulicy Piotrkowskiej z przebudowywanymi wówczas ulicami Główną i Adama Mickiewicza postawić estakady, aby kupujący, w mających powstać domach towarowych, mogli swobodnie poruszać się bez potrzeby schodzenia na ruchliwą ulicę ani korzystania z podziemnego przejścia. Wykop, którym dziś tramwaj dojeżdża do ulicy Wólczkańskiej, miał sięgać aż do ulicy Targowej. Były jeszcze różne inne pomysły i projekty.

Urbanista Zdzisław Lipski i architekt Jakub Wujek, którzy wygrali konkurs na przebudowę centrum Bydgoszczy, zaprojektowali przebudowę części śródmieścia Łodzi. W kwartale między ulicami: Juliana Tuwima, Główną, Henryka Sienkiewicza i Piotrkowską miało powstać centrum kultury i wypoczynku. Z filharmonią w Parku Henryka Sienkiewicza zaprojektowaną przez Witolda Millo (wygrał konkurs), z kinem festiwalowym, teatrami, restauracjami, barami. Był to projekt na europejską miarę. Projektanci pokazali swoje prace na wystawie. Pokazali duże możliwości. Wystawa pozostawiła u tych, którzy ją widzieli, wspomnieniem o czymś pięknym i interesującym. Ale pozostało tylko wspomnienie, bo o realizacji projektu nikt nigdy nie pomyślał. Być może ludziom decydującym o architekturze i budownictwie w Łodzi projekt wydał się zbyt nowoczesny. Na pocieszenie dodam, że w Bydgoszczy z projektu centrum autorstwa Zdzisława Lipskiego i Jakuba Wujka postawiono tylko... jeden budynek. Ale to żadne pocieszenie.



Jeśli budownictwo z lat siedemdziesiątych XX wieku określa się mianem monotonnego, szarego, schematycznego i nijakiego – co do większości przypadków jest prawdą – to i dziś wznoszone budynki nie grzeszą oryginalnością. Niektóre budynki pokrywa się kolorowymi płytami, ozdabia wykuszami, windami kursującymi w szklanych szybach i półkolistymi dachami nad wejściem – naśladując tym budownictwo Ameryki i Zachodniej Europy. W Łodzi w podobny sposób zmodernizowano między innymi wieżowce: Pekao Development na rogu ulicy Henryka Sienkiewicza i Józefa Piłsudskiego oraz wieżowiec Biura Projektów „Chemitex”, który w 1966 roku kupiła Gazownia Łódzka. Architekt Jakub Wujek uznał, że jest to „najlepsza modernizacja w Łodzi”, ale – jak pisał „Dziennik Łódzki” – architekt Marek Janiak nie podzielił takiej opinii. Dla mnie jest to popadanie z jednego schematu w inny, bardziej teraz modny. Ale czy ma to coś wspólnego z pięknem współczesnej architektury?

Budynek filharmonii przy ulicy Dzielnej (Gabriela Narutowicza) w Łodzi oddano do użytku na początku 1887 roku. Projektując przebudowę Łodzi w latach siedemdziesiątych XX wieku pomyślano również o wybudowaniu nowego gmachu dla łódzkiej filharmonii. Stąd konkurs i wygrana Witolda Millo. W 1974 roku na łamach tygodnika „Odgłosy” ukazała się rozmowa Antoniego Szrama z laureatem konkursu. Witold Millo powiedział wtedy: „Lokalizacja w parku Sienkiewicza jest słuszna, przebudowa miasta musi rozszerzać się w głąb kwartałów, nie możemy robić »ulicówki« i obudowywać tylko parawanem smutne oficyny ulicy Sienkiewicza czy ulicy Nawrot. Trzeba kochać zieleni, a park Sienkiewicza powiększyć o tereny przewidzianych wyburzeń prawie dwukrotnie”. Z tego pięknego projektu też nic nie wyszło. Filharmonia musiała jednak otrzymać nowy budynek. Miał stać przy ulicy Józefa Piłsudskiego, między ulicami Henryka Sienkiewicza i Jana Kilińskiego (tam, gdzie planowano wcześniej wybudować wielki dom towarowy), postawiono tam nawet kamień upamiętniający takie zamierzenie. A gdy i to skończyło się fiaskiem, Antoni Szram, dyrektor Muzeum Kinematografii, „porwał” kamień i przewiózł go na dziedziniec Muzeum. Ostatnio wyburzono stary gmach filharmonii przy ul. Gabriela Narutowicza i rozpoczęto budowę nowego według projektu architekta Romualda Loeglera z Krakowa. Koszt tej niezbędnej dla Łodzi inwestycji obliczono na 24 miliony złotych.

Był jeszcze jeden piękny projekt. Muzeum Sztuki dusi się w pałacu Maurycego Poznańskiego. Kolekcja nowoczesnej sztuki



zgrupowana w tym Muzeum budzi zainteresowanie historyków i artystów na całym świecie. Ryszard Stanisławski – niegdyś dyrektor tego Muzeum – opowiadał mi, jak grupa Japończyków lecąca do Moskwy przerwała podróż w Warszawie i wynajętym samochodem przyjechała do Łodzi, aby obejrzeć zgromadzone tu obrazy. Muzeum Sztuki organizowało swego czasu „Niedziele w Muzeum”. Przychodziły do pałacu na rogu ulicy Gdańskiej i Stefana Więckowskiego całe rodziny i spędzały tam czas przyjemnie i z pożytkiem. Była to jakby zapowiedź tego, o czym myślał Ryszard Stanisławski. Marzyło mu się, aby w Parku na Zdrowiu powstał kompleks budynków, w których byłyby nie tylko sale wystawowe, magazyny, biura, ale też kino, bary, restauracje, w których łodzianie mogliby spędzać niedziele i inne dni tygodnia przyjemnie i z pożytkiem, obcując ze sztuką. Było to jedynie piękne marzenie znanego w świecie dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi.

Wiele różnych inicjatyw, pomysłów i projektów padło, i to nie dlatego, że brakowało – jak zawsze – pieniędzy na ich realizację, ale najczęściej dlatego, że dał znać o sobie „łódzki minimalizm”.

We Wrocławiu na przykład stawiano wieżowce metodą ślizgu. Nie pamiętam danych technicznych charakteryzujących tę metodę, która być może pozwalała uniknąć mankamentów prefabrykowanego budownictwa. Do Łodzi zapraszano wrocławskich projektantów i wykonawców, posługujących się metodą ślizgu. Zrobiono pokaz dla przedstawicieli władz miasta, przedsiębiorstw budowlanych i biur projektowych. Wszyscy wykazali duże zainteresowanie. Wrocławianie wrócili do domu, a w Łodzi... sprawa umarła. Po co Łodzi nowinki?

### **SF – bardziej fantastyczny niż naukowy**

Nie od razu doszedłem do wniosku, że książka *Łódź 2000* – to nie „reportaż z przyszłości”, jak ktoś ją uprzejmie nazwał, ale po prostu SF – science fiction – swobodne bujanie w obłokach, albo – jak kto woli – majaczenie futurologa. Naukowe przewidywanie przyszłości okazało się wielkim nieporozumieniem, jakim często stają się przewidywania, kiedy zbyt wybiegają w przyszłość, odrywając się od realnej rzeczywistości.

Łódź ma fatalny układ komunikacyjny. W budującym się żywiłowo mieście nikomu nie mogło przyjść do głowy, że po jego ulicach będą kiedyś jeździły samochody. Dla powozów i ciężkich wozów z towarami szerokość ulic była wystarczająca. Dziś na wielu ulicach jest bardzo wąsko. Ludziom nie znającym Łodzi



trudno się po niej jeździ. Bywało i tak, że kierowcy z innych miast wynajmowali taksówkarzy, aby służyli im za przewodników podczas jazdy przez miasto. W połowie lat siedemdziesiątych zdano sobie sprawę, że nie wszystkie domy da się wyburzyć i nie wszystkie ulice poszerzyć. Jedynym wyjściem miejskiej komunikacji było metro. Zaprojektowano trzy linie. Do 1990 roku miała być gotowa jedna.

Zaproszono mnie do Aleksandrowa Łódzkiego na spotkanie z czytelnikami. Opowiedziałem zebranym, jaka to piękna przyszłość czeka Łódź i ich miasto. Opowiedziałem o przyszłym metrze. Pierwsza trasa, która miała być gotowa do 1990 roku – a pamiętajmy, że była to połowa lat siedemdziesiątych, czasu wydawało się sporo, aby taki projekt zrealizować – miała właśnie zaczynać się w Aleksandrowie Łódzkim, bieć następnie pod ulicą Aleksandrowską, Zachodnią, Alejami Kościuszki, Piotrkowską, Jarosława Dąbrowskiego i kończyć się na Dąbrowie. Oczyma wyobraźni widziałem wejście do podziemnej stacji metra, ale słuchacze tego nie widzieli i patrzyli na mnie z dużym powątpiewaniem. Ot, fajne kawałki facet opowiada – myśleli sobie – pofantazjować każdemu wolno, ale czy coś z tego wyjdzie? Mnie ta fantastyczna wizja wydawała się możliwą do spełnienia. Była bowiem dla Łodzi koniecznością. I jest nią nadal, ale zapewne nigdy się nie ziści. Chociaż – nigdy nie należy mówić nigdy.

Teraz mówi się o szybkiej kolei, ale ma to być szybkie połączenie Łodzi z Warszawą. Przypomnę tylko jako ciekawostkę, że wiele lat temu (przed wojną też) szybkie połączenia zapewniały lukstorki. Potem je zlikwidowano. W połowie lat siedemdziesiątych też mówiono o szybkiej kolei, ale myślano o czymś innym. Wychodzono z założenia, że układ torów PKP wokół Łodzi tworzy obwodnicę, którą można byłoby wykorzystać dla potrzeb miejskiej komunikacji. Według ówczesnych projektantów trzeba byłoby połączyć Stoki z Zarzewiem i Liściastą z Łagiewnikami, a utworzyłby się zamknięty system miejskiej komunikacji kolejowej. Dlaczego tak się nie stało? Co przeszkadzało? Otóż problem zawierał się w stwierdzeniu: „miejska komunikacja kolejowa”. PKP były państwem w państwie. Rządziły się własnymi prawami. Miały swój budżet, którym nie zamierzały się z nikim dzielić. Powstało pytanie: Kto wybuduje brakujące tory? I drugie: – jak skalkulować ceny biletów, skoro w MPK bilety były znacznie tańsze od najtańszych w PKP? Wątpliwości nie rozwiano, pomysł zarzucono.



Myślano też o bezpośrednim połączeniu dworców Fabrycznego z Kaliskim. Wzdłuż ulicy Gabriela Narutowicza i Zielonej miał powstać wykop, w którym miały kursować pociągi zaczynające swój bieg w Koluszkach i dojeżdżające przez śródmieście Łodzi do Zduńskiej Woli lub Sieradza i odwrotnie. Wyburzano już nawet część budynków po południowej stronie ulicy Gabriela Narutowicza, być może niekoniecznie z myślą o kolei średnicowej. W każdym razie faktem jest, że pomysł z szybkim połączeniem Koluszek z Sieradzem przez śródmieście Łodzi odłożono do archiwum na lata i być może... Lepiej nie mówmy nigdy!

W latach siedemdziesiątych dojazd do pracy w Łodzi był poważnym problemem. Łódź stała się wtedy – bez przesady – wielkim placem budowy. Ludzi do pracy dowożono autobusami nawet z bardzo dalekich wsi i miasteczek. Dojeżdżano do pracy w Łodzi tramwajami z Tuszyń, Lutomińska, Konstancyńska, Ozorkowa, Aleksandrowa Łódzkiego, podmiejskimi pociągami z Koluszek, Sieradza, Kutna, Piotrkowa Trybunalskiego i okolic. Stąd i poszukiwania różnorodnych rozwiązań. Nikomu wówczas nie zaświtała myśl, że za kilkanaście lat Łódź stanie przed trudnym problemem bezrobocia, że padną fabryki przemysłu lekkiego, (przemysłu bawełnianego przede wszystkim) w oparciu o które wyrosło i rozwinęło się miasto, a fabryczne budynki, pamiętające czasy Ludwika Geyera, Karola Scheiblera, Izraela Kalmanowicza Poznańskiego i innych wielkich łódzkich przemysłowców, będą straszły wybitymi oknami, pustką hałaśliwych niegdyś hal.

W minionym dziesięcioleciu pracę straciło około 190 000 ludzi. Tylko w 1999 roku zwolniono w Łodzi z fabryk przemysłu lekkiego 15 000 osób. W fabrycznych halach „Uniontexu”, „Poltexu”, „Olimpii” i wielu innych mają powstać centra handlowo-rozrywkowe. Dadzą one pracę tysiącom ludzi, ale nieustannie nurtuje mnie pytanie, czy w biedniejszej Łodzi znajdą się chętni, aby w tych kolosach bawić się i kupować? Już dziś w supermarketach, których w Łodzi niemało, widuje się coraz więcej zwiedzających niż kupujących. Ale to zupełnie inny temat.

Niektórym fabrykom udało się przekroczyć zaczarowany próg transformacji i wcale nieźle prosperują. Jest wśród nich Polska Grupa Farmaceutyczna S. A., Gillette Poland S. A. (dawny Wizamet), Grupa Próchnik S. A., Ciech Stomil S. A., „Uniontex” S. A. (resztówka po dawnym kolosie), Wólczanka S. A., Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne Teofilów S. A., ABB ELTA oraz powszechnie znana i chwalona Pollena Ewa. Dobrze radzi sobie państwowa



fabryka „Eskimo”, która liczy już 170 lat i jest spadkobierczynią tradycji pozostałej po Ludwiku Geyerze. Natomiast nie poradziła sobie z problemami transformacji jedna z najlepszych fabryk wybudowanych w latach siedemdziesiątych XX wieku – Fabryka Dywanów „Dywilan”. Przed wojną w Zatoce Perskiej 60 % produkcji „Dywilanu” sprzedawano w krajach tamtego regionu, co dobrze świadczyło o poziomie produkcji polskiej fabryki. Dywany z Łodzi kupowała też chętnie Polonia amerykańska, nie mówiąc już o wielu firmach z Polski. Ale to się skończyło i hale fabryczne wystawiono na sprzedaż. Kto by się tego spodziewał?

W latach siedemdziesiątych powstała koncepcja zmiany struktury przemysłowej Łodzi. Uznano wówczas, że o strukturze zatrudnienia i udziale Łodzi w całokształcie gospodarki Polski decyduje przede wszystkim przemysł ciężki, maszynowy, elektrochemiczny i chemiczny. Starano się zatem rozbudowywać te właśnie gałęzie produkcji. Powstała fabryka transformatorów ELTA, aparatury elektrycznej „Elester”, przeniesiono do dzielnicy przemysłowej na Dąbrowie fabrykę obrabiarek „Jotes”. Pobudowano kilka nowych fabryk przemysłu maszynowego i elektrotechnicznego. Wydawało się, że taki kierunek rozwoju gospodarki miasta jest właściwy. I być może w tamtych warunkach ustrojowych przyniosłby jakieś korzyści, tyle tylko, że warunki zmieniły się radykalnie i kilka kolosów nie wytrzymało praw gospodarki rynkowej. W latach osiemdziesiątych było już widoczne, że gospodarka nakazowo-rozdzielcza poniosła fiasko, próby jej reformowania nie powiodły się i jedynym wyjściem stawał się wolny rynek – społeczna gospodarka wolnorynkowa. Nie wszyscy – co prawda – chcieli się z tym zgodzić, ale konserwatyzm jakiejś grupy ludzi nie mógł zahamować żywiołowo postępujących przemian. Takiego przebiegu wydarzeń w latach siedemdziesiątych XX wieku nikt nie mógł przewidzieć. Futurologzy, tworzący wówczas prognozy, ponieśli totalną klęskę. Gdy pod koniec lat siedemdziesiątych złamała się strategia gospodarcza ekipy Edwarda Gierka, mało kto zdał sobie sprawę z nieodwracalności kryzysu. W jakiś czas później – owszem.

Gdzieś w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych jeden z wysoko postawionych polityków, ale już u schyłku swojej kariery, powiedział mi w cztery oczy: „Ty daj sobie spokój z polityką, załóż lepiej jakiś interes, sklep z ciuchami otwórz albo coś w tym rodzaju”. Zaskoczyła mnie ta szczerza wypowiedź. Przyjąłem ją z niedowierzaniem. Czas pokazał, że to on miał rację, tyle tylko, że ja nie mam zdolności do handlu.



Futurologi nie przewidzieli, że u początku lat dziewięćdziesiątych całkowicie zmieni się struktura przemysłowa Łodzi. W miejsce wielkich fabryk powstały drobne, prywatne zakłady, zatrudniające od 5 do 20 osób. Jest ich około 33 000, a w ogóle w sądowych rejestrach figuruje 90 000 firm. Spora ich część znajduje się w uspieniu. Te małe firmy, w większości tekstylne, mają tę zaletę, że mogą łatwo zmienić rodzaj produkcji, nadążając za potrzebami rynku. Problem tylko w tym, że zbyt na ich produkcję szybko się kurczy. Starania Polski o przystąpienie do Unii Europejskiej oraz wstąpienie w marcu 1999 roku do NATO spowodowały znaczne ograniczenia ruchu na wschodniej granicy Polski. Małe firmy z Łodzi i okolic szyły przede wszystkim na potrzeby wielkich targowisk Rzgowa, Tuszyna i Głuchowa. Po przymknięciu granicy na wschodzie targowiska świecą pustkami. Małym firmom produkującym tekstylii dokucza import tanich tekstyliów z Dalekiego Wschodu.

Wolny rynek realizuje zamierzenia z lat siedemdziesiątych XX wieku – eliminacja przemysłu lekkiego na korzyść metalowego. Na początku lat dziewięćdziesiątych ówczesny prezydent Łodzi – Grzegorz Palka sprzedał firmie „Legler Polonia” majątek po „Bistonie” – 17 ha gruntów oraz budynki. Firma miała szyc spodnie i dać pracę kobietom zwolnionym z „Bistonu”. Tak się nie stało. „Legler Polonia” sprzedała pozostałości po „Bistonie” włoskiej firmie „Merloni” – potentatowi w produkcji sprzętu gospodarstwa domowego w Europie (15 % rynku), który rusza z produkcją kuchenek. Będzie ich produkował do 700 000 rocznie i zatrudni wtedy 700 osób. W Łodzi działają już zakłady firmy Bosch-Siemensa.

Czy te wszystkie zmiany – konieczne i potrzebne – staną się wystarczającą podstawą dla rozwoju gospodarczego w Łodzi?

### **Czy warto przewidywać?**

Od przewidywania nie ma ucieczki. Można jedynie zastanawiać się, jakie są tego realne granice? Czy istniejące możliwości pozwolą spełnić śmiało marzenia? Ale trzeba pamiętać, że odważne patrzenie w przyszłość warunkuje postęp. A bez postępu...

Łódź zawsze miała kłopoty z kulturą. Zresztą bardzo różnie pojmowaną. Ktoś napisał nawet pamflet na Łódź kulturalną nazywając ją „Trójkątem Bermudzkim”. Drukowany był – o ile dobrze pamiętam – w krakowskim „Życiu Literackim”. Wywołał w Łodzi burzę protestów, z której nic nie wynikło. A przecież Łódź dorobiła się znakomitej opery. Odbywające się w łódzkim Teatrze



Wielkim co dwa lata Spotkania Baletowe ściągają do miasta nie tylko widzów z kraju oraz sympatyków tańca zza granicy, ale przede wszystkim światowej sławy zespoły baletowe. W styczniu 1975 roku powrócił do Łodzi Kazimierz Dejmek i ponownie objął Teatr Nowy, przypominając jego dawne, dobre czasy. Odszedł z Łodzi w 1979 roku. Wspaniały okres przeżywał Teatr Wielki pod dyrekcją Sławomira Pietrasa. W trzech wytwórniach: Wytwórni Filmów Fabularnych, Wytwórni Filmów Oświatowych i Semaforze pełną parą szła produkcja. Złośliwcy przezywali Łódź – Hollywood, że niby to taki polski Hollywood. Tym niemniej Łódź filmowa liczyła się nie tylko na kulturalnej mapie Polski. Tu przecież kształcili się w popularnej „Filmówce” twórcy takiej miary, jak Roman Polański, Andrzej Wajda, Krzysztof Zanussi, Marek Piwowski i wielu innych, również przyjeżdżający zza granicy do Łodzi na studia. Warszawa parokrotnie usiłowała zabrać Łodzi szkołę filmową, na szczęście bez skutku. Można jeszcze wspomnieć o Zespole Pieśni i Tańca „Harnam”, który częściej występował za granicą niż w kraju, a bardzo rzadko w Łodzi.

Nie zapominajmy, że Łódź stała się centrum mody. Istniało tu i istnieje nadal silne środowisko malarzy, rzeźbiarzy, grafików, projektantów odzieży, scenografów. Absolwenci łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych odnoszą sukcesy nie tylko w kraju. Sztuka nie może rozwijać się w izolacji. Aktorzy chcą mieć pełne teatralne sale, malarze wystawowe, filmowcy kina. Z tym bywało i bywa różnie.

Zajrzałem do starych książek telefonicznych: w książce z lat 1976/1977 znalazłem 27 kin, z roku 1990 – 93, z lat 1997/1998 – 13. Ostatnimi laty zmodernizowano kina: „Bałtyk” i „Polonię”. Czynne są „Przedwiośnie” i „Capitol” (dawny „Włókniarz”) oraz inne – w sumie 11 kin. Dwa z nich są w Łódzkim Domu Kultury. Niegdyś Łódź słynęła z tego, że było tu dużo kin. Ale wtedy nie było telewizji. Dziś ludzie większość czasu spędzają przed telewizorami, mając do dyspozycji telewizję kablową i satelitarną. W niektórych domach telewizory włączone są non stop przez całe popołudnie i wieczór. Ludzie zmęczeni pracą zasypiają przed telewizorami. Najlepsza nawet telewizja nie zastąpi jednak bezpośredniego kontaktu z aktorem w teatrze czy na wielkim ekranie w kinie.

W połowie lat siedemdziesiątych XX wieku doszedłem do wniosku, że właśnie domy kultury mogłyby stać się znakomitym sposobem upowszechniania kultury. Napisałem wtedy: „Dziś mówiąc o domu kultury myślimy przede wszystkim o sali widowiskowej, czytelnicy, kawiarni, pracowniach dla hobbystów. Nie



myślmy o sali gimnastycznej, sali gier mechanicznych, basenie kąpielowym, saunie. Nie myślmy również o restauracji, klubie". W powstających wówczas osiedlach mieszkaniowych, zwanych „sypialniami wielkiego miasta”, nie było nie tylko domu kultury, ale nawet małego kina.

Dziś, kiedy zagraniczne firmy kupując fabryczne mury i zamierzają tam tworzyć centra handlowo-rozrywkowe, myślą też o basenie, sali gimnastycznej, restauracji i barach. Przynajmniej w tym wypadku moje futurologiczne prognozowanie mnie nie zawiodło i myślałem prawidłowo, patrząc w przyszłość.

Niektóre domy kultury poszerzyły zakres swoich zainteresowań, odpowiedziały na społeczne zapotrzebowanie i utrzymały się przy życiu. Podobnie jak teatry. Padły natomiast wytwórnie filmowe. WFF przekształcono najpierw w Łódzkie Centrum Filmowe, a następnie zaczęto po kawałku sprzedawać. Zarabia na siebie jedynie jedna czwarta dawnej WFF – w tym studio nagrań dźwiękowych.

Restrukturyzację przeszła Wytwórnia Filmów Oświatowych, padł natomiast Semafor, jako że stacje telewizyjne nadają przede wszystkim zagraniczne – głównie amerykańskie lub japońskie – filmy animowane, uroczo niegdyś nazywane kreskówkami. Na placu pozostała szkoła filmowa i stworzone przez Antoniego Szrama Muzeum Kinematografii. Czy to już oznacza koniec filmowej Łodzi? Czy też ma ona szansę na odrodzenie? Mam nadzieję, że tak się stanie, ale nie chciałbym być niepoprawnym optymistą. Szkoda byłoby bowiem, żeby zmarnował się nie tylko olbrzymi potencjał techniczny, ale przede wszystkim umiejętności znakomitych fachowców, bez których nie byłoby polskiej sztuki filmowej.

Łódź swoją widziałem piękną i nowoczesną – choć nie jest to moje rodzinne miasto, a jedynie przybrane. To nie była tylko moja wizja. Jak już wspomniałem, oparłem się w dużej mierze na rezultatach prac wielu specjalistów programujących przyszłość miasta. Nie udało się. Życie nie pozwoliło na realizację wielu planów. Ale życie nie stoi w miejscu. Mam nadzieję, że wiele z tego, co przewidywaaliśmy, z czasem znajdzie warunki na pomyślną realizację. Części naszych zamierzeń i projektów nic już nie przywróci do życia. Nie wątpię, że powstaną nowe plany i projekty. Inne są dziś czasy i inne będą zamierzenia. Jeśli futurolog, który prezentował czytelnikom inne projekty przegrał, to nadal pozostał optymistą.



Andrzej Frontczak

## Choroby układu krążenia – problem społeczny i zdrowotny

W ciągu ostatnich 50 lat XX w. stwierdza się wydłużenie ludzkiego życia zarówno w świecie, jak i w Polsce. Dynamiczny postęp i rozwój medycyny, a w szczególności technik diagnostycznych, wprowadzenie zupełnie nowych leków, takich jak antybiotyki, kortykoidy, leków sercowych, surowic, szczepionek i szeregu innych spowodowało opanowanie większości groźnych dla zdrowia i życia ludzkiego chorób zakaźnych, takich jak: gruźlica, dur brzuszny i plamisty, czerwonka, płonica, błonica, ospa prawdziwa, zapalenie płuc, opon mózgowych, choroba Heine-Medina, zarażeń pasożytami i wielu innych. Masowe stosowanie szczepień ochronnych zapobiegających wielu chorobom oraz możliwość skutecznego leczenia przyczynowego w zdecydowany sposób wydłużyły ludzkie życie. Aktualnie, pod koniec XX w., średnia długość ludzkiego życia w Polsce wynosi 76,57 lat u kobiet i 68,12 lat u mężczyzn. Niestety w naszym mieście wskaźniki te są niższe i wynoszą 75,24 lat u kobiet i 65,87 lat u mężczyzn. Jak wiadomo, średni czas przeżycia mieszkańców określają głównie dwa czynniki: przyrost naturalny i ogólna ilość zgonów. Niestety w Łodzi notuje się bardzo niski przyrost naturalny, który wynosił aż - 7,1, natomiast współczynnik zgonów na 1000 ludności wynosił 13,92 w 1998 r. W roku 1997 odnotowano w Polsce łącznie 380 201 zgonów, co w przeliczeniu na 100 000 mieszkańców wynosiło 1074,3 zgonów mężczyzn i 897,9 zgonów kobiet. Te same wskaźniki wyliczone dla obszaru w dawnym województwie łódzkim wynosiły 1237 zgonów mężczyzn na 100 000 ludzi i 998 kobiet na 100 000 osób. Z danych porównawczych dla całego kraju wynika, że ilość zgonów w naszym województwie jest największa w Polsce.

W piśmiennictwie krajowym jak i zagranicznym podkreśla się, że główną przyczyną zgonów są przede wszystkim choroby układu



krażenia, które w poszczególnych krajach wynoszą 50% wszystkich zgonów. W Polsce w roku 1996 zarejestrowano 194 326 zgonów spowodowanych chorobami układu krążenia. Na terenie byłych województw łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego zanotowano 16 865 zgonów, z tego w byłym województwie łódzkim aż 7658 zgonów z powodu chorób układu krążenia. Porównawcza analiza zgonów wykazuje, że w naszym województwie największy udział w strukturze zgonów mają choroby układu krążenia, które wynoszą 51,4% wszystkich zgonów. Niepokojące jest ponadto, że bardzo niekorzystna jest dynamika umieralności z powodu chorób układu krążenia w stosunku do średnich innych krajów. W 1996 r. wskaźnik zgonów z powodu chorób układu krążenia w Polsce wynosił 5,0 zgonów na 1000 mieszkańców u mężczyzn oraz 5,1 u kobiet. Te same wskaźniki w naszym obszarze wyniosły 7,0 u mężczyzn i 6,8 u kobiet. Szczegółowa analiza umieralności w grupie chorób układu krążenia w roku 1996 w naszym województwie wykazała, że na 10 000 ludności zmarło 68,92 chorych, w tym z powodu:

- ostrego zawału serca 7,99 chorych,
- niedokrwiennej choroby serca 11,07 chorych,
- chorób naczyń mózgowych 7,84 chorych,
- choroby nadciśnieniowej 2,23 chorych.

Na podkreślenie zasługuje fakt, iż u mężczyzn obserwuje się bardzo wysoką umieralność przedwczesną w wyniku choroby niedokrwiennej serca i zawału serca. Okazało się bowiem, że niemal 50% zgonów z tej przyczyny wystąpiło przed 64 rokiem życia. Zawał serca oraz ostra choroba niedokrwienności serca były dwukrotnie częściej przyczyną u mężczyzn niż u kobiet (M - 15,2/10 000 mieszkańców i K - 7,4/10 000). U mężczyzn w wieku 20 - 69 lat znacznie częściej występowała nadumieralność spowodowana chorobami układu krążenia. Niepokojącym ponadto zjawiskiem jest wysoki procent zgonów z powodu chorób naczyń mózgowych, który zarówno w naszym regionie, jak i w kraju i na świecie wykazuje tendencję wzrostową. Na podkreślenie zasługuje także fakt, że przebycie udaru (wylewu) krwi do mózgu w większości przypadków kończy się mniejszym lub większym kalectwem ruchowym (niedowład lub porażenia kończyn), zaburzeniami mowy i psychiki. Krótkie zestawienie wybranych wskaźników przedstawione w tabeli 1 wyraźnie uwypukla rangę i wielkość problemu, jaki stanowią we współczesnym społeczeństwie choroby układu krążenia. Rodzi się zatem pytanie, ilu łódzian leczy się z powodu chorób układu krążenia?



Tabela 1. Chorzy leczeni z powodu chorób układu krążenia w 1998 roku

Rozpoznanie	Liczba leczonych				Wskaźnik na 10 000 ludności				
	Ogółem	w tym w wieku			Ogółem <sup>1</sup>	w tym w wieku			
		35-44	45-54	55-64		65 i więcej	45-54	55-64	65 i więcej
OGÓŁEM	122519	17675	28914	33751	37844	562,76	742,52	1379,22	1009,15
Ostra choroba reumatyczna	615	128	174	137	88	2,82	3,10	5,60	2,35
Przewlekła choroba reumatyczna	4996	898	1265	1463	1177	22,95	32,49	59,79	31,39
Choroba nadciśnieniowa	53412	7348	12423	14979	17542	245,33	319,03	612,11	467,78
Choroba niedokrwienna serca	37251	5296	10066	10508	10662	171,10	258,50	429,41	284,31
w tym:	3592	664	985	928	751	16,50	25,30	37,92	20,03
ostry zawał serca									
przeżyty zawał serca	13095	1851	3055	4267	3654	60,15	78,45	174,37	97,44
Inne choroby serca	15661	2713	3169	3756	4214	71,93	81,38	153,49	112,37
w tym:	6646	1118	1493	1685	1898	30,53	38,34	68,86	50,61
zaburzenia rytmu serca									
Choroby naczyń mózgowych	3813	289	558	1068	1790	17,51	14,33	43,64	47,73
Choroby tętnic, tętniczek i naczyń włosowatych	3018	269	529	847	1280	13,58	13,58	34,61	34,13
Pozostałe choroby układu krążenia	3753	734	730	993	1091	17,24	18,75	40,58	29,09

<sup>1</sup> Wskaźnik wyliczono do ludności powyżej 15 roku życia.



Tabela 2. Chorzy leczeni po raz pierwszy z powodu chorób układu krążenia w 1998 roku

Rozpoznanie	Leczeni po raz pierwszy				Wskaźnik na 10 000 ludności					
	Ogółem	w tym w wieku			Ogółem	w tym w wieku				
		35-44	45-54	55-64		35-44	45-54	55-64	65 i więcej	
<b>OGÓLEM</b>	24942	4616	7406	6492	5478	114,56	111,68	190,19	265,29	146,08
Ostra choroba reumatyczna	240	52	53	61	48	1,10	1,26	1,36	2,49	1,28
Przewlekła choroba reumatyczna	984	210	300	270	167	4,52	5,08	7,70	11,03	4,45
Choroba nadciśnieniowa	9606	1826	3075	2468	1988	44,12	44,18	78,97	100,85	53,01
Choroba niedokrwienna serca	7936	1371	2550	2150	1673	36,45	33,17	65,48	87,86	44,61
w tym:										
ostry zawał serca	1306	229	451	352	248	6,00	5,54	11,58	14,38	6,61
przebyte zawał serca	2676	533	705	813	571	12,29	12,90	18,10	33,22	15,23
Inne choroby serca	3479	742	870	761	750	15,98	17,95	22,34	31,10	20,00
w tym: zaburzenia rytmu serca	1565	348	402	352	330	7,19	8,42	10,32	14,38	8,80
Choroby naczyń mózgowych	968	93	174	274	399	4,45	2,25	4,47	11,20	10,64
Choroby tętnic, tętniczek i naczyń włosowatych	688	92	141	222	217	3,16	2,23	3,62	9,07	5,79
Pozostałe choroby układu krążenia	1041	230	243	286	236	4,78	5,56	6,24	11,69	6,29



Z tabeli 1 wynika, że na łączną liczbę mieszkańców naszego miasta wynoszącą 806 728 aż 122 519 leczonych było z różnych chorób układu krążenia. To oznacza, że prawie co siódmy łodzianin leczony jest z powodu chorób układu krążenia, najczęściej z powodu: nadciśnienia tętniczego krwi (53 412 osób), niedokrwiennej choroby serca (37 251) i innych chorób serca (15 661).

Szczególnie niepokojące jest występowanie chorób układu krążenia już w przedziale wieku 35 – 44 lat i największe ich nasilenie do 65 roku życia – a więc w okresie pełnej aktywności zawodowej i życiowej. Na podkreślenie zasługuje także fakt, że w tymże samym roku 1998 choroby układu krążenia były po raz pierwszy powodem zgłoszenia się do lekarza i rozpoczęcia leczenia (tabl. 2).

Z tabeli 2 wynika, że obserwuje się duży wzrost zachorowań na chorobę niedokrwinną serca, a co najbardziej niepokojące, to iż występuje ona już w przedziale wieku 35–44 lat – łącznie 1371 na ogólną liczbę 7936 zachorowań. Bardzo wysoka jest również liczba chorych w wieku 45–54 lat (2550) osób i w wieku 55 – 64 lata (2150). Duża jest też ilość chorych z rozpoznaną chorobą nadciśnieniową tętnic (9606) i innymi chorobami serca (3479).

Wysoce niepokojący jest fakt, że u 968 osób stwierdzono choroby naczyń mózgowych o różnej etiologii – najczęściej w przebiegu miażdżycy naczyń i choroby nadciśnieniowej. W tej grupie chorych obserwuje się bardzo wysoką śmiertelność, dochodząca niekiedy do 30–50% zachorowań.

Jak już uprzednio wspomniano, następstwem przebytego incydentu mózgowego jest najczęściej mniejszy lub większy defekt ruchowy, któremu nierzadko towarzyszą zaburzenia mowy i intelektu.

Ceną przeżycia incydentu mózgowego często jest dożywotnie kalectwo, przeważnie ruchowe, wymagające niestety stałej opieki osób trzecich – rodziny lub innych opiekunów.

Z tabeli 1 wynika, że ponad 5000 chorych leczonych było z powodu ostrej i przewlekłej choroby reumatycznej, w wyniku której u wielu osób powstały wady serca, wymagające w wielu przypadkach leczenia kardio-chirurgicznego, takiego jak rozszerzenie ujścia albo wszczepienie naturalnej lub sztucznej zastawki. Również wielu chorych z przewlekłą niedokrwinną chorobą serca wymaga różnego rodzaju leczenia kardiochirurgicznego, które w wielu przypadkach jest leczeniem z wyboru zniszczonych i zamkniętych naczyń wieńcowych serca.



Dodatkowego aspektu nabiera także fakt, że ponad 50% chorych po przebytych zawale serca, w przypadku przewlekłej choroby niedokrwiennej serca, po udarach mózgu wyłączonych zostaje z czynnego życia zawodowego, przechodząc na rentę inwalidzką. Także wielu chorych z nadciśnieniem tętniczym krwi z towarzyszącą chorobą niedokrwinną serca ma ograniczoną wydolność życiową i zawodową, często otrzymując z tego powodu na komisjach lekarskich skierowanie na rentę inwalidzką.

U wielu chorych w wyniku przebytych stanów zapalnych mięśnia sercowego, toksycznego uszkodzenia mięśnia sercowego (np. alkoholowe uszkodzenie serca i inne), w wyniku wad serca, przebytych zawałów serca występują objawy przewlekłej niewydolności krążenia wymagającej stałej opieki lekarskiej i wybitnego ograniczenia wysiłków, aktywności życiowej i zawodowej, często także – opieki osób trzecich.

Z przedstawionych danych statystycznych wyraźnie wynika, że choroby układu krążenia w naszym mieście są chorobami najczęściej występującymi i wynoszą około 52% wszystkich zachorowań. Chorzy na nadciśnienie tętnicze krwi, przewlekłą chorobę niedokrwinną, chorzy po zawałach serca, ze zmianami mięśniowymi w sercu, zaburzeniami rytmu serca, po udarach mózgu i innymi – wymagają stałego i systematycznego kompleksowego, często specjalistycznego zarówno zachowawczego, jak i operacyjnego leczenia. Podkreślić jednak należy, że mimo prawidłowego leczenia uzyskuje się u chorych jedynie poprawę stanu układu krążenia i ogólnego – a nie pełne wyleczenie i odzyskanie zdrowia.

Wielu chorych ma zmniejszoną, mniej lub więcej, ogólną sprawność fizyczną, a także zawodową. Najważniejsze jednak to skrócenie życia, zwłaszcza w przedziale 35–64 lat. Jak wynika z piśmiennictwa, przeciętny czas życia mieszkańców np. Helsinek, Sztokholmu jest o 8–10 lat dłuższy u mężczyzn i o 6–8 lat u kobiet niż u Łódzian. Wynika to przede wszystkim z powodu nadmiernej umieralności Łódzian w następstwie chorób układu krążenia, a zwłaszcza niedokrwiennej choroby serca.

Ogólnie przyjmuje się, że rozwój chorób układu krążenia (serca i naczyń obwodowych) spowodowany jest najczęściej przez zmiany miażdżycowe, a zatem podobne są czynniki ryzyka występowania niedokrwiennej choroby serca, naczyń mózgowych, nadciśnienia tętniczego krwi czy zmian w zakresie tętnic obwodowych. Z wielu wymienionych czynników ryzyka choroby wieńcowej serca za najważniejsze przyjmuje się:



- 1) nadciśnienie tętnicze krwi (wartość RR > 140/90 mmHg),
- 2) cukrzycę,
- 3) zaburzenia gospodarki lipidowej (podwyższone wartości cholesterolu całkowitego, LDL-cholesterolu, trójglicerydów i niskie stężenie HDL-cholesterolu),
- 4) nadwagę i otyłość,
- 5) palenie tytoniu,
- 6) brak aktywności ruchowej,
- 7) wzrost stężenia fibrinogenu we krwi,
- 8) wzrost stężenia kwasu moczowego we krwi,
- 9) nieracjonalne odżywianie (przewaga węglowodanów, tłuszczów),
- 10) nadmierny stres,
- 11) obciążenia genetyczne i inne.

W latach siedemdziesiątych w Polsce przeprowadzono badania epidemiologiczne wpływu czynników ryzyka choroby niedokrwiennej serca na stan zdrowia populacji i obserwowaną nadumieralność ludzi z powodu chorób układu krążenia. Okazało się, że u badanych stwierdzono nieprawidłowe żywienie (nadmiar przyjmowanych tłuszczów, zwłaszcza zwierzęcych), wysoki odsetek (50% mężczyzn i 33% kobiet) palących papierosy, zaburzenia lipidowe (hiperlipidemia), podwyższone ciśnienie tętnicze krwi i otyłość, obniżoną aktywność ruchową, zaburzenia gospodarki węglowodanowej do cukrzycy włącznie.

W Łodzi w ramach Programu Prewencji Chorób Niezakaźnych – CINDI WHO w latach 1990/91 oraz 1995/96 przebadano losowo mieszkańców dzielnicy Górna w wieku 18–64 lat. W każdym z badań obserwowano około 2000 osób. Z przeprowadzonych badań wynika, że częstość występowania czynników ryzyka u ludzi była bardzo znaczna (od 2–3 do 5–7 włącznie u poszczególnych osób), a większość mieszkańców miała niezadowolającą stan wiedzy na powyższy temat.

Po 5 latach prowadzonego programu profilaktycznego stwierdzono: spadek liczby palących papierosy wśród mężczyzn z 62% do 47% oraz u kobiet z 39% do 33%; zmniejszyła się ilość kobiet z nadwagą ciała. Niestety, nie zmieniła się w istotny sposób aktywność ruchowa, a wypoczynek przed telewizorem jest najczęstszą formą wypoczynku po pracy. Bardzo często u osób z nadwagą występują nie tylko zaburzenia lipidowe, ale także zaburzenia w tolerancji glukozy lub rozwinięta cukrzyca, najczęściej typu II, nie wymagająca stosowania insuliny, lecz tylko doustnych preparatów obniżających poziom cukru we krwi.



Rodzi się zatem pytanie – co czynić, ażeby chronić ludzi przed przedwczesnym występowaniem chorób układu krążenia – a zwłaszcza choroby niedokrwiennej serca, nadciśnienia tętniczego krwi, chorób naczyń mózgowych, kardiomyopatii oraz innych chorób układu krążenia. Jak wynika z prowadzonych dotychczas działań, jedynym sposobem jest wprowadzenie w danym obszarze, rejonie – racjonalnie zaplanowanych programów interwencyjnych, programów prewencyjnych. Znakomitym przykładem tego jest wzorcowy program zapobiegawczy, który realizowany jest od roku 1972 w północnej Karelii w Finlandii. Podstawą tego programu, od początku jego realizacji, jest ścisła współpraca władz lokalnych, narodowych, medycznych i samorządowych oraz WHO (Międzynarodowa Organizacja Zdrowia).

W efekcie prowadzonej działalności edukacyjnej społeczeństwa, informującej np. o szkodliwości palenia tytoniu, niewłaściwym żywieniu, zwalczaniu nadciśnienia tętniczego krwi itd., oraz – stosowanego postępowania medycznego umieralność z powodu choroby niedokrwiennej, choroby serca mężczyzn poniżej 65 roku życia zmniejszyła się aż o 73%, umieralność z powodu raka płuc obniżyła się o 70%, a umieralność ogólna o około 45%. Wystarczy przytoczyć także, że o ile w roku 1972 aż 52% mężczyzn w wieku średnim paliło papierosy, to w roku 1992 już tylko 32%. Zmienione zostały dotychczasowe nawyki żywieniowe, co doprowadziło do obniżenia stężenia cholesterolu we krwi średnio o około 15%.

Porównując wskaźniki umieralności, występowania chorób układu krążenia, ilość osób leczących się z powodu tych chorób na terenie naszego miasta, uznać należy, że zmniejszenie się umieralności i zachorowalności na choroby układu krążenia można uzyskać jedynie przez wprowadzenie w Łodzi i województwie merytorycznie przygotowanego programu prewencyjnego tych chorób z wykorzystaniem doświadczeń krajowych i zagranicznych. Jak wiadomo, ośrodkiem koordynującym polski program CINDI w ramach WHO jest Łódź, a jego Dyrektorem jest Prof. dr med. Wojciech Drygas – kierownik Katedry Medycyny Społecznej i Zapobiegawczej AM w Łodzi.

W Łodzi działa wielu klinicystów, kardiologów, jak np. Prof. dr med. Maria Krzemińska-Pakuła – kierownik Kliniki Kardiologicznej AM w Łodzi, Prof. dr med. Halina Bolińska-Sołtysiak – kierownik Kliniki Kardiologicznej AM w Łodzi, Prof. dr med. Andrzej Żebrowski, Prof. dr med. Jan Goch – z WAM i szereg innych. Liczna grupa kardiologów, internistów, lekarzy rodzinnych oraz



uczelnii, a także otwartość na rozwiązywanie ważnego biologicznie problemu ze strony Dyrekcji Łódzkiej Regionalnej Kasy Chorych z Dyrektorem dr. n. med. W. Stelmachem i Jego zastępcami na czele mogą spowodować wdrożenie w naszym województwie interwencyjnego programu zapobiegania i zmniejszenia częstości występowania chorób układu krążenia.

Reasumując, należy jeszcze raz podkreślić, że stan zdrowia mieszkańców łódzkiego regionu jest zły. Wyraża się on wysoką umieralnością i dużą liczbą chorych z powodu chorób układu krążenia oraz niekontrolowanego poziomu czynników zagrożenia. Dlatego też wprowadzenie interwencyjnego programu profilaktyki chorób układu krążenia, realizowanego w ramach: Łódzkiej Regionalnej Kasy Chorych, AM w Łodzi, lecznictwa otwartego i zamkniętego w poszczególnych miastach naszego regionu rozpocznie może wreszcie proces zmniejszania się liczby chorób układu krążenia wśród ludności, obniżenia się ilości zgonów z powodu tych chorób i wydłużenia życia mieszkańców naszego województwa.

#### Piśmiennictwo

1. Charzewska J., Sznajd J., Rywik S. i wsp.: *Poziom czynników ryzyka i jego zróżnicowanie w populacji objętej programem prewencji choroby wieńcowej*. Przeg. Lek. 1979, 36, 715.
2. *Countrywide Intergrated Noncommunicable Disease Interrention (CINDI) Programme. Protocol and Guidelines*. WHO Copenhagen, 1995.
3. Drygas W. i wsp.: *Program Profilaktyki Chorób Układu Krążenia*. Łódź lipiec 1999. Katedra Med. Społ. i Zachowawczej AM w Łodzi.
4. Informator Statystyczny Służby Zdrowia 1998 r. – Wojewódzkie Centrum Analiz i Promocji Zdrowia Dział Analiz Statystycznych i Ekonomicznych Łódź, październik 1999.
5. Drygas W. i wsp.: *Analiza wybranych elementów sytuacji zdrowotnej regionu Łódzkiego*. Katedra Medycyny Społecznej i Zachowawczej AM w Łodzi.



6. Puska P., Puomilehto J., Nissinen A., Vartiainen E.: *The North Karelia Projekt 20 Year Results and Experiences KPL*, Helsinki 1999.

7. Rywik S., Broda G., Piotrowski W. i in.: *Epidemiologia chorób układu krążenia – program Pol. – Monika*, Warszawa, Kardiol. Pol., 1995 supp. II, 7 – 35.

8. Rywik S., Charzewska J., Napierała M., i wsp.: *Charakterystyka populacji mężczyzn w wieku 40 – 59 lat objętych eksperymentem polskim poświęconym wieloczynnikowej prewencji choroby wieńcowej*. *Przeg Lek.* 1977, 34, 615.

9. Sapiński W., Frontczak A., Góralczyk W.: *Próba wdrożenia programu prewencji chorób układu krążenia w dzielnicy Łódź-Górna*. Teoria i praktyka organizacji ochrony zdrowia. 1990, 1, 71.

10. Sapiński W., Frontczak A., Góralczyk W., Lewandowicz J. i in.: *Rozpowszechnianie czynników zagrożenia chorób układu krążenia wśród ludności dzielnicy Łódź-Górna*. „Zdrowie Publiczne” 1991, 102, 10, 410.

11. Województwo łódzkie w 1998 roku, Urząd Statystyczny w Łodzi. Łódź 1999.



Panorama Łodzi

foto archiwalne



Ryszard Rosin

## Szkice z dziejów Łodzi – 1945 rok

Łódź została wyzwolona w ramach operacji wiślano-odrzańskiej, rozpoczętej przez Armię Czerwoną 12 stycznia 1945 r.<sup>1</sup> Niemcy, choć byli pewni, że uda im się utrzymać linię środkowej Wisły, przygotowywali intensywnie obronę Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej i wykorzystując jej gęstą zabudowę, wzniesli tu silne umocnienia typu polowego z elementami półstałymi. Garnizon łódzki w pierwszych dniach 1945 r. składał się z oddziałów szkoły armijnej 9 Armii Polowej, 791 batalionu piechoty, 268 batalionu przeciwpancernego, 51 pułku łączności i kilku innych jednostek kombinowanych. 14 stycznia włączono do obrony oddziały Volkssturmu oraz kilka batalionów policji. Napływały ponadto do Łodzi i jej okolic rozbite jednostki wycofującej się znad Pilicy 9 Armii Polowej generała wojsk pancernych Lutwitza wchodzącej w skład Grupy Armii „A”, nie przedstawiały jednak większej wartości bojowej. Siły te nawet po połączeniu nie były zdadne do prowadzenia długotrwałych walk, lecz po otrzymaniu posiłków mogły jednak stawiać znaczny opór. Mogło to spowodować poważne zniszczenia Łodzi i okolicznych miejscowości. Perspektywa ta stała się tym bardziej realna po rozkazie przetransportowania z Prus Wschodnich w okolice Łodzi doborowego korpusu pancernego „Grossdeutschland”.

Łódź znajdowała się na kierunku działań lewego skrzydła Frontu Białoruskiego. Jego dowódca, marszałek G. Żukow w nocy z 17 na 18 stycznia zorientował się, iż wokół Łodzi zaczyna tworzyć się silny ośrodek oporu, który może opóźnić tempo natarcia podległych mu wojsk. Postanowił więc wyeliminować z walki Korpus Pancerny „Grossdeutschland” i przyspieszyć fron-

<sup>1</sup> K. Badziak, W. Kozłowski, *Wyzwolenie ziemi łódzkiej. Styczeń 1945*, Łódź 1980, s. 70-73, 197-218.



talny atak na miasto z jednoczesnym oskrzydleniem od północy i południa. Aby uniknąć dłuższych walk ulicznych, pozostawił jednocześnie Niemcom wolną drogę odwrotu na zachód. Realizację tego zadania dowództwo Frontu Białoruskiego powierzyło silnym związkom taktycznym 8 Armii Gwardii generała W. Czujkowa oraz 69 Armii generała I. Kiriczenki, 11 Armii generała I. Juszczuka i samodzielnemu 7 Korpusowi Kawalerii generała M. Konstantinowa. Siły lądowe miała wspierać 16 Armia Lotnicza generała S. Rudenki.

Lotnictwo radzieckie 17 stycznia rozpoczęło o godzinie 19.00 półtoragodzinny nalot na Łódź i okoliczne miejscowości. Powtórzono bombardowanie następnego dnia. Głównym celem działań powietrznych było niszczenie węzłów kolejowych i drogowych oraz wywołanie paniki wśród ludności niemieckiej. Naloty 16 armii powietrznej zadały także poważne straty jednostkom Korpusu „Grossdeutschland” wylądowującym się na stacjach w Karsznicach, Zduńskiej Woli i wzdłuż linii Kutno – Łódź. W wyniku poniesionych strat jednostki te nie zdołały się sformować i stawić skutecznego oporu nacierającym od południa i północy jednostkom radzieckim. Podobny los spotkał skierowaną do Łodzi z głębi Rzeszy 412 dywizję piechoty. Z relacji dowódcy 2 Armii Pancernej generała M. Katukowa wynika, iż pierwszym oddziałem wojsk radzieckich, który znalazł się na obszarze Łodzi już w nocy z 17 na 18 stycznia, był dowodzony przez kpt. W. Boczkowskiego 2 batalion czołgów z 1 Brygady Pancernej należącej do 8 Armii Zmechanizowanej Gwardii, który nacierał ze Zgierza na północno-zachodnie peryferie naszego miasta.

Wyzwolenie Łodzi nastąpiło jednak dopiero 19 stycznia. Walki rozpoczęły się o świcie i trwały do wieczora. Wojska radzieckie wkraczały do miasta z różnych stron. Jednostki 9 Korpusu Pancernego atakowały od południowego wschodu ulicami Rzgowską, Rudzką i północną stroną Pabianickiej, a towarzyszący im 7 Korpus Kawalerii, po osiągnięciu Rudy Pabianickiej, skierował się na Pabianice. W południe doszło do spotkania na Placu Leonarda (plac Niepodległości) grupy uderzeniowej 9 Korpusu Zmechanizowanego z oddziałami 6 Korpusu Zmechanizowanego z 4 Armii Pancernej wchodzącej w skład I Frontu Ukraińskiego. Dowódca tej armii, generał D. Leluszenko postanowił bowiem wziąć udział w wyzwoleniu Łodzi i na czele podległego sobie Korpusu skierował się z okolic Piotrkowa Trybunalskiego przez Tuszyn na północny zachód, wkraczając w ten sposób na kierunek natarcia I Frontu Białoruskiego.



Oddziały pancerne 8 Armii Gwardii parły od północnego wschodu ulicami Łagiewnicką i Strykowską w kierunku pl. Wolności, a 82 dywizja piechoty (generała G. Chetagurowa) tego związku operacyjnego atakowała północno-zachodnie dzielnice miasta. Z kolei 65 Brygada Pancerna (płk Łukjanow) z 11 Korpusu Pancernego, po przełamaniu oporu wroga na wschodniej rubieży miasta, posuwała się ulicami Rokicińską, Narutowicza i Pomorską, opanowując około godziny 17.00 Zdrowie. Za nią podążała grupa wydzielona z 69 Armii.

Radzieckie siły pancerne nie wdawały się w dłuższe starcia uliczne i po osiągnięciu zachodnich dzielnic miasta przystępowały do dalszego pościgu za wycofującymi się Niemcami. Likwidowaniem izolowanych grup oporu w mieście zajęła się 82 Dywizja Piechoty i grupa wydzielona generała S. Tichończuka. Następnego dnia do Łodzi wkroczyły pozostałe oddziały 69 Armii. Podczas walk w mieście do najostrzejszych starć doszło w Starowej Górze, na Chojnach, wokół Czerwonego Rynku i sąsiadujących z nim ulic, o budynki wokół Dworca Łódź Fabryczna oraz koszary przy ul. Żeligowskiego. Czerwonoarmistom pomagali łodzianie, którzy nie tylko udzielali im informacji o rozlokowaniu punktów oporu Niemców i drogach ich obejścia, ale także walczyli z nimi z bronią w rękę, odpłacając się za lata niewoli i przesładowań. W walkach o Łódź i pobliskie miejscowości poległo około 700 żołnierzy radzieckich. Na cześć jej wyzwolenia w Moskwie oddano 19 stycznia 24 salwy z 324 dział.

Tego samego dnia utworzono też komendanturę wojenną miasta z siedzibą przy ul. Pomorskiej 21. Komendantem wojennym został na krótko generał Siemionow, ale już 21 stycznia opuścił on Łódź, funkcję tę objął płk Korzykow, piastując ją przynajmniej do kwietnia 1945 r. W kilku źródłach jako komendanta w tym okresie wymienia się nazwisko generała Furtienki, zwanego też Furtem, ale jest to wyraźne pomylenie pojęć. W rzeczywistości generał Furtienko był Komendantem Garnizonu Armii Czerwonej, a Komendantem Wojennym Miasta był płk Korzykow. Po wyzwoleniu miasta oddziały inżynieryjne 69 Armii<sup>2</sup> zajęły się rozminowaniem i usuwaniem amunicji i niewypałów z terenu całej Łodzi.

Na temat powstawania władz administracyjnych miasta Łodzi w 1945 r. ukazało się już sporo wartościowych i ciekawych opracowań naukowych, opublikowano także kilka wyborów

---

<sup>2</sup> R. Rosin, *Początki władz miasta Łodzi w 1945 r.*, AUL, Folia Historica (w druku).



źródle<sup>3</sup>. Przeważająca część tych pozycji jest jednak rozproszona po czasopiśmie i pracach zbiorowych, nieraz już trudno dostępnych. Powodowało to m. in., iż autorzy – zwłaszcza prac popularnonaukowych – zajmujący się w latach 70. – 80. tym problemem często sięgali do dawnych opracowań, te natomiast zawierają pomyłki i niedokładności płynące przede wszystkim ze zbyt skromnej wówczas bazy źródłowej. Celem niniejszego artykułu jest przeto omówienie najistotniejszych publikacji dotyczących prezentowanych tu zagadnień, uporządkowania zawartego w nich materiału, zwłaszcza pod względem chronologicznym, i krytyczne zinterpretowanie go.

Przegląd podstawowej literatury przedmiotu należy rozpocząć od artykułów M. Kołodziejczaka o początkach władzy ludowej w Łodzi oraz w woj. łódzkim i N. Kołomejczyka o rozwoju PPR na tym obszarze w latach 1945-1948 opublikowanych w 1965 r. oraz artykułu z 1966 r. T. Szymczaka o kształtowaniu się władzy ludowej w Łodzi<sup>4</sup>. W latach 1973-1974 ukazało się dwuczęściowe opracowanie Z. Pietrzaka poświęcone rozwojowi organizacyjnemu PPR w okresie od 19 stycznia do 31 lipca 1945 r.<sup>5</sup> Autor ten swoje wywody oparł na znacznie szerszej bazie źródłowej niż jego poprzednicy. Pozwoliło to sformułować mu wiele istotnych ustaleń, które jednak w najnowszych opracowaniach nie są w pełni uwzględnione. Grupę wymienionych tu prac zamyka rozprawa S. Banasiaka pt. *Droga do zjednoczenia*, zajmująca się życiem politycznym Łodzi w latach 1945-1948, umieszczona w pracy zbiorowej, która po dłuższym odleżeniu się w wydawnictwie ujrzała światło dzienne w 1985 roku.<sup>6</sup>

---

<sup>3</sup> Podstawą prezentowanego artykułu jest referat pt. Początki władz miasta Łodzi w 1945 r. wygłoszony 16 I 1989 r. na sesji naukowej poświęconej 44 rocznicy wyzwolenia tego miasta, zorganizowanej przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe.

<sup>4</sup> M. Kołodziejczak, *Z problemów kształtowania się władzy ludowej na ziemiach województwa łódzkiego*, „Rocznik Łódzki” [dalej: RŁ], 1965, t. X(XIII), s. 25-48; N. Kołomejczyk, *Rozwój Polskiej Partii Robotniczej w województwie łódzkim i w mieście Łodzi w latach 1945-1948*, tamże, s. 49-71; T. Szymczak, *Kształtowanie się władzy ludowej na terenie Łodzi*, tamże, 1966, t. XI(XIV), s. 45-65.

<sup>5</sup> Z. Pietrzak, *Rozwój organizacyjny Polskiej Partii Robotniczej w Łodzi w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu (19 I – 19 II 1945 r.)*, RŁ 1973, t. XVII(XX), s. 219-232; tenże, *Rozwój organizacyjny PPR w Łodzi na tle stosunków społeczno-ekonomicznych miasta (19 II – 31 VII 1945)*, tamże 1974, t. XIX(XXII), s. 5-31.

<sup>6</sup> S. Banasiak, *Droga do zjednoczenia*, [w:] *W dymach czarnych budzi się Łódź. Z dziejów łódzkiego ruchu robotniczego. 1882-1948*, Łódź 1985, s. 411-508.



Początkom władzy ludowej w Łodzi i w woj. łódzkim poświęcono ponadto dwa wybory źródeł<sup>7</sup>. Pierwszy z nich, przygotowany do druku przez M. Bandurkę, liczy 33 pozycje i został opublikowany w 1962 r. Drugi wybór jest o wiele obszerniejszy, zawiera 154 pozycje, w tym wszystkie uwzględnione poprzednio, tylko w nieco innej kolejności. Ukazał się on w 1985 r. w formie książkowej, liczy 326 stron i 104 fotografie, a do druku przygotowali go G. Adamczewska, M. Bandurka, E. Chobot i M. Ojrzyńska. Należy wymienić ponadto jeszcze jeden wybór, znajdujący się w pracy z 1974 r., przygotowanej przez M. Bandurkę i R. Rosina. Zawiera on dwa ogłoszenia – jedno o siedzibie komendanta wojennego, drugie o rozminowaniu miasta. Źródeł tych nie ma w wyborze z 1962 r., a w wyborze z 1985 r. zamieszczono ich fotografie, lecz nie podano tekstów<sup>8</sup>. Nie można tego traktować jako przeoczenia, gdyż w tym wydawnictwie występuje więcej takich przykładów.

W Polsce Ludowej głównymi organami władzy terenowej były rady narodowe<sup>9</sup>. Ich podstawy prawne i zakres działalności ulegały kilkakrotnie zmianom. W okresie okupacji sprawy te regulował Statut Tymczasowy Rad Narodowych uchwalony na pierwszym posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej, a po rozpoczęciu wyzwolenia ziem polskich *Ustawa z dnia 11 września 1944 roku o organizacji i zakresie działania rad narodowych*. Jej 1 artykuł w ostatecznej redakcji mówił, że rady narodowe działają jako organa planowania działalności publicznej oraz kontroli nad rządowymi i samorządowymi organami wykonawczymi. Początkowo rady narodowe nie pochodziły z wyboru, lecz składały się z przedstawicieli organizacji politycznych, społecznych, gospodarczych i zawodowych; z reprezentacji rad niższego szczebla, np. rad powiatowych w radach wojewódzkich; z osób dokooptowanych na wnioski poszczególnych prezydiów. Należy jeszcze dodać, iż dekretem PKWN z 21 sierpnia 1944 r. powołano jako

<sup>7</sup> *Wybór źródeł dotyczących organizacji władzy ludowej w Łodzi i na terenie województwa łódzkiego*, opr. M. Bandurka, RŁ 1962, t. VI(IX), s. 193-270; *Kształtowanie się władzy ludowej w Łodzi i województwie łódzkim w 1945 roku. Wybór źródeł*, opr. G. Adamczewska, M. Bandurka, E. Chobot, M. Ojrzyńska, Warszawa-Łódź 1985, s. 326+ fot. 104; fot. nr 101-104 mylnie opatrzone numerami 77-80, które występują już wcześniej we właściwym miejscu.

<sup>8</sup> R. Rosin, M. Bandurka, *Łódź. 1423 – 1823 – 1973. Zarys dziejów i wybór dokumentów*, Łódź 1974, s. 172; *Kształtowanie władzy...*, fot. 5,6.

<sup>9</sup> E. Zwierzchowski, *Polityczny proces kształtowania się ustroju Polski Ludowej. 1944-1952*, Katowice 1981, s. 39-43, 67-73, 128; Szymczak, op. cit., s. 58, 60.



organa władzy terenowej administracji rządowej wojewodów i starostów, a dekretem z 23 listopada tr. przywrócono samorząd terytorialny, którego organami stanowiącymi, tj. uchwałodawczymi, stały się rady narodowe, lecz w tym zakresie były podporządkowane organom administracji państwowej.

Ustanawianie władzy ludowej nie było łatwe, zwłaszcza tam, gdzie nie istniały konspiracyjne rady narodowe. Do organizowania administracji państwowej i gospodarczej oraz odbudowy życia polityczno-społecznego i oświatowo-kulturalnego powoływano przeto specjalne zespoły, zwane grupami operacyjnymi, wyznaczano także pełnomocników Rządu Tymczasowego<sup>10</sup>. Kierownictwo ogólne nad grupami operacyjnymi sprawował Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów, pod względem politycznym podlegały one Wydziałowi Organizacyjnemu KC PPR. PPR i PPS oraz związane z nimi organizacje młodzieżowe nieraz wysyłały własne grupy, robiły to również ministerstwa w zakresie swoich specjalności.

Łódź nie miała konspiracyjnej rady narodowej, a przedstawiciele przeznaczonej dla niej grupy operacyjnej podjęli tu działalność dopiero trzeciego dnia po wyzwoleniu. Organizowanie władz i rozpoczynanie rozbudowy życia społeczno-politycznego oraz gospodarczego odbywało się przeto początkowo samorzutnie i nie zawsze obejmowało cały obszar miasta. Od pierwszego dnia wolności łodzianie zabezpieczali zakłady pracy i obiekty publiczne przed rabunkiem i dewastacją, tworzyli służby porządkowe chroniące opuszczone mienie, zajmowali lokale na komisariaty milicji i siedziby władz dzielnicowych, usuwali ślady hitlerowskiego panowania<sup>11</sup>.

Jednostki Armii Czerwonej zajęły Łódź 19 stycznia. Jeszcze tego dnia zebrało się w siedzibie przedwojennego Zarządu Miasta, przy ul. Piotrkowskiej 104, grono osób, przede wszystkim pracowników tego zarządu, którzy, nawiązując do wzorów z okresu początków I i II wojny światowej, zamierzali powołać Komitet Obywatelski. Podobne zebranie odbyło się następnego dnia oraz w południe 21 stycznia, ale wtedy wziął w nim udział już pełnomocnik Tymczasowego Rządu. Problemy związane z piastowaniem tego urzędu w Łodzi budziły dawniej pewne kontrowersje<sup>12</sup>,

---

<sup>10</sup> W. Góra, *Polska Ludowa. 1944-1984. Zarys dziejów politycznych*, Lublin 1986, s. 88-89; Zwierzchowski, *op. cit.*, s. 77.

<sup>11</sup> *Kształtowanie władzy...*, s. 80; Kołodziejczak, *op. cit.*, s. 44-45; Szymczak, *op. cit.*, s. 51-52.

<sup>12</sup> *Kształtowanie władzy...*, s. 16; Szymczak, *op. cit.*, s. 49-50.



lecz publikacje merytoryczne i źródłowe z lat 70. i 80. pozwalają je wyjaśnić.

W sobotę 20 stycznia pojawił się w Łodzi I. Loga-Sowiński, lecz nie na czele ok. 60-osobowej grupy operacyjnej<sup>13</sup>, ale w gronie oficerów Wojska Polskiego<sup>14</sup>. Według informacji ustnej, przekazanej w listopadzie 1989 r. autorowi artykułu, znajdował się on pod koniec drugiej dekady stycznia 1945 r. na Pradze i tam otrzymał polecenie udania się do Łodzi. Wydał mu je W. Gomułka, stojący wraz z S. Matuszewskim i H. Mincem na czele ustanowionego 16 tm. przez Radę Ministrów przedstawicielstwa Rządu Tymczasowego, które miało przygotować Warszawę do pełnienia roli stolicy i sprawować pieczę nad grupami operacyjnymi wysyłanymi na ziemię nowo wyzwolane<sup>15</sup>. Ponieważ przyjechał do naszego miasta późnym wieczorem, swoją działalność rozpoczął następnego dnia. Spowodowało to, iż niektórzy autorzy<sup>16</sup> jako datę jego przyjazdu podają 21 stycznia, ale niezupełnie bezpodstawnie, jak to niżej zostanie wyjaśnione.

Pierwszą czynnością służbową I. Logi-Sowińskiego było udanie się rano do drukarni przy ul. Piotrkowskiej 86, aby zlecić wydrukowanie obwieszczenia informującego o rozpoczęciu w Łodzi urzędowania przez pełnomocnika Rządu. Tekst tego artykułu brzmiał: „Tymczasowy Rząd Rzeczypospolitej Polskiej mianował swoje przedstawicielstwo na tereny nowo wyzwolone. Z ramienia tego przedstawicielstwa przybyłem do m. Łodzi w dniu dzisiejszym i obejmuję urzędowanie jako Pełnomocnik Rządowy na miasto Łódź i tereny podmiejskie. Lokal pełnomocnika Rządu mieści się w gmachu Województwa przy ul. Ogrodowej”, pod tym podpis „Ignacy Loga-Sowiński. Pułkownik” i datacja „Łódź dn. 21 stycznia 1945”<sup>17</sup>.

Przede wszystkim należy zwrócić uwagę na błąd stylistyczno-logiczny. W wysłanym 24 stycznia sprawozdaniu do KC PPR I. Loga-Sowiński pisał wyraźnie: „Do Łodzi przybyłem w sobotę

<sup>13</sup> Kołomejczyk, op. cit., s. 51-52; tenże, PPR. 1944-1945. (Studia nad rozwojem organizacyjnym partii), Warszawa 1963, s. 50, 54; Banasiak, op. cit., s. 417; S. Banasiak, T. Czaplinski, Z dziejów Łodzi, [w:] Łódź. Rozwój miasta w Polsce Ludowej, red. H. Mortimer-Szymczak, Warszawa 1970, s. 53; Rosin, Bandurka, op. cit., s. 68.

<sup>14</sup> Z. Pietrzak, Rozwój organizacyjny Polskiej..., s. 223; por. Kołomejczyk, PPR..., s. 50.

<sup>15</sup> Działalność Władysława Gomułki. Fakty. Wspomnienia. Opinie, opr. W. Namiotkiewicz, Warszawa 1982, s. 390.

<sup>16</sup> Kołodziejczak, op. cit., s. 42.

<sup>17</sup> Kształtowanie władzy..., s. 14.



wieczorem<sup>18</sup>, a ta przypadła na 20 tm. Nie wiadomo, czy sam autor obwieszczenia pomylił się, czy zrobili to pracownicy drukarni, w każdym razie tekst zawiera błąd, który dezorientuje autorów. Odpowiednie miejsce powinno bowiem brzmieć: „[...] przybyłem i w dniu dzisiejszym obejmuję urządowanie [...]” lub podobnie, gdyż pomiędzy tymi faktami jest jednak dzień różnicy.

Jest to jednak drobna pomyłka, większe zamieszanie wywołało drugie obwieszczenie o ogólnie podobnym charakterze, lecz odmiennych szczegółach. Oto jego treść: „Zgodnie z uchwałą Prezydium Rady Ministrów z dnia 21.1.1945 r. naznaczam Ob. Mijała Kazimierza Pełnomocnikiem Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej na miasto Łódź i Województwo Łódzkie. Pełnomocnik sprawuje w imieniu Rządu Tymczasowego całą władzę cywilną, podlegając bezpośrednio Prezydium Rządu Tymczasowego. Prezes Rady Ministrów (-) Osóbka-Morawski. Lublin, 21 stycznia 1945 r.”<sup>19</sup>

Przytoczone obwieszczenia stały się podstawą przypuszczeń, iż Łódź miała początkowo jednocześnie dwóch pełnomocników Rządu, ale o różnym zakresie kompetencji terytorialnych. Nie zwracano natomiast uwagi na różnice w zakresie ich uprawnień merytorycznych i kto im powierzył tę funkcję.

Przede wszystkim należy wyjaśnić, że chociaż oba dokumenty mają jednakową datę dzienną, to łodzianie nie zaznajomili się z ich treścią jednocześnie. Pełnomocnictwo dla K. Mijała zostało co prawda też wydane 21 stycznia, lecz w Lublinie i Łódzka Grupa Operacyjna dopiero po otrzymaniu go wyruszyła w podróż, a do Łodzi przybyła następnego dnia. 22 stycznia wieczorem odbyła się w Grand Hotelu narada nowego pełnomocnika i Partyjnej Grupy Operacyjnej, na której dokonano podziału funkcji. Pełnomocnikiem Rządu został ostatecznie K. Mijał, a I. Loga-Sowiński zajął się działalnością partyjną i objął stanowisko I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PPR. Na I sekretarza Komitetu Łódzkiego PPR – zwanego później na ogół Komitetem Miejskim, co zasadniczo w tym okresie było bardziej właściwe – wyznaczono Władysława Nieśmiałka. Obsada tych stanowisk została podana do wiadomości publicznej na naradzie zwołanej następnego dnia.

Przedstawione powyżej fakty opisał w roku 1973 Z. Pietrzak<sup>20</sup>, powstaje przeto pytanie, dlaczego poprzednio nie zwró-

---

<sup>18</sup> Tamże, s. 26.

<sup>19</sup> Tamże, fot. 3 wg plakatu; tekst drukowany, s. 13.

<sup>20</sup> Pietrzak, *Rozwój organizacyjny Polskiej...*, s. 224-225.



cono należytej na nie uwagi, a i potem pomijano je milczeniem. Można to m. in. tłumaczyć tym, iż opisując przebieg wydarzeń z 22 i 23 stycznia wymienia on w swoim artykule dwa razy pełnomocnika rządu, nie identyfikując go z I. Logą-Sowińskim, lecz zgodnie z ówczesnymi zaleceniami cenzury nie podaje przy tym nazwiska K. Mijala.

Tymczasem na podstawie kilku źródeł można przyjąć, iż już od południa 22 stycznia przebywał on w Łodzi. W cytowanym wyżej sprawozdaniu I. Logi-Sowińskiego znajduje się informacja o manifestacji łodzian rozpoczętej tego dnia o godzinie 14, na której jako pierwszy przemawiał „pełnomocnik Rządu”. Nie można podejrzewać autora, iż ten passus napisał o sobie bezosobowo, skoro cały tekst jest zredagowany konsekwentnie w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Sprawozdanie to zostało opublikowane po raz pierwszy w czasopiśmie „Z pola walki” i na tej wersji oparli się wydawcy wyborów źródeł z 1962 i 1985 r.<sup>21</sup> Możliwe, iż w tym przypadku występuje również opuszczenie nazwiska, należy przeto sięgnąć przy okazji do oryginału przechowywanego w Centralnym Archiwum KC PZPR.

Przybycie K. Mijala do Łodzi w południe 22 stycznia potwierdza także fakt, iż grupa operacyjna Ministerstwa Oświaty, mająca zapewne gorsze możliwości transportowe, wyruszyła z Lublina 21 stycznia i już pomiędzy godziną 14 a 15 następnego<sup>22</sup> dnia dotarła do celu.

Działacze pepeerowscy z pow. brzezińskiego 21 stycznia przybyli do Łodzi, a 22 tm. nawiązali po południu kontakt z pełnomocnikiem Rządu na Łódź i woj. łódzkie<sup>23</sup> – należy to odnieść do K. Mijala. Ponadto Tymczasowy Zarząd Miejski na posiedzeniu 21 stycznia, zakończonym przed godziną 14, wyznaczył swoich przedstawicieli do rozmów z pełnomocnikiem, a ci następnego dnia na posiedzeniu rozpoczętym o godzinie 10 oświadczyli, iż rozmawiali z K. Mijalem<sup>24</sup>. Jest wątpliwe, aby to uczynili we wczesnych godzinach rannych, raczej po południu poprzedniego dnia.

---

<sup>21</sup> „Z pola walki” 1961, nr 14/16, s. 207-208; *Kształtowanie władzy...*, s. 28; *Wybór źródeł...*, s. 206-208.

<sup>22</sup> K. Przesmycki, (*Głos w dyskusji*), [w:] *Oświata łódzka w 40-leciu PRL*, Łódź 1985, s. 343.

<sup>23</sup> Kołomejczyk, *Rozwój...*, s. 52; Pietrzak, *Rozwój organizacyjny Polskiej...*, s. 224, przyp. 26.

<sup>24</sup> *Kształtowanie władzy...*, s. 21-23.



Podsumowując przedstawione fakty, należy przyjąć, iż w Łodzi nie było jednak „dwuwładzy”. Stanowisko pełnomocnika Rządu piastował od rana 21 stycznia I. Loga-Sowiński. Objął je jednak nie na bezpośrednie polecenie najwyższych władz administracyjnych lub partyjnych z Lublina, ale z mandatu – jak to sam podaje – specjalnego przedstawicielstwa dla terenów nowo wyzwolonych urzędującego na Pradze. Kompetencje I. Logi-Sowińskiego nie zostały bliżej określone, toteż początkowo zajmował się wszystkim. Brzmienie obwieszczenia K. Mijala wykazuje natomiast, iż jest to formalny akt nominacyjny, ale przyznający uprawnienia jedynie w określonych ramach, mianowicie w zakresie władzy cywilnej, tzn. administracyjnej. Jego tekst, wydrukowany w formie plakatu, mogli poznać łodzianie już 23 stycznia, a dwa dni później został opublikowany w numerze 2 gazety „Wolna Łódź”.

Dwie sprawy związane z urzędowaniem pełnomocnika Rządu w Łodzi wymagają jeszcze wyjaśnień. Zasięg terytorialny uprawnień I. Logi-Sowińskiego obejmował Łódź i tereny podmiejskie – powstaje pytanie, jak należy to rozumieć. Otóż trzeba przyjąć, iż określenie to dotyczy Łodzi w granicach z 1939 r. wraz z miejscowościami włączonymi do niej przez okupanta 1 I 1940 r. W ten sposób, zgodnie z dekretem z 22 VIII 1944 r., zaznaczono, że nie uznaje się zmian administracyjno-terytorialnych wprowadzonych przez władze niemieckie, jednocześnie zapewniono pełnomocnikowi prowadzenie działalności na całym obszarze miasta przejmowanym po nich. Zdawano sobie bowiem sprawę, iż Łódź nie może pozostać w starych granicach i trzeba je poszerzyć, ale formalnie miały tego dokonać już władze polskie, co rzeczywiście niebawem nastąpiło<sup>25</sup>.

Wyjaśnienia wymaga również zwrot „województwo łódzkie” zawarty w nominacji K. Mijala. Niektórzy autorzy mają bowiem wątpliwości co do zakresu terytorialnego tej jednostki, gdyż pod koniec lat 30. jej granice uległy poważnym zmianom, a w okresie okupacji w ogóle ona nie istniała<sup>26</sup>. A przecież sprawa jest zupełnie jasna. Akty normatywne KRN, jak i praktyka ich realizacji, negowały jedynie zmiany wprowadzone przez władze okupacyjne, a nie wcześniejsze, będące dziełem władz polskich. W naszym przypadku otrzymamy zatem obszar ostatecznie ukształtowany do 1 IV 1939 r., tzn. bez powiatów włączonych do woj. poznań-

---

<sup>25</sup> Por. niżej, s. 128.

<sup>26</sup> Szymczak, *op. cit.*, s. 49, przyp. 7.



skiego, ale za to z powiatami przyłączonymi z województw kieleckiego i warszawskiego<sup>27</sup>.

K. Mijał zajmował się przede wszystkim administracją Łodzi, gdyż wojewódzka konspiracyjna rada, ukonstytuowana 30 VII 1944 r. w Ojrzeniu k. Radomska, utrzymała po wyzwoleniu ciągłość swojej działalności, a pierwsze jawne zebranie odbyła 25 II 1945 r.<sup>28</sup> Stanowisko pełnomocnika Rządu piastował do 7 III 1945 r., kiedy to powstała Miejska Rada Narodowa. Członkowie łódzkich grup operacyjnych kończyli swoje urzędowanie już wcześniej, np. grupa zajmująca się przemysłem została rozwiązana 15 lutego tr.<sup>29</sup>

Jedną z podstawowych czynności dokonanych 21 stycznia przez I. Logę-Sowińskiego było spowodowanie powstania władz miejskich. Najwcześniejsze źródło<sup>30</sup> dotyczące tego problemu pochodzi z 22 stycznia. Jest to protokół odbytego wówczas posiedzenia, który relacjonuje jednak nie tylko jego przebieg, ale także wcześniejsze wydarzenia. Mówi mianowicie o wspomnianym już zebraniu pracowników dawnego Zarządu Miejskiego w dniu 19 stycznia celem powołania Komitetu Obywatelskiego. Ostatecznie zamierzali to uczynić 21 stycznia, ale wtedy pojawił się na ich posiedzeniu I. Loga-Sowiński i jako pełnomocnik Rządu upoważnił zebranych do wyłonienia ze swego grona Tymczasowego Zarządu Miejskiego oraz rozpoczęcia bezzwłocznie działalności. Zgodnie z tym od razu ukonstytuowano ten organ. Jego przewodniczącym został Jan Waltratus, który z tego tytułu przewodniczył również posiedzeniom Zarządu. Spowodowało to, że często jest on wymieniany w literaturze jedynie jako pełniący ostatnią z tych funkcji. Ponadto 21 stycznia powierzono wytypowanym osobom zorganizowanie 15 wydziałów i pięciu agend władz miasta oraz zobowiązano je do złożenia następnego już dnia sprawozdań dotyczących stanu powierzonych im placówek i możliwości ich uruchomienia. Po zakończeniu pierwszego posiedzenia, tzn. jeszcze 21 stycznia, przedstawicielstwo Rady udało się do I. Logi-Sowińskiego, aby złożyć mu sprawozdanie, a on z kolei poinformował je, iż w najbliższym czasie zostanie mianowany Tymczasowy Prezydent Miasta.

<sup>27</sup> M. Bandurka, *Zmiany administracyjne i terytorialne ziem województwa łódzkiego w XIX i XX wieku*, Łódź 1974, s. 74-75, 98-99, 116.

<sup>28</sup> *Kształtowanie władzy...*, s. 6-11, 68-72.

<sup>29</sup> Tamże, s. 77-85; J. Gołębiowski, *Rola PPR w przejściu, uruchomieniu i nacjonalizacji przemysłu w Łodzi*, RŁ 1962, t. VI(IX), s. 117.

<sup>30</sup> *Kształtowanie władzy...*, s. 16-21.



Początek tytułu źródła, które jest podstawą przedstawionych wydarzeń, brzmi: *Protokół z posiedzenia odbytego... 22 I 1945 r.*<sup>31</sup>, a nie jak podano w obu wyborach źródeł *Protokół z pierwszego posiedzenia...* Protokół sporządzony 23 tm. ma już liczbę dwa i później ten ciąg numeracji przechodzi na posiedzenia. Tymczasem było ich o dwa więcej. Przyjęta kolejność nie uwzględnia bowiem posiedzenia z 21 stycznia, a z 30 i 31 tm. oznacza numerami 6 i 6a.

Zgodnie z zapowiedzią I. Logi-Sowińskiego parę dni później mianowano prezydenta. Akt dotyczący tego wydarzenia jest jednak w obydwu wyborach źródeł mylnie datowany na 22 stycznia<sup>32</sup>. A oto jego brzmienie wg tekstu opublikowanego w numerze 2 „Wolnej Łodzi”, z 25 I 1945 r.: „Obwieszczenie. Dnia 22 I 1945 r. ukonstytuował się Tymczasowy Zarząd Miejski miasta Łodzi. Mianuję przewodniczącym Tymczasowego Zarządu Miejskiego Ob. Witaszewskiego Kazimierza. Pełnomocnik R.P. (-) Mijał Kazimierz”.

Przede wszystkim należy zwrócić uwagę, iż w samym źródle już jest błąd. Zgodnie z omówionym już protokołem z 22 stycznia Zarząd ukonstytuował się dzień wcześniej. Ponadto data ta dotyczy początku władz miejskich, a nie nominacji prezydenta. Na manifestacyjnym zgromadzeniu łodzian 22 stycznia po południu K. Witaszewski występuje jedynie jako sekretarz Tymczasowej Komisji Centralnej Związków Zawodowych, a K. Mijał żadnych aktów prawnych w tym dniu jeszcze nie wydawał. Podczas narady tegoż dnia wieczorem w Grand Hotelu ustalono, że prezydent zostanie mianowany parę dni później. Posiedzenia rady w dniach 23 i 24 stycznia nadal prowadził J. Waltratus. Na drugim z nich podano jednak, nie wymieniając nazwiska, że tymczasowy prezydent jest już wyznaczony. Zestawiając te wszystkie dane z datą ogłoszenia nominacji w prasie, można przyjąć, iż 24 stycznia podjęto decyzję o wyznaczeniu K. Witaszewskiego na prezydenta. Formalnie urządowanie objął on jednak następnego dnia, kiedy to ukazało się odpowiednie ogłoszenie w prasie, a J. Waltratus na posiedzeniu rady zaprezentował go i wprowadził na to stanowisko<sup>33</sup>.

---

<sup>31</sup> Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta m. Łodzi, Miejska Rada narodowa [dalej: WAPŁ, AmŁ, MRN], nr 1, s. 1-4; *Kształtowanie władzy...*, s. 16; *Wybór źródeł...*, s. 200.

<sup>32</sup> *Kształtowanie władzy...*, s. 15-16; *Wybór źródeł...*, s. 200.

<sup>33</sup> WAPŁ, AmŁ, MRN, nr 1, s. 9; *Kształtowanie władzy...*, s. 21-25, 28-33.



K. Witaszewski pozostał prezydentem Tymczasowego Zarządu Miejskiego m. Łodzi do I plenarnego posiedzenia Miejskiej Rady Narodowej, które odbyło się – jak podano – 7 III 1945 r. Na przewodniczącego Prezydium MRN i jednocześnie na prezydenta miasta wybrano wtedy K. Mijała. Po ukazaniu się zarządzenia zabraniającego kumulowania tych stanowisk K. Mijał zatrzymał drugie z nich, a przewodniczącym został 1 VI 1945 r. Jan Stefan Haneman<sup>34</sup>.

Jak już wspomniano, Łódź jeszcze przed wyzwoleniem otrzymała mocą ustawy KRN z 11 IX 1944 r. – jako jedyna w kraju obok Warszawy – uprawnienia wojewódzkiej rady narodowej. Początkowo nie orientowano się jednak dokładnie, jaki ma ona z tego tytułu zakres uprawnień, zwłaszcza na styku z władzami administracyjnymi, których organami pierwszej instancji były starostwa powiatowe lub grodzkie, a drugiej urzędy wojewódzkie<sup>35</sup>. Pismo ministra administracji publicznej z 17 IV 1945 r. informowało Radę, że dekret o powołaniu w Łodzi starostw grodzkich jest już w opracowaniu, a do czasu jego ukazania się upoważniono prezydenta „do wykonywania czynności na terenie m. Łodzi w sprawach nie cierpiących zwłoki oraz do rozpoczęcia wstępnych prac organizacyjnych w zakresie utworzenia trzech starostw grodzkich [przed wojną Łódź tworzyło jedno starostwo grodzkie – R.R.] jako władzy administracyjnej I instancji”.

Na posiedzeniu w dniu 19 kwietnia, podczas którego prowadzono dyskusję na ten temat, prezydent miasta oświadczył, że województwo grodzkie łódzkie obejmuje administracyjnie obszar Łodzi w granicach z 1940 r., ale na razie nie zostaną powołane grodzkie rady narodowe.

Przygotowania do wprowadzenia podziałów administracyjnych Łodzi trwały dwa i pół miesiąca. Uchwałą Kolegium Członków Zarządu Miejskiego z 12 lipca powołano Wydział Administracyjny, który był organem wykonawczym prezydenta Łodzi jako wojewody grodzkiego, a miasto podzielono na trzy starostwa grodzkie, tj. Śródmieście-Łódzkie, Północne-Łódzkie i Południowe-Łódzkie, spełniające czynności władz administracyjnych pierwszej instancji.

Dzielnicowe rady dla nich zostały utworzone dopiero w lipcu 1949 r. Ich ranga znacznie wzrosła po zniesieniu w 1950 r. dualizmu administracyjnego i likwidacji starostw grodzkich. W

<sup>34</sup> *Kształtowanie władzy...*, s. 83; Szymczak, *op. cit.*, s. 61.

<sup>35</sup> WAPŁ, AmŁ, MRN, nr 1, s. 100; Bandurka, *op. cit.*, s. 141-142.



1953 r. Łódź została podzielona na siedem dzielnic, a w 1960 zmniejszono ich liczbę do pięciu<sup>36</sup>.

Nowo kreowane starostwa objęły od razu tereny, które do końca roku włączono do Wielkiej Łodzi<sup>37</sup>. Najwcześniej inkorporowano gminę Chojny, już w 26 VII 1945 r. Dnia 2 sierpnia władze miejskie podjęły uchwałę w sprawie kompleksowego projektu włączenia do Łodzi ponad 60 wsi, przysiółków i innych osiedli oraz miasta Ruda Pabianicka i zwrócono się z prośbą do KRN o zatwierdzenie tych zmian.

Odpowiedzi na razie nie było, ale za zgodą Ministerstwa Administracji Publicznej zaczęto stopniowo inkorporować zaplanowane miejscowości w grupach przejmowanych komisyjnie w dniach 17, 22 i 31 października oraz 5, 7, 9, 12, 14, 21, 26 listopada. Oficjalnie sprawę tę uregulowało rozporządzenie Rady Ministrów z 20 XII 1945 r. obowiązujące z dniem ogłoszenia, a to nastąpiło dopiero 13 II 1946 r. Skomplikowany przebieg tego procesu powoduje, iż w literaturze jest on podawany pod różnymi datami. Ostatecznie obszar Łodzi z 58,75 km<sup>2</sup> w 1939 r. został powiększony do 212,01 km<sup>2</sup> z dniem 26 XI 1945 r., ale formalnie obowiązywało to dopiero od 13 II 1946 r.

Na zakończenie artykułu zostanie przedstawiony jeszcze jeden problem, który ze względów chronologicznych mógłby znaleźć się nawet na początku. Chodzi mianowicie o komendanturę miasta. W sprawozdaniu I. Logi-Sowińskiego z 24 stycznia występuje anonimowo dwa razy generał Armii Czerwonej, który w innych aktach, z 25 lutego i 7 marca, jest nazywany Furtem. Komentarze do obydwu wyborów źródeł mówią, że był on komendantem miasta.

Już w 1966 r. T. Szymczak wyjaśnił, na podstawie artykułu w „Dzienniku Łódzkim” relacjonującego wizytę oficerów radzieckich w Łodzi, iż jego nazwisko brzmiało Porfirij Siergiejewicz Furtienko. Przedstawiał się on jako wojenny komendant miasta, tak samo mówił o nim współtowarzysz – gen. Władimir Kołpakcz. Nastąpiło tu jednak pomieszenie terminów. Furt vel Furtienko według protokołu WRN w Łodzi z 25 II 1945 r. był dowódcą Armii Czerwonej Okręgu Łódzkiego<sup>38</sup>.

<sup>36</sup> Bandurka, *op. cit.*, s. 142; Rosin, Bandurka, *op. cit.*, s. 69-70.

<sup>37</sup> Cz. Gumkowski, *Wielka Łódź*, „Dziennik Zarządu Miejskiego w Łodzi” 1945, R. XXI, 1945, nr 6, s. 3-6; *Sprawa inkorporacji gmin podmiejskich do terenu Wielkiej Łodzi*, tamże, s. 26-28; Bandurka, *op. cit.*, s. 142-143.

<sup>38</sup> *Kształtowanie władzy...*, s. 27, 28, 68, 86; „Dziennik Łódzki” R. XIV, 1958, nr 15, 16; Szymczak, *op. cit.*, s. 49.



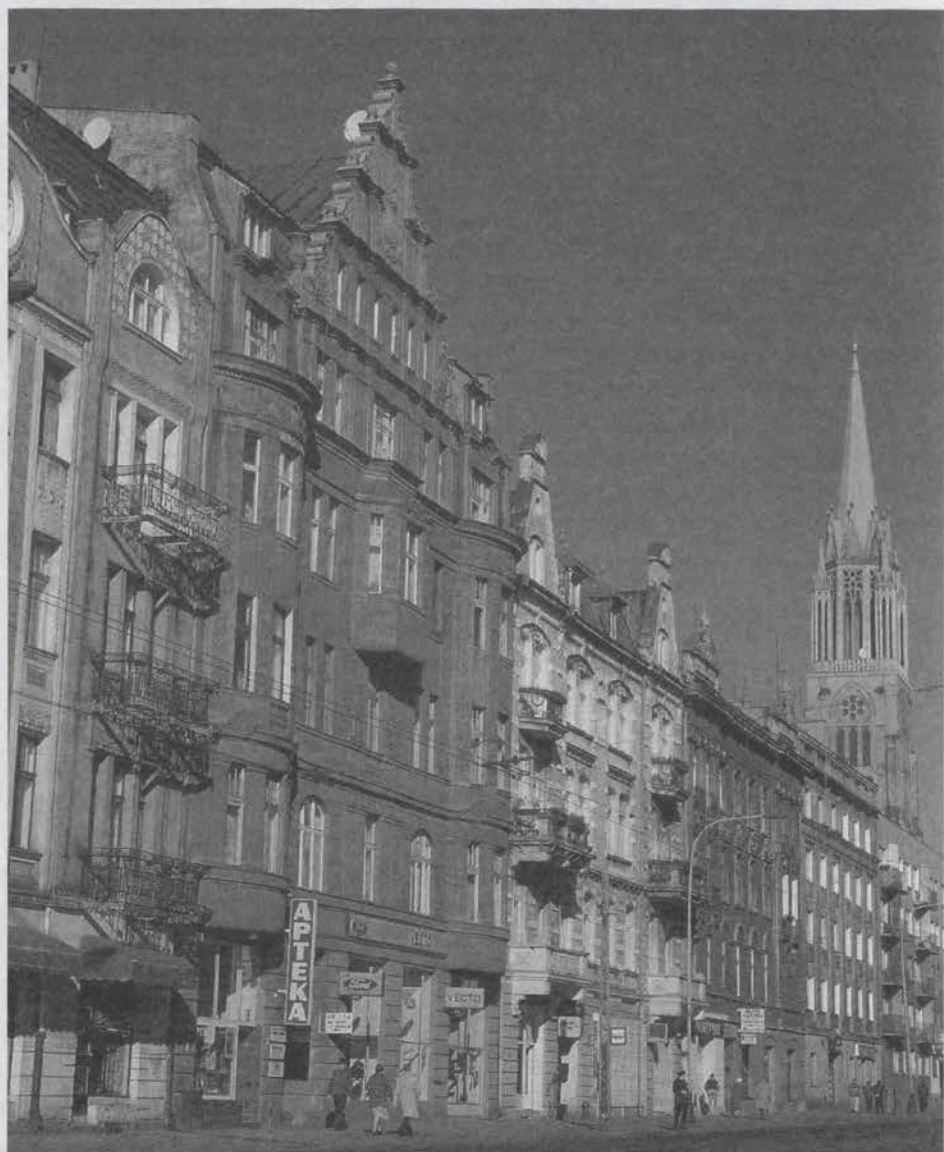
Łodzianin Sergiusz Gricuk we wspomnieniach zamieszczonych w „Odgłosach” z 1987 r. pisze, iż pomagał w południe 19 stycznia przy wyszukaniu lokalu dla komendanta miasta<sup>39</sup>. Były to pomieszczenia przy ul. Pomorskiej 21; jest to zgodne z zachowanym plakatem. Pierwszym komendantem został gen. Siemionow. Kiedy S. Gricuk przyszedł tam 21 stycznia, już nikogo nie było z pierwszej ekipy. O następcy Siemionowa mówi plakat z 22 stycznia dotyczący rozminowania Łodzi. Podpisał go płk Korzyków jako komendant wojenny miasta<sup>40</sup>. Z łódzkiej prasy wiadomo, iż funkcję tę pełnił jeszcze 31 IV 1945 r. Ostatecznie wątpliwości rozstrzyga sam Furtienko, który napisał w „Dzienniku Łódzkim”, że początkowo urzędował w Grand Hotelu, a następnie przeniósł się do willi Biedermana przy ul. J. Kilińskiego 2 – a przecież w tych pomieszczeniach nie mieściła się komendantura miasta. Należy przeto przyjąć, iż na jej czele stał Korzyków utrzymujący bezpośrednie kontakty w zakresie administracyjnym z władzami miasta. Furtienko natomiast był dowódcą wojsk radzieckich stacjonujących w Łodzi i jej okolicach i z tego tytułu występował jako oficjalny przedstawiciel Armii Czerwonej.

---

<sup>39</sup> S. Gricuk, *Pierwsze dni wolności w Łodzi*, „Odgłosy” 1987, R. XXX, nr 3, s. 1, 4.

<sup>40</sup> *Kształtowanie władzy...*, fot. 5, 6; Rosin, Bandurka, *op. cit.*, s. 172; M. Kołodziejczak, *Łódzkie związki zawodowe w pierwszych miesiącach kształtowania się władzy ludowej (styczeń – maj 1945)*, RŁ 1962, t. VI(IX), s. 142.





Ulica Piotrkowska

foto: Krzysztof Duklas



Tadeusz Bogalecki

## Przewrót majowy w Łodzi

12 maja 1926 r. Józef Piłsudski na czele wiernych mu oddziałów rozpoczął marsz na Warszawę. Zamierzał on wymusić na prezydencie Wojciechowskim zdymisjonowanie premiera Wincentego Witosa, którego gabinety oskarżał o „przekupstwa wewnętrzne i nadużycia rządowej władzy dla partyjnych i prywatnych korzyści”.

Marsz Piłsudskiego, mający początkowo charakter demonstracji wojskowej, przerodził się w trzydniowe krwawe walki w stolicy. O ich wyniku zadecydowało wiele czynników, m. in. sytuacja w Łodzi będącej wówczas dużym garnizonem wojskowym i siedzibą Dowództwa Okręgu Korpusu nr IV (DOK IV).

Józef Piłsudski i jego zwolennicy, przygotowując swoją akcję liczyli się z możliwością jej udaremnienia przez oddziały wierne rządowi, zwłaszcza stacjonujące w Poznańskim i na Pomorzu. Stąd przykładali oni dużą wagę do opanowania Łodzi i innych większych garnizonów Okręgu Korpusu nr IV (OK IV) leżących na szlakach kolejowych prowadzących z dawnej dzielnicy pruskiej do Warszawy.

Zadanie to powierzono zaufanym piłsudczykom w oddziałach wojskowych oraz partiach i organizacjach społecznych. Najwcześniej przygotowania w tym zakresie rozpoczęli czołowi działacze łódzkich ogniw Związku Strzeleckiego (ZS) i Polskiej Organizacji Wolności (POWoln.), skupiającej byłych członków Polskiej Organizacji Wojskowej. Jednym z nich był Ludwik Hipolit Piątkowski, komendant łódzkiego okręgu ZS, który w swojej relacji podał, że już w marcu 1926 r. komenda główna tej organizacji poleciła mu opracować szczegółowy plan mobilizacyjny jednostek terenowych. Po jego zatwierdzeniu Zarząd Okręgu ZS Łódź nakazał 22 kwietnia 1926 r. zorganizować przy Komendzie Okręgowej ZS



specjalny oddział składający się z członków posiadających II stopień przysposobienia wojskowego (pw). Podporządkowano go bezpośrednio Ludwikowi Piątkowskiemu. Fakty te jednoznacznie świadczą, że już kilka miesięcy przed przewrotem majowym czołowi łódzcy działacze strzeleccy aktywnie przygotowywali się do ewentualnej walki po stronie Józefa Piłsudskiego.

Podobne zadania w jednostkach wojskowych garnizonu łódzkiego wykonywał ppłk Józef Zawisłak, zasłużony legionista, oficer pw na etacie 28 Pułku Strzelców Kaniowskich (28 psk).

Prawdopodobnie znacznie później w plany Piłsudskiego został wtajemniczony gen. bryg. Stanisław Oktawiusz Małachowski, dowódca stacjonującej w Łodzi 10 Dywizji Piechoty (10 DP), pełniący jednocześnie obowiązki komendanta miasta. Faktem jest, że w dniach 4–10 i 12 maja przebywał on w Warszawie. Ostatni wyjazd z całą pewnością nie miał charakteru służbowego. Prawdopodobnie wówczas otrzymał on od Piłsudskiego polecenie aresztowania dowódcy okręgu gen. dyw. Władysława Junga i przejęcie dowodzenia OK IV.

Po powrocie gen. Małachowskiego do Łodzi, 12 maja wieczorem, piłsudczycy działający w organizacjach paramilitarnych i kombatanckich przystąpili do akcji propagującej cele polityczne swojego wodza. Na ulicach miasta oraz w wielu cukierniach, kawiarniach i restauracjach pojawiły się wówczas grupy członków ZS i POWol. śpiewające hymn legionowy *My Pierwsza Brygada*, wznoszące okrzyki „Niech żyje marszałek Piłsudski” i skandujące hasła potępiające rząd Wincentego Witosa. Z przekazów o ich zachowaniu można wywnioskować, że nie wiedziały one jeszcze o zbrojnych starciach w stolicy.

Informacje o walkach w Warszawie zaczęły napływać do Łodzi dopiero w nocy z 12 na 13 maja. Członkowie proendeckiej Straży Narodowej i Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” zaczęli wówczas rozklejać afisze wzywające do poparcia rządu. Przeciwwstawili się im grupy zwolenników Piłsudskiego. Do starć na tym tle doszło m. in. na ulicy Głównej (obecnie al. A. Mickiewicza) i Nowomiejskiej.

W tym samym czasie prorządowe władze miasta i garnizonu zezwoliły redakcjom miejscowych gazet na publikowanie jedynie komunikatów organów państwowych. Sprzyjało to pojawieniu się najróżniejszych plotek, których ilość gwałtownie wzrosła po przerwaniu, rankiem 13 maja, łączności telefonicznej i kolejowej z Warszawą. Odtąd rzeczywistą sytuację w stolicy znali przede wszystkim oficerowie dowództwa okręgu i komendy miasta. Tylko



nieliczni z nich dochowali wierności rządowi. Należał do nich przede wszystkim gen. Jung, który w godzinach rannych 13 maja ogłosił alarm i skoszarował wszystkie oddziały w garnizonie.

W tej sytuacji gen. Małachowski wezwał o godz. 11.00 wszystkich dowódców samodzielnych oddziałów garnizonu łódzkiego na odprawę do Komendy Miasta. Zakomunikował on zebrany swoją decyzję oddania 10 DP do dyspozycji Piłsudskiego. Za byłym wodzem naczelnym jednoznacznie opowiedzieli się wówczas dowódcy: 31 Pułku Strzelców Kaniowskich (31 psk), 4 Dyonu Taborów, 4 Kompanii Telegraficznej, 4 Oddziału Intendentury, baterii przeciwlotniczej oraz pododdziałów wartowniczych 10 Kaniowskiego Pułku Artylerii Polowej i 4 Pułku Artylerii Ciężkiej, których główne siły wyjechały 10 i 11 maja 1926 r. do Brześcia na strzelanie. Wierność rządowi potwierdził jedynie ppłk Konrad Anlauf dowodzący 4 Dywizjonem Żandarmerii.

Dwuznaczne stanowisko zajął płk Arciszewski, dowódca 28 psk, który udał się do koszar przy ulicy Leszno 9 (obecnie Lucjana Żeligowskiego), rzekomo aby przygotować oddział na spotkanie z gen. Małachowskim. Jego postawa omal że nie doprowadziła do krwawego starcia w garnizonie łódzkim. Poleciał on bowiem aresztować ppłk. Józefa Zawisłaka przewodzącego propiłsudczykowskim oficerom oraz wydał pułkowej szkole podoficerskiej rozkaz obrony koszar i strzelania w przypadku zbliżania się innych jednostek wojskowych. Powyższym decyzjom sprzeciwili się podwładni ppłk. Zawisłaka, którzy uwolnili go aresztując jednocześnie płk. Arciszewskiego. W tym momencie przybył do koszar, na czele 31 psk, gen. Małachowski. Większość oficerów opowiedziała się wówczas za Piłsudskim. Na ich dowódcę wyznaczono ppłk. Zawisłaka.

O godzinie 13.00 gen. Małachowski wydał rozkaz postawienia oddziałów całego garnizonu w stan ostrego pogotowia, wydania amunicji oraz opanowania i obsadzenia budynków DOK IV, central telefonicznych, poczty i dworców kolejowych. Zostały one szybko zajęte przez pododdziały 31 psk i 28 psk. Jednocześnie przywódca rewolty w Łodzi przekazał płk. Rachmistrukowi dowództwo 10 DP i obowiązki komendanta miasta.

Pół godziny później gen. Małachowski spotkał się w koszarach 28 psk z gen. Jungiem, który ponownie odmówił podporządkowania się Piłsudskiemu. Podobną decyzję podjęło również kilku generałów i starszych oficerów z dowództwa okręgu, m. in. gen. dyw. Ignacy Ledóchowski i płk Iwanowski, którzy praktycznie od tego momentu pozostawali w areszcie domowym. Dopiero



o godz. 21.25 Piłsudski oficjalnie powierzył gen. Małachowskiemu pełnienie obowiązków dowódcy OK IV.

Po rozmowie z gen. Jungiem przywódca rewolty w Łodzi spotkał się z wojewodą Ludwikiem Darowskim i komisarzem rządu w sprawie utrzymania ładu i bezpieczeństwa publicznego w ponad półmilionowym mieście. Obie strony ustaliły zasady współdziałania. Nie były one jednak przestrzegane przez wojewodę, który pozostając wierny rządowi, nakazał konfiskatę wszelkich komunikatów i odezw do ludności wydanych przez organy propiłsudczykowskie, a zwłaszcza miejscowe władze wojskowe. W tej sytuacji 14 maja o godzinie 16.30 gen. Małachowski polecił zająć budynki urzędu wojewódzkiego i komendy policji. Jednocześnie zawiesił w czynnościach i internował Darowskiego oraz komendanta policji. Ich obowiązki powierzył członkom Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS): Antoniemu Remiszewskiemu, staroście powiatu łódzkiego, i Józefowi Żółtaszkowi, byłemu komendantowi Milicji Ludowej w Łodzi.

Głównym zadaniem przywódcy rewolty w Łodzi było zablokowanie linii kolejowych łączących zachodnie okręgi korpusów ze stolicą. Już 13 maja po południu wysłał on batalion 28 psk pod dowództwem kpt. Lemkowicza do Pabianic z zadaniem zatrzymywania i rozbijania transportów wojskowych jadących z Poznania do Warszawy. Pododdział ten wysadził w powietrze zwrotnice, blokując tym samym linię kolejową Pabianice – Łódź Kaliska. Jednocześnie gen. bryg. Małachowski polecił dowódcy 7 Dywizji Piechoty w Częstochowie – gen. dyw. Wróblewskiemu zablokować miejscowy węzeł kolejowy. Z kolei propiłsudczykowski batalion 37 pp z Łęczycy otrzymał rozkaz przemarszu do Kutna, aby zablokować linie kolejowe łączące Pomorze i Poznańskie z Warszawą. W ostateczności miał on niszczyć tory kolejowe i opóźniając transporty, cofać się w stronę Łowicza. Powyższe dwa ostatnie rozkazy nie zostały wykonane z powodu szybkiego opanowania Częstochowy i Kutna przez oddziały prorządowe.

Wieczorem 13 maja gen. Małachowski otrzymał ze sztabu Piłsudskiego polecenie zorganizowania batalionu szturmowego wzmocnionego kompanią ciężkich karabinów maszynowych i natychmiastowego wysłania ich do Warszawy. Oddział ten, składający się z 10 oficerów i 290 żołnierzy starszego rocznika z 31 psk, wyjechał do stolicy rankiem następnego dnia. Jako jedyna jednostka garnizonu łódzkiego uczestniczył on w walkach z oddziałami prorządowymi. Poległo w nich 2 szeregowców, a 3 zostało rannych.



Po wyjeździe batalionu szturmowego do Warszawy i części 28 psk do Pabianic gen. Małachowski miał pełną kontrolę jedynie nad słabymi i nielicznymi pododdziałami w Łodzi i w Tomaszowie Mazowieckim. Sytuację tę uznał za krytyczną po otrzymaniu informacji o ruchu siedmiu transportów prorządowych z Częstochowy na Koluszki i dwóch z Kalisza na Łódź. Dlatego polecił przygotować plan powstrzymania przede wszystkim sił nadchodzących z Ostrowa Poznańskiego przez Kalisz. W przypadku pogorszenia się sytuacji zamierzał przedrzeć się do Warszawy. W Łodzi pozostałby wówczas jedynie 1 batalion 28 psk dla utrzymania porządku w mieście i zabezpieczenia majątku wojskowego.

Z dostępnych materiałów wynika, że gen. Małachowski, planując wszystkie swoje przedsięwzięcia wojskowe w dniach 13-15 maja, szeroko uwzględniał ciężką sytuację społeczną w Łodzi. Systematycznie podkreślał on, że według jego oceny w mieście było ok. 60 tys. bezrobotnych szczególnie podatnych na agitację komunistyczną. Jako były carski oficer najprawdopodobniej obawiał się ewentualnych rewolucyjnych konsekwencji rozpoczętej przez siebie rewolty.

Z tego powodu tak długo tolerował prorządowe a zarazem prawicowe władze wojewódzkie i miejskie, próbując nawet z nimi ściśle współdziałać w zakresie utrzymania porządku i bezpieczeństwa publicznego. Jednak właśnie taka polityka doprowadziła do szeregu napięć i konfliktów politycznych w Łodzi. Najniebezpieczniejszymi z nich były krwawe wydarzenia, do których doszło wieczorem 14 maja na Górnym Rynku. Ich główną przyczyną była konfiskata pism przychylnych akcji Piłsudskiego. Władze wojskowe następująco je przedstawiły i oceniły: „Zdemolowano XIII komisariat policji państwowej. W czasie tych zajęć policja musiała użyć broni i w rezultacie na placu zostało 2 zabitych i kilku rannych. Wiadomość o zmianie wojewody szybko rozeszła się po mieście i zapanowało natychmiastowe uspokojenie umysłów”.

Głównymi sojusznikami nowych, propiłsudczykowskich władz wojskowych i administracyjnych Łodzi byli działacze ZS i POWol. 13 maja po południu zorganizowali oni wielką manifestację, której uczestnicy udali się pod koszary 28 psk wnosząc okrzyki na cześć armii i Józefa Piłsudskiego. Kilka godzin później 530 członków ZS zgłosiło się do dyspozycji gen. Małachowskiego. Zostali oni uzbrojeni i zakwaterowani w koszarach przy ul. Leszno 9. 230 osób z POWol. skoszarowano w 31 psk przy ul. 11 Listopada 62 (obecnie Legionów).



Wieczorem Komenda Okręgu ZS Łódź zarządziła mobilizację wszystkich swoich oddziałów miejskich i terenowych. Ogółem zmobilizowano 8200 członków i sympatyków Związku. Około 3 tys. strzelców uzbrojono. Od 14 maja część z nich uczestniczyła w akcji przeciwko wojskowym transportom kolejowym jadącym na pomoc rządowi w Warszawie.

Ważną rolę polityczną podczas wydarzeń majowych w Łodzi odegrał Ludwik Piątkowski – komendant okręgu strzeleckiego. Z upoważnienia gen. Małachowskiego koordynował on działalność wszystkich organizacji, które poparły akcję Piłsudskiego.

Dopiero wieczorem 13 maja przywódca rewolty w Łodzi spotkał się z przedstawicielami POWol., Związku Legionistów, Związku Inwalidów, Związku Podoficerów Rezerwy, ZS, Związków Zawodowych, PPS i Narodowej Partii Robotniczej w sprawie utrzymania ładu i spokoju w mieście. Zebrani działacze zapewnili go o swoim poparciu i potępił politykę wojewody. Ich stanowisko przyczyniło się do internowania Darowskiego w następnym dniu.

Spośród organizacji prawicowych rewoltę w Łodzi poparł jedynie Związek Młodzieży Chrześcijańskiej (ZMCh), którego 120 członków oddało się do dyspozycji gen. Małachowskiego. Oddział ten wcielono do batalionu ZS w 28 psk. Pozostałe organizacje nie przejawiały większej aktywności. Charakterystyczna była przy tym postawa prasy proendeckiej. Jej czołowy organ łódzki, dziennik „Rozwój” następująco uzasadniał potrzebę zachowania spokoju w mieście: „Choćby nawet cała Warszawa wpadła w ręce Piłsudskiego, zadecyduje tu cały kraj, nie tylko stolica”.

Z powyższych danych wynika, że gen. Małachowski zbyt pesymistycznie oceniał sytuację społeczno-polityczną w Łodzi. Miał on również niedokładne dane o ruchu oddziałów prorządowych z Ostrowa na Łódź. Dopiero rankiem 15 maja powiadomiono go, że nie posunęły się one poza linię Kalisz – Opatówek.

Wieczorem gen. Małachowski otrzymał ze sztabu Piłsudskiego informacje, że działania wojskowe pod Warszawą są ostatecznie zakończone i przygotowany jest rozkaz w sprawie powrotu oddziałów poznańskich do swoich garnizonów. Następnego dnia wydał on zarządzenie nakazujące rozpoczęcie od 17 maja normalnych zajęć szkoleniowych w oddziałach OK IV, rozwiązanie specjalnych oddziałów pw (ZS, POWol. i ZMCh) oraz zdjęcie posterunków wojskowych strzegących budynków urzędu wojewódzkiego, dworców kolejowych i central telefonicznych. Przedsięwzięcia te nowe władze określały jako „likwidację zająć majowych”.



Tadeusz Wołk-Żołnierski

## Działalność Józefa Piłsudskiego w Łodzi w latach 1899–1900



Większość Polaków uważa Józefa Piłsudskiego za czołowego działacza niepodległościowego i przywódcę odrodzonego w 1918 r. państwa polskiego. Znacznie mniej osób orientuje się, że odegrał on również wielką rolę w rozwoju polskiego ruchu robotniczego. Przez wiele lat był członkiem Centralnego Komitetu Robotniczego Polskiej Partii Socjalistycznej (CKR PPS) i redaktorem pisma „Robotnik”. W tym też charakterze przebywał przez kilka miesięcy w Łodzi.

Józef Piłsudski zetknął się z ruchem socjalistycznym już w gimnazjum wileńskim. Jego działaczem stał się dopiero po powrocie z 5-letniego zesłania w Rosji, na które został skazany za przypadkowe kontakty z rewolucjonistami przygotowującymi zamach na cara Aleksandra III. Już w 1893 r. wszedł w skład kierownictwa PPS jako przedstawiciel sekcji litewskiej.

Od 1894 do 1899 r. Piłsudski, początkowo sam, a następnie wspólnie ze Stanisławem Wojciechowskim (późniejszym prezydentem Polski) redagował i wydawał pismo „Robotnik”. Na jego łamach zaprezentował się jako działacz socjalistyczny łączący



postulaty walki o sprawiedliwość społeczną z celami niepodległościowymi. W swoim artykule opublikowanym w 13 numerze „Robotnika” (1896 r.) napisał: „Dziś hasłem naszej polityki robotniczej w walce o wolność i prawa polityczne jest Niepodległa Demokratyczna Rzeczpospolita Polska”.

Od 1899 r., po wyjeździe S. Wojciechowskiego z Wilna, Józef Piłsudski sam redagował „Robotnika”. Jednocześnie pomagał Kazimierzowi Rożnowskiemu w drukowaniu kolejnych numerów pisma.

15 lipca 1899 r. Józef Piłsudski ożenił się z Marią Juszkiewiczową z Koplewskich, działaczką PPS, powszechnie nazywaną „Piękną Panią”. Odtąd zaczął przywiązywać większą wagę do przestrzegania zasad konspiracji. Dlatego też, gdy jeden z wileńskich działaczy zaczął denuncjować w więzieniu wszystkich bez wyjątku znajomych, Józef Piłsudski zasugerował przeniesienie drukarni „Robotnika” do innej miejscowości. Wybór padł na miasto Łódź, które kierownictwo PPS uważało wówczas za jeden z najbardziej spokojnych ośrodków ruchu robotniczego na ziemiach polskich.

Dokładny termin przybycia Piłsudskiego do naszego miasta nie jest znany. Niektórzy badacze, m. in. Eugeniusz Ajnenkiel, twierdzili, że pierwszy swój list z Łodzi napisał on 28 października 1899 r. Faktem jest, że dopiero 16 listopada 1899 r. (3 listopada według kalendarza juliańskiego) wpisano Piłsudskiego, który posługiwał się dokumentami na nazwisko Dąbrowski, do księgi niestałych mieszkańców Łodzi jako lokatora kamienicy przy ul. Wschodniej 19 m. 4.

Powyższe daty sugerują, że Piłsudski przed ostatecznym wyborem lokalu na drukarnię mieszkał albo w jednym z łódzkich hoteli, lub też korzystał z gościny aktywistów, ewentualnie sympatyków PPS. Należała do nich rodzina Marii Grabowskiej, której brata znał Aleksander Malinowski, członek CKR PPS.

Piłsudski podaje, że długo i starannie wybierał lokal na drukarnię. Nie udało mu się jednak znaleźć mieszkania na parterze, które najbardziej spełniałoby wymogi konspiracji. Ostatecznie wynajął lokal na piętrze nad składem bawełny i pończoch, z dwoma wejściami (kuchennym i frontowym). Składał się on z 4 pokoi, kuchni i toalety.

Mieszkanie przy ulicy Wólczańskiej 19 Piłsudski zajmował z żoną i służącą. Stałym jego współpracownikiem był Kazimierz Rożnowski (pseudonim „Karol”), który do konspiracyjnej drukarni przychodził codziennie przed godziną 9 rano.



→ Proletarynsze wszystkich krajów, łączcie się! ←

# ROBOTNIK

ORGAN POLSKIEJ PARTII SOCYALISTYCZNEJ

→ Towarzysze, upraszamy Was o rozpowszechnianie „Robotnika”. ←

→ Towarzysze, pamiętajcie o Świącie Majowym! ←

W nocy z 21-go na 22-gi lutego o godzinie 3-cj w czasie rewizji w mieszkaniu Dąbrowskich (ulica Wschodnia Nr. 19 m. 4) w Łodzi odkryto naszą drukarnię. Oprócz różnych druków i rękopisów znaleziono w odbitych stronice 36-go numeru „Robotnika”, który miał wyjść za dni kilka, i 4 stronice dodatku do tegoż numeru.

Przypadkowy tryumf żandarmów organizacyi naszej zlanąć nie mogli. Po dwumiesięcznej przerwie oddajemy dziś w ręce czytelników Nr. 36 „Robotnika” z treścią zmienioną odpowiednio do potrzeb bieżącej chwili. Gdyby jednak i ta drukarnia wpadła w ręce żandarmów, to i to nas nie zgnębi! „Robotnik” będzie wychodził nadal tak długo tajnie, aż zaświta na ziemi naszej słońce wolności, które pozwoli nam mówić i działać jawnie.

CENTRALNY KOMITET ROBOTNICZY

## ŚWIĘTO MAJOWE

Kilka dni zaledwo dzieli nas od tej chwili, gdy klasa robotnicza świata całego po raz jedenasty jednym zgodnym, wielkim porzywem wykaże światu swą niezłomną wolę zaprowadzenia lepszego ustroju i stwierdzi jeszcze raz, że stanowi jedną, tami samą, niezłomną, natchnioną rodzinę. Zbliża się Święto Majowe, ten dzień, który w historii naszego ruchu krwawo, a zawsze chwalebnie jest zapisany.

Jak dalecy jesteśmy od wiosny roku 1890, gdy klasa robotnicza po raz pierwszy sz-

kowała się do demonstracyi majowej! Nikt, w gruncie rzeczy, nie wiedział wtedy dobrze, co ma być. Wielu towarzyszy, przygotowując się do demonstracyi, myślało, że z niej może wyniknąć rewolucya socyalna, inni, bardziej mienfak, widzieli w niej zwykłą demonstracyę, nie różniącą się od innych, i zastanawiali się nad tem, czy warto warować się bez poważnego powodu.

Cóż zaś mówić o burżuazyi! Ta straciła głowę najzupełniej. W Paryżu, Rzymie i innych miastach, gdzie ruch robotniczy przybiera cechy bardziej rewolucyjne, przerażenie było tak wielkie, że tysiące bogatych rodzin wyjechało na wies, by przynajmniej wycieńczyć i wynieść. Wszędzie zaś domagano się wielkim głosem policyi wojska, armat. To też niektóre miasta wyglądały, jak na stopie wojennej.

W następnym roku jeszcze gorzej było. Chociaż bowiem rewolucya nie wybuchła, ale rozszaleni ludzie wśród burżuazyi zawyżyli, w jak niestychany sposób święto majowe rozszerzyło i wzmożniło ruch robotniczy. I oto, bez zważania się, ale rzeczywiście jakby na dany znak, huknęły strzelby „przedstawicieli porządku” w różnych zakątkach Europy. W Rzymie wojsko atakuje tłum, zgromadzony na jednym z placów. Rozpoczyna się walka, w której z jednej strony działają karabiny, z drugiej noże i kamienie. Szpitale napelniają się ranurami. We Francyi, w fabrycznem miasteczku Fourmies, wojsko strzela do ludu, pada 9 zabitych. W Zyrardowie krew się leje. W Niemczech wojsko ludzi nie mordowało, ale burżuazyi postanowiła głodem ukarać robotników, wydając im z fabryk całemi misami.

Wszystko to nie mia pomogło. I tam, gdzie nie było przesładowań, i tam, gdzie one nastąpiły, święto majowe zyskiwało z każdym rokiem na znaczeniu, wciągło coraz szerzej



Piłsudski poświęcał większość swego czasu w Łodzi na redagowanie i drukowanie kolejnych numerów „Robotnika”. Pracę swoją następująco opisał w książce pt. *Walka rewolucyjna w zaborze rosyjskim. Fakty i wrażenia z ostatnich lat dziesięciu* (wydanej w 1903 r. w Krakowie) : „Zaraz po rannej herbacie ja z Karolem wynosiliśmy się do gabinetu, do roboty. Robota nasza polegała na pisaniu, składaniu i odbijaniu na maszynie. Pierwsze należało do mnie, drugie do Rożnowskiego, trzecie było naszą wspólną funkcją. Urządaliśmy się w ten sposób, że od chwili, gdy robota nad numerem »Robotnika« została rozpoczęta, nie przerywaliśmy już jej, dopóki nie była skończona. Dwunastostronicowy numer kosztował nas zwykle 15 dni pracy, pracy dosyć uciążliwej, trwającej przeciętnie 9–11 godzin dziennie”.

Ogółem Piłsudski wraz z Rożnowskim wydrukowali i rozdystrybuowali 3 następujące numery „Robotnika” (każdy o nakładzie 1900 egzemplarzy): nr 33 z 1 października 1899 r. (antydatowany, żeby nie była zbyt widoczna przerwa spowodowana przeprowadzką drukarni z Wilna do Łodzi), nr 34 z 3 grudnia 1899 r. i nr 35 z 31 grudnia 1899 r. Druk numeru 36 z datą 25 lutego 1900 r. nie został ukończony ze względu na aresztowanie Piłsudskiego. Wydano również „Kurierek Robotnika” nr 3.

Wydrukowane egzemplarze wymienionych pism były przewożone do Warszawy przez Piłsudskiego lub pozostałych członków CKR PPS – Aleksandra Malinowskiego i Aleksandra Sulkiwicza, którzy przyjeżdżali do Łodzi z informacjami i sprawozdaniami o działalności ogniw PPS. Dostarczali oni również farbę drukarską i kupowali papier. Z publikacji Piłsudskiego wynika, że z mieszkania wychodził jedynie w celu przewiezienia prasy partyjnej do Warszawy lub aby kupić papier. O innych jego przedsięwzięciach i kontaktach brak danych. Niewiele również wiadomo o partyjnych kontaktach jego żony.

Stosunkowo jednostajny tryb życia Piłsudskiego w Łodzi, koncentrujący się na konspiracyjnym redagowaniu i drukowaniu „Robotnika”, zapewniał mu przez 4 miesiące bezpieczeństwo. Potwierdzają to również okoliczności zdekonspirowania drukarni.

Piłsudski uważał, że zadecydowała o tym nieostrożność Aleksandra Malinowskiego, który 7 lub 8 lutego 1900 r., kupując większą ilość papieru w sklepie Tybera na rogu ulic Piotrkowskiej i Zielonej, zainteresował tą transakcją agenta policji. W tej sytuacji ustalenie adresu Piłsudskiego było formalnością. Pod obser-



wacją policji znalazło się również mieszkanie Marii Rogowskiej, której brata odwiedził Malinowski.

Podjejrzanym o działalność konspiracyjną aresztowano dopiero w pierwszych godzinach 22 lutego 1900 r. Jako pierwszego policja aresztowała na Dworcu Fabrycznym Malinowskiego. O godzinie 3.00 żandarmi weszli przez kuchnię do mieszkania przy ulicy Wschodniej 19 i obudzili Piłsudskiego. Rewizja trwała do południa 23 lutego 1900 r. Żandarmi zarekwirowali maszynę drukarską, liczne dokumenty i stemple partyjne, w tym pieczętkę CKR PPS.

Następnie przewieziono Piłsudskiego do aresztu policyjnego przy ulicy Gdańskiej 13. Przebywał tam do 18 kwietnia 1900 r. Potem został przewieziony do Cytadeli Warszawskiej, gdzie osadzono również jego żonę. Należy zaznaczyć, że w dniu aresztowania Marii Piłsudskiej udało się poprzez służącą powiadomić Kazimierza Rożnowskiego, który z kolei ostrzegł Aleksandra Sulkiwicza szykującego się do wyjazdu na spotkanie z redaktorem „Robotnika”. Wykrycie tajnej drukarni w Łodzi i aresztowanie czołowych działaczy PPS określane jest jako katastrofa tej partii w 1900 r. Jednakże jej negatywne skutki stosunkowo szybko przewyciężono. W Londynie już 26 kwietnia 1900 r. wydano od nowa zredagowany 36 numer „Robotnika”. Na początku maja 1901 r. działacze PPS zorganizowali ucieczkę Józefa Piłsudskiego z petersburskiego szpitala św. Mikołaja Cudotwórcy.

Po krótkim odpoczynku powrócił on do działalności konspiracyjnej. Jej kolejnymi etapami były: Organizacja Bojowa PPS, Polska Partia Socjalistyczna – Frakcja Rewolucyjna i Związek Walki Czynnej. Od 1910 r. Piłsudski częściowo zalegalizował swoją działalność wojskową, kierując kolejno Związkami Strzeleckimi, kadrowymi oddziałami strzeleckimi (w sierpniu 1914 r.), 1 pułkiem piechoty i I Brygadą Legionów. Ten wysiłek oraz wiodąca rola Piłsudskiego w odrodzonym państwie polskim są powszechnie znane. Przesłoniły one jego działalność w PPS.

O pepeesowskim etapie działalności Józefa Piłsudskiego i jego łódzkim epizodzie pamiętały władze wyzwolonej w listopadzie 1918 r. Łodzi. Już 6 sierpnia 1919 r. Rada Miejska przyjęła uchwałę o nadaniu Naczelnikowi Państwa obywatelstwa honorowego miasta Łodzi. Podkreślono w niej:

„W czasie, kiedy Naród Polski, skuty kajdanami niewoli moskiewskiej, był obdzierany z wszelkich praw mu należnych, pracował w mieście naszym człowiek, co poprzysiągł kajdany te zerwać, budził sumienie narodu, wzniecał bunt przeciw najeźdź-



com, w domu przy ulicy Wschodniej został schwytyany przez służbę caratu, wywieziony i oderwany od tak umiłowanej pracy.

Miasto nasze, szczęśliwe, że było terenem tytanicznej pracy Józefa Piłsudskiego, wyraża temu bojownikowi o wolność przez usta swych przedstawicieli – Radę Miejską – najwyższy hołd, ofiarując Mu obywatelstwo honorowe m. Łodzi.

Chcąc na wieczne czasy upamiętnić to miejsce, gdzie Piłsudski niósł wielką pracę dla wolności narodu i wyzwolenia ludu, Rada Miejska uchwała wmurować tablicę pamiątkową w domu przy ulicy Wschodniej, gdzie Komendant został zaaresztowany”.

Dyplom honorowego obywatelstwa m. Łodzi wręczono Piłsudskiemu dopiero 28 października 1920 r. w Belwederze. Komendant, dziękując za szczególne wyróżnienie swoich zasług, nie ukrywał jednak, iż Łódź pozostawiła mu w pamięci przykre wspomnienia, gdyż, jak zaznaczył, zaznał tam mało przyjemności, a dużo przykrości. Jednocześnie przyrzekł, że gdy tylko okoliczności na to pozwolą, to spełni prośbę władz miejskich i odwiedzi Łódź. Obietnicy tej jednak nie udało mu się zrealizować.

W lutym 1920 r. nad wejściem frontowym przy ulicy Wschodniej 19 odsłonięto tablicę z następującym tekstem: „Tu mieszkał i został aresztowany 25 II 1900 r. przez służbę caratu Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski, w drukarni »Robotnika«. Autor tego napisu popełnił błąd, uznając datowanie 36 numeru pisma przejętego przez policję za dzień dekonspiracji drukarni.

W 1928 r. władze Łodzi przemianowały ulicę Wschodnią na Józefa Piłsudskiego. W tym samym czasie rozpoczęto budowę Domu-Pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego (obecnie Łódzki Dom Kultury).

Po śmierci przywódcy II Rzeczypospolitej Łódzki Oddział Związku Oficerów Rezerwy RP wystąpił z inicjatywą odrestaurowania byłego lokalu drukarni PPS i przekształcenia go w Warsztat Pracy Konspiracyjnej Józefa Piłsudskiego z lat 1899–1900. Jej owocem było otwarcie 11 listopada 1938 r. Muzeum Pamiątek po Pierwszym Marszałku i Wodzu Narodu Józefie Piłsudskim. Nieco wcześniej, 14 maja 1938 r., odbyła się uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Imię Józefa Piłsudskiego przyjęło w okresie międzywojennym również obecne III Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Kościuszki przy ul. Sienkiewicza 46.



Po klęsce Polski w wojnie obronnej 1939 r. hitlerowcy zlikwidowali lub usunęli powyższe znaki upamiętniające działalność i zasługi Józefa Piłsudskiego.

Czołowego działacza nurtu niepodległościowego PPS i przywódcy II Rzeczypospolitej nie hołubiły władze miasta w czasach Polski Ludowej. Polityka ta budziła sprzeciw byłych podwładnych komendanta i zwolenników jego idei pełnej niepodległości i suwerenności Polski, działających od 2 kwietnia 1981 r. w łódzkim Społecznym Komitecie Pamięci Józefa Piłsudskiego. Dzięki ich inicjatywie i solidarności ufundowano i odsłonięto na froncie budynku przy ulicy Wschodniej 19 nową tablicę pamiątkową. Autor jej tekstu nie ustrzegł się błędu, podając dzień 21 lutego 1900 r. jako datę aresztowania Józefa Piłsudskiego w Łodzi.

W czerwcu 1990 r. przywrócono imię Marszałka Józefa Piłsudskiego Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej przy ulicy Gdańskiej 102. Tego samego miesiąca Rada Miasta przemianowała ulicę Armii Czerwonej (na całej długości) i część alei Adama Mickiewicza (na odcinku od ulicy Piotrkowskiej w kierunku wschodnim – do końca) na aleję Marszałka Józefa Piłsudskiego.

3 maja 1970 r. na placu przed Łódzkim Domem Kultury (przy ul. Traugutta 18) uroczystie odsłonięto pomnik Komendanta w mundurze Pierwszego Marszałka Polski. Monument ten jest owocem inicjatywy, ofiarności i determinacji Społecznego Komitetu Pamięci Józefa Piłsudskiego oraz tysięcy osób niezrzeszonych, którym bliska jest postać przywódcy nurtu niepodległościowego PPS, Komendanta i czołowego przywódcy II Rzeczypospolitej.

Z powyższego zestawienia oficjalnych dowodów uznania władz i społeczeństwa Łodzi dla zasług Józefa Piłsudskiego wynika, że nadal jedyną formą upamiętniającą łódzki epizod działalności Józefa Piłsudskiego pozostaje tablica pamiątkowa przy ulicy Wschodniej 19. W tej sytuacji warto zastanowić się, czy w Muzeum Tradycji Niepodległościowych przy ulicy Gdańskiej 13 nie powinna znajdować się stała ekspozycja przypominająca łodzianom przedstawiony fragment życia pierwszego redaktora „Robotnika”, późniejszego Pierwszego Marszałka Polski.





Koniec strzałki wskazuje pokój przy ul. Wschodniej 19, w którym znajdowała się drukarnia „Robotnika” (W. Pfeiffer)



Wiesław Machejko

## Kartki z historii STS „Pstrąg” (cz.2)

Rok 1961 przyniósł składankę pt. *Nieвозмоści stało się zadość*. Tytuł wziął się stąd, iż teatr utracił salę i przeżywał wewnętrzny kryzys oraz impas twórczy będący też zapewne wynikiem braku znacznieszego powodzenia. Realizację programu uznawano za niemożliwą, a jednak tej niemożliwości stało się zadość. Tu już na dobre zakrólowała piosenka. Przypomnijmy tytuły: *Karnawał w małym miasteczku*, *Kocham wszystko*, *Echa corridy* – piosenki, inscenizowane bardzo pomysłowo, przeszły do repertuaru wielu wybitnych, profesjonalnych polskich wykonawców. Operetka historyczna *Jak się bawić* oscylowała w sferze obyczajowo-historycznej, jednakże widownia, inna niż trzy lata wcześniej, „nie kupowała” już aluzji i zaczepki politycznych.

A mimo to z rozpedu czy przyzwyczajenia, na pewno zaś z braku innych pozycji repertuarowych, powodowany koniecznością utrzymania się na powierzchni – zespół przygotował kolejny program składany pt. *Jubileusz*. Program wystawiono z okazji 7-lecia teatru i objęcia we władanie nowej sali. Nie był to program nowy – stanowił przegląd najlepszych tekstów 7-lecia. Tu jednak można było się przekonać, jak krótko, życiem motyla istnieje tekst satyryczny. To, co budziło kiedyś entuzjazm widowni, teraz wywoływało zaledwie oklaski.

Po przeglądzie w Gliwicach Andrzej Wróblewski pisał w „Życiu Warszawy”: *STS «Pstrąg» wybrał ze swych dotychczasowych programów najlepsze propozycje i pokazał je w składance «Jubileusz». Zespół, zasilony młodymi wykonawcami, kontynuuje swe dobre tradycje, dla których charakterystyczne były zawsze ambitne teksty literackie, pomysłowe opracowania muzyczne i swobodna, bezpośrednia gra młodych amatorów. Z ciekawością czekamy niedalekiej premiery nowej składanki artystycznej tego zespołu.*



Pożegnanie ze składanką nosiło tytuł: *Albośmy to jako tacy*. Obok różnych skeczów i piosenek wprowadzono tu inscenizację opowiadania Wiesława Dymnego *Chudy i inni*. Była to większa, kilkunastominutowa całość dramaturgiczna, historia współczesna, utrzymana w tonie satyry serio, gryząca ironią przenikliwego spojrzenia na ludzkie sprawy przy budowie jakiegoś mostu, gdzieś tam, przez takich, „co ich robota złączyła, a jak się skończy, pójdą na następną...” Ze swego zadania zespół aktorski wywiązał się znakomicie. Przedstawienie, podobnie jak i poprzednie składanki, cieszyło się powodzeniem w Łodzi, choćby ze względu na fakt, iż miasto nie posiada żadnej sceny prezentującej programy kabaretowe, lekkie, mające znamiona aktualności.

Era pstragowej aktualności dobiegła końca.

Dopiero w pięć lat po premierze *Pstragów* autorzy teatru ośmielili się porwać na sztukę pełnospektaklową własnego pióra. Zamysł sięgał do ostatniej sceny *Kraju na ziemi*, gdzie na zwykłym podwórku kłócono się o klucz od góry, gadano o codziennych sprawach.

Rzecz opierać się miała na oryginalnych piosenkach łódzkich przedmieść. W tym celu Słowikowski ze Skotnickim wędrowali po Młynku, Chojnach, Radogoszczy, Bałutach z magnetofonem, wypytywali, szukali, nagrywali.

Do wodewilu wprowadzono 9 oryginalnych piosenek. Łódź nie okazała się jednak tak bogata w tradycje miejskiego folkloru jak stolica. To, co zdobyto, było albo niecenzuralne, albo stanowiło przeróbki piosenek pisanych przez zawodowych autorów „pod folklor”.

Do programu wzięto np. piosenkę, do której przyznał się potem przedwojenny łódzki dziennikarz – Adam Ochocki. Napisał ją kiedyś dla rysunkowego komiksu *Wicek i Wacek* ukazującego się w łódzkiej gazecie.

Słowikowski mówił na temat wodewilu przedstawicielowi „Głosu Robotniczego”:

„Chcieliśmy pokazać łódzki folklor. Dlatego część piosenek jest wprawdzie nasza, ale część autentyczna, zebrana od różnych starych ludzi, od śpiewaków podwórzowych, od mieszkańców naszego miasta. Szczególnie pomogła nam ludność Księżego Młyna, a poza tym skorzystaliśmy ze starych zbiorów, np. *Trubadura Polskiego*”.

Pisał Jerzy Panasewicz w „Expressie Ilustrowanym”:

„A trzeba przyznać, że przygotowany na piątą urodziny »Pstraga« wodewil bałucki zaskoczył nas wszystkich. Dość niezwykle to przedstawienie w dziejach »Pstraga«, bo wolne od jakiegokolwiek aluzyjności,



prościutkie, rozśpiewane jak nigdy i jak nigdy jednoznaczne i czytelne. Głowę śmiało można stawiać o zakład, że »kasowo« pobije wszystkie dotychczasowe rekordy, że cieszyć się będzie ogromnym powodzeniem i podobać zarówno tym bardziej, jak i tym mniej wyrobionym widzom.

Gdyby dyrekcja Teatru 7.15 montując swój składankowy program wiedziała, że coś takiego szykuje się im pod bokiem, to – wierzę – dokonałaby porwania autorów w najlepszym amerykańskim stylu. Ale nie wiedziała, nie porwała i teraz ma za swoje. Albowiem biada tym, którzy ojczyznę humoru widzą w Warszawie”.

Akcja wodewilu toczyła się na zwykłym bałuckim podwórku w czasie jubileuszu zasłużonego hodowcy gołębi pana Antoniego. Jak to przy okazji święta, działy się rzeczy przedziwne: była orkiestra, generał, kiziorzy, młodzi się kochali. Tylko bowiem świąt wodewilu, barwny, rozśpiewany, wesoły i nierealny odpowiadał autorom jako forma nośna dla pierwszej większej całości dramatycznej. O uroku wodewilu, jego powodzeniu zadecydowały przede wszystkim piosenki, i to te napisane przez Słowikowskiego: *Więc, idzie wojsko, Nas trzech, Tango o dwoistości pojęcia władzy*. Gorąco przez widownię miasta przyjęty spektakl zachęcił innych autorów do tworzenia większych całości.

Do programów pełnospektaklowych tedy, nie zaś między składanki włożyć trzeba „autentyk” – *Rogate dusze* napisany w formie listów obywateli PRL do redakcji radia i prasy, zaprezentowany w postaci 18. premiery teatru w marcu 1963 r. Dwa lata wcześniej warszawski STS przedstawił podobny autentyk oparty na materiałach sądowych, pt. *Oskarżeni*. Przedstawienie tamto zdobyło ogromny poklask.

Ale nie ono stało się impulsem dla „Pstrąga”. Poszukiwano wtedy autentyku wszędzie. Łódzki teatrzyk medyków „Cytryna” zajął się problemem chuligaństwa ukazywanym na podobnej bazie faktu. A zatem ciekawość życia pojętego szeroko, bo w wypadku *Rogatych dusz* nawet pozagrobowego – kazała sięgnąć do ludzkich skarg i spraw. Były więc tam listy do Fali – 56, redakcji „Prawa i Życia”, były zapiski wróżki Makowej, protokoły z seansów spirytystycznych, zeszyty metafizyczne z Częstochowy. Dla skonstruowania współczesnych trosk i błagań – padały ze sceny dumne strofy *Śpiewów historycznych* Juliana Ursyna Niemcewicza (do muzyki oryginalnej I. P. S. Parisa). Wydawało się więc, że z takiego materiału tekstowego, frapującego problemami człowieczych losów, można było zrobić interesujące widowisko. Niestety, nieporadność reżysera, który, zafascynowany widać sa-



mym tekstem, nie zadbał naleźycie o jego sceniczną wizję, dała w wyniku przedstawienie niezbyt efektowne.

Alina Grabowska pisała w „Głosie Robotniczym”:

„Oczywiście to są wszystko teksty niesceniczne. Nie znajdziemy więc w najnowszym programie »Pstrąga« ani ciekawej inscenizacji, ani efektów filmowo-dźwiękowych, do których przywykliśmy w poprzednich programach. Trochę może szkoda, że nie starano się widowiska »ubarwić«, że scenografii właściwie nie ma, a kostiumy są dość przypadkowe. Nacisk położono na sprawny montaż, na poprawne podawanie tekstu... Mimo to namawiam do oglądania *Rogatych dusz*. W żadnym teatrze nie otrzymacie takiej propozycji autentycznego życia”.

Coś więc jednak pozostawało z tego programu w każdym widzu. Choć charakterystyczna jest tu wypowiedź Jerzego Panasewicza w „Expressie Ilustrowanym”:

„Słuchając tych listów z szerokiej Polski płynących, przypomina się Mrozek. Czyżby to on je autorom dyktował, on je wymyślił, a może to Polska – gdzieniegdzie wciąż jeszcze zapadła, głucha i zagrodowa, ponura i bezserdeczna – wymyśliła jego? Bo z tych listów można się śmiać, ich stylistyka i słownictwo prowokują do śmiechu, ale jest w nich również coś groźnego, coś co ścisza za gardło. W rezultacie *Rogate dusze* bawią, ale i zmuszają do myślenia, młodość zaś łączy się w nich z dojrzałością. Tak zresztą jak w zespole.

Miesiąc po premierze autentyku „Pstrąg” zaprezentował swe najlepsze pełnospektaklowe przedstawienie: *Między panem, wójtem a plebanem*. Rejowski tytuł nadano tu adaptacji opowiadań włoskiego dziennikarza Giovanniego Guareschiego publikowanych w tomie *Mondo piccolo* Don Camillo Tam gdzie jest to historia skrawka doliny między Padem a Apeninami, kilku ludzi tam mieszkających”.

„Historia ta żyje w określonym klimacie i miejscu. Klimat polityczny włoski” – pisze Guareschi. Włoski, znaczy klimat kraju, gdzie olbrzymie wpływy posiada kościół, gdzie jednocześnie działa jedna z najliczniejszych partii komunistycznych Europy. Gdzieś się ci ludzie ze sobą spotykają, obok siebie żyją. Walczą ze sobą światopoglądy, ideologie.

Co zainteresowało autorów adaptacji „Pstrąga” – to właśnie owo zetknięcie spraw na szczeblu najniższym. Oto ksiądz don Camillo i komunistyczny wójt Peppone. A pomiędzy nimi Chrystus. Taki, jakim wyobrażają go sobie zwykli ludzie. Chrystus z jarmarkowego obrazka. Zbyt wiele tam podobieństw do pierwszej lepszej polskiej wioski, by zrezygnować z tak pięknej okazji wypowiedzenia własnego zdania na ten temat. Temat niełatwy.

Z pomocą ustawieniu proporcji, od których przecież zależało wszystko, przyszedł sam Guareschi, który całą sprawę konfliktową zwekslował na tory ludzkiej poczciwości, przyzwoitości.



Jego bohaterowie nie są bez wad, ale są dobrzy. Każdy z nich na swój sposób chce być szlachetnym. Jest więc w tym coś z atmosfery powieści Kornela Makuszyńskiego pomieszczonej w zupełnie konkretnej sytuacji politycznej. Zabawa kapitalna. Przedstawienie pokazywano wielokrotnie w Łodzi i na wyjazdach. Jak wiadomo, adaptację tę przejęły sceny zawodowe, gdzie zyskała pełne powodzenie. (Później Skotnicki wystawił *Świat* w Płocku.)

W podobnym, choć oczywiście pogłębionym kręgu problemów mieści się następna adaptacja, *Klucza niebieskiego – albo opowieści budujących z historii świętej zaczerpniętych ku pouczeniu i przestrodze* – Leszka Kołakowskiego. Premiera odbyła się w marcu 1965 r., zyskując uznanie.

„Spotykamy się przez 10 lat i możemy nawzajem stwierdzić, że odczuwamy duży pociąg do filozofii. Wszakże przydaje ona życiu dylematy, alternatywy, wnioski racjonalizatorskie, wyrabianie poglądu, że kiedyś było gorzej, a dziś jest lepiej – to wszystko powstało za jej przyczyną, jej – matki wszelakiej mądrości – filozofii... Byle tylko były wnioski, byle były wnioski...”

„Jest sprzeczne ze zdrowym rozumem używać zdrowego rozumu do kłótni z rozumem absolutnym. Ta myśl (tak nasza) nie została jednak przez nas sformułowana. I dlatego gramy dziś dla państwa Klucz niebieski Leszka Kołakowskiego” – pisał „Pstrąg” w swym programie.

Niezwykłość inscenizacji, którą omówiono w rozdziale poświęconym plastyce „Pstrąga”, a także nowe, piękne piosenki, które ozdobił arcydowcipny, a jakże trudny tekst Kozłowskiego – wszystko to w sumie pozwoliło na III Festiwalu Studentów w Warszawie w roku 1965 zdobyć zespołowi nagrodę za najlepszy spektakl satyryczny.

„Dziennik Łódzki” (nr 77/ 1965) zatytułował swą recenzję: *Złoty klucz „Pstrąga”*: „Pstrągi» zaczęły na stare lata filozofować. 22 premiera odbywa się pod autorskim protektoratem Leszka Kołakowskiego, którego *Klucz niebieski* – przekorne powiastki filozoficzne oparte na motywach biblijnych – adaptowany został dla potrzeb sceny Juliana Brysza i Leszka Skrzydły”.

Rzecz dzieje się w XV-XIX-wiecznym barze (scenografia Jerzy Groszang), przy którym spotykają się Noe, Balaam, Ezaw itd., łącznie z Herodem, aby pogawędzić o władzy, cnocie, dobru, złu, czyli na tematy odwieczne, a więc współczesne. Jak z tego opisu można się zorientować, „Pstrągi” zrobiły swym widzom kolejną niespodziankę, dając przedstawienie odbiegające charakterem od poprzednich premier. Przyznam się zresztą, że



spośród dotychczasowych pozycji teatrzyku ta podobała mi się najbardziej. Przedstawienie jest czyste, klarowne, przede wszystkim w pełni dojrzałe, bez słabych punktów. Poza tym – o ile do tej pory „Pstragi” posługiwały się najczęściej satyrą i spojrzeniem lirycznym, to w *Kluczu niebieskim* (ba – Kołakowski!) sięgają głębiej, zmuszają do refleksji, choć robią to jak zwykle lekko i z dużym wdziękiem”. J. KAT. (Jerzy Katarasiński)

Wbrew obawom trudny, elitarny tekst Kołakowskiego został doskonale przez publiczność odczytany, a teatr jakby raz jeszcze dał do zrozumienia, że zawsze był i pozostać pragnie sceną polityczną, zaangażowaną w problemy współczesności.

Zestaw większych całości dramaturgicznych zamyka się w opisywanym okresie działania teatru adaptacją powieści J. Swifta *Podróże Guliwera* przygotowaną po części z myślą o udziale w dwóch festiwalach za granicą: w Liège i Nancy.

Autorowi zależało na znalezieniu takiego tekstu literackiego, do którego można się odwołać niezależnie od różnic językowych. Gdzie obraz, sytuacja sceniczna, przy znajomości treści literackich – zasygnalizuje tendencje, zamiary i zamysł teatru.

Nie wychodząc jednak poza granice zarówno samego tekstu, jak i wizji sytuacji scenicznych, to znaczy nie adaptując tekstu oryginału twórczo, nie nasycając go wyraźnie celowo treściami współczesnymi (odpowiednio typowymi i komunikatywnymi) – zaprezentowano w efekcie znaną bajkę o podróżach Guliwera po krainie liliputów i olbrzymów. Życzliwy widz podkładał sobie, co umiał i jak umiał pod zabawne niekiedy sytuacje.

Pierwszym programem pantomimy i piosenki lub inaczej: piosenki inscenizowanej, wzbogaconej pantomimą był spektakl *Panowie, świat jest zielony!* Premiera odbyła się w kwietniu 1959 r., a we wrześniu prezentowano program na VII Festiwalu Kultury Studenckiej w Tuluzie.

Scenki typowo pantomimiczne były tam dwie: *Tenis* i *Wojsko*, resztę stanowił zestaw piosenek, takich jak np. *Parasolki, parasolki, Kreda na płocie, Francesco, Razowi nożownicy*. Był to zarazem pierwszy wielki popis autorski pary twórców pstragowych piosenek Janusza Słowikowskiego i Piotra Hertla. Halina Batorowicz pisała w „Głosie Robotniczym” relacjonując wcześniej festiwal w Krakowie (1959):

„Kiedy łódzki »Pstrąg« dawał swoje *Panowie, świat jest zielony* (co za inteligentne teksty, jakie dobre piosenki – powiedziała mi na przerwie Krystyna Skuszanka) sala promieniała i domagała się bisów”.



Podobno w kuluarach tuluskiego festiwalu zachwycony występem »Pstraga« dyrektor teatru powiedział, że takie zespoły jak ten i towarzyszący mu balet Politechniki Warszawskiej gotów byłby zaangażować na występy w miesiącach letnich, gdy jego trupa urlopuje.

Następny program z tego cyklu, noszący już włoski tytuł *Buona sera!*, był zmienionym zestawem pozycji z repertuaru teatru – przeznaczonym na eksport: festiwal w Parmie w 1962 r. Interesująco kreśli się w tej dziedzinie form scenicznych „Pstraga” program pieśni i poezji bachicznej – *Sokrates tańczący* (premiera w 1963). Przygotowujący zestaw tekstów Jan Skotnicki sięgnął do Tuwima i Gałczyńskiego, a także do zbioru wierszy poety szkockiego Roberta Burnsa. Do jego tekstów powstała piękna muzyka Piotra Marczewskiego, a w całości – barwne widowisko. Szczególnie część druga, bogata w kostiumy, rubaszna i wesoła, zyskała poklask krytyki i publiczności.

Debiutem reżyserskim Piotra Hertla, kompozytora większości piosenek tego teatru, było widowisko pantomimiczno-piosenkowe oparte na motywie bajki o cudownej lampie Aladyna. I tym razem chodziło o znalezienie nici porozumienia pomiędzy polskim teatrykiem a widownią belgijską, przed którą zespół miał wystąpić wiosną 1964 r.

Zarówno wybór motywu literackiego, jak i muzycznego (motyw Szeherezady Rimskiego-Korsakowa) zyskały potwierdzenie na scenie w Brukseli. I tym razem posłużono się niezawodną piosenką (spośród wielu utrwalił się później *Koci twist*) i pantomimą. Podjęto tematy ogólnościatowe, wspólne, zrozumiałe. Lampę Aladyna po powrocie z Belgii grano jeszcze wielokrotnie w teatryku na Wólczańskiej. Z doświadczeń „Pstraga” w tej mierze warto wymienić hasło, które obowiązywało przy pracy nad programami „eksportowymi”:

„Im prościej, tym lepiej!” Tylko o ile trudniej!

Scena poetycka „Pstraga” odgrywała i odgrywa niemałą rolę w dorobku artystycznym teatru. Pierwsze uroczne, kameralne w nastroju programy poezji, niejako dla smakoszy, przygotowała Krystyna Łobza-Wilczkowska: w 1958 r. wieczór poezji Lechonia, rok później Wierzyńskiego. Jan Skotnicki mający zawsze słabość do poezji raczej współczesnej, zaangażowanej, zaprezentował w roku 1961 *Songi* i wiersze Bertolda Brechta z muzyką Paula Dessaua i Piotra Marczewskiego, które nagrodzono w Gdańsku. Rok później obok 13. premiery (składanka pt. *Jubileusz*) Skotnicki przedstawił swój nowy program poetycki *Trzy salwy*.



„Express Ilustrowany” z 30 III 1962 r. pisał:

„Ten program wzbudza wiele dyskusji dzięki swemu nietuzinkowemu założeniu montażowemu. Jest to tryptyk złożony z wierszy poetów rewolucyjnych tej miary co Broniewski, Mandalian, Ważyk i liryki okupacyjnej Baczyńskiego. W montażu zastosowano prawo kontrastu. Obok wierszy ostrych, bojowych politycznie, jasnych, pełnych wiary w lepsze jutro tego kraju, w nastanie ery równości i sprawiedliwości społecznej – mglista pełna smutku i goryczy, romantyki liryka Baczyńskiego, poety, który wyszedł z kraju młodzieży walczącej w AK.

Na scenie pod skrzyżowanymi karabinami bęben z orłem powstania listopadowego – paralela prosta, bolesna”. (m).

Julian Brysz tak ocenia ten program w „Dzienniku Łódzkim” z 16 III 1962 r.:

„Trzy salwy są w całości bardzo ciekawym, acz z konieczności skrótowym obrazem lat przebytych, świadectwem bohaterstwa naszych czasów, ofiarności i siły współczesnego człowieka”.

Kolejny program poetycki nosił tytuł *Pełnym głosem* i był zestawem wierszy radzieckich poetów nowej fali: Wozniesieńskiego, Winokurowa, Jewtuszenki i innych. Montaż wyszedł naprzeciw ogromnemu zainteresowaniu młodą poezją radziecką, o której było głośno, ale której nikt jakoś nie kwapił się drukować. Zdobyto zatem przekłady wprost od tłumaczy, *Ballady* Bułata Okudźawy przełożył znakomicie Janusz Słowikowski. Balladom tym poświęcono w radio łódzkim specjalną audycję. Nad stroną muzyczną czuwał Witold Afelt. Reżyserował Zygmunt Bielawski.

Rozważania o poetyckiej scenie „Pstraga” zamyka program Skotnickiego pt. *Bal*. Jest to zręczna od strony formalnej inscenizacja dwóch większych całości poetyckich: *Balu u Salomona* Gałczyńskiego i *Balu w operze* Tuwima. Oczywiście istniała też w teatrze twórczość na własny użytek. Każde środowisko ma swych poetów improwizujących choćby „u cioci na imieninach”, a cóż dopiero zespół studenckiego teatrzyku. Mówiąc nawiasem interesujące byłoby prześledzenie związków, jakie zachodziły pomiędzy piosenkami, odami, uroczystymi przemówieniami stworzonymi przy różnych wewnętrznych okazjach – a tym co ukazywało się na scenie. Ile pomysłów zrodzonych wśród zabawy bawiło potem widzów. Bo nie tylko w klimacie wielkiego działania, ale także niemałego poczucia humoru istniał „Pstrąg”. Posłużmy się cytatem z eseju Andrzeja Władysława Krala, który jest niewątpliwie pełen życzliwego optymizmu, gdy pisze:

„...prowadzący nurt naszego teatru studenckiego tworzy w dalszym ciągu rzeczy oryginalne i własne, poszukujące i twórcze zarówno pod względem myślowym, jak i artystycznym. A także w czołowych swoich



osiągnięciach swoim poziomem i znaczeniem wykracza daleko poza granice zwykłego teatru amatorskiego. Można chyba zaryzykować twierdzenie, że tworzy on odrębny nurt polskiego życia teatralnego, nie konkurujący z teatrem oficjalnym, zawodowym, ale biegnący równoległe do niego, choć tu i ówdzie się z nim przecinający.

Jest rzeczą istotną i charakterystyczną, że polski teatr studencki nigdy prawie nie usiłował naśladować czy dublować teatru zawodowego. Jest to ważny czynnik wyróżniający go w skali międzynarodowej". *Nasz teatr studencki* „Teatr” nr 14, 1965.

### **Piosenka:**

Teksty piosenek pisało w teatrze „Pstrąg” wielu autorów: R. Gluth, R. Czubaczyński, W. Machejko, Z. Michalski, A. Wojciechowski. Były one nieodłącznymi punktami programów. Ale przełom w pstragowej piosence stanowi przybycie do teatru Janusza Słowikowskiego, absolwenta łódzkiej polonistyki, który trafił do zespołu jako członek brygady sceny, potem po trosze elektryk, z zamiłowania zaś był i pozostał pirotechnikiem. Słowikowski okazał się autorem tekstów co się zowie. Doskonały warsztat poetycki, prostota, rzetelność wersyfikacyjna, a nade wszystko nastrojowość, subtelność, swoisty liryzm i pogoda cechują dziesiątki jego utworów powstałych w „Pstragu” do muzyki Piotra Hertla, Marka Lusztiga, Witolda Afelta i Piotra Marczewskiego. Wiele z nich stanowi stałą pozycję programów radia i TV, nagranych zostało na płyty, ozdobiło liczne filmy. Za swą twórczość piosenkarską Słowikowski otrzymał niezliczone ilości nagród, w tym „złote pióro” na studenckim festiwalu w Krakowie.

Powstała też niezła kadra wykonawcza: Ewa Nagurska, Bronisława Golinkowska, Zofia Kamińska, Zbigniew Zaliński, Maria Tomaszewska, Lucyna Błaszczyk, Zosia Kamińska, Jerzy Pieczyński, Janusz Gawlik, Władek Alwasiak i Zbyszek Zawislak.

Leszek Skrzydło, pisząc o wkładzie łódzkich teatrzyków studenckich – „Pstraga” i „Cytryny” – w „krajową produkcję piosenek”, stwierdza: „Tylko te dwa teatry stworzyły taką ilość piosenek, że starczyłoby ich z powodzeniem na kilka festiwali w Opolu czy Sopocie”. Dzięki studenckim scenom Łódź stała się słynna również z produkcji literacko-muzycznej i w tej mierze.

### **Aktorstwo:**

Jak wiadomo, „Pstrąg” był zespołem amatorskim, szczególnie właśnie pod względem wykonawstwa. Jeśli bowiem w miarę kończenia studiów i zdobywania tzw. warsztatu twórczego autorzy tekstów i muzyki stawali się zawodowcami, pracownikami radia,



TV, prasy, filmu, o tyle wykonawcy, mający również swe zawody (studenci różnych specjalności, później inżynierowie, technicy, nauczyciele, pracownicy naukowci), traktowali scenę teatryku jako okazję do artystycznego wyżycia, kontaktów z ludźmi innych profesji, środowisk. Tak postawiony problem aktorstwa określa od razu jego „inność”. Polega ona chyba na tym, że aktor nie czuje się na tej scenie postacią główną, najważniejszą. Jest „porte-parole” autora, niejako środkiem przekazu, pośrednikiem, który do swej funkcji ma intelektualny dystans, nigdy nie stara się zbyt serio angażować.

Jest to na pewno podyktowane szlachetną trwogą przed amatorskim (w złym sensie tego słowa) zgrywaniem się, przed tym, co charakteryzuje wciąż jeszcze wiele teatrów np. w Domach Kultury, gdzie 16-letni chłopiec z całą powagą gra pana Dulskiego-seniora. Aktorstwo STS-ów ze względu na swą oszczędność środków, wręcz skromność, stało się aktorstwem pełnym wdzięku i uroku. Aktor miał tu zawsze niemal bezpośredni kontakt z widzami, w którym a priori zakładał przyjaciela. I było tak, że zacierala się w ten sposób różnica między sceną a widownią. W „Pstragu” widz czuł się jak wśród starych znajomych. To „rozbrajanie” widza, który, wychowany na tradycyjnych wzorcach kultury teatru profesjonalnego, część czasu poświęca na ocenę, czy aktor rolę swą „odgrywa” dobrze, czy źle, wciągnięcie go od razu w samo jądro spraw, nastroju, zabawy, wzruszenia – uznać należy za jeszcze jedną cechę esteesowskiego aktorstwa. Dodajmy tu ponadto dyskretną charakteryzację, oszczędność gestu, osobistą świeżość, młodość, temperament, wreszcie co najważniejsze – szczere zaangażowanie w to, co się przedstawia, a będziemy mieli jakieś takie pojęcie o stylu studenckiego aktorstwa.

I pod tym względem w czasie swego długiego działania „Pstrag” uczynił ogromny krok naprzód. W miarę stawiania przed zespołem wykonawczym coraz poważniejszych zadań – aktorzy robili, co mogli, by podołać swej roli. Od krótkich scenek, gdzie wymieniano po kilka słów – ewolucja szła w kierunku programów pełnospektaklowych. Należało już tworzyć ludzkie postacie ukazywane w ich rozwoju. Powstawał nie tylko problem „odtworzenia” ale i zwykłej fizycznej wytrzymałości aktora, jego głosu. Zwrócono się o pomoc do wykładowców PWSTiF. Lekcje dykcji, śpiewu, ruchu scenicznego udzielane dzięki życzliwości wykładowców uczelni pomogły członkom „Pstraga” bardzo znacznie. Po pierwszej próbie z bałuckim wodewilem w marcu 1960 r. i licznych jego przedstawieniach będących niejako aktorskim trenin-



giem – można było trzy lata później porwać się na tak trudny dla aktorów-amatorów spektakl jak *Między panem wójtem a plebanem*. Niezapomniane postacie stworzyli tu Jerzy Pieczyński w roli księdza Don Camilla, Wojciech Boczkowski i Kazimierz Michalewski w roli komunistycznego wójta Peppone, a także Janusz Gawlik jako Chrystus i Grażyna Bazylewicz w kilku rolach. Reżyser przedstawienia Jan Skotnicki – który miał okazję oglądać i reżyserować jego przeniesienia na inne sceny kraju, stwierdza, że jak dotąd były one niepowtarzalne. Spektakl uzyskał zresztą sporo wysokich nagród za adaptację, reżyserię, również za aktorstwo.

### **Muzyka:**

Ogromną rolę odgrywała we wszystkich przedstawieniach „Pstraga” muzyka. Można powiedzieć śmiało, że trzy czwarte tekstów było napisane do muzyki bądź ilustrowane muzyką. Grali i komponowali w teatrze: Andrzej Kieruczenko, Witold Afelt, Marek Lusztig, Piotr Hertel, Bogdan Kotnowski, Zbigniew Nowak, Tadeusz Dobrzyński, Piotr Marczewski. I tu, jak we wszystkich dziedzinach pracy teatru, dopatrzeć się można niemałych osiągnięć, gdy idzie o ambicję nowatorstwa, świeżości, próby odcięcia się od ckliwego-chałturowego stylu profesjonalistów.

Powoli rodziło się to, co miało w skali kraju w wyniku twórczej erupcji takich scen, jak krakowska Piwnica z Zygmuntem Koniecznym i Ewą Demarczyk, STS z Markiem Lusztigiem, Edwardem Pałaszem i Hanną Rek, Stodoła z Krystyną Chimanienko, Bim-Bom z Tadeuszem Chylą, „Hybrydy” z Wojciechem Młynarskim – przynieść odnowę polskiej piosenki i muzyki rozrywkowej.

### **Reżyseria:**

Wobec reżysera teatru studenckiego stawiano wymagania szczególne: nie mógł to być jedynie „teatralny fachman”, „warsztatowiec”, co to wie, gdzie dać jaką zastawkę, kurtynkę, światelko, taneczek, muzyczny akcencik, przerwę na brawko... Musiał to być człowiek, który zrozumie specyfikę teatru studenckiego, jego odmienność, cele, ambicje, człowiek, dla którego polityka jest chlebem codziennym, zaś pieniądze nie grają roli.

Znalezienie reżysera było u progu istnienia „Pstraga” gwarancją powodzenia. Czy teatr znalazł, czego szukał? Nie odpowiadajmy na to pytanie bezpośrednio. W „Pstragu” reżyserowali kolejno: Dobrosław Mater – aktor Teatru Nowego, Jerzy Antczak – stawiający tu pierwsze kroki, Daniel Szylit, Jerzy Matuszewski, Ryszard Ronczewski (3x), Krystyna Łobza-Wilczkowska, Jan



Skotnicki (8x), Janusz Kłosiński, Zygmunt Bielawski, Zdzisław Józwiak, Piotr Hertel (4x).

Refleksja przyjacielska:

W „Odgłosach” tak pisze Stanisław Kaszyński:

„Dla nas, cośmy obserwowali żywot tej ryby, inteligentnej, odważnej, wrażliwej, każda premiera przynosi nową sumę doświadczeń i doznań, wyrzucanych z pluskiem, a raczej z wściekłą burzą (żeby pozostać w granicach wodnej metaforyki). Myślałem o tym na ostatnim przedstawieniu *Klucza niebieskiego* Leszka Kołakowskiego.

...Myślę, że sporo momentów zachęcało do tej inscenizacji. Pojmuję: »Pstrąg« wyjałowiony z konceptów satyrycznych – któż może długo i bezkarnie uprawiać takie swawole – szukał okazji, aby spojrzeć na przedmiot swych dotychczasowych zainteresowań i obsesji z wyższego piętra uogólnienia... Spotkanie z Leszkiem Kołakowskim było nieuniknione. I oto odległa materia historiozoficzna, naszpikowana biblijnymi postaciami i zdarzeniami, zaszokowała ostrością aforyzmów, cienką refleksją z przerzutką w terażniejszość.

...*Niebieski klucz* rekapitułuje kolejny odcinek splotu „Pstrąga”. Że przyszedł akurat w czas jubileuszu, 10-lecia, rzecz to przypadku. Natomiast skłonny jestem sądzić, że podobne propozycje znakują jakies głębsze przeobrażenia”.

I na koniec: Dotrzymując obietnicy danej na początku a dotyczącej cytatu z Juwenala, winni jesteśmy niektórym przetłumaczeniem owego słynnego łacińskiego tekstu. Był on hasłem wiążącym cały ruch studenckich teatrzyków tamtych lat utrzymujących między sobą ścisłą więź. Słowa Juwenala *DIFFICILE EST SATIRAM NON SCRIBERE*, jakże aktualne i dziś, przełożył i rozwinął przyjaciel „Pstrąga” Andrzej Jarecki z warszawskiego STS-u.

*Pełno kadzidła i myrry,  
Złota zaś brak nam w kieszeniach,  
Więc trudno nie pisać satyry,  
Jak mówił już słynny Juwenal.  
Gdy sprzeczne miotają nas wiry  
od Zjazdu, bracia, do plena,  
Słuchajcie wyroku jury,  
Mówi to wam nasz teatrzyk:  
Trudno nie pisać satyry, kiedy  
się na was popatrzy...*



Konrad Frejdlich

## Legenda „Spatifu”

„Spatif” – klub środowisk twórczych (SPATiF – Stowarzyszenie Polskich Artystów Teatru i Filmu), w zabytkowej willi przy al. Kościuszki, był instytucją popaździernikowej odwilży politycznej. Pojawił się na mapie Łodzi wraz ze znaczącymi wystawami w miejskich galeriach, ze spektaklami w teatrach, o których mówiła cała Polska, z grupami poetyckimi ogłaszającymi manifesty swego pokolenia. W sensie instytucjonalnym była to oczywiście tania knajpa, chociaż słowo „tani” nie ma tu znaczenia deprecjonującego i oznacza tylko stosunkowo niskie ceny, towarzysko bowiem stanowił kwintesencję wszystkiego, co Łódź miała najlepszego do zaprezentowania swoim potencjałem intelektualnym i artystycznym. Bywać w „Spatifie” oznaczało pewien wyróżnik pozycji społecznej, bowiem nie tylko piło się tam wódkę, która stanowiła nieodłączny atrybut wieczornych spotkań, ale także prowadziło rozmowy. Rzadko oczywiście o charakterze politycznym, ponieważ był to temat tabu (nie minęły widać do końca lęki epoki stalinowskiej, gdy kwitło donosicielstwo), za to dysputy egzystencjalne nie miały końca i kończyły się nad ranem, w na pół wygaszonej sali, bo personel w ten właśnie dyskretny sposób dawał bywalcom do zrozumienia, że czas wracać do domu.

A bywalcy tego lokalu mogliby stanowić ozdobę niejednego leksykonu historii kultury polskiej. Nigdy chyba na tak niewielkiej przestrzeni nie gromadziło się każdego wieczoru tyle sław, nigdy też pewnie nie można ich było oglądać tak odartych z masek, bowiem pod działaniem dobrze schłodzonej wódki puszczały wszelkie okowy sztuczności, skracaly się dystanse, zacierały różnice między uczniem i mistrzem, a nawet między kelnerem i artystą. Nierzadko przecież kelnerzy zwracali bywalcom zgubione portfele, choć nie należało do wyjątków, że i goście podnosili kelnerom z podłogi bloczki rachunkowe, które nie chciały się trzy-



mać zmęczonych rąk. Istniał bowiem w „Spatifie” demokratyczny zwyczaj fundowania trunków personelowi, równie rozpowszechniony jak dawanie napiwków.

Anegdota mówi, że pani Janina Zgodzińska, która była formalnie dzierżawcą tego lokalu, powiesiła nad rzeźbionym, styłowym bufetem klatkę z białą myszką jako groźne memento, ale, jak się wydaje, była to tylko jedna z legend ubarwiających bezpowrotnie minioną epokę. Do legendy także przeszło *spécialité de la maison*, czyli kwas chlebowy z rodzynkami, wspaniały forszmak w kamionkach, gicz cieleca na półmisku, golonka z grochem purée, zupa fasolowa z łazankami oraz kanapki z razowca z wybornym smalcem. Niepowtarzalne smaki tamtej kuchni do dziś budzą ślinkę, ale jak wszystko, co łączy się ze „Spatifem”, należą już do przeszłości. Początkowo restauracja zajmowała spora, półciemną salę na parterze, z oknami wychodzącymi na ślepa ścianę jakiejś fabryki włókienniczej. Do tej „obory” lub „stodoły”, jak natychmiast została ochrzczona w środowiskowej gwarze, przychodziło się jednak nie tyle zjeść i wypić, co pogadać, pokornie czekając, aż zwolni się miejsce, bo lokal był stale oblegany. A także po to, aby zanurzyć się w swojskiej, niepowtarzalnej atmosferze, której nie mógł zastąpić ani równie uczęszczany Klub Dziennikarza, ani nawet droga restauracja „Malinowa” w historycznym przeciwieństwie i także owianym legendą Grand Hotelu.

Do tej dużej ogólnej sali przylegała mniejsza, całkowicie pozbawiona dziennego światła, w której mieściło się kilka zaledwie stolików, nie ciesząca się jednak takim wzięciem, choć wyboru nie było: o wolnym miejscu decydował przypadek.

Później, była to już końcówka lat sześćdziesiątych, „Spatif” przeniesiono na okazałe, pofabrykanckie piętro, artystów, w wyniku jakiejś decyzji władz miejskich, wpuszczono na salony. Lokal zyskał niewątpliwie na estetyce a także wygodzie, stał się przestronniejszy.

Te zmiany w pierwszej chwili onieśmiały, oznaczać bowiem mogły jakiś zupełnie nowy styl, obcy końcówce siermiężnej Polski lat sześćdziesiątych. Epoka ascetycznego Gomułki przechodziła do historii, choć w bolesnych konwulsjach. To w „Spatifie” zegnaliśmy ludzi, którzy opuszczali kraj po antysemickiej nagonce 1968 r. Był to jedyny w Łodzi lokal środowiskowy, który nie stosował w tym bolesnym czasie kryteriów rasowych, choć przebywanie w towarzystwie ludzi „napiętnowanych” wymagało pewnej odwagi. Nie było wędrówek od stolika do stolika, co należało do



zwykłego rytuału „Spatifu” podczas takich wieczornych spotkań. Niektórzy udawali, że nie widzą czekającej na „strudzonych wędrowców” wódki, którą zawsze mógł wychylić każdy, kto akurat nie miał pieniędzy. Do „Spatifu” chodziło się bowiem niezależnie od stanu portfela. Niektórzy wpadali tu tylko na chwilę, aby wzrokiem zlustrować salę, zobaczyć, kto gości tego dnia.

Utrwalił mi się pożegnalny wieczór Józefa Lebenbauma, popularnego komentatora „Głosu Robotniczego”. Był człowiekiem powszechnie lubianym, toteż dotknęła go końcowa fala pomarcowych czystek. Usunięty z redakcji podczas antysemitkiej nagonki, ostentacyjnie pokazywał się w towarzystwie pięknych dziewcząt, które publicznie okazywały mu swoje współczucie. Po jakimś czasie zdecydował się na emigrację, nie widząc dla siebie miejsca w Polsce. Nie był to łatwy wybór, gdyż dochodził wówczas czterdziestki, a rozpoczynanie w tym wieku nowego życia w nieznanym warunkach wiąże się z poważnym ryzykiem.

Siedzieliśmy przy suto zastawionym stole, jak zawsze w „Spatifie” – lała się wódka. Byłem jedynym dziennikarzem w tym towarzystwie, gdyż ludzie pracujący w łódzkich gazetach albo ze wstydu, albo z braku odwagi nie wchodzili do sali, gdzie odbywała się ta nostalgiczna biesiada. Gardła dławili nam wszystkim żal, było to bowiem, być może, rozstanie na zawsze, ale opowiadaliśmy dowcipy, aby przy naszym stoliku słychać było śmiech, słowa nie były potrzebne. Dopiero przy pożegnaniu znacząco uścisnęliśmy sobie wszyscy dłonie.

„Spatif” był luźnym zrzeszeniem towarzyskim, choć, co pewien czas, administracja usiłowała mu nadać jakieś formy organizacyjne. Do wejścia uprawniała odnawiana co roku karta klubowa, którą otrzymywali członkowie związków twórczych, niekiedy, po jakichś kontrolach, obłudnie egzekwowana. Na szczęście po jakimś czasie wszystko wracało do normy i najlepszą legitymacją okazywała się przynależność do środowiska, a portierzy przy wejściu bezbłędnie dokonywali właściwej selekcji. Dopiero dużo później, u schyłku lat siedemdziesiątych, powołaliśmy do istnienia Stowarzyszenie Twórców Kultury, któremu władze powierzyły administrację domu przy Kościuszki 33. Stało się to wówczas, gdy pani Janina Zgodzińska weszła w posiadanie własnego lokalu przy Piotrkowskiej, otwierając restaurację „Fraszka”, nawiązującą w swej nazwie do pierwocin powojennej tradycji literackiej Łodzi. Zresztą dopiero wtedy środowisko przekonało się, co straciło z jej odejściem, gdy zabrakło za bufetem osoby z autorytetem, zdolnej samym spojrzeniem zdusić w zarodku wi-



sząca w powietrzu klótnię, tonem łagodnej perswazji wytłumaczyć nazbyt wstawionemu twórcy, że tego dnia nie powinien już pić, a nawet po matczynemu wezwać taksówkę, która znużonego artystę bezpiecznie odwiozła do domu.

Wieczory w „Spatifie” nie zawsze były sielankowe mimo zbiorowych śpiewów na kresową nutę, które wyzwały nowe dawki sentymentalizmu. Zdarzało się przecież, że nieoczekiwanie dochodziło do pojedynków bokserskich, co oznaczało dla osoby, która sprowokowała bójkę, przymusową kwarantannę na jakiś czas, będącą wystarczającą karą. Oznaczało to przecież odizolowanie od socjety, od spotkań z ciekawymi ludźmi, od niepowtarzalnej atmosfery.

Dla wielu z nas, zwłaszcza dla ludzi samotnych, „Spatif” był drugim domem. Nie tylko się tu stołowali, co przy niskich cenach nie było takie uciążliwe, ale realizowali swoje potrzeby towarzyskie. Zwłaszcza że zawsze można było liczyć na interesującą wymianę poglądów, na doraźną recenzję ze świeżo napisanego wiersza, a także na słowa otuchy.

Pani Janina Zgodzińska jak ksiądz w konfesjonale wysłuchiwała za bufetem niejednego zwierzenia na temat przewrotności życia, dochowując jednak tajemnicy spowiedzi. Była nie tylko pełną godności barmanka, ale także swoistą terapeutką, bowiem te wyznania działały na wielu oczyszczająco.

Istniała niepisana zasada, że wszystkie sprawy regulowane będą przez samo środowisko. Na terenie „Spatifu” nigdy nie pojawili się mundurowi milicjanci, a kto by się powążył na sprowokowanie interwencji z zewnątrz, mógł być pewien, że za złamanie obowiązujących reguł dostanie wilczy bilet i przebędzie długą kwarantannę. Chlubiliśmy się tym, że „Spatif” to taki lokal, gdzie człowiek, jeśli nawet przypadkowo dostanie w gębę, to od swoich, od kogoś ze środowiska.

Dla wielu ludzi ze środowisk inteligenckich i drobnego biznesu bywanie w „Spatifie” było przedmiotem snobizmu. To przecież tutaj można było spotkać Andrzeja Wajdę, Jerzego Hoffmana czy Daniela Olbrychskiego, a nawet napić się z nim wódki, „tykać” Romana Polańskiego, przyjrzeć się z bliska Annie Dymnej. Kiedy w Wytwórni Filmów Fabularnych kręcono jakiś znaczący obraz, w „Spatifie” pojawiała się natychmiast plejada znaczących aktorów, obleganych przez wielbicieli. Nierzadko zsuwano stoliki, aby powiększyć towarzyski krąg.

Stałym bywalcem „Spatifu” był nieżyjący już kolorysta Zygmunt Hyży, który fundował kolację młodym twórcom, zarabiają-



cym na życie wierszówką. Niemłody już pan o siwych włosach, wspierający się laską, którą wieszał na poręczu krzeselka, wypijał porcję wódki i zapadał w drzemkę, bo wiek miał swoje prawa, a młodzi bawili się na jego koszt dbając o to, by zbyt wcześnie nie zbudzić fundatora. Zawsze można było tu spotkać świetnego rysownika Tadeusza Kakietka, pilnowanego przez żonę trzymającą kasę. Najrzadziej wpadali do „Spatifu” uznani, a więc i wiekowi literaci, którzy woleli siedzieć w domu. Ale taki Jerzy Waleńczyk, świetny poeta, zanim popadł w chorobę, która zresztą nie odebrała mu talentu, robił niejedną zakład, że uda mu się wyszarpanąć obrus w taki sposób, że cała zastawa zostanie na stole.

Całe towarzystwo ubawiło się niegdyś setnie, gdy nadęty jak paw jeden z dyrektorów lokalnej telewizji został „wyszkłony” przez kuzynkę, która z upodobaniem zaczęła w niego ciskać szklaneczkami do oranżady, a kiedy na stole zabrakło już pocisków, posłużyła się, na szczęście niecelnie, sztuczcami. Nikogo to nie gorszyło, owszem przydawało kolorytu temu niezwykle lokalowi i pracowało na jego legendę.

Jak ognia bali się „Spatifu” dygnitarze partyjni i miejsy. Spotkałem ich tam właściwie tylko raz, kiedy z inicjatywy nieocenionego Antka Szrama, wówczas dyrektora Muzeum Historii Miasta Łodzi, które założył, przybyli jako oficjalni goście happeningu. Nad jego przygotowaniem pracowaliśmy długo, ale trud się chyba opłacił.

„Zdarzenie” zaczynało się już w salce z bufetem, gdzie, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, siedzące na szynkwasiu hostessy o długich nogach (były to zwerbowane przez nas studentki Wyższej Szkoły Teatralnej, Telewizyjnej i Filmowej) serwowały łagodne trunki: radzieckiego szampana i bułgarskie wino. Jednocześnie każdej z zaproszonych osób wręczały kopertę, w której był naświetlony papier fotograficzny. W kolejnej salce z czerwoną żarówką stały kuwety z wywoływaczem i woda. Po krótkiej obróbce chemicznej na papierze ukazywało się pornograficzne zdjęcie jakiejś anonimowej sexbomby, skopiowanej z jakiegoś zachodniego tygodnika. Fotografiami tą krótko można było sycić wzrok, gdyż nieutrwalony papier pokrywał się bezpowrotnie czarnym nalotem w kolejnym pomieszczeniu, gdzie było jaskrawe światło.

Stamtąd wchodziło się do głównej, największej sali, w której dwa razy na tydzień przygrywała orkiestra taneczna. Była to sala „z pajakiem”, czyli ogromnym, mosiężnym żyrandolem stanowiącym główny jej akcent i ozdobę. W tym rześkim oświetlonym pomieszczeniu stali kelnerzy rozdający gościom „jagodziankę na



piszczelach". W rzeczywistości była to wyborowa z dodatkiem fioletowego, całkiem nieszkodliwego barwnika spożywczego, ale spryskany denaturatem dywan sugerował, że w kieliszkach znajduje się denaturat. Na ten trunek nie było zbyt wielu amatorów, a ci, którzy mimo wszystko odważnie sięgnęli po szkiełko, wylewali później dyskretnie jego zawartość, markując picie. Dopiero, gdy publicznie ujawniono recepturę mikstury, przy salwach śmiechu zabrano się do opróżniania kieliszków. Ale właśnie wtedy zgasło światło i wysoko, w okienku łączącym salę z poddaszem, ukazała się punktowo oświetlona dziewczyna, która w rytm muzyki zaczęła wykonywać striptiz, upuszczając na salę części damskiej garderoby. Udało nam się do tego namówić Halinę, niezwykle urodziwą studentkę polonistyki, co zresztą wymagało od niej podwójnej odwagi. Sam negliz był chyba łatwiejszy niż balansowanie na wąskim parapecie, trzeba więc ją było trzymać za nogę, aby nie spadła.

Nie był to zresztą koniec zaskakujących atrakcji, gdyż w chwilę później otwarto drzwi do sąsiedniej sali, gdzie rozległo się zawroscenie płaczków pogrzebowych. W centralnym punkcie pomieszczenia zbudowano imitujący katafalk czarny pomost, na którym w świetle gromnic ujrzeć można było zzieleniałą, nagą postać kobiety. Nie pamiętam już, czy jej twarz miała rysy Haliny, ale ponieważ tworzywem była pyszna sałatka warzywna, Andrzejowi Joczowi, któremu przypadło autorstwo tej niezwyklej rzeźby, udało się osiągnąć niezły efekt. Zwłaszcza gdy dużych rozmiarów rzeźnickim nożem zaczęto ćwiartować to ciało na marach i nakładać kaski na czekające talerzyki.

Kiedy zapalono normalne światło, wszyscy z odprężeniem przystąpili do ucztowania, wracając na główną salę, gdzie po chwili z balkonów na głowy gości posypało się dziesięć tysięcy piłeczek pingpongowych, pokrywając grubą warstwą podłogę. Deptano je, zabierano na pamiątkę, rzucano lekkimi kuleczkami w sąsiadów, zaczęła się spontaniczna zabawa, co było zresztą głównym celem happeningu, a sława o „zdarzeniu” rozeszła się później po mieście.

Kto wie, czy właśnie nie ten happening zdecydował o tym, że „Spatif” wybrano następnie na jeden z lokali, który został oddany w pacht poetom z okazji odbywających się dorocznych Ogólnopolskich Festiwalu Poezji. Odrobili oni z naddatkiem rezerwe łódzkich pisarzy starszego pokolenia, wódka i skrzydlate słowa lały się strumieniami, a na sali widziało się czołówkę literatury polskiej. Nawiasem mówiąc, żaden z laureatów nie dowiódł nigdy



do domu pieniężnej nagrody, a nierzadko trzeba się było składać na bilet, aby natchniony twórca mógł wrócić do Warszawy, Wrocławia czy Krakowa.

Niskie ceny w „Spatifie” były możliwe dzięki dopłatom, na które pracowali sami twórcy. Obiad klubowy, z pysznymi pierogami, można było zjeść za przysłowiowe parę groszy, a młodzi twórcy mogli liczyć nawet na fundę, otrzymując w biurze Stowarzyszenia Twórców Kultury darmowy bon. Stowarzyszenie zarabiała występami estradowymi w terenie, angażując zawodowych aktorów, a jednocześnie prowadziło w salce na dole, gdzie przed laty „Spatif” rozpoczynał działalność, własny teatr z ambitnymi realizacjami Andrzeja Czernego. Nie były to już oczywiście spektakle dochodowe, choć zdarzały się wyjątki.

*Szopka polityczna 1980*, autorstwa Wiesława Machejka i Jerzego Wilmańskiego, biła rekordy powodzenia, waliła na nią cała Łódź. Znakomicie zaprojektowane kukiełki przez Jerzego Michalaka, który spektakl ten także wyreżyserował, były przykładem nowej wtedy w Polsce satyry politycznej, a bohaterami byli ówczesni prominenci. Był to okres znacznego złagodnienia cenzury, można więc było mówić o trudnych sprawach otwartym tekstem. Bilety na szopkę wykupił cały ówczesny zarząd regionalny „Solidarności” z Andrzejem Słowikiem na czele, przychodziły także zaproszenia na występy z innych województw, spektakl więc był nieustannie poszerzany o postaci z innych regionów.

Stowarzyszenie zaczęło także przyznawać własne nagrody za działalność artystyczną. Nagrodzony został m. in. głośny film *Robotnicy 84*, ale wyróżniano też plastyków, w czym nie miała zasługa Józefa Robakowskiego, który dbał o te sprawy. To „Spatif” wreszcie, bo oficjalna nazwa Stowarzyszenie Twórców Kultury nie wyparła mimo wszystko tej pierwotnej, chociaż nad wejściem pojawił się ozdobny napis „Dom Środowisk Twórczych”, zainicjował głośną „Konstrukcję w procesie”, która zyskała międzynarodową sławę.

W stanie wojennym Stowarzyszenie Twórców Kultury, które, ze względu na lokalną rejestrację pominięto w dekrete zawieszającym działalność organizacji twórczych, stało się przechowalnią artystów. Masowo zapisywaliśmy tych, którzy utracili przynależność organizacyjną, jak dziennikarze i literaci, a kiedy rygory nieco osłabły i wolno się już było poruszać po Polsce, mieliśmy odwagę zapraszać na oficjalne spotkania autorskie ludzi związanych z opozycją, takich jak Halina Mikołajska, Julia Hartwig, Artur Międzyrzecki czy Andrzej Braun.



Nie było już co prawda pięknych salonów, gdyż w maju 1981 roku spłonęła główna sala, która zapaliła się od uszkodzonej instalacji elektrycznej, ale „Spatif” nie poniechał działalności, wpuszczając swoich bywalców kuchennym wejściem. Nie wyobrazaliśmy sobie bowiem Łodzi bez „Spatifu”, bez spotkań i stałej wymiany poglądów, a także twórczych kłótni.

Nikt nie przypuszczał, że zagładę temu klubowi przyniesie dopiero transformacja ustrojowa, która przyniosła artystom wolność wypowiedzi, pozbawiając ich narzędzi działania, co jest równoznaczne z lizaniem łakoci przez szybę. Nikt zresztą także nie przypuszczał, że wkrótce zniknie z powierzchni ziemi nawet tak potężna instytucja jak Wytwórnia Filmów Fabularnych. Nie ma już w Łodzi „Honoratki” ani Klubu Dziennikarza, rozluźniły się międzyśrodkowe więzi.

Tym, co jeszcze łączy łódzkich twórców, jest legenda „Spatifu” i pogrzeby tych, których żegnamy na zawsze. Na szczęście legendy są nieśmiertelne.



## Poeci Łodzi

**Jan Huszcza**

### *Pieśń upadku*

Pomnik poety wczoraj stał tu,  
okaleczono biust z marmuru,  
a u stóp dokonano gwałtu  
przy wrzasku pijackiego chóru.

Szlachetność żadna niech nie nęci,  
za chwilę zhańbisz się donosem,  
co dobre było, precz z pamięci –  
ulicy głos anielskim głosem.

Z dnia na dzień słów zapominamy,  
wiązanek trochę nam zostało,  
zatrzasnąłby bibliotek bramy,  
bowiem afazji nam za mało!

O, upodlenie! Wspólna czkawko  
w salonie obu płci zebranych...  
– Kurwą chcę być, a nie turkawka,  
jestem zalana wśród zalanych!

Gęstwiny mrocznej głos usidla,  
gdy puszcz już nie ma, niechaj w miastach  
przewodzi stadu Wielki Bydlak,  
niech nagość się na placach szasta!



Sztuka w przebraniu Wielkiej Błagi,  
znieważać wszystko dnia każdego –  
czy to brak tylko równowagi,  
czy też zew ciemny Nikczemnego?!

Upadku dla nas, grzęzawiska!  
Jak dobrze rzygać! Kłąć jak dobrze!  
O, niechaj słońce nie wyblyska  
albo niech ma ziemisty obrzęk!

Chwała tobie, nożu w ciemności,  
bombo, między ludzi rzucona!  
Rozgłośnie, naszą chwałę głoście:  
strach jest piękny, piękne, co kona!

1978



## Jerzy Waleńczyk

*Barbarze Wachowicz*

**xxx**

To się już nigdy nie powtórzy:  
upalna pogoda czerwcową,  
nad Wileńską u gór podnóży  
można wszystko zacząć od nowa,

gdy się jeden drobiaźdźek spełni:  
ot, o lat się cofnąć czterdzieści,  
przystawać na mostkach, bo pełnia,  
filareckie powtarzać pieśni.

Tu się wciąż spotykają wieki  
różnych stylów mają oblicza,  
przez małe sprawy i przez wielkie  
przeżywa Wilia Mickiewicza.

Upalna pogoda czerwcową,  
czasem przez nią wietrzyk przenika...  
Ulica jaka to? Zamkowa?  
Głupcze, nie pytaj przewodnika!

Miasto jak dom rodzinny bliskie  
sercem różowym, odmiennym mowom –  
niech przypomnę świątynie wszystkie,  
w których różne głoszone słowo!

Niech dzwony usłyszę ze wspomnień,  
gdy spiże budziło dzwonienie –  
przed katedrą stanę, a do mnie  
wcześniej zmarłych zbliżą się cienie.

Nim rozbuszują się zamiecie,  
niech wróci rym: „akacje – stacje”...  
Z miasta, gdzie Ostrobramska świeci,  
wrócę do Łodzi? Czy też na W a k a c j e?

1979



xxx

Ciągle powracasz i powracasz  
gdzie sady zboża rozmaite  
Aż do zachodu zbożna praca  
sierpy u kobiet złotolite

Dzbanek kryniczki Przy nim usta  
spragnione chłodu usta Upał pryska  
krople żywicy A pól chusta  
ściele się barwna od gumniska

W przywoływaniu więcej kłęski  
dotkliwiej lecz i za zgodą na nią  
boś nie ty jeden co tak tęsknisz  
skoro jesteśmy skądś wygnani

Księżyc jak srebrna w chmurach graca  
Uważaj Jacys trzej nadchodzą  
Oni nie mają dokąd wracać  
lecz mają nóż A nuż ugodzą

To osaczony to strudzony  
jakiejś niezwyklej pragniesz chwili  
więc czemu jesteś przerażony  
na myśl że ciebie upatrzyli

Ci trzej to dawni Trzej Królowie  
Stręczyciel Oszust i Morderca  
mogą dla ciebie znaleźć w rowie  
zakisłą wodę Znaj ich serca

Boże raz jeszcze przeszli obok  
Znów twój ten wzgórek Nad nim obłok

1981



Edward Szuster

## O starej „Kronice”

W latach 1955-1957 wychodził w Łodzi dwutygodnik „Kronika”, którego istnienie uszło uwagi Lucjusza Włodkowskiego piszącego *Dzieje łódzkich mediów* („Kronika miasta Łodzi”, zesz. 1/2, 1999). Domyślam się, iż przeoczenie to wynika z faktu, że w tamtych latach L. Włodkowski jeszcze się mediami nie interesował, a wątpliwa „literatura przedmiotu” nie mogła mu pomóc. Ja jednak nie tylko pamiętam ową starą „Kronikę”, ale nawet czas jakiś współuczestniczyłem w jej tworzeniu. Gdy redakcja „Kroniki miasta Łodzi” zaproponowała mi przypomnienie dziejów i dorobku tamtego pisma, uświadomiłem sobie, że jestem jednym z nielicznych żyjących jeszcze jego redaktorów. Ten fakt zobowiązuje; wspomagam więc swą pamięć „zszywkami” owej starej „Kroniki”, na które składa się łącznie 61 numerów. Przeglądając je mam wrażenie, że odbywam podróż w przeszłość mocno już przysypaną kurzem. To, co przedstawię dalej, będzie szkicem z tej podróży.

Winiętę dwutygodnika, krój jej liter pamiętałem doskonale, wiedziałem też, że pierwszy numer ukazał się w maju 1955 r. Nie pamiętałem natomiast, iż jego pierwsza strona akcentowała pięćdziesięciolecie rewolucji 1905-1907 r., o czym świadczy i fragment wiersza Majakowskiego, i dość drętwy „wstępniak”, pod którym widnieje moje nazwisko. Przeprowadzam w nim niezbyt czytelną paralelę między pewnym epizodem łódzkich wydarzeń sprzed półwiecza a niedawną katastrofą samolotu wiozącego dziennikarzy na konferencję, o której dziś nic już powiedzieć nie potrafię. Ciekawsza jednak niż okolicznościowe serwituty wydaje mi się otoczona ramką wypowiedź *Od Redakcji*. „Pragniemy ukazywać – czytamy – na łamach »Kroniki« bogatą teraźniejszość Łodzi i województwa, ich coraz bardziej wszechstronny rozwój spo-



łeczny i kulturalny, wydobywać z przeszłości tradycje walk rewolucyjnych o nowy kształt życia i kultury". Przyjdzie mi spróbować ocenić, na ile anonimowej redakcji udało się jej zamierzenia zrealizować. Anonimowej, bo w tzw. stopce dwutygodnika znajdują się informacje bardzo „kolektywne”: Redaguje Zespół. Wydaje Związek Literatów Polskich Oddział w Łodzi nakładem RSW „Prasa”. Tę anonimowość także postaram się rozszyfrować; przedtem jednak parę słów o zabiegach, które ostatecznie doprowadziły do zaistnienia „Kroniki”.

Z początkiem lat pięćdziesiątych opuściły Łódź redakcje wychodzących tu pism społeczno-politycznych i satyrycznych. (Wspomina o tym w poprzednim numerze „Kroniki miasta Łodzi” Jerzy Wilmański). Zostało jednak w mieście spore grono członków Związku Literatów Polskich, dla których owe pisma były jakimiś namiastkami warsztatów pracy. Władze miasta ani nie zabiegały o zahamowanie exodusu pism do stolicy, ani nie interesowały się sytuacją czy nastrojami środowiska literackiego. Co więcej, w organie partyjnym ukazał się, na wstępie lat pięćdziesiątych, artykuł środowisko to oceniający i stwierdzający, że nie ma w nim osób godnych uwagi. Odwołaliśmy się w tej sprawie do naszego Związku – piszę „odwołaliśmy się”, gdyż należałem wówczas do tego środowiska – i Sekretarz Zarządu Głównego ZLP Jerzy Putrament przybył do Łodzi. Na spotkaniu literatów z redakcją „Głosu Robotniczego” i kierownikami Wydziału Propagandy KM PZPR z właściwym sobie impetem powiedział, co myśli o polityce Instancji wobec pisarzy. Bardzo nas to spotkanie porzuciło, ale w dwa dni potem odbyło się spotkanie pisarskiej organizacji partyjnej z Kierownictwem Wydziału Propagandy KM oraz redakcją „Głosu”. Dano nam wtedy dobitnie do zrozumienia, co myśli Instancja o naszej „skardze” na organ partyjny i o wypowiedziach Putramenta.

Wspominam o tym epizodzie, by zilustrować stosunek władz partyjnych do problemów i potrzeb środowiska literackiego – i nie tylko literackiego – w początkach lat pięćdziesiątych. Czemu niezadługo uległ on zmianie, tego mogę się domyślać, niemniej zmiana ta nastąpiła, bo bez niej „Kronika” nie mogłaby się ukazać. Niemalą rolę odegrały odczuwalne i w naszym kraju następstwa XX Zjazdu KPZR, czyli tzw. „odwilż”. Chyba nie bez znaczenia pozostały także uporczywe starania Oddziału ZLP i istniejącej przy nim organizacji partyjnej: dzięki nim udało się wydać w roku 1954 i 1955 sześć numerów „Łodzi Literackiej”, które ukazały się jako jednodniówki w rozmaitych odstępach czasu. Redago-



wane były przez dorywczo powoływane zespoły – w niektórych brałem udział – a wydawane dzięki zasiłkom Zarządu Głównego ZLP, pomocy Wydziału Kultury MRN i „datkom” rozmaitych mecenasów – dziś rzekłoby się sponsorów – zbieranym przez akwizytorów. W tej dziedzinie owocną energię i pomysłowość ujawnił Grzegorz Timofiejew, wykorzystując swe przedwojenne jeszcze doświadczenia. Nie obyło się jednak bez skarg na nadmierną ofensywność niektórych zbieraczy i polecono nam zaniechać tej formy pozyskiwania środków. Podejrzewam, że jednocześnie uznano, iż ta żebranina przynosi ujmę miastu i ostatecznie uzyskaliśmy zgodę na zaistnienie „tytułu” mającego swe oparcie w budżecie miejscowego oddziału RSW „Prasa”. Na tę decyzję przede wszystkim jednak wpłynęło przekonanie, iż Łodzi, znaczącemu ośrodkowi naukowemu, kulturalnemu i artystycznemu, periodyk społeczno-kulturalny jest potrzebny.

Powołanie zespołu redakcyjnego powierzone zostało miejscowemu Oddziałowi ZLP. Znalazłem się i ja w tym gronie, którego skład odtwarzam z pamięci, gdyż nie bardzo nawet wiem, gdzie szukać odpowiednich dokumentów. Redaktorem naczelnym został Jan Koprowski, publicystyką kierował Wiesław Jazdzyński. Proza pozostawała w gestii Stanisława Piętaka, poezja – Mariana Piechala, krytyka – Stanisława Brucza. Jan Huszcza opiekował się kolumną satyryczną, a Tadeusz Papier był redaktorem technicznym, czyli czuwał nad przygotowaniem artykułów do druku i nad łamaniem numeru. Mnie powierzono funkcję sekretarza redakcji, polegającą na koordynowaniu pracy kierowników działów i egzekwowaniu od nich ustalonych tekstów. Odtwarzając dziś z pamięci listę członków redakcji, raz jeszcze uświadamiam sobie, iż zdecydowana ich większość odeszła już z tego świata.

Zanim zostaliśmy członkami redakcji, byliśmy powiązani różnymi więzami: prawie wszyscy należeliśmy do łódzkiego Oddziału ZLP, większość z nas mieszkała w domach przyznanych pisarzom w 1945 r., a więc byliśmy sąsiadami pozostającymi „na co dzień” w zażyłych kontaktach. Prawie wszyscy także uczestniczyliśmy w pracach nad „Łodzią Literacką”. W tej sytuacji nie było między nami w praktyce żadnej „hierarchii” służbowej czy też przestrzegania rygorów dyscypliny pracy; nie wiem, czy tak być powinno, ale wiem, że wszyscy dobrze się czuliśmy w naszej redakcji. Jeśli coś nas dzieliło, to tylko oceny diskutowanych tekstów czy też opinie o sensowności redakcyjnych „kampanii”. Różnice te zresztą nie miały początkowo większego znaczenia, gdyż w pierwszej fazie istnienia pisma nie cierpieliśmy na nad-



miar materiałów. Wybór między lepszym tekstem a słabszym był niewielki; trzeba było dopiero skupić wokół „Kroniki” chętnych do współpracy z nią autorów z rozmaitych dziedzin.

Nie pamiętam, czy zabiegaliśmy o współpracowników w sposób zorganizowany, czy też każdy z nas czynił to na swój sposób; podejrzewam, że dominowała ta druga „metoda”. Niemniej przeglądając zszywkę „Kroniki”, widzę nie bez satysfakcji, że w pierwszych 12 numerach pisma publikowało 101 autorów spoza grona redakcyjnego, a w tej liczbie 21 „cudzoziemców” nie związanych z Łodzią ani zamieszkaniem, ani stałą pracą. Zważywszy, iż ci ostatni gościli na łamach owych 12 numerów sporadycznie – raz lub dwa razy – można uznać, iż „Kronika” – zgodnie z zamierzeniami – była dziełem autorów łódzkich, a nazwiska niektórych z nich pojawiały się w omawianym okresie aż pięciokrotnie. Obawy o wydajność łódzkiego środowiska autorskiego okazały się nieuzasadnione, a po pół roku pierzchły. Cieszyliśmy się z tego, nie dostrzegając początkowo pewnej skazy na tym miłym obrazie: wśród 80 łódzkich współpracowników redakcji aż 48 było albo członkami ZLP, albo dziennikarzami zajmującymi się publicystyką kulturalną w łódzkich gazetach. Literacko-kulturalne odchylenie pisma wyjaśniał po trosze fakt, iż było ono firmowane przez Oddział ZLP, ale wyjaśnienie to niedostatku nie likwidowało. Chyba świadomość tej sytuacji sprawiła, że w piętnastym numerze pisma, w felietonie *Rozmowy o „Kronice”* Kronikarz – któryś z członków redakcji, bo był to pseudonim przechodni – próbował odnieść się do rozmaitych postulatów zgłaszanych pod adresem „Kroniki”. Stwierdzając ich mnogość i rozbieżność, uznał, że wszystkich zaspokoić nie sposób. „Prędzej – pisał – powstanie w Łodzi Klub Związków Twórczych”. Ten okrzyk przyznawał, iż „Kronika” nie została jeszcze uznana za swoją przez wszystkie człony łódzkiego środowiska kulturalnego. Nieosiągalnym marzeniem zdawało się wówczas ich współdziałanie w ramach jakiejś federacji. Inna rzecz, iż wątpić można, czy decydującym na powstanie pisma idea takiej federacji była bliska. Instancje partyjne w swej codziennej pracy bynajmniej nie ułatwiały „wymiany doświadczeń” między organizacjami partyjnymi związków twórczych, placówek artystycznych czy instytucji kulturalnych. „Dziel i rządź?” Nawiasem mówiąc taką praktykę stosowano konsekwentnie aż do końca istnienia PZPR, mimo że w „dołach” budziła ona coraz więcej głosów krytycznych.

Wracając do końca 1955 roku – start „Kroniki” można, jak sądzę, uznać za udany. Z takim przeświadczeniem oglądaliśmy



zamykający rok numer 16 wydany w podwójnej objętości, czyli na 16 kolumnach. Z perspektywy czasu widzę, że cechą charakterystyczną tych numerów była nieobecność w nich bezpośrednich odniesień do wydarzeń politycznych tego czasu. Chyba nie przypadkiem unikaliśmy angażowania się w tę tematykę: ożywienie, jakie przyniósł XX Zjazd KPZR, zaostrzyło ostrożność – a nawet podejrzliwość – niechętnych zmianom konserwatystów partyjnych. W tej sytuacji amatorów do wypowiedzania się w sprawach niesionych przez czas nie było wielu. Znalazłem się w tym szczupłym gronie; w numerze 10 „wysmażyłem” wstępniak o sytuacji międzynarodowej. Czytam go po latach z zakłopotaniem, które przypomina mi, iż zmieniają się czasy, a my zmieniamy się wraz z nimi. Podobne refleksje nawiedziły mnie zresztą kilka razy przy lekturze moich tekstów sprzed 45 lat.

W maju 1956 upłynął rok istnienia „Kroniki” i przy tej „jubileuszowej” okazji próbowaliśmy w redakcyjnym felietonie dokończyć czegoś w rodzaju samooceny sytuacji pisma. Zaczynał się on – ten felieton – od wyraźnego przycinka pod adresem wątpiających w „Kronikę”. „Równo rok temu – pisał Kronikarz – wyszedł spod prasy pierwszy, niezbyt udany, numer „Kroniki”. To wątle, jakby niedorozwinięte, dziecko Łódzkiego Oddziału ZLP zdawało się potwierdzać retoryczne pytanie znakomitego na minionym etapie sternika naszej literatury J. P. [...] Otóż ów szczególnie zasłużony na polu krzewienia realizmu socjalistycznego sternik miał podobno oświadczyć, że w wypadku „Kroniki” problem nie polega na tym, kto to pismo założy, ale kto je położy”. Z tego, co Kronikarz pisał dalej, przebijało przekonanie, że prorocstwo J. P. – pewno chodziło o Jerzego Putramenta – okazało się nietrafne, gdyż „Kronika” wcale nie leży. I tak chyba było. W 10 numerach z 1956 r. opublikowaliśmy – poza tekstami członków redakcji – prace 88 autorów, a wśród nich 37 „cywilów”, że nazwę tak osoby nie zajmujące się profesjonalnie pisarstwem czy dziennikarstwem. W porównaniu do sytuacji sprzed roku pismo stało się mniej „literackie”, a na jego łamach częściej niż uprzednio zaczęli wypowiadać się przedstawiciele nauk socjologicznych czy humanistycznych, jak profesorowie T. Kotarbiński, J. Szczepański, A. Szpunar, a obok nich młodszy pracownicy naukowcy. Obecność tych i innych autorów świadczy, iż „Kronice” udało się uniknąć niebezpieczeństwa pozostania pismem wąskiego środowiska. Rozważanie, czy taki obrót sprawy był efektem świadomego działania redakcji, czy też skutkiem pogłębiającej się „odwilży”, nie ma większego sensu. Przecież atmosfera poruszona chrusz-



czowoskim referatem o kulcie jednostki oddziaływała zarówno na nas, jak i na współpracujących z nami autorów; świadczy o tym fakt, iż zaczęliśmy publikować przekłady takich autorów, jak Hemingway, Moravia czy Shaw, oraz publicystyka „Kroniki”. W tym samym numerze, w którym ukazał się cytowany wyżej felieton Kronikarza, znalazła się polemika Mariana Piechala z publicystką organu KM PZPR na temat patriotyzmu – rzecz nie do pomyślenia w dniach narodzin pisma. Toteż wzbudzało ono sporo zastrzeżeń niektórych działaczy partyjnych. Cytowany już Kronikarz pisał: „Bywa i tak, że jeden niewielki numer czytają »chrzestni« z dwóch miast i czterech instytucji, nie szczędząc rad, które często słyszą dzieci od dziadziusiów i babusiek: Nie drap się za wysoko, bo spadniesz”.

Owe rady nie zawsze miały charakter upomnień udzielanych nieroztropnym wnukom. W połowie 1956 r. odwiedził Łódź nowo wybrany I Sekretarz KC PZPR Edward Ochab i na spotkaniu z miejscowym aktywem spytał o istotne trudności i problemy pracy partyjnej. Wówczas jeden z członków Egzekutywy KŁ „użalił się” gościowi na „niesłuszną” postawę środowiska literackiego i wezwał mnie – byłem zaproszony na to spotkanie – do złożenia stosownych wyjaśnień. Na szczęście E. Ochab uznał, że pisarzy z natury rzeczy cechuje wrażliwość i pobudliwość, a w takim jak Łódź mieście są chyba ważniejsze kwestie niż nastroje niewielkiej grupki. Nie musiałem więc składać samokrytyki za całe środowisko, a o Edwardzie Ochabie myślałem odtąd z sympatią. Wspominam ten epizod, pisząc o „Kronice”, gdyż jestem pewien, że tylko nasz dwutygodnik mógł zapoznać owego zatroskanego członka egzekutywy z nastrojami literatów, z którymi nie miał on żadnych bezpośrednich kontaktów. Stopka pisma ciągle informowała, że jest ono wydawane przez Oddział ZLP. W tym czasie zresztą ujawniła ona także osobowy skład redakcji, nieco odmienny od tego, jaki podałem wyżej. Wyjechał z Łodzi Stanisław Piętaś, a na jego miejsce wszedł do „Kroniki” Stanisław Czernik. Nie ma też w stopce nazwiska Mariana Piechala, choć pozostawał on w żywych, codziennych kontaktach z redakcją.

W połowie 1956 r. wydarzył się też w Łodzi fakt świadczący, iż nie wszyscy członkowie KC PZPR patrzyli na środowisko literackie z równym zrozumieniem jak I Sekretarz. Jeden z nich na spotkaniu z załogą ZPB im. Stalina – dziś „Uniontex” – groził studentom i literatom gazrurkami, jeśli nie przestaną warcholić. Organ KC PZPR dyskretnie przemilczał te wypowiedzi i dopiero protesty posłów – m. in. Edmunda Osmańczyka – ujawniły na-



zwisko bojowego prelegenta. Nie omieszkaliśmy zacytować w „Kronice” odpowiednich fragmentów z warszawskich gazet, o czym zresztą pisałem przy innej okazji w poprzednim numerze „Kroniki miasta Łodzi”.

Czy publikacje „Kroniki” wywoływały rezonans tylko u polityków, czy też poruszały także „szarych” czytelników? Łamy piśmi nie ułatwiają odpowiedzi na to pytanie, gdyż nieliczne sprostowania, czy polemiczne wypowiedzi tam publikowane, kwestii nie wyczerpują. Reakcja na nasze artykuły nie zawsze ujawniała się w formie pisanej, zdarzały się także skargi czy zażalenia do „zwierzchności” osób czy instytucji dotkniętych tym, co napisaliśmy, i bywało, że owa „zwierzchność” postulowała bezpośrednią konfrontację autora z pokrzywdzonym. Jako przedstawiciel redakcji uczestniczyłem w dwóch takich konfrontacjach, a podobne doświadczenia nieobce były innym członkom zespołu. W lecie 1955 r. aż do Komitetu Wojewódzkiego PZPR dotarły żale na terenowy reportaż Tadeusza Słupeckiego z okolic – chyba – Wielunia. Sekretarz Rolny KW zapakował mnie i autora do samochodu i ruszyliśmy na spotkanie z urażonymi, nie bardzo wiedząc, o co im chodzi. Po przybyciu na miejsce, podczas przywitania z oczekującymi gospodarzami, doszło do incydentu: jedna z kobiet ostentacyjnie umknęła ręką Słupeckiemu, a nawet splunęła mu pod nogi. Okazało się wkrótce, że to ona właśnie czuła się pokrzywdzona publikacją i zmobilizowała członków spółdzielni do protestu. Rzecz w tym, iż autor reportażu napisał, że po wyjściu gości gospodyni zlała do butelki niedopitą wódkę z kieliszków: kobieta bijąc się w piersi przysięgała, że nigdy czegoś podobnego nie robi, Słupecki zapewniał, iż napisał prawdę. Nie sposób było w tej sytuacji dojść do jakiegoś porozumienia czy uzgodnienia; wracaliśmy do Łodzi wraz z Sekretarzem zakłopotani zmarnowaniem paru godzin i kilkunastu litrów komitetowej benzyny. O skutkach tej wyprawy „Kronika” oczywiście żadnej relacji nie opublikowała.

W rok później drukowaliśmy reportaż Tadeusza Szewery o problemach spółdzielni produkcyjnej w Godzianowie opodal Skierniewic i wkrótce potem wpłynęło do redakcji pismo tamtejszego Rolniczego Zespołu Produkcyjnego zapraszające – a może wzywające – autora i przedstawiciela redakcji na spotkanie i przedyskutowanie reportażu. Odpis tego listu nadawcy przesłali do wiadomości Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego, trzech Instancji PZPR – wojewódzkiej, powiatowej i gminnej – oraz trzech Instancji ZSL. Tym razem wyjechaliśmy na to spotkanie



wieczorem i na nocnej rodaków rozmowie spędziliśmy całą niemalże noc wraz z gospodarzami i ściągniętymi przez nich przedstawicielami różnych Zespołów, Komitetów i Zarządów. Tym razem różnice zdań nie dotyczyły faktów, o których podobno dżentelmeni nie dyskutują, lecz oceny spółdzielni i panującej w niej atmosfery. Także i tu nie zdołaliśmy się dopracować wspólnego poglądu na omawiane problemy i w gruncie rzeczy zmarnowaliśmy całą noc. Tym razem sprawa znalazła odbicie na łamach „Kroniki”, w której opublikowaliśmy list Zespołu Produkcyjnego i wprowadzenie redakcji w problem i – wreszcie – relację Tadeusza Szewery z nocnego spotkania.

Oba te zdarzenia świadczą, iż „Kronika” docierała w okolice Sieradza i pod Skierniewice. Dotarła nawet do otoczonej lasami wsi nad Pilicą, opodal Sulejowa – teraz nie ma tam już Pilicy, jest Zalew Sulejowski. Przekonałem się o tym latem 1955 r., po opublikowaniu w dwutygodniku impresji z tej znanej mi jeszcze z lat okupacji wsi. Szukałem w niej zmian, jakie przyniósł plan sześcioletni, i znalazłem ich niewiele. Pisząc nie wymieniłem ani nazwy wsi, ani nazwisk jej mieszkańców, posługując się tylko imionami i inicjałami nazwisk. Mimo to przy następnej mojej bytności w tym miejscu odwiedził mnie jeden z bohaterów reportażu, wyjaśniając jakieś sprawy, które miały wyglądać inaczej, niż to napisałem. Okazało się, że publikowany artykuł dotarł nad Pilicę, został przez zainteresowanych rozszyfrowany i skłonił niektórych do wyjaśnień. Fakt ten nieźle świadczył o „docieralności” pisma. Wraz z dwoma poprzednimi wskazuje też, iż gdy pisze się o sprawach bezpośrednio ludzi dotyczących – o czytelnika można się nie martwić.

Numer, w którym publikowaliśmy materiały z godzianowskiej konferencji, był chyba ostatnim, jaki współredagowałem, gdyż od września 1956 r. przeszedłem do pracy w telewizji i moje nazwisko wypadło z redakcyjnej stopki. Od listopada tegoż roku redakcję tworzyli: Jan Koprowski – redaktor naczelny, Stanisław Brucz – zastępca redaktora naczelnego, Waław Biliński, Lech Budrecki, Stanisław Czernik, Jan Huszcza, Wiesław Jażdżyński – sekretarz odpowiedzialny redakcji, Tadeusz Papier i Jerzy Waleńczyk.

Z zespołem tym pozostawałem czas jakiś w kontakcie, publikując w „Kronice” większe lub mniejsze teksty, stopniowo jednak stawałem się czytelnikiem pisma, ponieważ nowa praca absorbowała mnie coraz bardziej. Dlatego też dalsze losy pisma odczytuję tylko z kolejnych jego numerów, niewiele – albo i nic – nie



wiedząc o redakcyjnej „kuchni”. Nie wszystkie sprawy mogą być dla mnie jasne, muszę też zrezygnować z zaimka „my” przy omawianiu perypetii „Kroniki”.

W ostatnim numerze z 1956 r. z satysfakcją znalazłem redakcyjną notatkę zapowiadającą, że z początkiem roku następnego „Kronika” ukazywać się będzie co tydzień. Mniej uradowała mnie zapowiedź winiety, byłem bowiem do starej przyzwyczajony, a może nawet przywiązany. Fakt, iż pierwszy numer z roku 1957 ukazał się ze starą winieta, wcale mnie nie zmartwił, zaskoczyło mnie jednak, iż to pismo nadal okazało się być dwutygodnikiem. Nie wiem, czemu nie została dotrzymana zapowiedź zmiany periodyzacji. Domyślam się, że istotną rolę odegrała tu chyba postawa nakładcy, czyli RSW „Prasa”. Przejście z dwutygodnika na tygodnik oznaczało dla nakładcy znaczne zwiększenie kosztów, ale tej oczywistej prawdy nie odkryto chyba w ostatnich dniach grudnia, już po ogłoszeniu, że „Kronika” stanie się tygodnikiem. Mimo tej zapowiedzi wychodziła „po staremu” co dwa tygodnie; powiększył się jednak skład redakcji, do której weszli: Mirosław Ochocki, Marian Piechal i Władysław Rymkiewicz. Przypuszczam, że decyzję tę podjęto jeszcze przed rezygnacją z wydawania tygodnika i utrzymano ją mimo rezygnacji. Wkrótce jednak – w kwietniu – z redakcji odszedł Waław Biliński; chyba nie dlatego, że w pełni godził się z jej pozostałymi członkami. Informację o tej zmianie przekazuje redakcyjna stopka, z której – poczynając od numeru 9/49 – zniknął jako wydawca Łódzki Oddział Związku Literatów Polskich, a na jego miejsce weszło Łódzkie Wydawnictwo Prasowe „Prasa”. Zmiana ta sygnalizowała, że decyzje w sprawie pisma zapadać będą przede wszystkim z uwzględnieniem interesów wydawcy.

Pod takimi auspicjami wyszedł 10/50 numer „Kroniki”. Jak słusznie zauważył Kronikarz, nigdy dotąd nie udało się w Łodzi wydać w regularnym rytmie pięćdziesięciu kolejnych numerów czasopisma. Przypominając tę jubileuszową okazję, pisał on, że jedni uważają „Kronikę” za mało przystępną, inni – za zbyt łatwą; tam zarzuca się jej brak bojowości, ówdzie – nadmiar krytykanctwa. Zauważa także Kronikarz, iż poszczególni redaktorzy domagają się druku materiałów odpowiadających ich zainteresowaniom i ten chór rozbieżnych życzeń sprawia, iż „biedny” Koproński jest w nielada kłopotach. Wszystkie te jednak komplikacje – powiada Kronikarz – nie odstręczają czytelników, dzięki którym wyszło już 50 numerów pisma i „dzięki nim wyjdzie chyba następnych pięćdziesiąt lepszych niż dotychczasowe”.



Znałem dalsze losy pisma, więc przeczytawszy te słowa, rzuciłem okiem na stopkę jubileuszowego numeru. Informowała ona, że jego nakład wynosił 8300 egzemplarzy. Niby sporo, ale przecież numer 1/41 rozpoczynający rok 1957 miał nakład 18 000. O tym, że w ciągu niespełna półrocza o ponad 50% spadła liczba egzemplarzy pisma wchodzącego na rynek, redaktorzy „Kroniki” niewątpliwie wiedzieli, ale mimo to – jeśli wierzyć Kronikarzowi – z optymizmem patrzyli w przyszłość. To prawda, że w połowie 1957 r. wygaszało już popaździernikowe ożywienie, co odbywało się nie bez udziału kierownictwa partyjnego, które zaczęło „wygaszać” dyskusje. W efekcie zaczęło maleć zainteresowanie czasopismami i ten stan rzeczy odbijał się w jakimś stopniu na poczytności „Kroniki”. Pamiętam, że przy okazji krótkich kontaktów z jej redaktorami słyszałem opinię, iż wydawca niechętny jest istnieniu pisma i ogranicza jego nakład.

W wrywkowo wybranym 54 numerze „Kroniki” – miała ona także nakład 8300 – znalazłem obszerny artykuł z dziejów wileńskiej AK i duży reportaż ze szpitala psychiatrycznego w Kochanówku, artykuł o francuskim pisarzu i działaczu André Malraux, fragment powieści Françoise Sagan, fragment powieści Thortona Wildera, wspomnienia z Armii Andersa, reportaż z Kielc, omówienie ankiety Zakładu Socjologii PAN o problemach inteligencji, recenzję powieści niemieckiego pisarza, jeszcze nie przełożonej na język polski (!).

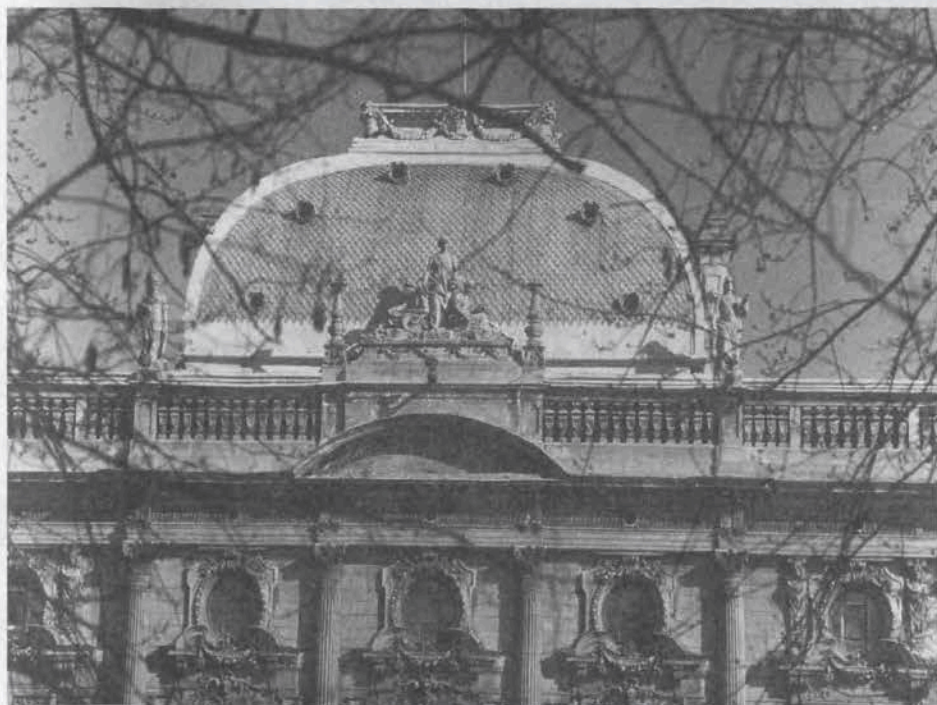
Być może, iż ów 54 numer nie był reprezentatywny dla zamiarów Redakcji, niemniej przegląd tego niespójnego zbioru tekstów przypomina to, co wcześniej pisał Kronikarz o kłopotach „biednego” Koprowskiego. Nie przypomina jednak ni trochę deklaracji Redakcji z pierwszego numeru pisma, która zamierzała „ukazywać bogatą teraźniejszość Łodzi i województwa”. Czy zejście z pierwotnie wytyczonej „linii” nastąpiło świadomie, czy bezwiednie – tego nie potrafię ocenić.

Pół roku niespełna po wydaniu numeru jubileuszowego, wydając numer 61, Redakcja zawiadomiła czytelników, iż jest to ostatni numer pisma, gdyż „Kronika” przestaje wychodzić. „Stosunkowo niski nakład i wąski krąg odbiorców – wyjaśnia motywy tej decyzji”. (Nakład pisma spadł do 5400 egzemplarzy.) „W grudniu – zapowiadała Redakcja – ukaże się pierwszy numer łódzkiego tygodnika społeczno-kulturalnego »Nowa Kronika«. Zadaniem nowego pisma będzie dotarcie do istotnych potrzeb szeroko pojętej inteligencji [...] naszego miasta i województwa”. Trudno nie zauważyć, że te słowa nie potwierdzają ufności w



życzliwość czytelników wyrażonej przez Kronikarza w numerze jubileuszowym.

Zamykałem zszywki „Kroniki” z mieszanymi uczuciami. Miło mi było przypomnieć sobie miesiące współuczestnictwa w tworzeniu pisma wzbogacającego wyposażenie kulturalne miasta, mniej miło – odświeżyć wiedzę o jego niepowodzeniu. Myślę jednak, że dwa lata istnienia „Kroniki” sprawiły, że trudno już było pozbawić Łódź czasopisma. Wbrew zapowiedziom Redakcji „Nowa Kronika” nie pojawiła się nigdy, powstały jednak „Odgłosy”, które istniały dwadzieścia parę lat. Czy można twierdzić, iż ich redakcje wyciągnęły wnioski z doświadczeń poprzedniczki? Chyba tak. Przecież „Odgłosy” – szczególnie w pierwszych ich latach – „robili” ci sami ludzie, którzy wcześniej kształtowali „Kronikę”.



Fragment pałacu I. K. Poznańskiego (obecnie Muzeum Historii Miasta)

foto: Piotr Zdrzynicki





Architektura Łodzi przemysłowej

foto: Piotr Zdrzynicki



Stanisław Bulkiewicz

## 60. rocznica wydania bonów Komisji Finansowej Miasta Łodzi (1939-1999)

Od chwili wydania łódzkiego pieniądza zastępczego w 1939 roku upłynęło ponad 60 lat. Obecnie już mało kto o nim pamięta, a młodzież w ogóle. Jego edycja była krótkim ale jakże ważnym epizodem w życiu naszego miasta i jego mieszkańców. Dziś już to tylko historia, którą warto jednak poznać.

Po wybuchu II wojny światowej, z powodu zbliżających się wojsk niemieckich, w nocy z 5 na 6 września 1939 r. ewakuowano z miasta urzędy i instytucje samorządowe, państwowe, banki oraz PKO z zapasami gotówki oraz na samym końcu wojsko, policję i straż pożarną. Luke tę trzeba było szybko wypełnić. Korzystając z przykładów I wojny światowej, utworzono 6 września 1939 r. w naszym mieście, z inicjatywy znanego społecznika prof. Zygmunta Lorentza (długoletniego nauczyciela historii w Miejskim Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego) Komitet Obywatelski na czele którego stanął ks. biskup Kazimierz Tomczak. Komitet posiadał sześć sekcji oraz dwie autonomiczne instytucje: Milicję Obywatelską i Komisję Finansową. Tę ostatnią objął Stefan Ender (fabrykant z Pabianic), wiceprzewodniczącymi zostali: Tadeusz Konarzewski (notariusz) i Bolesław Kotkowski (właściciel zakładów drukarskich), skarbnikiem został Aleksander Znamiecki, a sekretarzem Paweł Seipelt (właściciel księgarni przy ul. Piotrkowskiej 47 i główny prokurent Zakładów Eiserta). Poza nimi w skład Komisji Finansowej weszli jeszcze: Karol Bajer, Józef Jabłkowski (dyr. Banku Spółek Zarobkowych), Otto John, Ludwik Neugebauer (dyr. Wydz. Sprzedaży w Widzewskiej Manufakturze), Stanisław Pawłowski, Kazimierz Roszak (optyk, przew. Komisji Podatkowej Izby Przemysłowo-Handlowej w



Łodzi), Jerzy Scheibler (fabrykant) i Wiesław Zbijewski (syndyk masy upadłości Firmy Widzewska Manufaktura S.A. w Łodzi). Komisja miała siedzibę w lokalu Izby Przem.-Handlowej w Łodzi przy al. Kościuszki 1/3, a potem przeniesiono ją na ul. Piotrkowską nr 57.

# BEKANNTMACHUNG OGŁOSZENIE

**Als Resultat des Mangels an Zahlungsmittel wurde von Besperkonomie der Stadt Lodz eine Finanzkommission berufen zwecks Emittierung von Zahlungsmitteln.**

Die erwähnte Kommission wird die Auszahlung ihrer geleisteten Arbeit und dem Besperkonomie der Stadt Lodz die Bedienung der unentbehrlichsten Bediensteten unserer Stadt ermöglichen.

Der Termin, Ort und die Bedingungen der Ausgabe dieser Scheine werden in der allerersten Zeit zur öffentlichen Kenntnis gebracht werden.

Wobec braku środków płatniczych została powołana przez Komitet Obywatelski m. Łodzi Komisja Finansowa m. Łodzi celem emitowania bonów pieniężnych.

Emisja powyższa umożliwi dokonywanie wypłat za pracę, jak również pozwoli Komitetowi Obywatelskiemu miasta Łodzi zaspokoić najpilniejsze potrzeby naszego miasta.

Termin, miejsce i warunki wydawania bonów będą ogłoszone w najbliższym czasie do publicznej wiadomości.

Gesahmt  
Der Kommandant des russwertigen  
Armeegebietes

Ponieważ w mieście brak było pieniędzy (zostały wywiezione przy ewakuacji banków, kas itp.), pierwszym najpilniejszym zadaniem Komisji Finansowej było m. in. opracowanie i przygotowanie w krótkim terminie emisji papierowego pieniądza zastępczego, czyli tzw. bonów.

Dlaczego emisja tych pieniędzy była tak pilna?

Otóż uciekające władze samorządowe nie wypłaciły zaległych zarobków robotnikom miejskim (za ostatnie dwa tygodnie pracy) ani też zaliczek urzędnikom na poczet poborów we wrześniu, nie było czym wypłacać zapomóg, zasiłków, w tym żonom rezerwistów, emerytom, inwalidom, ani kupować żywności dla szpitali i przytułków.

W dniu 9 września 1939 r. wojska niemieckie weszły do Łodzi. Pierwsze spotkanie władz niemieckich i prezydium Komitetu Obywatelskiego odbyło się 10 września 1939 r. Był na nim d-ca 8 Armii gen. Johann Blaskowitz z oficerami. Omawiano m. in. sprawę finansów miasta i uzyskano zgodę na wypuszczenie bonów pieniężnych.



# OBYWATELE

Władze państwowe i miejskie opuściły nasze miasto. Chwila obecna, tak ciężka dla ogółu obywateli, wymaga od nas spokoju i opanowania.

Obywatelski Komitet złożony z przedstawicieli wszystkich sfer naszego miasta obejmuje niebawem władzę nad miastem.

**WZYWAMY OGÓŁ OBYWATELI DO  
SPOKOJU ; DO PODPORZĄDKOWA-  
NIA SIĘ ZARZĄDZENIOM OBYWA-  
TELSKIEGO KOMITETU.**

Komitet Organizacyjny

Łódź, dnia 6 września 1939 r.

Zabrano się natychmiast do pracy przygotowawczej, która trwała ponad tydzień. W Muzeum Historii Miasta Łodzi zachowało się pismo Komisji Finansowej z 18 września 1939 r., które cytujemy:

*„Do Komendantury 530 w miejscu*

*Niniejszym uprzejmie zawiadamiamy co następuje:*

*W zakładach graficznych:*

*Zygmunt Manitius, Żeromskiego nr 87 oraz Bolesław Kotkowski i S-ka, Dowborczyków 18 drukuje się łódzkie bony pieniężne.*



*ponieważ Milicja Obywatelska nie dysponuje bronią i nie jest w stanie dbać o wystarczające bezpieczeństwo, uprzejmie prosimy o stawienie dwóch wart po 10 osób wraz z jednym podoficerem, przy każdej z wymienionych drukarni”, podpisano: Przewodniczący.*

Do tej pory wiadomo było tylko, że bony te drukowano jedynie w zakładach B. Kotkowskiego, obecnie mamy dowód, że drukowano je również i w drukarni Z. Manitiusa (gdzie później drukowano również pieniądze dla getta żydowskiego w Łodzi).

Wydano następujące nominały:

- 1) 50 groszy – seria IA, j. brązowe, wym. 88 x 45 mm
- 2) 1 złoty – seria IA, j. zielony, wym. 88 x 47 mm
- 3) 2 złote – seria 1C i 2C, j. niebieskie, wym. 85 x 50 mm
- 4) 5 złotych – seria 1D, 2D (?), j. różowe, wym. 93 x 58 mm

Papier dwustronnie glansowany, bezdrzewny, w kolorze białym, numery 2 i 5 zł czerwone. Nominał 5 zł w literaturze podany z serią 2D, w oryginale nieznany. Prawdopodobnie informacja jest niewiarygodna.

Ogółem wydano bonów wszystkich nominałów na ogólną kwotę około 8 mln złotych (wg J. Strzałkowskiego). Drukowano je starą, dziś już zapomnianą techniką na kamieniach litograficznych, których 5 sztuk odnalazł po wojnie w podziemiach banku główny księgowy Alfons Sumera z III OM NBP w Łodzi, ul. Sienkiewicza 24. Obecnie te nadzwyczaj cenne zabytki (zazwyczaj komisyjnie niszczone by zapobiec nadużyciom) znajdują się w zbiorach Gabinetu Numizmatycznego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi).

Bony te weszły do obiegu po 18 września 1939 r. i kursowały niecałe 3 miesiące, do 9 listopada 1939 r., kiedy to z chwilą przyłączenia Łodzi do tzw. Kraju Warty rozwiązano Komitet Obywatelski Miasta Łodzi. Bony te wymieniano po kursie 1 RM = 2 zł w bonach (była o tym wzmianka w prasie łódzkiej) do dnia 9 XII 1939 r., po tym terminie były już nieważne. Widocznie nie wszystkie jednak wymieniono, bo zachowało się ich sporo w zbiorach kolekcjonerskich. Trzeba koniecznie podkreślić, że pomimo ich krótkiego obiegu, zrobiły dużo dobrego dla gospodarki miasta i pomogły jej mieszkańcom, szczególnie tym najbiedniejszym.

Pomimo tak krótkiego obiegu znalazł się w Łodzi fałszerz lub fałszerze, którzy te bony w tym czasie fałszowali. Badając je stwierdziłem, że dwa z nich o nominałach: 1 i 2 zł są inne niż oryginały. Mają różnice w technice druku, w farbie, w papierze oraz w numeracji. Różnice te są tak widoczne, że aż dziw, że do



tej pory nikt tego nie zauważył. Chcąc się jednak ostatecznie upewnić, odszukałem p. Eugeniusza Dominika, pracownika łódzkiej poligrafii, który w czasie okupacji bony te drukował. Tenże autorytatywnie stwierdził, że owe 2 bony są fałszywe. Przy druku z matrycy kamiennej (litografia) odbitki wychodzą czyste, ostre i nie zamazane. Natomiast odkryte przez mnie (fałszywe) tych cech nie wykazują. Zapewne fałszerz wykonał zdjęcie oryginalnego bonu, wytrawił kliszę, a potem na pedałowej maszynie typograficznej drukował bony w całych arkuszach, na co wskazują minimalne białe marginesy u góry i z boku bonów. Bony fałszywe były także niestarannie cięte, na co wskazują różnice w ich szerokości, dochodzące do ok. 1mm. Po zakończeniu druku były ręcznie numerowane przez fałszerza. Poznać to łatwo po rozmazanych cyfrach, wahaniach cyfr w poziomie oraz po śladach farby na bonach.

Kto to jednak robił do dziś niewiadomo i wątpić można czy kiedyś zostanie to odkryte. Nie wiadomo też, czy pozostałe nominały (50 gr i 5 zł) bonów łódzkich z 1939 r. były również fałszowane. Odpowiedź dać nam może tylko dokładna penetracja zbiorów, zarówno muzealnych jak i prywatnych. Zaznaczyć wreszcie trzeba, że możliwe jest odnalezienie bonów drukowanych z oryginalnych matryc, lecz na innych gatunkach papieru. Znany jest bon 5 zł koloru brązowo-pomarańczowego, drukowany na grubym papierze, o wyraźnie nieregularnej fakturze, lecz bezsprzecznie pochodzący z oryginalnej emisji. Widocznie w trakcie pospiesznego druku dostał się na kamienie arkusz papieru o odmiennej fakturze. Można to także stwierdzić porównując komplet drukowanych bonów z egzemplarzami korektorskimi, okazuje się np., że zauważone w trakcie druku błędy nie zostały już poprawione, za to poprawiono je na egz. fałszywych.

I na tym właściwie nasze relacje o bonach łódzkich z 1939 r. moglibyśmy zakończyć, gdyż wykazaliśmy, gdzie te bony były drukowane, przez kogo, jakie nominały, dlaczego i kiedy zostały wycofane. Ba, daliśmy nawet informację o fałszerstwach tych bonów w miesiącach IX-X 1939 r. Czasami trafiają się jednak niespodziewane wydarzenia, o których nikt by nigdy nie przypuszczał, a które wnoszą coś nowego do omawianego tematu i rozszerzają dotychczasowe o nim wiadomości.

W 1988 r. (t.j. 12 lat temu, jak ten czas leci) rozeszła się po Łodzi fama, że został odnaleziony bon z 1939 r. o nominale 10 zł. Kosztowało mnie wiele wysiłku aby dotrzeć do jego właściciela, który ostatecznie, po wielu wahaniach pokazał mi ów bon



i pozwolił dokonać ekspertyzy. Z całą pewnością jest to autentyk, o zerowych numerach wskazujących, że jest to okaz próbny. Dodatkowo jest skasowany (przeziurawiony) gwiazdkami, by nie dostał się czasami do obiegu. Widocznie Komisja opracowująca bony, ze względu na terminowość, wydrukowała tylko cztery nominały (50 gr, 1, 2 i 5 zł), równoległe jednak jako dopełnienie tej serii, pracowano nad wydaniem nominału 10 zł. Prace te były już tak zaawansowane, że wydrukowano nawet próbne egzemplarze. Kiedy jednak zorientowano się, że bony te zostaną po krótkim czasie wycofane (a może nawet zwrócono się do Zarządu Niemieckiego o zgodę na ich wydanie, ale jej nie otrzymano), wtedy płyty zniszczono i pozostały tylko wydrukowane próbne egzemplarze, które być może przechowywano w Archiwum Kom. Finansowej, czy też Komitetu Obywatelskiego m. Łodzi, albo w papierach jednej z drukarni. Mogli też otrzymać na pamiątkę pracownicy, którzy poświęcili najwięcej czasu i pracy nad ich wydaniem. Lata wojny spowodowały, że uległy one zagubieniu, zniszczeniu i ku radości numizmatyków i historyków zachował się tylko jeden unikatowy egzemplarz.

A oto jego opis: podobny do bonu 5 złotowego, druk czarny, poddruk jasnobrazowy (piaskowy?) z giloszem i numerem składającym się z sześciu zer zielonego koloru, seria 1E 1939 r. – dopełnienie do 50 gr – IA, 1 zł – IA, 2 zł – 1C, 5 zł – 1D. Wymiary ok. 106 x 67,5 mm. Na stronie głównej w prawym dolnym rogu rdzawy ślad po spinaczu, widocznie bon ten był dopięty do jakiegoś dokumentu. Nie wiadomo, w której drukarni bon ten na 10 zł został wydany (jak pamiętamy, było ich dwie, które drukowały bony). Nasuwa się też i inna pytanie, 50 gr i 1 zł posiadały serię IA, 2 zł serie 1C i 2C, 5 zł – serię 1D, 10 zł – serię 1E – czyli: A, A, C, D i E, a gdzie jest seria „B”? Wydaje mi się, że w tym pośpiechu popełniono omyłkę – jedna z drukarni wydała bony 50 gr a druga bony 1 złotowe, ponieważ były to pierwsze serie bonów, na kamieniach oznaczono je literą „A”. Potem wszystko się wyjaśniło ale nie było mowy o poprawce. Dalsze już bony wydano prawidłowo 2 zł – seria C, 5 zł – seria D i nowo odnaleziony bon 10 zł (który nie wszedł do obiegu) – seria E. Czyli logicznie.

I tak w tym krótkim artykule opisaliśmy pobieżnie historię łódzkich bonów z 1939 r., odnaleźliśmy drugą drukarnię, która je drukowała oraz fałszywe bony z tego okresu, historię odnalezienia unikatowych kamieni litograficznych oraz sensację w postaci odnalezienia 10 zł, unikatowego, próbnego bonu, dopełniającego



wydaną serię, oraz być może wytłumaczenie, dlaczego w tej serii nie było litery „B”.

Na zakończenie chciałbym dodać, że z okazji 10-lecia Muzeum Historii Miasta Łodzi (1975-1985), będąc w tym czasie Kier. Gabinetu Numizmatycznego, chciałem wydać okazjonalny druk z bonem 5 zł z 1939 r., ale niestety specjaliści wytłumaczyli mi, że nie ma już w Łodzi takich maszyn, które by z kamieni litograficznych wykonanych w negatywie, uzyskano odbitki pozytywowe. I tak projekt mój spalił na panewce czego bardzo żałuję. Byłaby ciekawa pamiątka.

#### Wybrana literatura

Budziarek Marek, *W godzinę próby*. DŁ nr 207 z 4 IX 1996 r.

Bulkiewicz Stanisław, *Spis bonów polskich z lat 1939-1945*. Biuletyn Numizmatyczny nr 33/1968

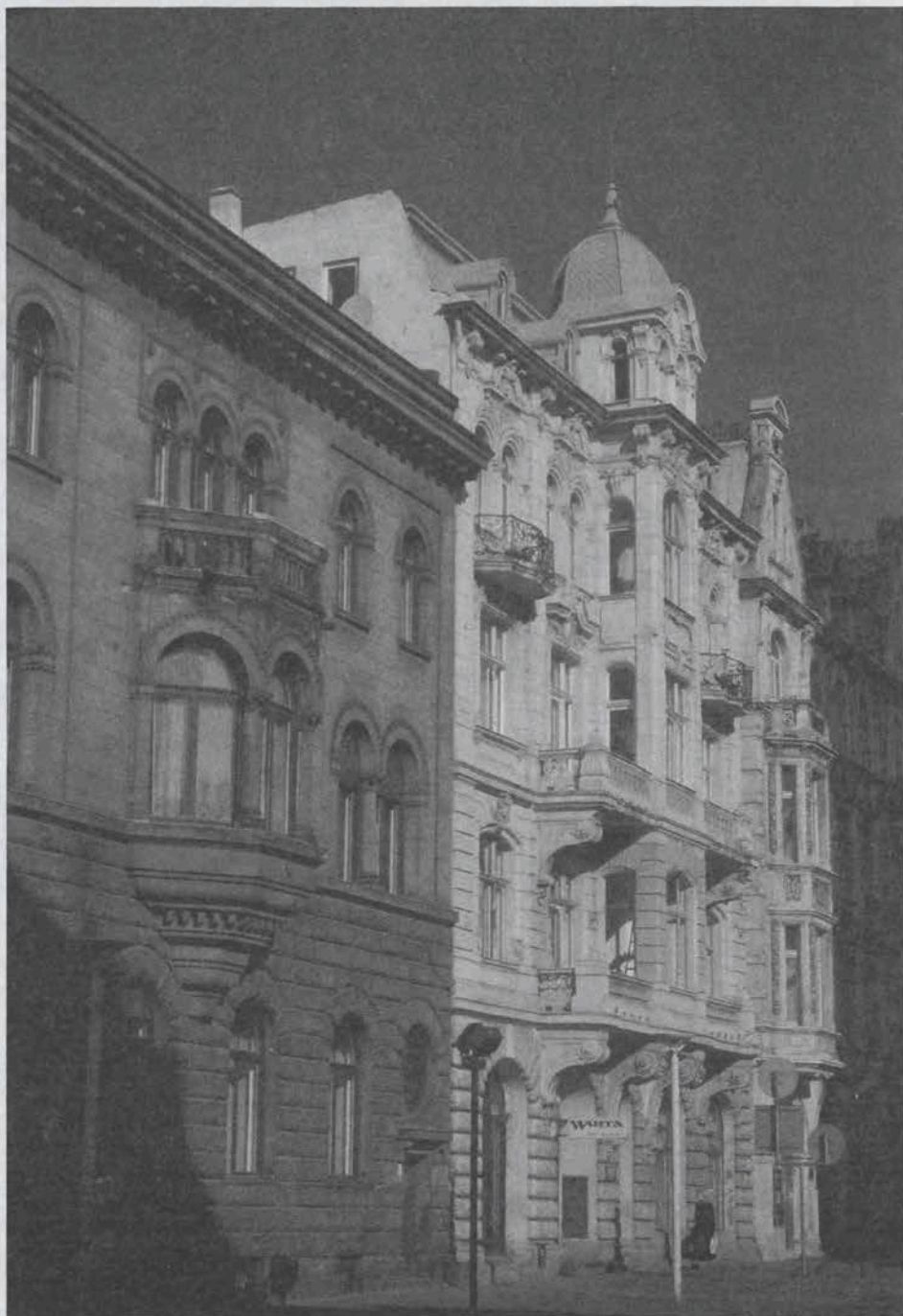
Bulkiewicz Stanisław, *Fałszerstwa bonów łódzkich z 1939 r.* BN nr 7/95/1974 r.

Bulkiewicz Stanisław, *Nowe odkrycia i uzupełnienia polskich bonów miejskich z lat 1939-1945*. BN nr 4/308/1997.

Cygański Mirosław, *Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi 1939-1945*. Łódź 1965.

Strzałkowski Jacek, *Łódzkie bony pieniężne w 1939 r.* BN nr 12/1996





Architektura ulicy Piotrkowskiej

foto: Witold Bączyk



Tadeusz Bojanowski

## Działalność niemieckich placówek kulturalnych w Łodzi w okresie okupacji (1939-1945)

Niszczenie kultury polskiej stanowiło integralną część realizacji zbrodniczych planów hitlerowskich wobec ludności polskiej. Zwłaszcza na ziemiach włączonych do Rzeszy starano się w krótkim czasie pozbawić Polaków tradycji i dziedzictwa kulturowego oraz zlikwidować wszelkie przejawy polskiego życia kulturalnego. Już na początku okupacji hitlerowcy dokonali konfiskaty wszystkich dóbr kultury, prywatnych i społecznych. W celu facho-owego przeprowadzenia tej grabieży utworzono w grudniu 1939 r., w ramach Głównego Urzędu Powierniczego-Wschód, Urząd Generalnego Powiernika dla Zabezpieczenia Niemieckich Dóbr Kulturalnych na Ziemiach Wcielonych (Generaltreuhänder für Sicherstellung deutschen Kulturgutes in den eingegliederten Ostgebieten), którego jeden z oddziałów powstał w Łodzi. Konfiskatą objęto akta, dokumenty, książki, obrazy, rzeźby, wszystkie przedmioty o znaczeniu historycznym, broń, znaczki pocztowe, numizmaty, dawne stroje, meble, dywany, przedmioty ozdobne z metali szlache-nych. Oznaczało to przejęcie przez Niemców wszystkich polskich archiwów, muzeów, bibliotek, kolekcji prywatnych, a także kolekcji będących w posiadaniu innych instytucji polskich. Jednocześnie zabroniono działalności wszelkim polskim stowarzyszeniom oraz instytucjom kulturalnym i naukowym.

W Łodzi od pierwszych dni okupacji rozpoczęto konfiskatę dzieł sztuki, niszczenie pomników oraz likwidację polskiego życia kulturalnego. Jednocześnie podjęto szeroką akcję propagującą niemiecką przeszłość miasta i regionu. Lokale wszystkich polskich instytucji kulturalnych i naukowych zostały zamknięte, a dokumentacja ich działalności w większości zniszczona. Zniszczeniu uległy materiały i prace przygotowane do druku, rękopisy,



materiały bibliograficzne. Między innymi zniszczono przygotowaną przez Łódzki Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego publikację dotyczącą dziejów Łodzi oraz prace naukowe przygotowane przez Towarzystwo Polonistów RP, Oddział w Łodzi<sup>1</sup>.

Z chwilą włączenia Łodzi do Rzeszy 9 IX 1939 r. zamknięto wychodzącą w mieście hitlerowską popołudniówkę w języku polskim „Gazetę Łódzką”. Pod koniec istnienia pisma redaktora naczelnego M. Waltera zastąpił Bartel<sup>2</sup> z redakcji przedwojennego „Rozwoju” i „Prądu”. Ukazały się 42 numery „Gazety Łódzkiej”. Od tej pory nie wychodziło w Łodzi żadne pismo w języku polskim. Nie kolportowano także w mieście hitlerowskich pism polskojęzycznych ukazujących się w GG. Jedynie w czasie Powstania Warszawskiego rozprowadzano w Łodzi część nakładu „Nowego Kuriera Warszawskiego”, który był tutaj wówczas drukowany<sup>3</sup>.

Niemiecki tygodnik „Volksfreund” ukazywał się tylko do końca listopada 1939 r. Natomiast dziennik „Deutsche Lodzer Zeitung” od 12 XI 1939 r. zmienił tytuł na „Lodzer Zeitung”, od 1 I 1940 r. na „Lodscher Zeitung”, a od 12 IV 1940 r. na „Litzmannstädter Zeitung”. Wychodził codziennie jako gazeta poranna. Od połowy sierpnia 1944 r. ukazywał się tylko sześć razy w tygodniu. Jego redaktorem naczelnym był Kurt Pfeiffer. Do 31 X 1941 r. pismo drukowano czcionką gotycką. Do połowy 1940 r. posiadało niedzielny dodatek ilustrowany „Die Zeit in Bild”. Pismo zamieszczało również urzędowe obwieszczenia. Od 1 VII 1943 r. stało się organem NSDAP (Tageszeitung der NSDAP mit der amtlichen Bekanntmachungen). Jednocześnie wydawnictwo i drukarnia „Litzmannstädter Zeitung” przy ulicy Piotrkowskiej 86 zostały włączone do partyjnego wydawnictwa Kraju Warty (NS-Gauverlag Wartheland). Było to jedyne pismo ukazujące się w Łodzi podczas okupacji. Poza nim najszerszym kolportowanym piśmie w mieście był dziennik „Ostdeutscher Beobachter”, ukazujący się w Poznaniu. W Łodzi istniała delegatura tego pisma<sup>4</sup>.

---

<sup>1</sup> *Diariusz kultury polskiej za lata 1939-1945*, „Prace Polonistyczne” (Łódź) 1940-1946, ser. IV, s. 219-220; G. Missalowa, *Prace Oddziału Łódzkiego Towarzystwa Historycznego w latach 1927-1945*, „Rocznik Łódzki” 1958, t. I (IV), s. 387.

<sup>2</sup> Po zamknięciu pisma został on aresztowany, a następnie stracony. W. Chojnacki, *Jawna prasa polskojęzyczna na terenach włączonych do Rzeszy i w Niemczech w latach 1939-1945*, „Dzieje Najnowsze” 1985, R. XVII, nr 1, s. 114.

<sup>3</sup> Tamże, s. 113-114.

<sup>4</sup> „Litzmannstädter Zeitung” 1 XI 1941; 1 VIII 1943; W. Kaszubina, *Notatki o prasie łódzkiej*, „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego” 1968, t. VII, s. 193.



W Łodzi w latach 1939-1941 zniszczono wszystkie pomniki i tablice pamiątkowe. Jako pierwszy uległ wyburzeniu w nocy z 10 na 11 XI 1939 r. najokazalszy w Łodzi – pomnik T. Kościuszki na pl. Wolności. 4 IV 1940 r. zniszczono pomnik S. Moniuszki w parku ks. J. Poniatowskiego. Następnie uległy zniszczeniu pozostałe pomniki, w tym także płyta Grobu Nieznanego Żołnierza.

W początkowym okresie okupacji wszystkie łódzkie muzea zostały zamknięte, a w marcu 1940 r. przejęte przez okupacyjny ZM (z wyjątkiem Muzeum Diecezjalnego). Powstał Główny Zarząd Muzeów Miejskich z siedzibą przy pl. Wolności 14 pod kierownictwem W. Frenzla – niemieckiego archeologa. Do tego budynku przeniesiono też większość zbiorów łódzkich muzeów. Następnie, w styczniu 1941 r. formalnie powołano Muzeum Miejskie z trzema oddziałami: prehistorii, historii i sztuki oraz przyrodniczym. Dyrektorem tego kompleksu muzeów został W. Frenzel, który jednocześnie był kierownikiem Muzeum Prehistorii. Po jego śmierci, w tymże samym roku, komisaryczne kierownictwo Muzeum Miejskiego objął Walter Grünberg przybyły z Poznania, także archeolog i równocześnie kierownik Muzeum Prehistorii. Pełnił tę funkcję do 1943 r. Powołany do wojska zginął na froncie wschodnim 25 VII 1943 r.

Władze niemieckie najwięcej uwagi poświęcały Muzeum Prehistorii, które powstało ze zbiorów archeologicznych przedwojennego Muzeum Etnograficznego. Szczególne zainteresowanie wzbudzały zabytki, które archeologia niemiecka uważała za germańskie, gdyż starano się udowodnić pragermańskość ziemi łódzkiej. Zainicjowano więc prace wykopaliskowe w regionie łódzkim, prowadzono ożywioną działalność oświatową, organizowano także wycieczki na teren wykopalisk. 26 IX 1942 r. została otwarta stała ekspozycja Muzeum przy pl. Wolności 14. Ekspozowano głównie zagadnienia związane z Germanami i Wandalami na ziemiach polskich. Pod koniec wojny część zabytków i księgozbioru tego muzeum wywieziono z Łodzi. Zostały one po wojnie odnalezione na terenie Wielkopolski. Zginęło jednak ok. 60 zabytków archeologicznych.

Muzeum Historii i Sztuki powstało ze zbiorów przedwojennego Muzeum Miejskiego im. Bartoszewiczów. Jego siedzibą był również gmach przy pl. Wolności 14. Gromadzono i zabezpieczano w nim przede wszystkim zabytki sztuki niemieckiej i przedmioty świadczące o niemieckości regionu łódzkiego. Magazynowano także dzieła sztuki zarekwirowane ludności polskiej i żydowskiej, które w części powiększyły jego zbiory. Obrazy i dzieła



sztuki polskiej i światowej były magazynowane bez odpowiedniego nadzoru i grabione przez kierownictwo Muzeum. Część zbiorów sztuki nowoczesnej została z premedytacją zniszczona. Los ten spotkał m. in. ekspresjonistyczne rzeźby Xawerego Dunikowskiego i Zbigniewa Pronaszki. Wiele obrazów malarzy polskich i obcych powiększyło kolekcje niemieckie bądź znalazło się w rękach prywatnych. Część tych zbiorów po wojnie odzyskano. Muzeum nie otworzyło stałej ekspozycji. Natomiast zbiory sztuki niemieckiej prezentowano na publicznych wystawach organizowanych na terenie miasta. Pierwszą wystawę otwarto w końcu grudnia 1940 r. przy pl. Wolności 1 pn. „Niemiecka sztuka na wschodzie”. Prezentowano na niej głównie malarstwo artystów niemieckich mieszkających bądź urodzonych na ziemiach polskich.

Trzeci oddział Muzeum Miejskiego – Muzeum Przyrodnicze – pozostał w swojej przedwojennej siedzibie w parku H. Sienkiewicza. Wszystkie jego zbiory pozostawiono w stanie nienaruszonym i 19 VI 1941 r. udostępniono dla publiczności. Jesienią 1941 r. w wiejskiej szkole w Baryczy n. Grabią Muzeum utworzyło swą stację badawczą. Służyła do prowadzenia badań miejscowej fauny i uzupełniania zasobów muzealnych.

Przedwojenne Muzeum Etnograficzne i Muzeum im. Józefa Piłsudskiego zostały zlikwidowane. Większość zabytków kultur pozaeuropejskich z Muzeum Etnograficznego została sprzedana Muzeum Etnologicznemu w Lipsku. Zbiory etnograficzne z terenu Polski były przenoszone z miejsca na miejsce, rozkradane i celowo niszczone, a resztki bezładnie zmagazynowane przy pl. Wolności 14. Po wojnie odzyskano część zbiorów sprzedanych do Lipska. Ogółem Muzeum utraciło ok. 50% przedwojennych zasobów. Zbiory Muzeum im. J. Piłsudskiego zostały początkowo przeniesione do Muzeum Etnograficznego, a następnie zmagazynowane w budynku przy pl. Wolności 14.

Muzeum Miejskie rozpoczęło także zbieranie pamiątek związanych z gen. K. Litzmannem w celu utworzenia muzeum jego imienia<sup>5</sup>.

Do propagowania niemieckości Łodzi włączone zostało także Archiwum Miejskie zajmujące parter dawnego ratusza przy pl.

---

<sup>5</sup> Archiwum GKBZHP, OKBZNŁ, syg. 24; APŁ, Stł, syg. 135; Stł, Sa, syg. 88; WAPP, Reichsstatthalter, syg. 2608; „Litzmannstädter Zeitung” 6 i 7 I, 26 X 1941; K. Jażdżewski, *Muzealnictwo i ochrona zabytków*, [w:] *Łódź w latach 1945-1960*, Łódź 1962, s. 322-323; T. Łaszczewska, *Straty Miejskiego Muzeum Etnograficznego w Łodzi jako efekt niemieckiej polityki kulturalnej*, [w:] *Łódź w latach...*, s. 102-109; M. Minich, *Szalona galeria*, Łódź 1963, s. 136-139.



Wolności 1. W styczniu 1940 roku został usunięty dotychczasowy kierownik Archiwum Ludwik Waszkiewicz, a jego miejsce zajął łódzki Niemiec Otto Heike. Sprawował tę funkcję do czasu powołania go do wojska w 1941 r. Jego następcą został na krótko Joseph Schwarz. Od 15 XII 1941 r. do końca okupacji kierownikiem Archiwum Miejskiego był Karl Mahr. Obaj byli Niemcami przybyłymi z Galicji.

Archiwum podczas okupacji znacznie zwiększyło zasób akt. Przejęte zostały przede wszystkim dokumenty i materiały zlikwidowanych urzędów, instytucji, stowarzyszeń, szkół, parafii, a także włączonych do Łodzi gmin podmiejskich. Przykładano szczególną wagę do gromadzenia dokumentów stowarzyszeń i szkół niemieckich oraz publikacji i prasy niemieckojęzycznej. Starano się również nadzorować, aby nie uległy zniszczeniu akta fabryk łódzkich, świadczące o ich niemieckich założycielach. Dokumenty te, mające świadczyć o niemieckości Łodzi, były często propagowane na łamach „Litzmannstädter Zeitung”.

Celem pomieszczenia napływających akt Archiwum w 1941 roku przejęło pozostałą część Ratusza, którą dotąd zajmowało Muzeum Miejskie. Organizacyjnie Archiwum podlegało Wydziałowi Kultury ZM, natomiast merytoryczny nadzór nad nim pełniło Państwowe Archiwum (Reichsarchiv) w Poznaniu. W Archiwum obok pracowników niemieckich zatrudnieni byli także Polacy, gdyż było to niezbędne ze względu na znajdujące się w nim i napływające akta w języku polskim. W Archiwum poza gromadzeniem i opracowywaniem akt sporządzano kartotekę Niemców łódzkich. Była to olbrzymia praca, która miała przynieść kolejny dowód niemieckiej przeszłości miasta. Do końca 1944 r., na podstawie Książ Ludności m. Łodzi i gmin podłódzkich, sporządzono ok. 19 tysięcy kart łódzkich Niemców.

W końcu 1943 r. rozpoczęto przygotowania do ewakuacji akt, aby zabezpieczyć je przed działaniami wojennymi. W roku 1944 część najstarszych akt sprzed 1914 r. przewieziono do kościoła w Strykowie, część późniejszych akt umieszczono w innych miejscowościach Kraju Warty. Akta te uległy jedynie nieznacznemu zniszczeniu i prawie w całości zostały po wyzwoleniu przywiezione z powrotem do Archiwum<sup>6</sup>.

---

<sup>6</sup> O. Heike, *Das Stadtarchiv in Lodz insbesondere während der Jahre 1939-1945*, „Zeitschrift für Ostforschung” 1978, Bd. 27, Heft 1, s. 91-111; J. Wasiak, *Zarys dziejów Archiwum Miejskiego w Łodzi*, „Rocznik Łódzki” 1976, t. XXI (XXIV), s. 117-119.



Wszystkie polskie biblioteki i wypożyczalnie książek zostały zamknięte jeszcze podczas zarządu wojskowego. Kierownik Miejskiej Biblioteki Publicznej Jan Augustyniak został aresztowany w grudniu 1939 r., a następnie wysiedlony z miasta. Księgozbiór Biblioteki, po włączeniu książek niemieckich, przeniesiono w 1940 r. do jeszcze niecałkowicie wykończonego nowego gmachu Biblioteki przy ul. Gdańskiej 102, gdzie w większości przetrwał okupację. Zginęły natomiast książki najcenniejsze, które jeszcze przed zamknięciem bibliotek zostały przekazane w ręce prywatne w celu ich ocalenia. Uległy one rozproszeniu bądź przypuszczalnie zostały zniszczone w trakcie licznych wysiedleń i aresztowań Polaków. Z ok. 20 tysięcy woluminów książek i czasopism Centralnej Biblioteki Pedagogicznej ocalało ok. 15 tysięcy.

Znacznemu zniszczeniu uległy książki polskie z wypożyczalni miejskich, bibliotek szkolnych, stowarzyszeń, organizacji społecznych, także ze zbiorów prywatnych. Książki te palono, wywożono na przemiał i tylko część zmagazynowano przy ul. Gdańskiej 102. Zniszczeniu uległa także większość książek polskich, które znajdowały się w księgarniach. Jedynie dzięki akcji ofiarnych księgarzy łódzkich, takich jak Jan Rogoziński, Włodzimierz Pfeiffer i inni, udało się część z nich ocalić. Pracownicy ci, przed wywozem książek z księgarni, rozsyłali je na prywatne adresy bądź ukrywali, a następnie rozprowadzali wśród Polaków, zasiłając m. in. tajne komplety<sup>7</sup>.

Dotychczasowa biblioteka DSBV przy ulicy Piotrkowskiej 86, po remoncie i powiększeniu powierzchni użytkowej, została przekształcona w listopadzie 1940 r. w niemiecką Miejską Bibliotekę Publiczną (Städtische Volksbücherei). Jej kierownikiem został Sigismund Banek, urodzony w 1896 r. w pow. Nieszawa, z wykształcenia nauczyciel, działacz DSBV i poeta. Biblioteka do roku 1943 utworzyła dziesięć swych filii w różnych punktach miasta. Później ich liczba uległa zmniejszeniu. W listopadzie 1944 r. było osiem filii. Z biblioteki głównej wyodrębniono również trzy samodzielne działy: młodzieżowy, naukowy i muzyczny. Dział młodzieżowy powstał w kwietniu 1941 r., a dział naukowy i muzyczny na początku 1943 r. Wszystkie one posiadały swe własne czytelnie. Dział muzyczny został wkrótce przeniesiony do nowego lokalu w

---

<sup>7</sup> J. Rogoziński, *Los książki polskiej i księgarstwa pod okupacją niemiecką w Łodzi*, „Przegląd Księgarski” 1946, nr 5, s. 92-93; H. Walterowa, *Centralna Biblioteka Pedagogiczna*, „Bibliotekarz” 1947, nr 7/8, s. 116; W. Wiczorek, *Biblioteka Publiczna w Łodzi 1917-1957*, Warszawa 1965, s. 63-73.



budynku przy ul. Piotrkowskiej 98, który biblioteka otrzymała w październiku 1943 r. Tam też przeniesiono część zbiorów biblioteki głównej wraz z czytelnią. Księgozbiór biblioteki podczas okupacji znacznie się zwiększył. W końcu 1940 r. liczył ok. 70 tysięcy woluminów, a w końcu 1944 r. (wraz z filiami i działami) – ok. 48 tysięcy, w tym ponad 3 tysiące wydawnictw nutowych. Biblioteka organizowała odczyty, wystawy piśmiennictwa i spotkania z pisarzami. W bibliotece funkcjonowała również wypożyczalnia międzybiblioteczna<sup>8</sup>.

W listopadzie 1939 r. jeszcze dwukrotnie przyjechał do Łodzi na gościnne występy teatr z Wrocławia. Odwiedził także miasto zespół teatru „Variété” z Berlina.

W grudniu 1939 r. został do Łodzi skierowany niemiecki teatr z Tallina, prowadzony przez aktora i reżysera Hansa Hessego (1893-1954). Siedzibą zespołu stał się budynek Teatru Polskiego przy ul. Cegielnianej 27 z widownią na ok. 750 miejsc. Do jego dyspozycji oddano także pomieszczenia Teatru Miejskiego przy ulicy Śródmiejskiej 15, jednak z powodu złego stanu technicznego budynku odbywały się tam jedynie próby. Uroczyste rozpoczęcie działalności niemieckiego Teatru Miejskiego w Łodzi (Theater der Stadt Lodsch, później Theater zu Litzmannstadt) nastąpiło 13 I 1940 r. z udziałem wysokich dostojników hitlerowskich: Wilhelma Stuckarta – sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, prezesa rejencji łódzkiej, nadburmistrza oraz burmistrza w Łodzi. Na inaugurację wystawiono sztukę G. E. Lessinga *Minna von Barnhelm*.

Władze hitlerowskie przykładały dużą wagę do rozwoju łódzkiego teatru, jako placówki mającej być wizytówką niemieckiej kultury miasta. Teatr, zatrudniający początkowo ok. 60 osób, znacznie zwiększył w czasie wojny swój stan osobowy. Przybyli aktorzy i reżyserzy z Rzeszy. Powstał chór i zespół baletowy. Od roku 1941 zaczęto wystawiać operetki, a od 1943 – także opery. Zespół muzyczny teatru stanowili członkowie Miejskiej Orkiestry Symfonicznej. W styczniu 1942 r. w sali Domu Śpiewaków przy ulicy 11 Listopada 21 (występował tam przed wojną niemiecki teatr „Thalia”) uruchomiono drugą scenę (Kammerspiele). Widownia początkowo miała 417 miejsc, a potem 536. Wystawiano tu przeważnie utwory lżejsze, komediowe i rozrywkowe – dla mniej wymagającej publiczności. W roku 1942 teatr zatrudniał

---

<sup>8</sup> APL, StI, syg. 135; StI, Sa, syg. 89; „Litzmannstädter Zeitung” 30 XI 1940; 6 III, 2 IV, 25 X 1943; 3 IV, 6 XI 1944.



214 osób (bez powołanych do wojska), w tym 25 aktorów dramatycznych, 9 aktorów operetkowych, 20 członków chóru i 13 członków baletu. Dyrektorem teatru przez cały czas jego istnienia w Łodzi pozostał H. Hesse. Gościnnie występowało w nim wielu aktorów z Rzeszy i sporadycznie także z innych państw. Przy Teatrze Miejskim istniała szkoła tańca i baletu.

Teatr przygotowywał w każdym sezonie ok. 30 premier (patrz tabela poniżej).

#### Działalność niemieckiego Teatru Miejskiego w Łodzi (1940-1944)

Sezon teatralny	Przedstawienia	Widzowie	Premiery
1940	157	85 597	14
1940/41	330	189 561	28
1941/42	425	242 145	32
1942/43	551	301 837	28
1943/44	572	ok. 300 000	-

Źródło: ZSEA, RMVP, sygn. 389; APL, Stl, Sa, sygn. 91; „Litzmannstädter Zeitung”, 26 X 1944.

Repertuar był dość urozmaicony, lecz preferowano utwory dramaturgów niemieckich. Wystawiano operetki, opery, dramaty, komedie, wodewile, bajki. Z klasyków niemieckich wystawiano m. in. wspomnianą sztukę G. E. Lessinga *Minna von Barnhelm* oraz tego samego autora *Emilię Galotti*, J. W. Goethego *Fausta* i *Clavigo*, F. Schillera *Don Carlosa* i *Intrygę i miłość*, Ch. F. Hebbła *Nibelungów* i *Marię Magdalene*, G. Hauptmanna *Różę Bernd* i *Vor Sonnenuntergang*.

Wystawiano dwa dramaty Maxa Halbego – pisarza niemieckiego urodzonego pod Gdańskiem, w którego pisarstwie przejawiały się tendencje antypolskie. Były to *Młodość* i *Der Strom*. Ze współczesnej dramaturgii niemieckiej wystawiano utwory popularnych w III Rzeszy dramatopisarzy, jak: Heinricha Zerkaulena, Eberharda Wolfganga Möllera i Hansa Johsta. Grano dużo współczesnych niemieckich utworów komediowych.

Z operetek wystawiano m. in. F. Lehara *Paganiniego*, *Hrabiego Luksemburga*, *Wesołą wdówkę*, *Krajinę uśmiechu*, *Frasquitę*; J. Straussa *Barona Cygańskiego* i *Wiedeńską krew*; utwory popularnych współczesnych niemieckich kompozytorów: Freda Raymonda *Maske in Blau*, Nico Dostala *Clivię*, Eduarda Künnecke *Glückliche Reise* i *Vetter aus Dingsda*. Ta ostatnia operetka



cieszyła się w Łodzi największą popularnością, uzyskując rekordową liczbę 34 przedstawień.

Ze światowej dramaturgii wystawiano m. in.: W. Szekspira *Hamleta* i *Miarkę za miarkę*, H. Ibsena *Peer Gynta* i *Norę*, B. Shawa *Pygmaliona* i *Świętą Joannę*, C. Goldoniego *Dziwaka dobroczynnego*. W lutym 1943 r. wystawiono po raz pierwszy operę. Była to *Tosca* G. Pucciniego. Następnie grano jeszcze sześć oper: O. Nicolaia *Wesołe kumoszki z Windsoru*, G. Verdiego *Bal maskowy*, B. Smetany *Sprzedaną narzeczoną*, Maxa von Schillinga *Mone Lise*, d'Alberta *Niziny* i G. Donizettiego *Don Pasquala*.

Liczba przedstawień i widzów systematycznie wzrastała. W pierwszym pełnym sezonie 1940/41 łódzki teatr dał 330 przedstawień, które oglądało ok. 190 tysięcy widzów, zaś w ostatnim sezonie 1943/44 – 572 przedstawienia oglądało ponad 300 tysięcy widzów (tabela). Było to możliwe przede wszystkim dzięki uruchomieniu drugiej sceny. Teatr występował także w wielu miastach wschodniej części Kraju Warty, głównie w rejencji łódzkiej, a także dwukrotnie był w Tomaszowie Mazowieckim, a zatem na terenie GG. Nawet w czasie letniej przerwy odbywały się przedstawienia dla żołnierzy Wehrmachtu.

Do umasowienia teatru przyczyniła się działalność wielu organizacji niemieckich. Zwłaszcza wyróżniła się w tej pracy KdF, wprowadzając abonamentowe bilety ulgowe i organizując zamknięte przedstawienia dla pracowników. Masową widownię organizowały także: NSDAP i jej formacje, Wehrmacht, policja, szkoły. Także Wydział Kultury ZM propagował abonamenty teatralne ze zniżką cen biletów od 30% do 50%. W rezultacie większość przedstawień miała zorganizowaną widownię. Na przykład w sezonie 1941/42 z 425 przedstawień 140 było dla KdF, 49 dla Wehrmachtu, 36 dla partii i jej formacji (HJ, NSF, SS, NSKK), 61 dla posiadaczy abonamentów, a tylko na 139 przedstawień były bilety w wolnej sprzedaży. Polakom na przedstawienia wstęp był zabroniony.

Teatr prowadził rozbudowę obiektu przy ulicy Śródmiejskiej 15. W tym celu przejęte zostały dwa sąsiednie budynki. Planowano również wyburzenie narożnego gmachu przy ulicy Śródmiejskiej i alei Kościuszki, aby zapewnić lepszy do niego dojazd. Prace jednak zostały przerwane latem 1943 r.

Utrzymanie Teatru Miejskiego i prowadzenie prac budowlanych pochłaniało duże sumy, których miasto nie było w stanie pokryć. Toteż teatr otrzymywał subwencje państwowe, np. w roku finansowym 1940 (1 IV 1940 – 31 III 1941) jego wydatki



wyniosły ok. 815 tysięcy marek, z czego 199 tysięcy pokryto z własnych dochodów, 366 tysięcy dało miasto, a 250 tysięcy stanowiło subwencję państwa.

W sierpniu 1944 r. wszystkie teatry w Rzeszy zostały zamknięte. Ostatnie przedstawienia łódzkiego teatru odbyły się 31 sierpnia. Wszyscy jego pracownicy, łącznie z aktorami, których nie powołano do wojska, zostali zatrudnieni w łódzkim przemyśle. W tym dniu zamknięto także dwa istniejące w Łodzi kabarety: „Tabarin” przy ulicy Narutowicza 20 i „Apollo-Variété” przy ulicy Piotrkowskiej 243<sup>9</sup>.

Władze okupacyjne Łodzi przywiązywały też dużą wagę do rozwoju niemieckiego życia muzycznego. Uroczyste otwarcie sezonu muzycznego 1939/40 odbyło się 12 XI 1939 r. w sali Teatru Miejskiego przy ulicy Śródmiejskiej 15. Jednakże przedwojenna orkiestra niemieckiego Związku Muzyków nie mogła wypełnić nowych zadań i została rozwiązana. Utworzenie większej orkiestry symfonicznej zlecono znanemu przed wojną w Łodzi muzykowi i dyrygentowi Adolfowi Bautze<sup>10</sup>. Po ściągnięciu do Łodzi kilkunastu muzyków z Rzeszy i innych miast polskich udało mu się na wiosnę 1940 r. utworzyć Miejską Orkiestrę Symfoniczną. 5 V 1940 r. wykonała ona w hali sportowej oratorium J. Haydna *Pory roku* z udziałem śpiewaków z Berlina i łódzkiego Chóru Mieszanego im. J. S. Bacha.

W końcu października 1939 roku powstał w Łodzi drugi duży Męski Chór Niemiecki, który wchłonał pięć małych rozwiązanych wówczas chórów.

Siedzibą Orkiestry Symfonicznej stał się Pałac Poznańskich przy ulicy Gdańskiej 32, gdyż budynek Łódzkiej Filharmonii przy ulicy Narutowicza 20 został zamknięty i zamieniony na magazyn. Zespół liczył maksymalnie 55 muzyków, wyłącznie Niemców. Pod

---

<sup>9</sup> APL, StI, Sa, syg. 91; ZstA, RMVP, syg. 263, 389; „Litzmannstädter Zeitung” 15 VI 1941; 22 X 1942; 30 VIII, 26 i 27 X 1944; „Wartheland” 1941, Heft 1-7; 1942, Heft 4-6; B. Drewniak, *Teatr i film Trzeciej Rzeszy*, Gdańsk 1973, s. 104, 139; H. Zimniak, *Niemieckie życie muzyczne w tzw. Kraju Warty*, Poznań 1982, s. 126-129 (maszynopis pracy doktorskiej).

<sup>10</sup> A. Bautze ur. 21 XII 1897 r. w Kluczborku. Mieszkał następnie w Prusach Wschodnich. Studiował w Gdańsku i Berlinie. W 1925 r. przybył do Łodzi. W 1934 r. założył niemiecki łódzki Chór im. J. S. Bacha. Dyrygował gościnnie łódzką Miejską Orkiestrą Symfoniczną. W czasie wojny w 1941 r. otrzymał nagrodę muzyczną Poznania. Po wojnie w Niemczech. „Litzmannstädter Zeitung” 3 I 1942; L. Błaszczyk, *Dyrygenci polscy i obcy w Polsce działający w XIX i XX wieku*, Kraków 1964, s. 21-22.



koniec okupacji, z powodu dużych braków osobowych ze względu na pobór do wojska, do orkiestry włączono także kilku Polaków.

Orkiestra była ściśle związana z Miejską Szkołą Muzyczną, którą oficjalnie otwarto 19 XI 1940 r., a faktycznie uruchomiono 2 grudnia także w budynku przy ulicy Gdańskiej 32. Szkoła miała charakter amatorski. Uczęszczała do niej młodzież szkolna i osoby pracujące. W chwili otwarcia miała 19 nauczycieli i 221 uczniów. W następnych latach liczby te rosły, osiągając 1 IV 1944 r. poziom – 32 nauczycieli i 491 uczniów. Jej kierownikiem został Gerd Benoit – niemiecki kompozytor i pianista rodem z Berlina. Na początku roku 1943 powołano go do wojska. Zginął w następnym roku na froncie wschodnim. Jego następcą był Ewald Weiss. Nauczycielami w szkole byli członkowie Orkiestry Symfonicznej. Głównie nauczano gry na fortepianie i skrzypcach, lecz także na mniej popularnych instrumentach, jak fagot, obój, róg, kontrabas, wiolonczela.

Jesienią 1940 r. Miejska Orkiestra rozpoczęła regularne koncerty symfoniczne. Pierwszy odbył się 17 października w hali sportowej. Następne urządzano zwykle w sali Domu Śpiewaków. Od końca 1940 r. w Szkole Muzycznej organizowano koncerty kameralne, często były one poświęcane poszczególnym kompozytorom. Od roku 1941 w sezonie letnim odbywały się na dziedzińcu szkoły tzw. małe wieczory muzyki.

Orkiestra oraz berlińscy soliści i łódzki Chór im. J. S. Bacha wykonali w hali sportowej kilka wielkich dzieł oratoryjnych. Było to, już wspomniane, oratorium J. Haydna *Pory roku* i tego samego autora *Stworzenie świata*, G. F. Händla *Mesjasz*, J. Brahmsa *Ein deutsches Requiem*, J. S. Bacha *Pasja według św. Mateusza*.

Orkiestra dawała też specjalne koncerty na cele charytatywne, dla KdF, młodzieży, rannych żołnierzy w szpitalach. Koncertowała na otwartym powietrzu w parku helenowskim i julianowskim. Wyjeżdżała również na koncerty do innych miast regionu łódzkiego oraz uczestniczyła w dużych imprezach muzycznych w Poznaniu. Często w koncertach Miejskiej Orkiestry Symfonicznej brał udział Chór im. J. S. Bacha, założony w Łodzi w 1934 r. Za działalność na rzecz propagowania niemczyzny otrzymał w roku 1941 nagrodę muzyczną Kraju Warty w wysokości 5 tysięcy marek. Gościnnie występowali bawiący w Łodzi muzycy i dyrygenci z Rzeszy i krajów z nią zaprzyjaźnionych (Japonia, Włochy, Chorwacja, Hiszpania).

W repertuarze Miejskiej Orkiestry przeważały utwory kompozytorów klasycystycznych i romantycznych: L. van Beethovena,



J. Brahmsa, J. Haydna, W. A. Mozarta, H. Pfitznera, F. P. Schuberta, R. Wagnera, C. M. Webera. Często wykonywano także dzieła E. H. Griega, F. Liszta i J. Sibeliusa. W roku 1944 pojawiły się po raz pierwszy w repertuarze utwory F. Chopina. Orkiestra została rozwiązana 31 VIII 1944 r., a większość jej członków zatrudniono w łódzkim przemyśle.

W Łodzi istniały także inne zespoły muzyczne. Eugen Raabe – skrzypek solista Miejskiej Orkiestry Symfonicznej – założył kwartet smyczkowy. Dużą orkiestrę posiadała łódzka Policja Ochronna oraz wojskowy garnizon. Zorganizowano kilka małych orkiestr i kapel przy rozmaitych instytucjach i dużych fabrykach łódzkich. Orkiestra policyjna i wojskowa często urządzały publiczne koncerty na ulicach, placach, w parkach, ogródkach restauracyjnych.

Na występy gościnne do Łodzi przyjeżdżały zespoły z „Wielkiej” Rzeszy, m. in. koncertowały w mieście: orkiestra kameralna z Kolonii, kwartet smyczkowy z Drezna, orkiestra symfoniczna Rzeszy pod dyrekcją Franza Adama, okręgowa orkiestra dolnośląska, wirtemberska orkiestra krajowa, poznański kwartet smyczkowy, śląski kwartet smyczkowy. Odwiedzili Łódź popularni niemieccy kompozytorzy i twórcy operetek: E. Künneke i N. Dostal. Z ich udziałem odbyły się w hali sportowej wielkie imprezy muzyczne.

Już w listopadzie 1939 r. obchodzono w Łodzi po raz pierwszy Dzień Niemieckiej Muzyki Domowej (Tag der Hausmusik). Dzień ten ustanowiono w Rzeszy po dojściu A. Hitlera do władzy w 1933 r. w celu popierania amatorskich grup muzykujących. W Łodzi w tym dniu odbywały się liczne wieczory muzyki kameralnej i pieśni niemieckiej.

Kilku mieszkających podczas wojny w Łodzi muzyków komponowało. Wspomniany już kierownik szkoły muzycznej – G. Benoit – skomponował tutaj koncert na skrzypce i fortepian, kilka utworów instrumentalnych, a także muzykę do pieśni przeznaczonych dla HJ. Jego następca E. Weiss, przesiedleńca z Wołynia, tworzył pieśni i małe formy instrumentalne z zakresu muzyki kościelnej. Pianista Arno Knap<sup>11</sup> skomponował w czasie wojny m. in. sonatę fortepianową, małą sonatę na skrzypce i fortepian, *Ostland Kantate* do wierszy S. Banka. W Łodzi przebywał długi czas także Rudolf Peters, twórca opery *Der Sohn*

---

<sup>11</sup> A. Knap urodził się w 1913 r. w Łodzi, zmarł w 1957 w Lubece. W 1934 r. ukończył Wyższą Szkołę Muzyczną im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Kontynuował naukę w Berlinie (1934-1938). Na początku 1943 r. powołany do Wehrmachtu. Po wojnie osiadł w Lubece. Pracował w szkole muzycznej i prowadził działalność koncertową. H. Zimniak, *Niemieckie...*, s. 177-178.



*der Sonne*, lecz nie stworzył tutaj żadnego znaczącego dzieła muzycznego.

Wyrazem uznania dla osiągnięć łódzkiego środowiska muzycznego było otwarcie w mieście 25 X 1943 r. Zawodowej Szkoły Muzycznej HJ (Gebietsmusikschule der HJ). Była to druga tego typu szkoła w Kraju Warty (po Poznaniu). Jej głównym celem było przygotowanie instrumentalistów dla wszelkiego typu zespołów muzycznych działających w ramach HJ. Do szkoły przyjmowano 14-letnich chłopców, członków HJ, którzy mieszkali w internacie i objęci byli również zajęciami o charakterze paramilitarnym. Nauka miała trwać cztery lata. Szkoła była integralnie związana z Miejską Szkołą Muzyczną<sup>12</sup>.

Po włączeniu miasta do Rzeszy w kinach wyświetlano filmy przeznaczone dla ludności niemieckiej, a więc bez napisów w języku polskim. Uruchomiono dalsze kina; w okresie okupacji ich liczba wzrosła do 14, co stanowiło mniej niż połowę przedwojennej liczby kin w Łodzi. Czynne kina dysponowały ok. 8 tysiącami miejsc. Były to następujące kina (w nawiasie nazwa przedwojenna, o ile uległa zmianie): „Casino” ul. Piotrkowska 67, „Capitol” ul. Zawadzka 16, „Europa” ul. Narutowicza 20, „Rialto” ul. Przejazd 1, „Palast” („Palace”) ul. Piotrkowska 108, „Deli” potem „Adler” („Stylowy”) ul. J. Kilińskiego 123, „Corso” ul. Legionów 2, „Gloria” („Przedwiośnie”) ul. Żeromskiego 74, „Mai” („Rakieta”) ul. Sienkiewicza 40, „Mimosa” („Mimoza”) ul. Kilińskiego 178, „Muse” w Rudzie Pabianickiej, „Palladium” ul. Napiórkowskiego 16, „Roma” („Nasze”) ul. Rzgowska 84, „Turm” („Metro”) ul. Przejazd 2.

W repertuarze kin przeważały zdecydowanie filmy niemieckie. Do rzadkości należały filmy wyprodukowane w krajach sojuszniczych III Rzeszy. Od stycznia 1943 r. w kinie „Turm” wyświetlano filmy non stop od 10.00 do 22.00. Były to najnowsze kroniki tygodniowe, filmy oświatowe i sportowe.

Liczba widzów w łódzkich kinach wykazywała tendencję rosnącą. W roku 1940 odwiedziło je ok. 2 mln osób, a w 1944 – ok. 5,8 mln. Nie było oficjalnego zakazu wstępu do kin dla Polaków. Jednakże, jak wynika ze wspomnień łódzian, Polakom zabroniono wstępu do czterech najbardziej luksusowych kin położonych w centrum miasta: „Capitol”, „Casino”, „Europa” i „Rialto”.

<sup>12</sup> APL, StI, syg. 135; WAPP, Reichsstatthalter, syg. 2603; „Litzmannstädter Zeitung” 1940-1944; „Wartheland” 1941, Heft 5, 6; *Państwowa Filharmonia w Łodzi 1915-1975*, Łódź 1975, s. 68; H. Zimniak, *Niemieckie...*, s. 139-140, 154-157.



Ponieważ Polacy rzadko chodzili do kina, można stwierdzić, iż film stał się masową rozrywką dla Niemców. Zdołano to osiągnąć poprzez niskie ceny biletów<sup>13</sup>, zwiększenie liczby seansów, a także organizowanie seansów bezpłatnych<sup>14</sup>.

Łódzka radiostacja, uruchomiona w czasie zarządu wojskowego, emitowała programy rozgłośni berlińskiej i wrocławskiej. Od stycznia 1940 r. przez kilkanaście tygodni nadawała kilka godzin dziennie własny program. Były to prawie wyłącznie audycje muzyczne przeznaczone dla części polskich terenów włączonych do Rzeszy i GG. Następnie emitowała jedynie programy innych rozgłośni, głównie wrocławskiej i poznańskiej. Od wiosny 1943 r. rozgłośnia w Poznaniu zaczęła realizować programy poświęcone Łodzi. W tymże roku przyjęła oficjalną nazwę – Rozgłośnia Poznań-Łódź<sup>15</sup>.

W wyniku konfiskaty odbiorników radiowych Polakom i Żydom znacznie zmalała na początku okupacji liczba abonentów radiowych w Łodzi. 1 V 1940 r. zarejestrowano w mieście 8763 posiadaczy odbiorników radiowych, podczas gdy w roku 1936 było ich ponad 32 tysiące. W następnych latach liczba abonentów rosła stosunkowo szybko, przekraczając w roku 1944 stan 30 tysięcy. Wskaźnik liczby odbiorników radiowych na jednego Niemca w Łodzi niewiele odbiegał od dużych miast niemieckich. W roku 1944 na 100 Niemców w Łodzi przypadają 22 odbiorniki, podczas gdy w dużych miastach Rzeszy w 1941 roku wskaźnik ten wynosił 24 odbiorniki. Zatem niemal każda rodzina niemiecka w Łodzi pod koniec okupacji posiadała odbiornik radiowy. Upowszechnienie radia było rezultatem celowej polityki władz hitlerowskich, zdających sobie sprawę z jego dużego oddziaływania propagandowego. Czynnikiem ułatwiającym umasowienie radia w Łodzi była sprzedaż po niskiej cenie ludności niemieckiej odbiorników skonfiskowanych Polakom i Żydom<sup>16</sup>.

W Łodzi organizowano także wielkie, trwające kilka dni, imprezy kulturalne. Pierwsza z nich odbyła się w ramach obchodzonych w roku 1941 dni kultury wschodnioniemieckiej. Imprezy z nimi związane odbywały się w dniach 9-30 III 1941 r. Zainau-

---

<sup>13</sup> Ceny biletów w kinach premierowych wynosiły w zależności od miejsca od 0,70 do 1,10 mk. W pozostałych kinach były o 0,10 lub 0,20 mk niższe. Dzieci do lat 14 miały zniżkę 50%. „Litzmannstädter Zeitung” 29 XI 1940.

<sup>14</sup> APL, StI, Sa, syg. 91; 93/III; AZEUŁ, Materiały..., syg. 3709; „Litzmannstädter Zeitung” 29 I 1943.

<sup>15</sup> „Litzmannstädter Zeitung” 3 III 1940; 18 IV 1943.

<sup>16</sup> APŁ, StI, Sa, syg. 3, 76, 90.



gurowane zostały otwarciem 9 marca wielkiej wystawy w gmachu szkoły włókienniczej przy ulicy Żeromskiego pn. „Wschód Kraju Warty”. Przedstawiono na niej wkład Niemców w rozwój Łodzi i okręgu oraz plany rozwoju miasta jako głównego ośrodka kultury niemieckiej na wschodzie. Otwarcia wystawy dokonał A. Greiser. Tego samego dnia ukazał się 48-stronicowy dodatek do „Litzmannstädter Zeitung” poświęcony niemieckiej przeszłości regionu łódzkiego. W ramach obchodów tych dni odbywały się w mieście koncerty z udziałem zespołów i solistów z Rzeszy, uroczyste prezentacje nowych filmów, przedstawienia teatralne, w których gościnnie występowali aktorzy spoza Łodzi.

W Miejskiej Bibliotece zorganizowano wystawę piśmiennictwa niemieckiego dotyczącego wschodu ówczesnej Rzeszy. Odbywały się także odczyty i apele polityczne. Na zakończenie dni w Teatrze Miejskim odbyło się uroczyste prawykonanie *Ostland Kantate* A. Knapa do wierszy S. Banka<sup>17</sup>.

Łódź miała jednak ambicje mieć swą własną wielką imprezę kulturalną. Toteż już we wrześniu 1941 r. zorganizowano łódzkie dni kultury pn. „Die Ostfanferen rufen”. Zainaugurowano je 21 września imprezą polityczno-propagandową w obozie dla przesiedleńców niemieckich w Wiśniowej Górze. Przemawiał na niej F. Übelhör, a jej hasłem było: „Lud nosicielem kultury”. Przez osiem dni odbywały się w Łodzi koncerty, uroczyste prezentacje filmów, wieczory autorskie.

W Łodzi gościnnie występowało wielu śpiewaków, artystów sceny, kompozytorów i muzyków, m. in. włoski skrzypek Leo Petroni i hiszpański wiolonczelista Gaspar Cassado. Otwarto wystawę rzeźby i plastyki studentów pracujących na wschodzie. Na zakończenie dni 28 września odbył się na ulicach miasta wielki capstrzyk Wehrmachtu<sup>18</sup>.

Następne łódzkie dni kultury zorganizowano 18 IX – 1 X 1942 r. Zainaugurowały je otwarte zebrania partyjne w dzielnicach. Podczas dni organizowano koncerty rozmaitych zespołów w zakładach pracy, na placach i w parkach. Odbyły się łódzkie premiery trzech nowych filmów niemieckich. Otwarto wystawę obrazów Otto Pipela i plastyki Marty Kronig, którzy tworzyli w Monachium, ale urodzili się w Łodzi. Teatr Miejski dał premierę *Zbójców* F. Schillera, a na scenie kameralnej odbyła się premiera tańca solowego w wykonaniu dwóch łódzkich tancerek. Na

<sup>17</sup> „Litzmannstädter Zeitung” 7, 8 i 9 III; 11 V 1941.

<sup>18</sup> „Litzmannstädter Zeitung” 22-29 IX 1941.



zakończenie dni kultury Miejska Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją F. Adama dała dwa koncerty w hali sportowej<sup>19</sup>.

Były to drugie i zarazem ostatnie dni kultury w Łodzi, gdyż w latach 1943 i 1944 nie organizowano już tego typu imprez.

W Łodzi, poza wymienionymi już muzykami, mieszkało i tworzyło kilku innych artystów niemieckich. Należeli do nich: malarz i rzeźbiarz Herbert Schindler urodzony w roku 1907 w Sompolnie na Kujawach, malarz Kamil Preis mieszkający w Rudzie Pabianickiej, graficy i rysownicy – Hubert Blisch i Eugen Jeschke, malarz Eugen Köppler urodzony w roku 1908 w Bukowcu niedaleko Łodzi. Na początku okupacji mieszkał w Łodzi malarz i grafik Friedrich Kunitzer urodzony w roku 1907 w Przedeczu na Kujawach. Wiersze pisał – wspomniany już kierownik Miejskiej Biblioteki – S. Banek. Jego poezja była nasycona niemieckim szowinizmem i uwielbieniem A. Hitlera<sup>20</sup>.

Koordinacją działań w zakresie kultury, a zarazem nadzorem życia kulturalnego miasta, zajmował się utworzony w roku 1941 specjalny sztab o nazwie Kreiskulturring. Na jego czele stał nadburmistrz miasta, a w jego skład wchodziłi przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych oraz kierownicy placówek kulturalnych. Mocą rozporządzenia A. Greisera z 29 VI 1942 r. w ręce tych sztabów przeszło kierownictwo wszelką działalnością kulturalną w Kraju Warty. Placówką naczelną dla całego okręgu był Sztab Kulturalny Kraju Warty (Kulturring Reichsgau Wartheland)<sup>21</sup>.

<sup>19</sup> „Litzmannstädter Zeitung” 13 IX 1942.

<sup>20</sup> A. Kagel, *Litzmannstadt und seine bildenden Künstler*, „Litzmannstädter Zeitung” 16 III 1941. Z wymienionych twórców znane są późniejsze losy jedynie niektórych. F. Kunitzer w latach 1941-1944 był na froncie wschodnim. Po wojnie osiadł w byłej RFN. S. Banek zaginął podczas ucieczki z Łodzi w styczniu 1945 r. „Jahrbuch Weichsel-Warthe” 1957, Bd. III, 1961, Bd. VII; 1976, Bd. XXII; E. Jeschke, powołany do armii na front wschodni, stracił prawą rękę. Powrócił do Łodzi w 1943 r. i nadal wykonywał ilustracje dla „Litzmannstädter Zeitung”, tamże, 1/2 I 1944.

<sup>21</sup> „Litzmannstädter Zeitung” 7 IX 1941; 25 X 1942.



Janusz Kozłowski

## Obóz dla Romów w Łodzi podczas hitlerowskiej okupacji

Martyrologia Romów, z różnorodnych przyczyn, jest znacznie mniej znana, niż Żydów i innych narodów europejskich w czasach II wojny światowej. Zachowało się też bardzo mało wiadomości o obozie cygańskim utworzonym z wydzielonej części getta łódzkiego (obejmował obszar o powierzchni 19 117 m<sup>2</sup>).

Zigeunerlager in Litzmanstadt okalały ulice: Brzezińska (obecnie Wojska Polskiego), Głowackiego, Towiańskiego (Obrońców Westerplatte), Starosikawska.

Odizolowany został niezwykle hermetycznie od świata zewnętrznego i styku z gettem. Obawiano się bardzo jego destruktywnego wpływu. Początkowo oprócz podwójnych zasieków z drutu kolczastego, wykopany został głęboki rów wypełniony wodą. Później zlikwidowano go, ponieważ groził zawaleniem się przylegających domów, gdzie umieszczeni zostali Romowie. Okna od strony cygańskiej i żydowskiej musiały zostać przymusowo zabite deskami. Wokół stały posterunki złożone z hitlerowskiej tzw. Policji Ochronnej. Od strony getta pilnowała dostępu Żydowska Służba Porządkowa.

Transporty Romów przybywały do Łodzi na stację Radogoszcz od 5 do 9 listopada 1941 roku. Każdy, z wyjątkiem ostatniego liczył 1000 osób. Łącznie ponad 5000. Przeznaczono dla nich 4 budynki pozbawione najbardziej elementarnych sprzętów i podstawowego wyposażenia. Jedzenie na początku sprowadzono z getta. Brak było nawet dostatecznej ilości misek i łyżek.

Antoni Galiński pisze w pionierskiej, jedynej pracy o obozie cygańskim w Łodzi, że „w chwili przybycia Cyganów do obozu nie było w nim faktycznie żadnych obiektów nieodzownych dla jego funkcjonowania. Brakowało kuchni, łaźni, izby chorych, a nawet



latryn... „(cenne, oparte na materiale źródłowym opracowanie Antoniego Galińskiego, kilkakrotnie przedrukowywano, ostatnio zostało zamieszczone w książce *Obozy hitlerowskie w Łodzi* (Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi, Instytut Pamięci Narodowej, Łódź 1998. Praca zbiorowa pod redakcją Albina Głowackiego i Sławomira Abramowicza). Niektóre urządzenia budowano dopiero na przełomie listopada i grudnia 1941 r. Dodajmy, że robione w pośpiechu, były straszliwie prymitywne.

Przypuszczam, że na obóz dla Cyganów nieprzypadkowo wybrano Łódź. Zdecydowały o tym, moim zdaniem, dwa zasadnicze względy. Można było tutaj, na terenach włączonych do Rzeszy Niemieckiej, zasiedlonych Niemcami bałtyckimi, położonych z dala od świata zachodniego, najlepiej ukryć straszliwe zbrodnie ludobójstwa. Wsiedlenie Romów zbiegło się również z niedalekim utworzeniem ośrodka natychmiastowej zagłady w Chełmnie nad Nerem, położonym w odległości 70 km od Łodzi, z dogodnym dojazdem i doskonale zamaskowanego, gdzie większość z nich, podobnie jak Żydzi, zginęła straszliwą męczeńską śmiercią w specjalnie do tego celu przygotowanych samochodach – komorach gazowych.

Niemcy – po zagrabieniu Romom wszystkich kosztowności, biżuterii, złota sygnetów, ogromnej wartości, trudnej obecnie do oszacowania – eksploatowali ich do ostatnich granic jako siłę roboczą. Wykorzystywali w sposób niemiłosierny liczne rzemieślnicze uzdolnienia Romów, np. kotlarskie.

Żydzi przebywający w getcie, w pobliżu obozu cygańskiego, mieli słyszeć, przez pewien czas, dobiegającą z niego, przeszywającą bólem serce, grę na tradycyjnych skrzypcach i innych instrumentach. Później Niemcy mieli nawet tego Romom zabronić i muzyka cygańska w tych diabolicznych warunkach ucichła. Dochodziły tylko straszliwe jęki torturowanych i bestialsko maltretowanych Romów.

Przede wszystkim hitlerowscy zbrodniarze zlikwidowali, uśmięrcili cygańskie dzieci. Znany cyganolog – Jerzy Ficowski przytacza w książce *Cyganie na polskich drogach* (Wydawnictwo Literackie, wyd. II, Kraków 1965) wstrząsającą relację Abrama Rozenberga, grabarza w czasie okupacji na cmentarzu żydowskim w Łodzi:

„Rozpoczęły się wywózki zabitych Cyganów na nasz cmentarz. Wozili 3 do 4 razy dziennie. Za jednym razem wywozili 8 do 10 trupów, między którymi były i dzieci, i starcy. Moja praca



polegała na wyjmowaniu zwłok z wozu i zakopywaniu ich. Za-uważyłem, że wszyscy niemal byli z maltretowani, a u niektórych były znaki na szyi świadczące o tym, że byli oni wieszani. Po dokładnym zbadaniu tej sprawy dowiedziałem się, że codziennie zajeżdżało do nich kripo, które kazało Cyganom wieszać swoich bliźnich. Wieszanie odbywało się w kuźni przy ul. Brzezińskiej 84/1 (obecnie Wojska Polskiego – J. K.), a obecni przy tym byli Niemcy z kripo (...) Pochowani zostali Cyganie (...) na polu P IV lub P V. Najpierw chowano ich we wspólnej mogile w trumnach, po kilka osób w jednej. Ale kiedy zaczęto przywozić coraz więcej zwłok, nie starczyło desek na trumny. Było dużo trupów zmasakrowanych, pobitych, z powyłamywanymi nogami i rękami. Widocznie stawiali oni opór...

Było to na jesieni (...). Z rana o 9 do 10 przyjechał wóz, ja i inni pracownicy wyjęliśmy tę skrzynię, w której były trupy, i w tym momencie usłyszeliśmy kwilenie (...) Wypadło małe dziecko cygańskie. Rzuciło się w konwulsjach. Przeciąłem szczyrykiem sznurek, który jeszcze miało na szyi. Dziecko przez pewien czas jeszcze się rzucało i w końcu całkiem odzyskało przytomność.

My, robotnicy, co byliśmy tam, radziliśmy jak dziecko przechować, ale w tej chwili nadszedł komisarz cmentarza (...) z szefem więzienia (...) i kazali dziecko wziąć z powrotem do getta i do szpitala. Ale zaraz kontaktowali się z kripo i ci odebrali dziecko ze szpitala. Następnego dnia dziecko, już martwe zostało przywiezione na cmentarz. Zamordowali je bestialsko. Była to dziewczynka lat 3 do 4”.

W tych anty-sanitarnych warunkach, o których pisaliśmy, musiało dojść do wybuchu epidemii tyfusu. Wezwano wówczas lekarzy żydowskich z getta. Jednym z nich był Arnold Mostowicz, który pozostał jedynym świadkiem rozgrywającej się tragedii cygańskiej. Opisał ją m. in. w zbeletryzowanych wspomnieniach *Żółta gwiazda i czerwony krzyż* (PIW, Warszawa 1988). Konkludował:

„Warunki, w jakich żyli w getcie łódzkim Żydzi, były straszne. Ale co powiedzieć o obozie dla Cyganów? W tych 3 czy 4 kamienicach mogło się znajdować nie więcej niż sto dwadzieścia, sto pięćdziesiąt niewielkich izb. A izby te pomieścić musiały kilka tysięcy ludzi. Pomieścić? Przecież tutaj ci ludzie mieszkali, jedni chorowali... Większość Cyganów nie ruszała się prawdopodobnie ze swoich legowisk (...).

Podszedłem do chorego z dolnej pryczy po lewej stronie. Był nieprzytomny i miał wysoką gorączkę. Wystarczyło odchylić mu



koszulę na piersiach, aby postawić szybko diagnozę. Nie ulegało wątpliwości, że to tyfus plamisty (...).

Podobno możliwość rozprzestrzeniania się zarazków tyfusu na „aryjską” część miasta przyspieszyła ostateczną likwidację obozu cygańskiego. Ci z nich, którzy nie zginęli na miejscu, przewiezieni zostali do ośrodka natychmiastowej zagłady w Chełmnie nad Nerem, gdzie dopełnił się ich los.

Długi czas utrzymywały się pogłoski, że w łódzkim obozie dla Romów nie byli osadzeni Cyganie, lecz przedstawiciele innych bałkańskich narodowości.

Jakub Poznański pisał nawet w *Pamiętniku z getta łódzkiego*, że: „Według wiarygodnych informacji nie zamieszkiwali w nim bynajmniej Cyganie. Więziono tam głównie naukowców i artystów – Węgrów, Serbów, Chorwatów itd. – wraz z żonami i dziećmi. Po nich to zostało dużo instrumentów muzycznych. Może dlatego nazywano ich Cyganami?”

Jeden z nielicznych znawców problemu, wspomniany już Antoni Galiński, wypowiedział się autorytatywnie w tej kwestii:

„Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wśród więźniów obozu była pewna grupa nie-Cyganów, jako że hitlerowcy określeniem Cyganie obejmowali oprócz Cyganów (Zigeuner) także mieszkańców cygańskich (zigeunermischlinge) i osoby, koczujące według zwyczajów cygańskich (nach zigeunerart umherziehende Personen). Zdecydowana większość mieszkańców obozów co wynika bezspornie ze sprawozdania policji ochronnej z 13 listopada 1941 r., była jednak narodowości cygańskiej i pochodziła z Burgenlandu. Jest to kraj związkowy w Austrii graniczący z Węgrami”.

Jerzy Ficowski uważa, „że pojęcie cygańskości Niemcy mogli rozciągać na wszelkich włóczęgów, cyrkowców, wędrownych aktorów i inne – według hitlerowskiej terminologii – tzw. „społeczne elementy”.

Obóz cygański w Łodzi został zlikwidowany najprawdopodobniej 12 stycznia 1942 roku.



Konrad Frejdlich

## Płacz nad rozlanym mlekiem – supermarkety w Łodzi

Supermarkety to dziś gorący temat, prowokujący polityków i dziennikarzy do dyskusji i polemik w mediach, a zagrożone środowisko drobnych kupców do ulicznych protestów. Ten amerykański wynalazek, który trafił do nas za pośrednictwem międzynarodowych konsorcjów handlowych z zachodniej Europy, wszedł przebojem do Polski zaskakując wszystkich rozmachem i zdolnością ekspansji. Jest to bowiem najprostszy i najtańszy sposób, aby niezbywalną w inny sposób ogromną masę towarową wcisnąć do koszyka klienta, wmówiwszy mu przy tym, że robi dobry interes. Agresywny marketing, ogromne sumy wydawane na reklamę prasową i własne katalogi produktów rozsyłane po domach, specjalne, gratisowe linie autobusowe dowożące potencjalnych nabywców pod sklep, parkingi dla zmotoryzowanych, promocje i posezonowe wyprzedaże połączone z obniżką cen, konkursy z nagrodami i degustacje – wszystko to, do niedawna, było jeszcze nowe nawet dla mieszkańców dużych miast, którzy zachłysnęli się bogactwem oferty. Po handlowym ubóstwie lat osiemdziesiątych, kiedy reglamentowane były nawet podstawowe artykuły spożywcze, a inne „zdobywało się” wystając w kilometrowych społecznych kolejkach, powiało u nas nagle sytym Zachodem. Pod względem tej obfitości należymy już od pewnego czasu do Unii Europejskiej, grubo przed polityczną decyzją „piętnastki” o przyjęciu nas do wspólnoty.

W pierwszych supermarketach, ze względu na ilość chętnych, zakupy były bardziej uciążliwe niż w tradycyjnej sieci handlowej. Ludzie wystawali w kolejkach po wózek, aby wejść do tego „sezamu”, a później, po szturmie na półki, ogołacane z



wszelkich dóbr jak po przejściu szarańczy, cierpliwie czekali przy kasie na uregulowanie rachunku. Ale stosunkowo szybko przybywały kolejne obiekty i dziś tłoczno jest tylko podczas otwarcia nowej placówki czy raczej, ze względu na rozmiary tych przedsięwzięć, handlowej fortecy.

Jest to dziś już prawdziwy wyścig w międzynarodowej konkurencji, gdzie jednak najwyraźniej nie widać zawodników gospodarzy, chociaż pionierami wysoko zorganizowanego handlu w Łodzi nie byli cudzoziemcy, tylko rodzimi kupcy. Niestety, kapitału wystarczyło na ledwie dwa sklepy ABC, z których jeden ulokował się w specjalnie zaadaptowanym budynku pofabrycznym przy ul. Zgierskiej, drugi zaś w pomieszczeniach zlikwidowanego kina przy ul. Franciszkańskiej. Przykład nie znalazł naśladowców, ponieważ właściciele sklepów przy Piotrkowskiej, wyczerpani finansowo morderczymi przetargami, organizowanymi przez władze gminy na początku transformacji, zlekceważyli nadciągające niebezpieczeństwo. Zapewne i jednym, i drugim zabrakło wyobraźni, ale wówczas wszystko działo się bardzo szybko. Kupcy działali przecież w starych, zupełnie nie przystających do nowej sytuacji strukturach. Dość powiedzieć, że ich najliczniejszą reprezentacją było Wojewódzkie Zrzeszenie Handlowców, Usługowców i Gastronomików, którego szyld jednoznacznie wskazywał na swoje pochodzenie z poprzedniej epoki. Wkrótce pojawiły się, co prawda, kupieckie stowarzyszenia, aby lepiej chronić własne interesy, były to jednak raczej związki o charakterze towarzyskim, skupiające na przykład właścicieli sklepów z jednej ulicy, nie zrodziły się natomiast organizacje o charakterze kapitałowym, aby podjąć wspólne przedsięwzięcie inwestycyjne.

A czas nieubłaganie uciekał na utarczkach z władzami samorządowymi o wysokość czynszów, o odzyskanie wyłożonych nakładów, bez żadnej umowy gwarantującej przynajmniej częściowy ich zwrot, na walce o minimum praw do wynajmowanego lokalu, bo nawet ze zwycięzcami przetargów miasto zawierało umowy na czas nieoznaczony, dziecinnie proste do rozwiązania. Wielu użytkowników lokali w strefie śródmiejskiej, których remont pociągnął za sobą dorobek całego ich życia, doświadczyło na własnej skórze „dobrodziejstw” takich regulacji, kiedy z dnia na dzień, w majestacie prawa, znaleźli się na bruku. Toteż kiedy nadciągnęło rzeczywiste niebezpieczeństwo, kupcy łódzcy nie byli przygotowani, a tym bardziej zdolni do odparcia ataku. Nie znaleźli też obrońców czy choćby tylko protektorów ani w lokalnym samorządzie, ani w administracji państwowej. I jest to nawet zrozu-



miałe, bo władze cieszył napływ obcego kapitału, potwierdzający atrakcyjność inwestycyjną regionu.

Pierwszym wysokogabarytowym obiektem handlowym wzniesionym w Łodzi przez obcy kapitał była hurtownia „Macro Cash and Carry” zlokalizowana w rejonie ul. Kasprzaka. Prostej, pudełkowej konstrukcji pawilon o nie spotykanej dotąd powierzchni ponad 17 tys. metrów kw., wyposażony w znaczną, choć niewystarczającą ilość miejsc do parkowania, zrazu wzbudził entuzjazm, zarówno władz, które miały namacalny dowód inwestycyjnego zainteresowania Łodzią przez cudzoziemców jak też środowiska drobnych detalistów, zaopatrujących się dotychczas na targowisku „Zjazdowa”, uragającym najprostszym zdobyczem cywilizacyjnym.

Już sama nazwa firmy, akcentująca proste i zrozumiałe kapitalistyczne wezwanie „Cash & Carry”, czyli płać i bierz, mówiła o gwałtownym przeobrażeniu rynku, na którym nagle pojawiła się obfitość towarów. Wszechobecny wcześniej handel chodnikowy, realizowany przez detalistów wyjeżdżających po zaopatrzenie z walizkami do Niemiec, niemal z dnia na dzień stracił rację bytu. W obiekcie przy Kasprzaka, którego półhurtowa oferta adresowana była przede wszystkim do niewielkich firm, kusily dziesiątki tysięcy rodzajów towaru do dalszej odsprzedaży.

Kto mógł wówczas przypuszczać, że jest to jaskółka czyniąca wiosnę i że za Holendrami przywędrują tu Austriacy, Niemcy i Francuzi? Miejscowy handel znajdował się wciąż w takim stadium zapóźnienia organizacyjnego, że nie od razu uzmysłowił sobie zagrożenie wielkiego, zagranicznego kapitału. To właśnie wtedy, na początku lat dziewięćdziesiątych, pozbawieni prawdziwego przywództwa, gdyż odziedziczone po poprzedniej epoce struktury organizacyjne okazały się niewydolne, kupcy łódzcy przegrali z zagranicznymi korporacjami. Nie byli zdolni włączyć się do wyścigu o atrakcyjne lokalizacje, ani tym bardziej wznosić własnymi siłami nowe, wielkie obiekty handlowe. Bo tymczasem, za rządów Unii Wolności w Łodzi, pojawiły się już w mieście pierwsze supermarkety.

Konieczność liczenia się z własnym elektoratem sprawiła jednak, że samorządowe władze Łodzi postanowiły nadciągający boom inwestycyjny ująć w jakiejś czytelnej reguły. Powstało wówczas wiele papierowych uchwał, gdyż decyzje Rady Miejskiej i Zarządu Miasta Łodzi wkraczały w sferę, gdzie tak naprawdę nie funkcjonowała jurysdykcja samorządu. Nie było całkiem jasne, które grunty stanowią własność gminy, a które należą do skarbu



państwa. Poza zasięgiem tych uchwał pozostawały także wcale niemałe tereny prywatne, zwłaszcza na obrzeżach Łodzi, gdzie uprawiano tradycyjne płody rolne. Miasto, rozszerzając się, przyłączało przecież podłódzkie wsie. Nawet działki skomunalizowane nie miały często pewnego tytułu prawnego, gdyż w minionej epoce wywłaszczenia na rzecz instytucji państwowych niezadko przeprowadzano z naruszeniem obowiązujących przepisów, a w nowych warunkach ustrojowych trzeba było te nieprawidłowości naprawiać. Ewidencja gruntów wykazywała rażące luki, nie mówiąc już o tym, że nie odzwierciedlała aktualnych stosunków własnościowych. Podobne zaniedbania cechowały wpisy do ksiąg wieczystych, a wiele nieruchomości nawet ich nie posiadało.

Co prawda stosunkowo szybko Łódź dorobiła się ogólnego planu zagospodarowania przestrzennego, a więc podstawowego instrumentarium realizowania polityki inwestycyjnej. Wyznaczone zostały w nim obszary przeznaczone na budownictwo mieszkaniowe, rekreację i działalność gospodarczą typu produkcyjnego i usługowego, w tym handel. Plan porządkuje wszystkie tereny miejskie, wprowadzając ład przestrzenny, ma jednak tę właściwość, że po jego uchwaleniu właściwie eliminuje wpływ władz lokalnych na decyzje inwestorów, którzy spełnili zawarte w nim wymagania.

Z tego punktu widzenia poza zasięgiem samorządu pozostała lokalizacja supermarketów, jeśli tylko inwestorzy zdecydowali się budować je na terenach przewidzianych na działalność handlową. Stąd też słuszne skądinąd założenie, aby sklepów o wielkogabarytowej powierzchni nie wpuszczać do centrum, pozostało niewykonalne, bowiem władze miejskie nie mają prawa ingerować tam, gdzie rozciąga się jurysdykcja państwa. Ryzykowałyby bowiem unieważnienie każdej decyzji naruszającej przepisy ustawy o działalności gospodarczej, która żadnych tego typu ograniczeń nie przewiduje.

Nie przstraszyły się tego, co prawda, władze pobliskich Pabianic, które nie wydały zezwolenia na budowę supermarketu wychodząc z założenia, że uruchomienie takiego obiektu naruszy równowagę na lokalnym rynku, pozbawiając dochodów już działających tam drobnych kupców. Sprawa trafiła do Naczelnego Sądu Administracyjnego, do tej jednak pory nie zapadł wyrok, choć wszystko przemawia za tym, że rozstrzygnięcie będzie korzystne dla inwestora. Zwalczaniem monopoli i czuwaniem nad rozwojem konkurencji zajmują się przecież w Polsce specjalnie do



tego przeznaczone urzędy państwowe, nie zdarzyło się jednak dotąd, aby znalazły one powód do interwencji.

Forum Kupiectwa Łódzkiego, które zawiązało się w 1997 r. przed wyborami parlamentarnymi, jednocząc, na zasadach federacyjnych, rozmaite organizacje prywatnych handlowców w mieście, nie osiągnęło głównego celu, jakim miało być uchwalenie Małej Konstytucji Handlu. Przyniesienie takie kupcy otrzymali od ówczesnych, unijnych władz Łodzi, ale najwidoczniej była to deklaracja na użytek zbliżających się wyborów. Bowiem już kilka miesięcy wcześniej, a dokładnie 24 lipca 1997 r., powstał znamieny dokument pn. „Stanowisko Zarządu Miasta Łodzi dotyczące realizowanych inwestycji hiper- i supermarketów na terenie gminy Łódź”. Poprzedzone one zostało specjalnymi badaniami zleconymi przez Wydział Strategii Miasta UMŁ firmie „Blackwood & Partners”, która zauważyła, że „deklaracje prawie pełnej satysfakcji z nasycenia rynku łódzkiego sklepami poszczególnych branż oraz proponowaną w nich ofertą handlową nie są równoznaczne z zamknięciem się na nowe formy handlu, których łodzianie wręcz oczekują”.

Cytuje się tam także badania Państwowej Inspekcji Handlowej, które także wykazały, „że mieszkańcy Łodzi preferują dokonywanie zakupów w dużych obiektach handlowych, z uwagi na możliwość zakupów „pod jednym dachem” szerokiego asortymentu towarów żywnościowych i przemysłowych, łatwość przemieszczania zakupów do własnego środka transportu, dogodne godziny otwarcia, również w dniach wolnych od pracy”. Mówiło się tam także, że zakupy w małych sklepikach preferują osoby starsze i o niskich dochodach, między innymi dlatego, że można tam dostać towary na tzw. krechę. Na temat istniejących w Łodzi bazarów dokument milczy.

W oparciu o te materiały Zarząd Miasta Łodzi przyjął, jako do pewnego stopnia wiążące, kilka zasad lokalizacji supermarketów i hipermarketów na terenie gminy. Przede wszystkim miały one powstawać na obrzeżach miasta, przy trasach wylotowych, aby ich działalność nie kolidowała z istniejącymi już skupiskami obiektów rodzimego handlu.

Robiąc najwyraźniej ukłon w kierunku projektu przekształcenia martwej fabryki Poznańskiego przy ul. Ogrodowej w centrum handlowo-hotelowe zapisano także, że wielkopowierzchniowe obiekty tego typu będą lokalizowane „na terenach wymagających rewitalizacji obiektów zabytkowych wykorzystywanych uprzednio na funkcje przemysłowe”. Dziś ten sam zapis odnieść



można także do kolejnych obiektów pofabrycznych, które na skutek kryzysu gospodarczego, jaki dotknął przede wszystkim branżę włókienniczą, utraciły funkcje produkcyjne.

Zarząd Miasta Łodzi stwierdził wreszcie, że supermarkety wznoszone będą „na terenach uzbrojonych z dogodną komunikacją”. Na temat tego, za czyje środki będzie budowana kosztowna infrastruktura, dokument nie wypowiada się zbyt stanowczo. Zapis: „Zaleca się wymaganie partycypacji finansowej inwestorów w ewentualnej przebudowie układów drogowych i infrastruktury w związku z generowaniem ruchu poprzez powstające duże inwestycje handlowe” – nie brzmi zbyt stanowczo.

Tym bardziej, że w „Stanowisku” Zarządu Miasta zwrócono uwagę przede wszystkim na korzyści, jakie może osiągnąć Łódź z nowych inwestycji, przyjmując jako pewnik kwestionowany przez środowisko kupieckie pogląd, że „dzięki rozwojowi super- i hipermarketów gmina będzie mogła redukować stan obecnego bezrobocia i tworzyć nowe miejsca pracy”.

Nazbyt też optymistyczne, w świetle obserwowanej praktyki, było przekonanie władz samorządowych, że „większość towarów oferowanych do sprzedaży w marketach pochodzić będzie od rodzimych producentów, co pośrednio przyczyni się do wzrostu produkcji i zatrudnienia”. A już do kategorii pobożnych życzeń trzeba zaliczyć stwierdzenie, że „wpływy z podatku od prowadzonej działalności gospodarczej” będą wpływać do kasy gminy, gdyż siedziby zagranicznych inwestorów, z wyjątkiem bodaj „Carrefoura” znajdują się poza Łodzią. Przez władze miasta niewątpliwie przemawiało szczególne chciejstwo, obawiały się przecież, że jeśli to one nie będą dobrymi wujaszkami, inwestorzy znajdą przychylność w miejscowościach satelickich, takich jak Aleksandrów, Zgierz, Pabianice i Konstantynów, i tam będą jeździć łodzianie na zakupy.

Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że w „Stanowisku” zajęto się także sprawą istniejącego już, rozdrobnionego handlu w Łodzi. „Należy dążyć do ochrony rodzimych kupców poprzez wymaganie od inwestorów, aby tworzyli pasażę bądź stoiska dla polskich handlowców w ramach powstających centrów handlowych” – zapisano na wszelki wypadek, choć bardziej to przypomina alibi, niż bezwzględna regułę. Takim listkiem figowym, skrywającym wstydliwą prawdę, było również stwierdzenie, „że władze samorządowe winny wspierać konsolidację środowiska kupieckiego i popierać stowarzyszenia integrujące łódzki kapitał



celem stworzenia warunków konkurencji z zagranicznymi inwestorami np. poprzez organizowanie szkoleń”.

Nie chcę oczywiście dezawuować potrzeby edukacji, ale jak się wydaje, w ciągu kilku lat transformacji, środowisko kupieckie pobrało od samorządu kosztowne korepetycje, na własny, niestety, rachunek i posiadało gorzką wiedzę w tym zakresie.

Świadczy o tym jedno z ich oświadczeń, złożone dziennikarzom, gdzie możemy przeczytać:

*Kupcy i przedsiębiorcy Łodzi z niepokojem obserwują dynamiczny rozwój hiper- i supermarketów na terenie Łodzi.*

*Niepokój ten nie tylko nie odnosi się do samego faktu powstania tych obiektów, ale głównie do polityki stosowanej przez poprzedni Zarząd Miasta Łodzi. Zdajemy sobie sprawę, że rozwój dużych obiektów handlowych jest procesem nieodwracalnym. Niezrozumiała jest jednak dotychczasowa polityka (a właściwie jej brak) władz miasta w tym zakresie. Decyzje zarządu w tym zakresie były podejmowane bez jakichkolwiek konsultacji ze środowiskami realizującymi usługi handlowe w Łodzi.[...]*

*Mamy pełną świadomość, że nie wszystkie obiekty realizowane są na terenach będących w dyspozycji gminy, ale również na terenach innych podmiotów. Nie zmienia to jednak sytuacji, że administracja dysponuje danymi będącymi w dyspozycji np. wydziału geodezji.*

*Funkcjonowanie dużych obiektów handlowych ma bardzo istotny wpływ na funkcjonowanie drobnej sieci usług handlowych świadczonych przez kupców i handlowców oraz drobnych producentów będących mieszkańcami Łodzi.*

*Brak rzetelnych i wiarygodnych informacji dotyczących rozwoju dużych obiektów, ich wielkości, asortymentu sprzedaży itp. w sposób istotny pogarsza sytuację handlowców, gdyż brak tych danych nie pozwala na podjęcie stosownych decyzji związanych ze zmianą asortymentu będącego przedmiotem obrotu, zmianą branży, zmianą profilu działalności bądź jej likwidacją.[...]*

Kupcy twierdzą, że w ostatnich latach wydano w Łodzi zezwolenia na budowę 27 wielkopowierzchniowych obiektów handlowych, co oznacza, że już w niedługim czasie uzyskają one niemal monopolistyczną pozycję na lokalnym rynku. Stało się to za rządów Unii Wolności i Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego, którego spadkobiercy w samorządzie lokalnym nieszczerze podnoszą z tego powodu lament już pod barwą AWS. Niestety, w tym samym okresie wszelkie rodzime inicjatywy inwestycyjne natrafiały na niezrozumiałe bariery, łódzkim kupcom łatwiej było



się dogadywać ze spółdzielniami mieszkaniowymi niż z władzami samorządowymi. To nie przypadek, że niewielkie, niestety, pawilony powstały na Widzewie na osiedlu Batory, że podobne obiekty wznoszone są w rejonie Przybyszewskiego i Tatrzańskiej, a także Rydla i Rydzowej. Miasto wsparło co prawda budowę hal targowych na Zjazdowej, przekazując aportem swój grunt spółce kupieckiej, ale było to długo jedyne odstępstwo od zgoła przeciwnej praktyki lekceważenia rodzimego kupiectwa. Ich projekty miały niewielką szansę, aby się przebić.

Przychylniejsze wiatry powiały dopiero stosunkowo niedawno, po uchwaleniu przez Radę Miejską z dawna oczekiwanego programu rozwoju handlu w Łodzi do roku 2004. Nie jest to, jak stwierdził prezydent Tadeusz Matusiak, dokument doskonały, stanowi jednak zdecydowany postęp we wzajemnych relacjach między ogromnym środowiskiem kupieckim i władzami samorządowymi. Otwiera się także pole do partnerskiego dialogu, gdyż program, wytyczając tylko najważniejsze kierunki działania, będzie musiał być wypełniony konkretnymi decyzjami. Tu oczywiście może „iskrzyć” pomimo powstania specjalnego zespołu do spraw handlu, usytuowanego bezpośrednio przy prezydencie miasta, gdyż nie zawsze te interesy będą zgodne. Nie wiadomo bowiem, czy kupców zadowoli fakt, że wreszcie mają w tym zespole własną reprezentację. Choć można już dziś mówić, mimo wszystko, o wyraźnym postępie. Przecież zapowiedź przekazywania w bezprzetargową piętnastoletnią dzierżawę dotychczasowym użytkownikom terenów na bazarach stanowi prawdziwy przełom, stwarza bowiem możliwości inwestycyjne, których łódzcy kupcy byli faktycznie pozbawieni. Wiele tu zależy jednak od konsolidacji samego środowiska kupieckiego, które musi tworzyć związki o charakterze kapitałowym. Tak jak się to stało na Zjazdowej, a teraz już także na Górniaku. Przykład, na szczęście, okazał się zaraźliwy, bo są już kolejne projekty dotyczące innych, zaniebanych dotąd targowisk. To dzięki zmianie klimatu politycznego w mieście mogą być wreszcie realizowane takie samodzielne inicjatywy kupieckie jak targowisko przy Pl. Barlickiego, nad którym odebrano kontrolę Poleskiemu Porozumieniu Obywatelskiemu, wspomniany już Górniak, Retkińska czy Czerwony Rynek. Od wiceprezydenta Wiesława Walczaka usłyszałem nawet, że zapewniono rodzimym kupcom najlepsze warunki, jakie miasto może zaoferować inwestorom. Kontynuowana jest także rozbudowa Zjazdowej, gdzie powstaje rynek hurtowy z prawdziwego zdarzenia. Na tymże rynku zaopatrują się także supermarkety, zwłaszcza



w owoce cytrusowe, co świadczy już o pewnej symbiozie wielkich zagranicznych podmiotów gospodarczych z łódzkimi kupcami.

Należy oczekiwać także, że zgodnie z postulatami kupieckimi (bardzo aktywna na tym polu okazała się, powstała stosunkowo niedawno Federacja Stowarzyszeń i Organizacji Kupieckich) władze miejskie stworzą system szybkiej informacji o terenach i warunkach zabudowy. Zapewne przy dobrej woli możliwa byłaby sprzedaż działek na inwestycje rodzimych kupców przy stosowaniu jakichś preferencyjnych zasad (na przykład na dość dogodne raty), bo bez tytułu własności trudno oczekiwać, że zdobędą się oni na wielkie przedsięwzięcia kapitałowe. Ma rację członek zarządu miasta, odpowiedzialny od niedawna za sprawę handlu, Mieczysław Teodorczyk, że z hipoteką obciążoną przez poprzedników, nowe władze miasta mogą tylko naprawiać to, co wcześniej zostało zepsute. Takie działania ratunkowe mają jednak zawsze ograniczony charakter, nic więc dziwnego, że podejrzliwe środowisko łódzkich kupców czuje się nie do końca usatysfakcjonowane tym, co osiągnęło.

Spróbujmy jednak spojrzeć na problem supermarketów spokojnie, odrzucając uprzedzenia. Można się wówczas przekonać, że strach ma wielkie oczy, bowiem w świetle dostępnych badań, wielkie korporacje handlowe kontrolują w Polsce zaledwie 13% rynku, trudno więc jest mówić o ich dominacji. Jednak szum propagandowy wokół ich działalności, spektakularne protesty lokalnych kupców, których obroty spadły przynajmniej o tyleż punktów, a zwłaszcza podszyte ksenofobią wypowiedzi niektórych prawicowych polityków sprawiły, że supermarkety stały się prawdziwą kością niezgody. Ci sami ludzie, którzy w świetle jupiterów mają usta pełne pseudopatriotycznych frazesów i wykrzykują oskarżenia o wyprzedaży Polski, wieczorem robią zakupy w zwalczanych przez siebie obiektach. Trochę ze zwykłego wygodnictwa, a trochę także z oszczędności, bo jednak ceny w supermarketach są niższe niż w sklepach osiedlowych, które korzystają z innych źródeł zaopatrzenia.

Chociaż na wielkie obiekty handlowe podejrzliwie spogląda całe środowisko kupieckie, stanowią dziś one prawdziwe zagrożenie przede wszystkim dla drobnych sprzedawców bazarowych, bo targowiska były dotychczas miejscem robienia najtańszych zakupów, chętnie odwiedzanym przez najuboższą ludność Łodzi. Zrozumieli to, zdaje się, bazarowi sprzedawcy, którzy nie tak dawno przez blisko cztery godziny blokowali parking przed supermarketem „Billa”, aby wymusić na władzach miejskich



korzystne dla siebie decyzje. Wybrali zaś dla swojej demonstracji obiekt stosunkowo niewielki, ale w pewnym sensie symboliczny, nie tylko ze względu na centralne położenie w mieście. Bowiem to „Billa” otwiera w Łodzi długą listę zagranicznych inwestycji o przeznaczeniu handlowym, i choć, biorąc pod uwagę gabaryty pawilonu, usytuowanego u zbiegu Kilińskiego i Piłsudskiego, jest ona karzełkiem w porównaniu z takimi gigantami jak położony także w strefie śródmiejskiej „Géant”, obciążona jest grzechem pierworodnym braku jasnej polityki samorządowych władz Łodzi w stosunku do lokalnego kupiectwa. Teraz, gdy coś się pod tym względem zmieniło, zostały już tylko okruchy, bo najsmaczniejsze kęsy zostały dawno rozdane w pionierskich latach funkcjonowania samorządu terytorialnego. Na pociechę pozostaje fakt, że każdy taki obiekt to jednak setki nowych miejsc pracy, co łagodzi nieco narastającą falę bezrobocia. Zmieniły się bowiem nie tylko nasze zwyczaje związane zakupami. Ciężar zatrudnienia w Łodzi przeniósł się niepostrzeżenie ze sfery produkcyjnej do usług. Niewydolny przemysł wyrzuca niemal co tydzień zbędnych ludzi, a niestety dołączają do nich już niedługo także pracownicy służby zdrowia.

Co prawda podejrzliwe środowisko kupieckie ogłasza od czasu do czasu, że jedno nowe miejsce pracy w supermarkecie oznacza utratę pięciu innych w tradycyjnym handlu, ale są to twierdzenia nie poparte żadnymi dowodami.

W świetle dostępnych statystyk ta teza nie znajduje potwierdzenia. Małych sklepów w Łodzi, zarejestrowanych jako firmy osób fizycznych, praktycznie nie ubywa. W 1996 działało ich na lokalnym rynku 12 886, w końcu ubiegłego roku figurowało w spisach 13 430 takich firm, choć nie zawsze były to te same podmioty. Kiedy jedne się zamykają, inne otwierają swoje podwoje, bo walka konkurencyjna wyrzuca na bruk najslabszych, którzy nie sprościli wyzwaniom czasu. Za tą statystyką kryją się czasem wielkie osobiste dramaty, ale takie mechanizmy wpisane są w gospodarkę kapitalistyczną i wszędzie na świecie uważane są za coś normalnego. Przedsiębiorstwa prywatne działają na własne ryzyko i własny rachunek, a rynek bezlitośnie eliminuje tych, którym się nie powiodło. Klienci głosują nogami i chodzą na zakupy tam, gdzie jest taniej albo oferta handlowa jest bogatsza.

Nic dziwnego, że drobny rodzimy handel czuje za plecami oddech zagranicznych, znacznie potężniejszych rywali, których stać na promowanie własnych firm i rozwijanie agresywnego marketingu. Nie ulega też wątpliwości, że stopa zysku małych przed-



siębiorstw handlowych maleje z roku na rok i pozwala już ledwie na przetrwanie, a niejednemu zagląda w oczy widmo bankruc-twa, bo wzrastają jednocześnie koszty w postaci czynszów, ener-gii, transportu czy uzyskiwania koncesji na niektóre towary. Jednak prawdziwym, choć niedostrzegalnym na pierwszy rzut oka zagrożeniem dla drobnych kupców są zresztą nie supermar-kety, o których wciąż głośno, tylko powiązane w sieć sklepy dys-kontowe, oferujące towary najtańsze. One także mają dostęp do atrakcyjnych źródeł zaopatrzenia, mogą dyktować dostawcom surowe warunki, a jednocześnie ponoszą znacznie niższe koszty prowadzenia interesu, obywają się bowiem bez miejsc parkingo-wych, bez barwnych i kosztownych witryn i dekoracji, bez rozbu-dowanej administracji. Nieliczne sieci sklepów z polskim kapita-łem, takie jak firma „ABC” czy też „Andre”, walczą o klienta jako-ścią obsługi i dobrą marką towarów, toteż ich sytuacja jest grubo lepsza niż drobnych detalistów, skazanych na siebie. Solidarność kupiecka w Łodzi kończy się najczęściej na deklaracjach natury politycznej. Gorzej jest z łączeniem się we wspólne przedsięwzię-cia ekonomiczne i to nie tylko z braku pieniędzy.

Demonstrowana przez część lokalnej prawicy niechęć do su-permarketów ma, niestety, podłoże ksenofobiczne, maskowane fałszywą troską o polskie podmioty gospodarcze. Tym bardziej, że nie uczyniono nic, aby dać samorządom do ręki prawdziwe in-strumenty, dzięki którym można by chociaż wpływać na lokaliza-cję wielkich obiektów handlowych. Złożony w Sejmie kilka lat temu projekt ustawy regulujący tę sprawę nie został rozpatrzony, bo są pilniejsze sprawy, takie jak walka z pornografią, dekomu-nizacja, lustracja, zakaz, z powodów ideologicznych, handlu w niedziele.

Supermarketów przybywa, w samej Łodzi jest ich już ponoć 19 (a może nawet więcej), bo wciąż otwierane są nowe, znajdując klientów. I to pomimo wyraźnej kampanii prasowej, mającej na celu ich obrzydzenie. Nie mają one dotąd pozycji dominującej na rynku, choć może się to zmienić i dlatego jakieś rozsądne regula-cje prawne, jak jest na Zachodzie, na pewno by się przydały. Jednocześnie w samej tylko Łodzi dzięki supermarketom powstało blisko 4000 nowych miejsc pracy. I to bez naszych nakła-dów, bo pieniądze wyłożyli obcy kapitaliści.

Według danych łódzkich urzędów pracy w ciągu ubiegłego roku utraciło pracę w handlu 49 osób. W tym samym czasie za-trudniono w łódzkich supermarketach 1260 osób (na 2431



skierowanych). Jednocześnie 22 osoby otrzymały pożyczki na działalność gospodarczą.

Obala to mit, że supermarkety odbierają miejsca pracy. Raczej stają się największymi w Łodzi pracodawcami, co wyraźnie potwierdzają statystyki. Inna sprawa, że wykorzystując trudną sytuację na rynku pracy, nakładają na zatrudnionych obowiązki nie mieszczące się w standardach europejskich, słabo też ich wynagradzają. Ale przeciwdziałanie tym zjawiskom to rola PIP i związków zawodowych, które skarżą się, że nie są w supermarketach mile widziane. Kiedy słyszę takie biadolenie z ust działaczy „Solidarności”, zastanawiam się, kto tak naprawdę obalił komunizm. Albo też dobrze opłacany aparat „S” tak bardzo zdeprawowały przywileje, że zapomniał, jakie są statutowe cele działalności związkowej.

Skarżą się także drobni a nawet średni producenci, że markety w coraz szerszym zakresie wprowadzają do sprzedaży towary importowane eliminując krajowe. Jest także tajemnicą polityczną, że wejście do sieci dystrybucyjnej zachodnich supermarketów polskiego wytwórcy wiąże się nie tylko ze sporym, jednorazowym wydatkiem, ale także z koniecznością pogodzenia się z bardzo niekorzystnymi warunkami zapłaty za dostarczony towar, bowiem pieniądze otrzymuje się nierzadko dopiero po trzech miesiącach i... nie ma mocnych. W ten sposób zachodni, bogaty przecież kapitał, otrzymuje od drobnych polskich szaraczków, wymuszone wsparcie finansowe. I to są właśnie sprawy wymagające nowych uregulowań prawnych, na które, co zrozumiałe, samorządy nie mają żadnego wpływu.

Wszczynane z koniunkturalnych powodów co jakiś czas dyskusje o supermarketach przypominają, jako żywo, płacz nad rozlanym mlekiem. Nikt już nie zatrzyma puszczanego raz w ruch mechanizmu i zresztą nie ma takiej potrzeby. Supermarkety trzeba po prostu polubić, choć, jak wszystko na tym świecie, nie łączą się z samym dobrem, przynoszą także istotne zagrożenia. Tylko że należało to przewidzieć przynajmniej kilka lat temu, aby wyeliminować czy ograniczyć społeczne straty, teraz jest już po prostu za późno na wszczynanie zdecydowanych kroków naprawczych.

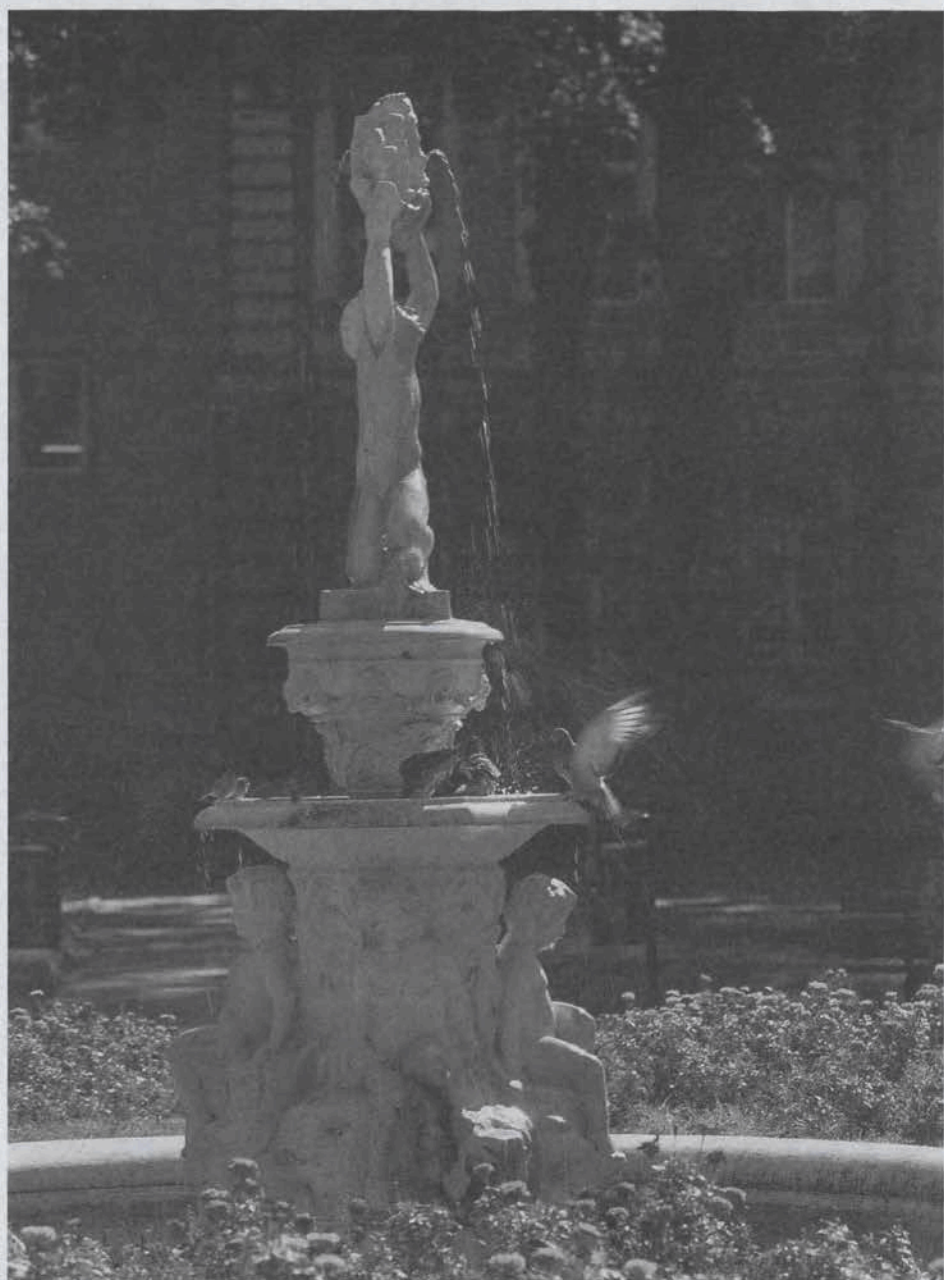
Rodzimemu kupiectwu, które stanęło przed wyzwaniem sprostania konkurencji, na pewno potrzebna jest pomoc organizacyjna, technologiczna i kapitałowa. Tylko czy samorząd, pozbawiony prawdziwych możliwości działania, ze względu na wciąż ułomny system finansowania gmin, będzie mógł sprostać



podobnemu zadaniu, wykraczającemu zresztą poza jego ustawowe kompetencje? Jest to na pewno problem, którym powinno zająć się państwo, choć dotychczasowe poczynania różnych agencji, gdzie bez śladu rozplywa się grosz publiczny, powstrzymują mnie od apelowania o powołanie takiej instytucji, nastawionej na wspieranie handlu. Jeszcze bardziej niedorzeczne wydają mi się opinie, wygłaszane bezkrytycznie przez fałszywych „obrońców ludu”, że to na przykład gminy powinny wykupywać z prywatnych rąk grunty, na których zlokalizowane będą supermarkety, aby przechwytywać spekulacyjny zysk trafiający dziś w ręce wyspecjalizowanych pośredników. Dopieroż otworzyłoby się pole do korupcji, której chce się w ten sposób podobno zapobiec. Prawdę powiedziawszy nie rozumiem także hałasu, jaki się podniósł w związku z projektami wzniesienia na obrzeżach Łodzi centrum handlowego „Ikei”, której odmawia się prawa do prowadzenia działalności, wykorzystując różne preteksty ekologiczne. I to pomimo zgody samorządu, który dokonał w przepisowym trybie odpowiedniej korekty w planie zagospodarowania przestrzennego Łodzi. Jest to tym dziwniejsze, że supermarkety tworzą nie tylko nowe miejsca pracy, ale partycypują w przebudowie infrastruktury komunikacyjnej, wprowadzając ład cywilizacyjny na zaniedbane obrzeża miasta. Nie chcemy ich, i pewnie słusznie, w śródmieściu, okazuje się wszakże, że wadza, gdy są wprowadzane na obrzeża.

Trzeba znaleźć jakiś modus vivendi, aby pogodzić interesy drobnych przedsiębiorców i wielkich korporacji handlowych i tu pośrednictwo gminy może się okazać nieocenione. Władze Łodzi mogą nawet, jak sądzę, być w tym wypadku stronnice i coś utargować w takich mediacjach dla słabszej strony. Pod warunkiem, że w sprawie supermarketów przestaną mieszać różni „obrońcy ludu”, którym wcale nie chodzi o kupców, tylko o własny interes polityczny. Polska jest przecież krajem, w którym niemal co roku odbywają się wybory do władz różnych szczebli. Szkoda, że ta gra rzutuje również na decyzje gospodarcze, ze szkodą dla wszystkich.





Fontanna w parku im. H. Sienkiewicza

foto: Tadeusz Karpiński



## HONOROWI OBYWATELE MIASTA ŁODZI

### Chwalebny okres Teatru Nowego



Kolektywna inscenizacja *Brygady szlifierza Karhana* stała się początkiem wielkich, w sensie artystycznym, realizacji Teatru Nowego w Łodzi, który stworzył Kazimierz Dejmek, zapisując nowy rozdział w dziejach polskiej sceny. Spektakl przeszedł do legendy, ponieważ w mrocznych czasach stalinowskiego zniewolenia, kiedy obowiązywał jeden „słuszny” wzorzec sztuki, był buntem wobec skostnienia i próbą wypowiedania się własnym głosem.

W 1949 roku Kazimierz Dejmek obejmuje dyrekturę Teatru Nowego, nowego zresztą nie tylko z nazwy. Nie był to okres sprzyjający poszukiwaniom twórczym. Właśnie na szczecińskim zjeździe Związku Literatów Polskich uchwalono importowane ze Związku Radzieckiego reguły socrealizmu, entuzjastycznie przyjęte przez część środowisk twórczych. Był to kanon hamujący



wszystkie poszukiwania artystyczne, wprzęgnięcie sztuki w kierat ideologii, zredukowanie jej do roli kiepskiej agitki. Ale wykorzystując sloganową formułę: narodowe w formie, socjalistyczne w treści, Dejmkowi udaje się przemyścić na scenę klasyczny polski repertuar. *Henryk VI na łowach* i *Spazmy modne* Wojciecha Bogusławskiego, twórcy sceny narodowej w Polsce, są aluzyjnym zapisem tych zmagania z cenzurą i kagańcem nałożonym na całą kulturę.

Wystarczył zresztą przebłysk odwily, aby Dejmek zaczął poczynać sobie śmieiej, wykorzystując wszystkie szczeliny systemu do poszerzania swobody wypowiedzi. Ten aktor i reżyser, jak nikt chyba z jego pokolenia wyczulony na puls czasu, sięga więc po repertuar współczesny, do tej pory ukryty na dnie pisarskich szuflad, odwołuje się także do narodowej i światowej klasyki, nadając jej nową interpretację, w myśl zasady, że każda generacja ma prawo do własnego odczytania kulturalnego dziedzictwa. Szczególne miejsce w jego poszukiwaniach zajął dramat staropolski, któremu, poprzez niepowtarzalne realizacje, nadał nowy artystyczny wymiar i sens. Poczynając od *Łaźni* Majakowskiego (1954) każda premiera Teatru Nowego była wydarzeniem. *Święto Winkelrida* Jerzego Andrzejewskiego i Jerzego Zagórskiego (1956) oraz adaptacja powieści Jerzego Andrzejewskiego *Ciemności kryją ziemię* (1957) były rozrachunkiem z mroczną epoką totalitaryzmu.

Reyowskim *Żywotem Józefa* (1958) wprowadził na scenę zapomniany repertuar narodowy, któremu, dzięki oryginalnej realizacji, otworzył tryumfalną drogę do wyobraźni widza. Jest na tej liście *Historyja o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim* Mikołaja z Wilkowiecka (1961) stanowiąca ukoronowanie tych poszukiwań, jedna z najważniejszych inscenizacji w dziejach powojennego teatru.

Przez sześć lat, od 1962 do 1968 r., kieruje Dejmek Teatrem Narodowym w Warszawie, przenosząc na tę najważniejszą wówczas scenę łódzkie doświadczenia. Przecież *Żaby* Arystofanesa, *Barbara Radziwiłłówna* Alojzego Felińskiego, a także *Historyja o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim* miały swe „prapremiery” w Łodzi.



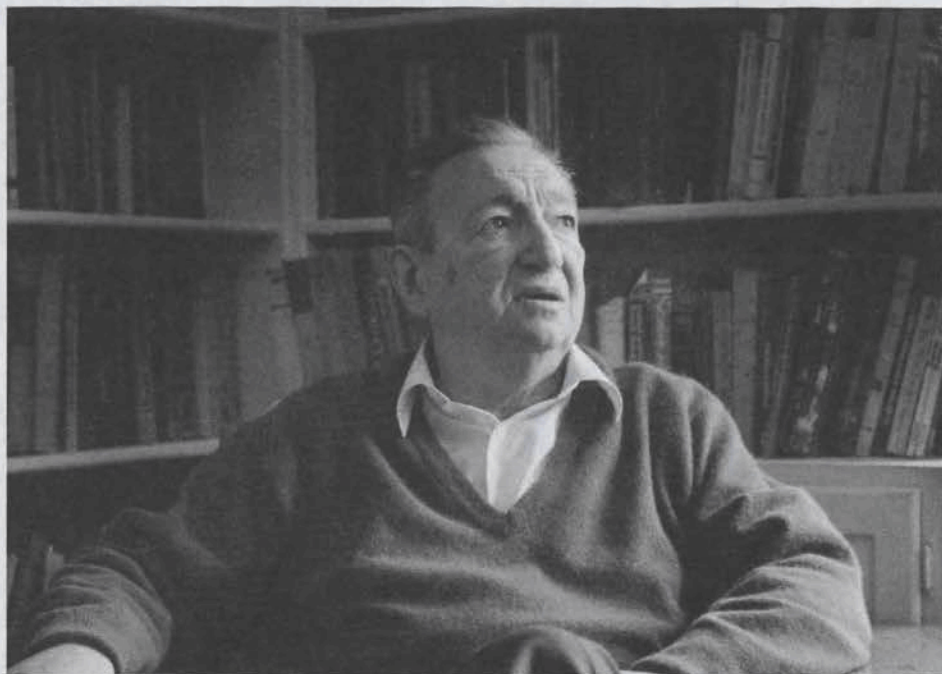
W stolicy sięga Dejmek także po wielki polski repertuar romantyczny, mając zapewne świadomość, że przy ówczesnych nastrojach społecznych spowodowanych odchodzeniem od ideałów Października, jest to intelektualny dynamit. *Kordian* Słowackiego (1965) przygotował grunt pod Mickiewiczowskie *Dziady* (1967), które okazały się w inscenizacji Dejmka nie tylko wielkim wydarzeniem artystycznym, ale także wielkiej wagi faktem politycznym. Symboliczna przemiana Gustawa w Konrada stała się wykładnikiem nowej świadomości generacyjnej, odwołującej się do patriotycznych tradycji, skąd już niedaleko do niepodległościowego zrywu. Toteż kruszącego kajdany Konrada nie mogła zaakceptować ówczesna cenzura.

Zdjęcie tego spektaklu spowodowało żywiołowe protesty studenckie, co Gomulkowski władze wykorzystały do politycznej prowokacji, znanej jako tzw. wypadki marcowe. Przez blisko 6 lat twórca reżyseruje głównie za granicą, aby dopiero w 1974 roku ponownie objąć dyrekturę Teatru Nowego w Łodzi. Nie był to powrót z wygnania „syna marnotrawnego”, tylko pasmo artystycznych tryumfów, dzięki którym łódzka scena odzyskuje swój blask i znów zwracają się na nią oczy całej kulturalnej Polski. Wyznaczają ten okres takie inscenizacje, jak *Siódmy anioł* Zbigniewa Herberta (1974), *Operetka* Witolda Gombrowicza (1974), *Dialogus de Passione* (1975), *Garbus* (1975) i *Vatzlav* (1979) Sławomira Mrożka.

Był Dejmek krótko także ministrem kultury i sztuki, ale to raczej niewiele znaczący epizod w jego karierze odnowiciela polskiego teatru. Znacznie ważniejszy wydaje się nadany mu ostatnio przez miasto tytuł honorowego obywatela Łodzi, którą tak bardzo rozświetlił. (kf)



## Marek Edelman wychodzi z cienia



*foto:Mark Kopelev*

Przez wiele lat Marek Edelman, jeden z bohaterskich przywódców powstania w Getcie Warszawskim, pozostawał w cieniu. Kiedy przyszło mu, z karabinem w rękę walczyć już nie tyle o ocalenie, co o godność i honor skazanych na zagładę Żydów, miał ledwie dwadzieścia jeden lat. Niespełna 600 kiepsko uzbrojonych bojowców od 19 kwietnia do



połowy lipca 1943 roku stawiało zaciekle opór formacjom niemieckiej policji, Waffen SS i Wehrmachtu.

Edelmanowi dopisało szczęście. Przeżył, trafił do leśnego oddziału. Po wojnie skończył medycynę i napisał niewielką książeczkę o żydowskim powstaniu poprzedzoną wstępem Zofii Nałkowskiej. Nie wznawiano jej przez całe lata, chociaż była świadectwem naocznego świadka i uczestnika dramatycznych zdarzeń.

Swoje lekarskie życie związał Marek Edelman z Łodzią. Został kardiologiem, ratując wiele istnień ludzkich. Jego drogę opisała w znakomitym reportażu *Zdążyć przed panem Bogiem* Hanna Krall.

W 1980 r. czynnie poparł powstanie „Solidarności”, wiążąc z nią nadzieje na zmiany w Polsce. Za tę aktywność przyszło mu później zapłacić wysoką cenę, bowiem mali ludzie usiłowali go pozbawić możliwości wykonywania zawodu lekarza, wysyłając na emeryturę. W obronie Marka Edelmana stanęli nie tylko jego pacjenci, ale także ci przedstawiciele środowisk opiniotwórczych, którzy nie ulękli się represji dogorywającego systemu.

W 1988 r. dr Edelman jako jeden z nielicznych reprezentantów Łodzi uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu. Później widzimy go w Łódzkim Komitecie Obywatelskim przygotowującym pierwsze wolne wybory 1989 r., oznaczające opowiedzenie się społeczeństwa za suwerenną, demokratyczną Polską.

Edelman nie szuka kariery politycznej, nie chce dyskutować swoich zasług, chociaż zostaje członkiem władz naczelných Unii Demokratycznej, a później Unii Wolności. Związanie się z tym centrowym ugrupowaniem, nazywanym ironicznie przez prawicowych fundamentalistów „rózowym”, to zapewne nie tylko poparcie udzielone partii inteligencji, ale także odwołanie się do ideałów młodości, kiedy Edelman działał w socjalistycznym Bundzie.

Edelman demonstracyjnie nie uczestniczył w oficjalnych obchodach Powstania w Getcie Warszawskim, kiedy chciano tragedię i bohaterstwo Żydów wykorzystać do gry politycznej. Ale gdy do Polski przyjechał Vaclav Havel, Edelman



był jedynym człowiekiem, z którym prezydent Czech, ubrany przez szacunek w jarmułkę, rozmawiał na cmentarzu żydowskim w Łodzi.

Pamiętając holocaust i bierność sprzymierzonych w ratowaniu „narodu wybranego”, Edelman z entuzjazmem przyjął wiadomość o interwencji NATO w Jugosławii. W apelu wystosowanym do przywódców sojuszu atlantyckiego stwierdził: „Decyzja o nalotach jest decyzją zmieniającą oblicze świata. Po raz pierwszy wypowiedział wojnę w obronie praw człowieka”. Na te słowa powołał się później Bill Clinton wyjaśniając cele akcji wojskowej w Kosowie.

Paradoks polega na tym, że nie zabiegając nigdy o popularność, a nawet stroniąc przed rozgłosem, Marek Edelman wyszedł z cienia, w którym świadomie żył długie lata. Najlepszym tego dowodem stał się plebiscyt na Łodzianina Roku, kiedy to przeważającymi głosami słuchaczy publicznego radia odniósł przekonujące zwycięstwo, będące zarazem testem społecznego uznania.

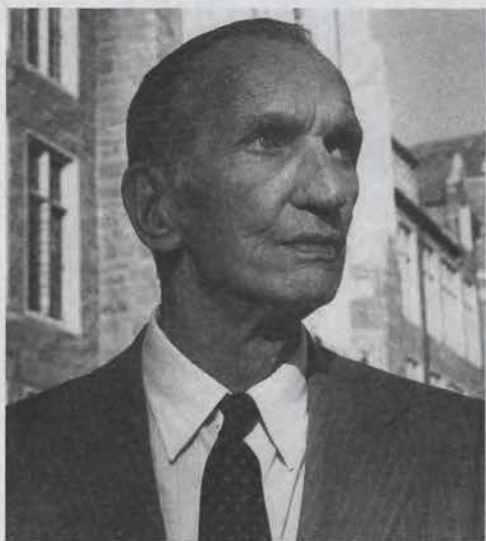
Teraz przyznano mu także honorowe obywatelstwo Łodzi za działalność w Społecznej Fundacji Solidarności, z inicjatywy której powstał Ośrodek Leczenia Słuchu dla Dzieci i Niemowląt. Bowiern, jak twierdzi Marek Edelman, „Przekonanie, iż możemy i musimy pomagać naszym bliźnim nadaje sens ludzkiej egzystencji”.

W dobie zwątpienia w podstawowe wartości Edelman stał się dla wielu nieklamany autorytetem moralnym. Ten sędziwy dziś lekarz nigdy bowiem nie sprzeniewierzył się swemu powołaniu zawodowemu, nie uległ też konformistycznym pokusom łatwych kompromisów, prowadzących do wyrzeczenia się własnych przekonań i ideałów. A taka postawa, poświadczona całym życiem, rzeczywiście zasługuje na najwyższy szacunek.

Jest Kawalerem Orderu Orła Białego, najwyższego odznaczenia w Rzeczypospolitej. (kf)



## Tajny emisariusz o światowym rozgłosie



Jan Karski (prawdziwe nazwisko Koziulewski) urodzony w Łodzi w przededniu I wojny światowej, z rodzinnym miastem związał wspomnienia młodości i dzieciństwa. Tu, na ul. Kilińskiego 71, w typowej czynszówce kształtował się charakter przyszłego bohatera dwóch kontynentów, choć ten typowy intelektualista zapewne byłby zdziwiony, że nazywany jest bohaterem. Maturę uzyskał w Miejskim Gimnazjum Męskim im. Józefa Piłsudskiego i wtedy

właśnie, w roku 1931, jako młody chłopak opuszcza Łódź.

Po studiach prawniczych we Lwowie, połączonych z nauką na Studium Dyplomacji Uniwersytetu Jana Kazimierza, zaczyna pracę w służbach Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nie uchylił się jednak od obowiązku obrony ojczyzny i wziął udział w kampanii wrześniowej, a wzięty do niewoli ucieka z jenieckiego obozu. Nie waha się także podjąć czynnej walki z okupantem. Zostaje kurierem rządu londyńskiego.



To niebezpieczne zajęcie, wymagające wiele odwagi, doprowadziło do jego uwięzienia przez hitlerowców. Nie mieli chyba świadomości, jak niebezpieczny człowiek dostał się w ich ręce, a i młody konspirator nie przeczuwał jeszcze zapewne, jak ważną przyjdzie mu spełnić misję. Dzięki pomocy zbrojnego polskiego podziemia w Nowym Sączu Karski umyka swym prześladowcom i wkrótce kursuje między Francją zmagającą się z nawałą niemiecką a krajem, gdzie tworzą się zręby Państwa Podziemnego.

Z Polski zostaje wysłany do Londynu z misją dostarczenia raportów o sytuacji w okupowanej Polsce. Nie była to jednak podróż turystyczna, tylko najeżona niebezpieczeństwami wyprawa, wymagająca hartu ducha, determinacji i odwagi. Jan Karski zawozi do Wielkiej Brytanii także dramatyczny apel przywódców żydowskich o ratowanie skazanych na zagładę Żydów.

Z apelem tym Jan Karski (to okupacyjny pseudonim, który stał się jego nazwiskiem) dociera w ściśle tajnej misji także za ocean, ale alianckie kierownictwo, łącznie z prezydentem Rooseveltem, nie uczyni nic, aby zatrzymać holocaust. Dramat Żydów zaciążył na całym życiu emisariusza, który do dziś oskarża ówczesne rządy wielkich mocarstw o beczynność.

Zdekonspirowany Karski (jego misja nie mogła utrzymać się w tajemnicy) nie wraca do kraju. Pozostał na stałe w Stanach Zjednoczonych, gdzie związał się z Uniwersyte-tem Georgetown. Pracuje tam naukowo, publikuje książki.

Już pierwsza z nich *Story of a Secret State*, poświęcona dziejom Państwa Podziemnego w Polsce, odniosła za oceanem wielki sukces wydawniczy. Wiele rozdziałów poświęcił Karski sprawie zagłady Żydów i swojej misji, która miała na celu ich ratowanie.

Ta postawa dopiero po wojnie znalazła wyraz w licznych, choć spóźnionych, odznaczeniach amerykańskich i żydowskich. Jest Jan Karski także Kawalerem Orderu Orła Białego, którym ojczyzna uhonorowała go w roku 1995.

Wśród bogatego dorobku książkowego Jana Karskiego zwraca uwagę monumentalne dzieło z dziedziny historii



najnowszej: *Wielkie mocarstwa wobec Polski (1919-1945). Od Wersalu do Jalty*. Prace tę powinien przeczytać każdy, kto zastanawia się nad losami naszego kraju w XX wieku i naszą trudną drogą do ponownej niepodległości.

W 1996 roku otrzymuje doktorat honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego. Jest to pierwsze, po kilkudziesięciu latach, spotkanie z rodzinnym miastem. Wtedy też postanowił przekazać Muzeum Historii Miasta Łodzi swoje osobiste dokumenty i pamiątki o wielkiej wadze historycznej, poświadczając więź z miejscem urodzenia. Wybór ten świadczy o jego niewygasłej sympatii do miasta młodości.

Dobrze więc się stało, że i Łódź odplaciła mu należnym hołdem, nadając tytuł honorowego obywatela. Trafia on za ocean w godne ręce. (kf)



## Powrót do miasta młodości



*foto: Jerzy Koźnik (ze zbiorów Muzeum Kinematografii)*

Roman Polański należy do tych nielicznych polskich reżyserów, dla których nie istnieją międzynarodowe bariery i może wszędzie realizować filmy zrozumiałe i interesujące dla widzów na całym świecie. Już jego dyplomowa etiuda *Dwaj ludzie z szafą*, nakręcona w łódzkiej szkole filmowej, okazała się propozycją dalece wykraczającą poza studenckie standardy.



Ten debiut był od razu spełnieniem i zwrócił na Polańskiego uwagę krytyki, dał mu też artystyczny paszport, gdyż obsypany został nagrodami w Brukseli, San Francisco i Oberhausen.

Jego pierwszy pełnometrażowy film fabularny *Nóż w wodzie* (1962) nie tylko ściągnął na siebie liczne laury, ale został nominowany do „Oscara”, uważanego za najbardziej prestiżowe wyróżnienie filmowe na świecie. Wkrótce Polański opuszcza Polskę i przyjmuje francuskie obywatelstwo. Było to na pięć lat przed tzw. wypadkami marcowymi w kraju, które dla ludzi jego pochodzenia stanowiły jedno z najboleśniejszych doświadczeń komunizmu.

Los nie oszczędził mu jednak osobistej tragedii, kiedy szalenie zamordował w Stanach Zjednoczonych aktorkę Sharon Thate będącą żoną reżysera, a także jego przyjaciół jeszcze z łódzkich czasów.

Ameryka nie okazała się dla Polańskiego krainą szczęśliwości jeszcze z tego powodu, że padł ofiarą oskarżenia, które zmusiło go do powrotu do Europy, chociaż miał już za sobą tak dobrze przyjęte filmy, jak *Wstręt*, *Matnia*, *Nieustraszeni zabójcy wampirów*, *Dziecko Rosemary* (powtórna nominacja do „Oscara”) i *Chinatown* („Złoty Globus” w Hollywood), w którym reżyser zagrał także jako aktor.

Warto więc może przypomnieć, że swoją artystyczną przygodę rozpoczynał właśnie jako aktor w zespole M. Bliżanki *Wesoła gromadka*, a później w krakowskim Teatrze Groteska, aby trafić na plan filmowy takich kultowych reżyserów polskich jak Andrzej Wajda (*Pokolenie*) czy Andrzej Munk (*Zezowate szczęście*).

Powrót do Francji, jego wybranej ojczyzny, zaowocował szeregiem wybitnych realizacji. Polański nakręcił w Europie *Lokatora*, a także *Tess* – dzieło, które przyniosło mu „Feliksa”, najwyższe wyróżnienie filmowe na starym kontynencie. Potem przyszła kolej na *Piratów*, w których zatrudnił między innymi łódzkich kaskaderów i *Frantica*, poświadczającego, że Roman Polański wciąż znajduje się jako artysta na fali wznoszącej.



Znaczące miejsce w jego twórczości zajmują realizacje teatralne. W Monachium wyreżyserował operę Giuseppe Verdiego *Rigoletto*, w Warszawie *Amadeusza* P. Shaffera. Tę ostatnią realizację powtórzył następnie w Paryżu, w której jednocześnie wystąpił jako odtwórca głównej roli.

Jest twórcą, w którego wypowiedziach artystycznych znalazły wyraz niepokoje naszego wieku, co tłumaczy jego międzynarodowe sukcesy, choć nigdy nie wypowiadał ich wprost. Za to jego realizacje przepojone są niepowtarzalnym klimatem. Francuska Akademia, instytucja o kilkusetletniej tradycji, w uznaniu jego zasług dla sztuki filmowej przyjęła go w poczet swoich członków, co jest wyjątkowo zaszczytnym wyróżnieniem.

Polański, który w latach studiów w szkole filmowej wywierał niemały wpływ na całe pokolenie młodych artystów, wyzwalających się z okowów sztuki zadekretowanej, zawsze z sentymentem wspomina Łódź, czemu dał wyraz także swoich opublikowanych wspomnieniach, a także w licznych wypowiedziach dla mediów. W 1998 r. w uznaniu jego twórczych dokonań poświęcono mu gwiazdę w Alei Sławy na Piotrkowskiej, choć artysta nie przybył na tę uroczystość do miasta swojej młodości.

Nadanie mu, co stało się ostatnio, honorowego obywatelstwa Łodzi, przyjął jednak z radością. Tym bardziej, że stało się to niedługo po tym, jak Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego, odmówił mu tytułu doktora honoris causa, doszukując się w jego biografii faktów, uniemożliwiających takie wyróżnienie. Na szczęście błąd ten naprawiła Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna w Łodzi, która zaofiarowała mu swój honorowy doktorat. Polański, który pracuje w Polsce nad swoim najnowszym filmem, zapowiedział już, że tym razem przyjedzie do Łodzi. (kf)



## Nagrodzeni i odznaczeni w 1999 roku

Trzydziestu siedmiu łodzian odznaczonych zostało w sali obrad łódzkiej Rady Miejskiej. Ordery, odznaki i nagrody wręczali: wojewoda łódzki, przewodniczący Rady i prezydent Łodzi.

**Leon Niemczyk** odznaczony został Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Wybitny aktor został także nagrodzony przez łódzką Radę Miejską Nagrodą Miasta Łodzi w wysokości 15 tys. zł.

**Złotymi Krzyżami** odznaczeni zostali aktorzy i pracownicy obchodzącego swe 50-lecie teatru „Arlekin” – dyrektor Waldemar Wolański, Iwona Brzezińska, Mieczysław Dyrda i Jan Pieczatkowski; Jarosław Frątczak, Wiesław Gronostaj i Kazimierz Michalak otrzymali Srebrne Krzyże.

**Nagrody Miasta Łodzi** otrzymali: Danuta Falak – pedagog i dyrektor XXVI Liceum Ogólnokształcącego, Irena Jaros – współtwórczyni Fundacji Banku Żywności, Alicja Jarugowa – ekonomistka, Ryszard Rosin – historyk, wybitny badacz początków dziejów Łodzi oraz Marcel Szytenchelm – reżyser, twórca studia teatralnego „Słup”.

Honorowe Odznaki „Za Zasługi dla Miasta Łodzi” otrzymali: Józef Dzienis, Krystyna Gułaj, Stanisław Jarzębski, Maria Kraśnińska-Fendler, Przemysław Krężel, Józef Kurowski, Otylia Kurzawa, Wiesław Machejko, January Magalski, Tadeusz Markowski, Barbara Marszałek, Ewa Mirowska, Jan Nazarski, Mirosław Pękacki, Waldemar Presia, Bogusław Sochnacki, Stanisław Starzak, Jerzy Szpakowski, Tadeusz Warchulski, Zbigniew Władyka, Eugeniusz Wojciechowski, Waldemar Zawodziński i Wojciech Źródłak. Zbiorowe Odznaki przyznano Klubowi Tradycji Łódzkich i łódzkiemu Zarządowi Okręgowemu PCK.



## Nagrodzeni i odznaczeni w 2000 roku

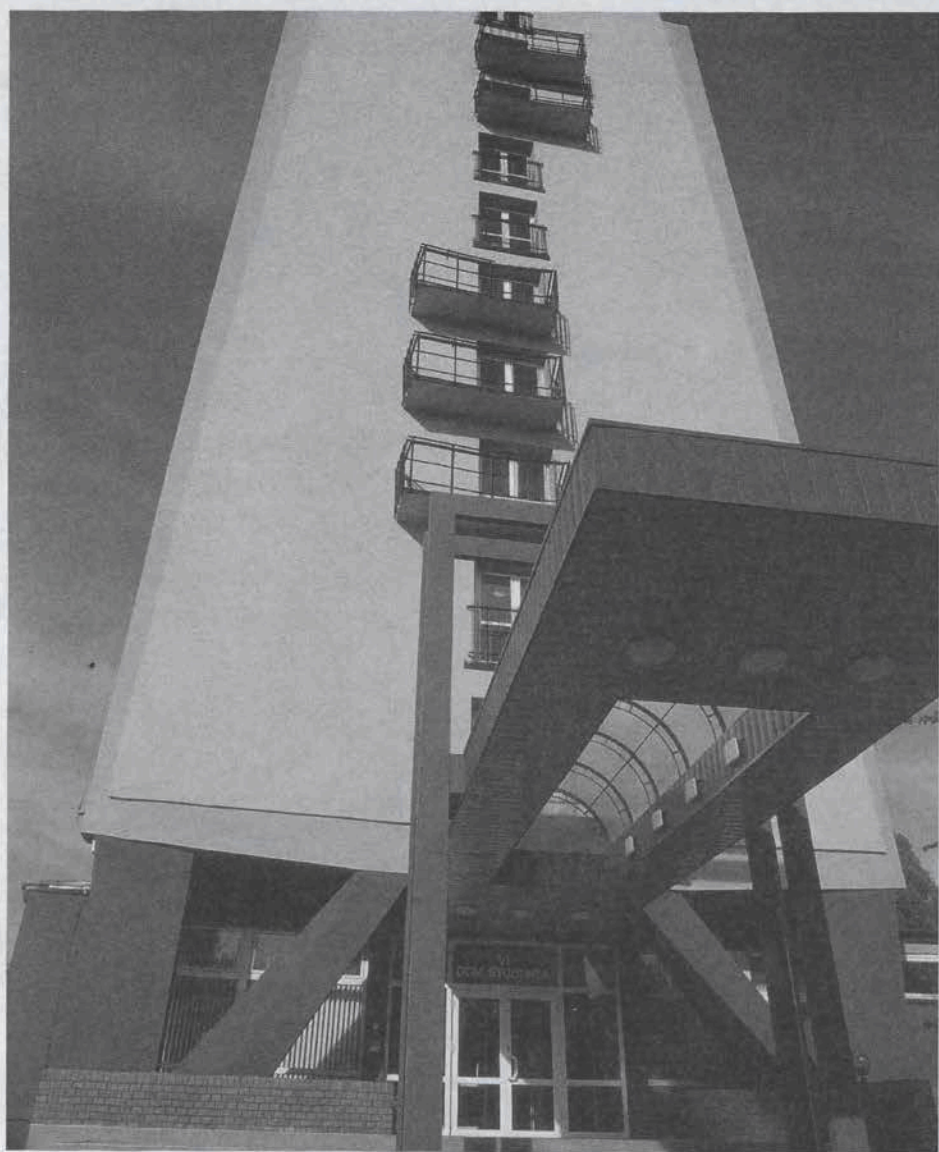
Nagrody Miasta Łodzi w 2000 roku otrzymali:

1. Maria Krzemińska-Pakuła – profesor kardiologii
2. Ks. Ireneusz Jerzy Kulesza – dyrektor Caritasu
3. Krzysztof Antoni Kuźmiński – prof. Politechniki Łódzkiej
4. Jan Michalski – prof. Polskiej Akademii Nauk
5. Sabina Nowicka – dyrektor Teatru im. S. Jaracza
6. Wiesław Jan Puś – prorektor Uniwersytetu Łódzkiego
7. Andrzej Szczęsny Wilczkowski – mgr inż. mechanik PŁ
8. Leszek Eugeniusz Woszczyński – choreograf

Odznaki „Za Zasługi dla Miasta Łodzi” otrzymali:

1. Caritas Archidiecezji Łódzkiej
2. Fundusz Ochrony Macierzyństwa im. S. Leszczyńskiej
3. Łódzki Uniwersytet Trzeciego Wieku im. Heleny Kretz
4. Kazimierz Figurski
5. Urszula Gocał
6. Bernard Egon Kepler
7. Kazimierz Kędzia
8. Marian Kierczuk
9. Ewa Kralkowska
10. Grzegorz Bogdan Latosek
11. Józef Ludwik Małkiewicz
12. Stanisław Napoleon Mecych
13. Jerzy Włodzimierz Miecznikowski
14. Tomasz Stefan Pertyński
15. Halina Stanisława Pędziwiatr-Karbowska
16. Józef Stańczak – odznaka nadana pośmiertnie
17. Krzysztof Makary Stasiak
18. Marek Szukalak
19. Longina Elżbieta Tadej
20. Roman Stanisław Zarzycki
21. Norbert Jerzy Zawisza
22. Marzanna Beata Zielińska





Współczesna architektura Łodzi

foto: Krzysztof Duklas



## Spis treści

✓ 10 lat Samorządu Łodzi	3
✓ Ewelina Nurczyńska-Fidelska, <i>Łódź filmowa. Szkic do portretu</i>	9
✓ Jerzy Wilmański, <i>Stefanii Skwarczyńskiej portret wielokrotny</i>	31
✓ Anna Iżykowska-Mironowicz, <i>Maestro Henryk Debich</i>	43
✓ <i>Reżyseria to sztuka przypadku. Wywiad z Henrykiem Klubą</i>	53
✓ Maria Kępińska, <i>Rzeźba jest kształtowaniem przestrzeni</i>	59
✓ Wojciech Źródłak, <i>Teodor Wilenski – łódzki malarz</i>	69
<i>Do prof. dr. Janusza Dunina, List otwarty</i>	75
✓ Wielisława Warzywoda-Kruszyńska, <i>W Łodzi dawniej i dziś</i>	81
✓ Lucjusz Włodkowski, <i>„Łódź 2000” – przegrana futurologii</i>	93
✓ Andrzej Frontczak, <i>Choroby układu krążenia</i> – problem społeczny i zdrowotny	105
✓ Ryszard Rosin, <i>Szkice z dziejów Łodzi – 1945 rok</i>	115
✓ Tadeusz Bogalecki, <i>Przezwrot majowy w Łodzi</i>	131
✓ Tadeusz Wołk-Żołnierski, <i>Działalność Józefa Piłsudskiego</i> <i>w Łodzi w latach 1899-1900</i>	137
✓ Wiesław Machejko, <i>Kartki z historii STS „Pstrąg” (cz.2)</i>	145
Konrad Frejdlich, <i>Legenda „Spatifu”</i>	157
<i>Poeci Łodzi (Jan Huszcza, Jerzy Waleńczyk)</i>	165
Edward Szuster, <i>O starej „Kronice”</i>	169
Stanisław Bulkiewicz, <i>60. rocznica wydania bonów Komisji</i> <i>Finansowej Miasta Łodzi (1939-1999)</i>	181
Tadeusz Bojanowski, <i>Działalność niemieckich placówek</i> <i>kulturalnych w Łodzi w okresie okupacji (1939-1945)</i>	189



Janusz Kozłowski, <i>Obóz dla Romów w Łodzi podczas hitlerowskiej okupacji</i>	205
Konrad Frejdlich, <i>Placz nad rozlanym mlekiem – supermarkety w Łodzi</i>	209
HONOROWI OBYWATELE MIASTA ŁODZI	223
<i>Chwalebny okres Teatru Nowego</i> (Kazimierz Dejmek)	223
<i>Marek Edelman wychodzi z cienia</i>	226
<i>Tajny emisariusz o światowym rozgłosie</i> (Jan Karski)	229
<i>Powrót do miasta młodości</i> (Roman Polański)	232
<i>Nagrodzeni i odznaczeni w 1999 roku</i>	235
<i>Nagrodzeni i odznaczeni w 2000 roku</i>	236



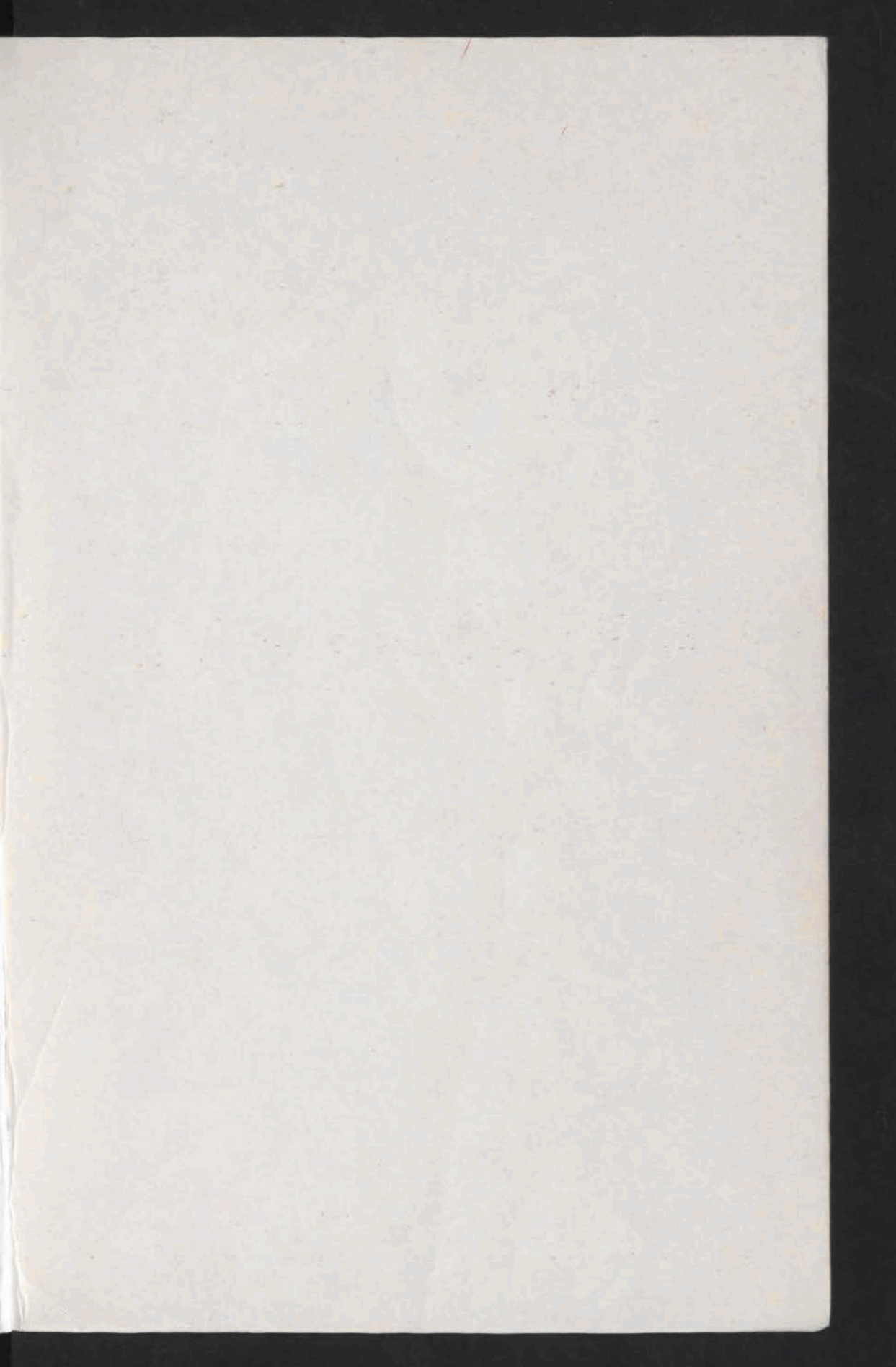
Adres redakcji:  
90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 104 p.07  
tel. 638 40 10 fax 638 40 90  
Wydawca: Zarząd Miasta Łodzi

Skład, druk i oprawa:  
Oficyna Bibliofilów sp. z o.o.  
93-492 Łódź, ul. Bolesława 13



10671-A







**ISSN-1231-5354**